



ERICA SPINDLER
WYŚCIG ZE ŚMIERCIĄ

Przełożył: Krzysztof Puławski



*Tę książkę dedykuję wszystkim ofiarom
terrorystycznego ataku na Stany Zjednoczone
z 11 września 2001 roku.*

*A także wszystkim bohaterom, którzy wstawili się
w czasie tych wydarzeń:
strażakom, policjantom, ratownikom,
wszystkim dobrym samarytanom
oraz pasażerom lotu nr 93
samolotu United Airlines.*

Niech Was Bóg błogosławi.

RS

*Bądźcie trzeźwi, czuwajcie! Przeciwnik wasz,
diabeł, chodzi wokół jak lew ryczący, szukając,
kogo by pochłonąć.*

Pierwszy List św. Piotra Apostoła, 5, 8

PROLOG

Key West, Floryda

Piątek, 13 lipca 2001 roku 23.00

Pani pastor Rachel Howard wychyliła się przez okno sypialni, próbując dojrzeć coś przez strugi deszczu. Nagła błyskawica rozdarła niebo, a zaraz potem grzmot wstrząsnął studwudziestoletnią plebanią.

Rachel cofnęła się odruchowo w głąb ciemnej, położonej na parterze sypialni. Wolała, żeby ci, którzy ją obserwowali, nie odgadli, co planowała. Wiedziała, że chcą ją dopaść. Nie miała pojęcia, kim są, ale domyślała się, że jest ich wielu.

On był potężniejszy, niż przypuszczała. Przebieglejszy. I bardziej nikczemny.

Nie doceniła jego wpływów. To był błąd. Jak się okazało – fatalny.

Rachel zamknęła oczy i zaczęła powtarzać pełne pociechy słowa dwudziestego trzeciego psalmu:

– Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, boś Ty ze mną*¹.

Właśnie na tę noc zaplanowała ucieczkę. Gdyby udało jej się dotrzeć do stałego ładu, mogłaby się zastanowić, co dalej robić. Gdyby...

Poczuła, jak powoli spływa na nią spokój. W śmierci znajdzie swoje wybawienie. Niezależnie od tego, co stanie się dzisiejszej nocy, ciemność jej nie pochłonie.

Rachel zbliżyła się do okna i jeszcze mocniej ścisnęła kopertę w dłoni. Jej przyjaciel przypłynie tu mimo burzy. Na pewno jej nie zawiedzie.

¹ * *Wszystkie cytaty z Biblii zaczerpnięto z: Pismo Święte Starego Testamentu, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa, 1976*

Wiedziała, że zrobi wszystko, co w jego mocy.

Żałowała tylko tego, że narażała jego życie, prosząc o pomoc.

Wyobraziła sobie śmiech i drwiny swoich prześladowców. Bezradność Rachel na pewno ich bawiła. Bawił ich jej Bóg.

Znowu rozległ się grzmot, a w świetle błyskawicy zobaczyła przyjaciela, który w mokrym poncho przemykał przez ogród.

Po chwili był już przy oknie. Rachel poczuła niewysłowioną wdzięczność i ze łzami w oczach wychyliła się, nie bacząc na zimne strugi.

– Weź to i koniecznie przekaz mojej siostrze. – A teraz uciekaj.

Przez chwilę się wahał, ale potem odwrócił się i bez słowa zniknął w potokach deszczu.

Nie mogła już tracić czasu. Chwyliła płaszcz oraz parasol i z kluczykami w dłoni wymknęła się na dwór. Na ścieżce pełno było potarganych deszczem i wiatrem kwiatów poinsecji, zwanej też gwiazdą

betlejemską, które tworzyły coś w rodzaju krwawego chodnika.

Toyota Rachel stała za plebanią. Ruszyła wolno w jej stronę, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Nie chciała, żeby domyślili się, co planuje.

Deszcz spływał potokami po parasolu, a potem kaskadą do jej stóp. Poruszała ustami, wymawiając kolejne słowa „Składu Apostolskiego”:

– Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi. I w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne, Pana naszego, który...

Z sobą usłyszała jakiś dźwięk. Odwróciła się, czując, jak serce wali jej w piersi.

– Stephen? – szepnęła. – Stephen, to ty? Deszcz nagle ustał. Wiatr zamarł. Na twarzy poczuła zatechły powiew śmierci, jakby tuż przed nią otworzył się stary grobowiec.

Z krzykiem rzuciła się przed siebie. Przed nią zamajaczył kształt samochodu, ale potknęła się na nierównym bruku i wypuściła kluczyki z dłoni. Natychmiast padła na kolana, żeby je podnieść.

Zacisnęła na nich palce. Krzaki zaszeleściły i usłyszała cichy śmiech. Spojrzała do tyłu. W świetle odległej błyskawicy dojrzała błysk metalu.

– Nie! – Zerwała się na równe nogi i pomknęła przed siebie. Znowu się potknęła, ale zaraz złapała równowagę.

W końcu dotarła do samochodu i pociągnęła za klamkę. Był otwarty. Za sobą słyszała coraz głośniejsze hałasy. Nie oglądając się, wskoczyła do wozu i zamknęła drzwiczki. Próbowwała włożyć kluczyki do stacyjki, ale udało jej się dopiero za trzecim razem.

Wreszcie uruchomiła silnik. Wrzuciła wsteczny bieg, a z jej piersi wydobyło się głuche westchnienie ulgi. Samochodem lekko zarzuciło na mokrym bruku.

Rachel zmieniła bieg i dodała gazu. Wóz skoczył do przodu niczym dźgnięty ostrogą wierzchowiec. Zaczęła odmawiać w myśli modlitwę dziękczynną. A więc jednak się udało!

Dopiero teraz odważyła się zerknąć za siebie, ale ciemność była nieprzenikniona. Odwróciła się więc w stronę drogi. W świetle reflektorów dostrzegła, że coś zagradza jej drogę. Jakaś postać, która nagle wyrosła tuż przed autem.

Rachel krzyknęła i nacisnęła hamulec, szarpiąc kierownicą w prawo. Samochód wpadł w poślizg i obrócił się wokół własnej osi. Próbowwała odzyskać panowanie na nim, ale na takiej nawierzchni mogła liczyć tylko na cud.

Niestety bezskutecznie, bo tuż przed nią pojawiło się drzewo. Rachel zdążyła tylko podnieść ręce, żeby zasłonić twarz, a potem poczuła, jak potężna siła wyrывa ją z fotela.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

St. Louis, stan Missouri

Poniedziałek, 16 lipca

8.40

Liz Ames patrzyła, jak kawa wolno spływa do dzbanka ekspresu. Najpierw ziewnęła, a potem zaczęła przeklinać w duchu wszelkie budziki, nocne loty i potwornie wolne domowe urządzenia. Po– trzeba było kawy już teraz, a nie za jakieś pięć minut!

Stwierdziła, że z całą pewnością spóźni się do pracy. Co się z nią stało? Przecież zawsze była punktualna, no i pełna życia. Niezależnie od tego, jak długo spała poprzedniej nocy, nieodmiennie świetnie się czuła.

A teraz ledwo udało jej się zwlec z łóżka.

To przez tego oszusta, jej byłego męża. Zmrużyła oczy z powodu słońca, które zdołało przeniknąć przez żaluzje. Od kiedy rozstała się z Jaredem, nic już nie było takie samo. Wszystko jakby od niej odpłynęło...

Nawet Rachel, pomyślała z gorzkim uśmiechem.

I to dosłownie, gdyż siostra przeniosła się na Key West, gdzie zaproponowano jej posadę pastora. Właśnie wtedy, gdy Liz przechodziła najgorszy kryzys.

Przeniosła wzrok na mrugające światełko automatycznej sekretarki. Jakaś wiadomość. Powinna zadzwonić do siostry i z nią porozmawiać. Zwłaszcza że ich ostatnia rozmowa, którą odbyły przed miesiącem, bardzo ją zaniepokoiła. Również dlatego, że się wtedy pokłócili.

W tym momencie ekspres wydał ostatnie pomruki, które wskazywały, że kawa jest już prawie gotowa. Jednocześnie zadzwonił telefon. Liz wcisnęła słuchawkę pod brodę i sięgnęła po kubek.

- Tak, słucham?
- Pani Elizabeth Ames?

Głos należał do mężczyzny. Zapewne jakiegoś urzędnika. Liz nauczyła się rozróżniać ten oficjalny ton, gdyż jako pracownik socjalny często musiała załatwiać sprawy pacjentów kliniki, w której pracowała.

– Tak – odparła. – Przepraszam, czy może pan chwilę zaczekać?

Odłożyła słuchawkę, a następnie napełniła kubek kawą i dołąła do niej nieco śmietanki. Otworzyła też szafkę, z której wyjęła leki antydepresyjne, zapisane jej przez lekarza. „Odpowiedź nowoczesnej medycyny na gorszy dzień” – jak głosiło hasło. Wytrząsnęła jedną tabletkę na dłoń i popiła gorącą kawą.

Aż syknęła, ale zaraz podniosła słuchawkę.

– Tak, czym mogę służyć?

– Mówi porucznik Valentine Lopez z policji Key West. Czy pani jest siostrą Rachel Howard?

Liz zamarła, a potem, jakby nagle straciła wszystkie siły, ciężko opadła na krzesło.

– Halo, czy pani mnie słyszy? – dopytywał się policjant. – Jest pani siostrą Rachel Howard, która pracowała jako pastor w Kościele Rajskiej Wspólnoty Chrześcijańskiej na Key West? Podała panią jako najbliższą osobę.

– O Boże, co się mogło stać? – pomyślała.

- Tak... tak, oczywiście. Czy... czy z Rachel wszystko w porządku?
 - Dzwonię w sprawie pani siostry – ciągnął policjant, jakby nie usłyszał pytania.
- Kiedy ją pani ostatnio widziała?

Serce skoczyło jej do gardła.

- No... przed jej przeprowadzką na Key West – wydusiła z trudem.
- Czyli mniej więcej pół roku temu?
- Właśnie.
- A kiedy z nią pani ostatnio rozmawiała?

Liz zamknęła oczy, starając się przypomnieć sobie szczegóły tamtej rozmowy. Odniosła wtedy wrażenie, że siostra jest z jakiegoś powodu przygnębiona, ale kiedy spytała ją wprost, czy coś się stało, zaczęła się wykręcać. A potem szybko zakończyła rozmowę, twierdząc, że wzywają ją pilne obowiązki.

- Jakiś miesiąc temu. Pokłóciłyśmy się. Byłam na nią wściekła.
- Czy mogę się dowiedzieć, z jakiego powodu?
- To sprawy osobiste, panie poruczniku.
- To dla mnie bardzo ważne.
- Cóż, właśnie się rozwodziłam – westchnęła z rezygnacją Liz. – Jeden z moich

podopiecznych...- Ee, po prostu jej potrzebowałam, a ona nie miała dla mnie czasu. – Poczula, że brzmi to strasznie dziecinnie, i aż się zarumieniła. – Czy... czy coś się stało?

- A później już się pani z nią nie kontaktowała?
- Nie, ale chciałabym wie...
- I nie miała pani od niej żadnych wiadomości w ciągu ostatnich trzech dni?

Żadnych telefonów, e-maili lub listów?

- Nie, ale... – Przycisnęła dłoń do piersi, żeby się trochę uspokoić, i spojrzała na automatyczną sekretarkę. – Ale wyjeżdżałam. Od czwartku nie było mnie w domu i

jeszcze nie sprawdzałam wszyst-
kiego, co tu dotarło.

– Więc proszę się ze mną skontaktować, kiedy już pani to zrobi.

Krew nagle uderzyła jej do głowy. Liz poczuła, że robi jej się słabo, i zacisnęła dłoń na słuchawce.

– Ale najpierw chciałabym wiedzieć, co się stało, panie poruczniku – rzekła głośnym głosem. – Czy... czy coś z Rachel...?

– Pani siostra zaginęła. Miałem nadzieję, że dowiem się od pani, gdzie jej szukać.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Key West, Floryda

Środa, 31 października 13.30

Liz stała przed położonym na starówce sklepem, który wynajęła, by służył jej jako biuro i mieszkanie. Patrzyła, jak jeden z wynajętych robotników przemocowuje obok drzwi tabliczkę z jej nazwiskiem:

Elizabeth Ames. Dyplomowany Doradca Rodzinny

Wciągnęła głęboko powietrze, próbując się uspokoić. Na miłość boską, przecież to Duval Street! O czym myślała, kiedy podpisywała umowę? To miejsce zupełnie nie nadawało się na punkt konsultacyjny, a w dodatku czynsz był niebotycznie wysoki.

Przybywali tutaj turyści, którzy postanowili odwiedzić Key West, i nawet jeśli wśród nich były osoby z problemami rodzinnymi, to nie w tym miejscu szukały na nie recepty. Duval Street często określano mianem najdłuższej ulicy Ameryki, ponieważ ciągnęła się od Atlantyku aż do Zatoki Meksykańskiej. Liz rozejrzała się na prawo i lewo. Oczywiście, mnóstwo ludzi w szortach i sandałach, ze skórą tak różowitką jak świeżo ugotowane krewetki. Jeśli idzie o modę, obowiązywały okulary przeciwsłoneczne, czapeczki bejsbolowe i zabawne plecaczki, a poruszano się głównie na rowerach i skuterach.

Potem spojrzała na ulicę, gdzie poza rowerami i skuterami było też trochę samochodów i nieliczne harleye. Nikomu się nie spieszyło. Wszyscy przyjechali tu, by się odprężyć w słynnych miejscowych restauracjach, barach, galeriach i sklepach.

O dziwo, również przy tej ulicy znajdował się najstarszy kościół na Key West – Raj-ska Wspólnota Chrześcijan. Kościół Rachel. To właśnie tu widziano ją po raz ostatni.

Liz popatrzyła w prawo. Ze swego miejsca mogła dostrzec białą dzwonnice kościoła, która wyrastała ponad korony palm i figowców. Między jej biurem a kościołem znajdował się tylko bar pod nazwą „Rick's Island Hideaway”.

Poczuła, że ma ściśnięte gardło. I pomyśleć, że jakiś czas temu spotkałaby tu Rachel. Pustka, którą czuła w sercu, stawała się coraz bardziej dotkliwa.

– Tak może być?

Dopiero po chwili zorientowała się, że to robotnik pytają o tabliczkę. Mężczyzna wyszczerzył do niej białe zęby, kontrastujące z ciemną cerą. Zapewne jego rodzina pochodziła z Kuby, co nie było niczym dziwnym, zważywszy, że Key West znajdowało się bliżej Hawany niż Miami.

– Oczywiście – odparła, przywołując uśmiech na twarz. – Jest doskonale.

– Nasza wyspa jest jak tajemnicza kobieta – powiedział, zszedłszy z drabiny. – Trudno się wyzwolić spod jej uroku. – Znów się uśmiechnął. – No, dla pani jak prawdziwy mężczyzna. Będzie tu pani szczęśliwa.

Raz jeszcze ukazał swoje zadziwiająco białe zęby.

Liz wciągnęła powietrze i skinęła głową, czując się jak oszustka. Już zdążyła znie-nawidzić Key West. Przecież właśnie tutaj straciła siostrę.

Mężczyzna złożył drabinę i wziął ją pod pachę.

– Życzę miłego dnia.

Liz patrzyła przez chwilę za nim, a potem weszła do środka, by zająć się rozpako-wywaniem paczek z książkami oraz innymi rzeczami. Starala się jakoś ogarnąć chaos, który zapanował w tym pomieszczeniu. Nie było to łatwe za-danie. Co rusz przypominała sobie zaginioną siostrę, a wtedy siadała zrezygnowana na jakiejś pace, żeby zaraz potem zabrać się ze zdwojoną energią do roboty.

Jej terapeuta ostrzegał ją przed takimi stanami ducha. Wręcz błagał, żeby się nie przeprowadzała. Twierdził, że po załamaniu nerwowym jest jeszcze zbyt niestabilna emocjonalnie, co może doprowadzić do niekontrolowanych, skrajnych reakcji, od euforii do depresji.

Jednak Liz czuła się zbyt winna z powodu zniknięcia siostry, żeby zrezygnować z jej poszukiwań. Och, gdyby nie pojechała na tamtą konferencję, być może wszystko ułożyłoby się inaczej. Przecież Rachel do niej zadzwoniła i w dodatku zostawiła na sekretarce dziwacznie brzmiącą wiadomość. Mówiła, że wykryła na wyspie jakąś nielegalną organizację, w którą wplątał się ktoś z jej owczarni. Grożono jej. Znajdowała się pod ciągłą obserwacją, tyle że do końca nie wiedziała czyją. Miała zamiar poszukać pomocy. Na koniec błagała siostrę, by się modliła w jej intencji i... trzymała się z daleka od Key West.

Liz zdusiła w sobie poczucie winy. Musi przede wszystkim myśleć o przyszłości. Złożyła już u odpowiednich władz swój dyplom, który uprawniał ją do podjęcia działalności socjalnej, podobnie jak poprzednio w St. Louis, w zakresie doradztwa rodzinnego. Tyle że teraz będzie pracować na własną rękę, a nie w klinice, z której oczywiście się zwolniła. Wynajęła swój dom i spakowała najpotrzebniejsze rzeczy, w tym całą masę książek. Musiała się tu przeprowadzić. Nigdy by sobie nie darowała, gdyby tego nie zrobiła.

Podeszła do okna swojego nowego biura i spojrzała niewidzącym wzrokiem na ulicę. Myślami wciąż wracała do Rachel.

Gdzie jesteś, siostrzyczko? Co się z tobą stało? – myślała.

I gdzie ja byłam, kiedy mnie potrzebowałaś?

To ostatnie pytanie poruszyło ją do głębi. Liz zaczęła powtarzać w myśli informacje, których jej udzielono. Rachel nie pokazała się w kościele rano 15 lipca. Jeden z zaniepokojonych wiernych wybrał się więc na plebanie. Okazało się, że budynek, choć otwarty, był zupełnie pusty.

Wezwano policję, która nie znalazła żadnych dowodów przestępstwa. Na plebanii nie było śladów krwi czy choćby walki. Co prawda zniknął wóz Rachel, ale jej przybory toaletowe pozostały na miejscu.

Z braku dowodów uznano, że pastor Howard musiała zginąć w jakimś wypadku albo sama uciekła, być może z powodu załamania nerwowego lub choroby psychicznej.

Policja skłaniała się ku drugiemu rozwiązaniu, po pierwsze dlatego, że ostatnio nie zdarzył się żaden śmiertelny wypadek z niezidentyfikowanymi zwłokami, a po drugie... no właśnie, gdzie podział się samochód Rachel? Jego opis oraz numery przesłano do wszystkich posterunków na terenie całego stanu. Jednak bez rezultatu.

Parafianie w swych zeznaniach podkreślali, że pani pastor ostatnio dziwnie się zachowywała. Jej kazania stały się bardziej radykalne, bez śladu zniknął tak do niedawna charakterystyczny duch przebaczenia. Nie była to jakaś niewielka zmiana akcentów, tylko generalne ich odwrócenie. Doszło do tego, że niektóre rodziny z małymi dziećmi w ogóle przestały przychodzić na nabożeństwa.

Ale Liz jakoś nie chciało się w to wierzyć. Siostra należała do najbardziej zrównoważonych osób, jakie znała. Nawet w dzieciństwie niezwykle trudno było ją wyprowadzić z równowagi. Rachel zawsze potrafiła zachować spokój, niezależnie od tego, co działo się w szkole i w domu. Nie załamywały jej ani złe stopnie, ani ciągłe kłótnie rodziców. Co więcej, była niezłomną opoką dla siostry. Potrafiła tak ją wesprzeć, że Liz wychodziła cało z największych domowych katastrof.

Zapytała ją kiedyś, jak to robi. Rachel odpowiedziała, że całkowicie zawierzyła Bogu i zyskała pewność, że przynależy do Jego świata, dlatego niczego się nie obawiała. Wraz z wiarą spłynął na nią całkowity spokój.

Jeśli więc głosiła kazania, o których opowiadali wierni, musiała to robić z jakichś wyjątkowych powodów. Tylko co mogło ją do tego skłonić?

Liz chyba знаła odpowiedź na to pytanie. Ta nielegalna organizacja, jakaś sprzeczna z prawem działalność, którą wykryła na wyspie. Po raz pierwszy usłyszała strach w głosie siostry. Rachel ostrzegała ją nawet, że „oni” mogą podsłuchiwać tę rozmowę.

Liz obawiała się, że to właśnie „oni” mogli ją zabić.

Zacisnęła dłonie w pięści. Natychmiast po od– słuchaniu sekretarki zadzwoniła na policję, jednak niewiele to dało. Porucznik Lopez powiedział jej j tylko, że ta wiadomość w oczywisty sposób potwierdza tezę o załamaniu nerwowym.

Liz zaśmiała się ponuro do swoich myśli. Kiedy znowu spojrzała na ulicę, zauważyła grupę nastolatków stojącą przed jej nowym biurem. Niektórzy mogli mieć nawet koło dwudziestki, a jedna z dziewczyn trzymała w nosidelku maleńkie dziecko. Wszyscy rozczochrani, w poszarpanych dzinsach i kolorowych koszulach, przypominali dzieci–kwiaty z lat

sześćdziesiątych. Z całą pewnością nie wywodzili się z dobrych rodzin.

Nastolatki z Narodu Tęczy, przypomniała sobie nagle Liz. Rachel kiedyś jej o nich opowiadała. W przeciwieństwie do hippisów, Naród Tęczy był wyjątkowo dobrze zorganizowany, miał nawet własną witrynę internetową. Jego członkowie przynosili się z jednego kraju o umiarkowanym klimacie do drugiego, utrzymując się z żebraniny. Twierdzili też, że w tych okolicach należy do nich zalesiona, ale niezamieszkała wysępka Christmas Tree, która znacznie się powiększyła na skutek rzeczno i morskiego mułu osiadającego na jej brzegach. Rachel chciała nieść tym nastolatkom Dobrą Nowinę. Uważała to za jedno ze swoich najważniejszych zadań.

Ciekawe, jak daleko się posunęła? – zastanawiała się Liz, przyglądając się grupie przed budynkiem. I czy właśnie to nie stało się przyczyną kłopotów siostry?

Jej wzrok spoczął na wysokim, młodym mężczyźnie, gdzieś około dwudziestki. Jakby to wyczuł, bo obrócił się w jej stronę i wbił w nią niechętne spojrzenie. Na jego ustach igrał nieprzyjemny uśmiezek.

Liz pomyślała, że najlepiej będzie, jak się roześmieje albo przynajmniej uśmiechnie równie bezczelnie. Nie była jednak w stanie tego zrobić. Stała tylko jak przykuta, a serce biło jej coraz mocniej.

Młody człowiek po chwili machnął ręką i odszedł wraz z przyjaciółmi.

Liz odetchnęła z ulgą i potarła ramiona. Nagle zrobiło jej się zimno. Dlaczego na nią tak patrzył? Co mu się w niej nie spodobało?

Przesunęła się trochę, żeby spojrzeć na swoje odbicie w szybie. Wychudzona, blada twarz, średniej długości kasztanowe włosy, zielone oczy i nieco za duże usta.

Kiedyś była bardzo atrakcyjna. Miała też pewny siebie uśmiech, który jednocześnie dodawał odwagi innym. Ludzie ją lubili. Przychodzili do niej po to, żeby porozmawiać...

Kiedy to się skończyło? – zaczęła się zastanawiać. Kiedy zniknęła pewność siebie, a zaczął się strach?

Nie! Liz uniosła brodę i spojrzała odważnie na swoje odbicie. Niczego się nie boję! Przyjechałam na Key West, żeby sprawdzić, co stało się z Rachel, i dowiem się wszystkiego, nawet jeśli nikt mi w tym nie pomoże.

Nie dbała o siebie. Chodziło jej tylko o siostrę.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Czwartek, 1 listopada 23.35

Larry Bemhardt sapał z rozkoszy, kochając się z dziewczętami. Dwiema na raz. Obie były chętne i tak młode, że ich obecność przy jego boku wydawała się czymś przeciwnym naturze. Miały aksamitną skórę i mleczną cerę.

Larry wyprężył się, czując zbliżający się orgazm, zaś one nie ustawały w swych wysiłkach. Bez żadnych zahamowań uwijały się wokół niego, pieszcząc go, liżąc i ssąc. Dookoła unosił się ich zapach – zapach seksu. Larry Bemhardt był prawdziwym szczęściarzem. Władcą świata.

Jako jeden z wiceprezesów Island National Bank żył isticie po królewsku, nie szczędząc sobie ziemskich rozkoszy. Jego rezydencja stała nad brzegiem morza na Sunset Key – wysepce powstałej z mułu, ale przekształconej przez deweloperów w prawdziwy raj. Z balkonu swojej sypialni mógł obserwować majestatyczne zachody słońca, kiedy to ognista kula pogrążała się w głębinach oceanu.

To był jego widok i jego słońce. Można je było kupić tylko za pieniądze. Za niewyobrażalną sumę, której nigdy nie zdołałby zarobić legalnie.

Orgazm wybuchł nagle z potworną siłą. Ziemia wstrzymała na moment swój bieg. Czas się zatrzymał. W tej chwili wszystko należało do niego. Cały zdrzął, a potem nastąpił wytrysk. Przez jego głowę przewaliła się jasność, którą zaraz zastąpiły ciemności. A w nich czaiła się Bestia. Larry czuł, że za chwilę go pochłonie.

Krzyknął głośno i usiadł na łóżku. Jego głos odbił się echem od ścian wielkiego pomieszczenia. Dławiąc się strachem, rozejrzał się po sypialni. Był sam. Żadnych dziewczyn. Strząsnął z nóg przykrycie, które wyglądało jak całun.

Następnie złapał dopitą do połowy butelkę szampana stojącą przy łóżku i pobiegł, jakby go coś goniło, do łazienki. Przez chwilę walczył z szufladką ozdobnej szafki, a w końcu wydobyl z niej fiołkę z quaalude'em i wytrząsnął z niej parę tabletek, które popił szampanem.

Środek uspokajający niemal natychmiast przyniósł ulgę. Larry z butelką w ręku ruszył na balkon. Gdy tylko otworzył drzwi, poczuł na twarzy morską bryzę. Wciągnął do płuc słone, morskie powietrze. To rozjaśniło mu umysł. Powoli zaczął zapominać o ciemnościach i czyhającej Bestii. Trzy piętra niżej lśniła lazuruwa woda w jego basenie. Dalej był solidny mur i ocean. Jednak Larry przeniósł spojrzenie na patio.

Za bardzo w to wsiąkł. Pozwolił, by nałóg przekształcił się w Bestię. Nie potrafił jej niczego odmówić, a ona miała coraz większy apetyt. Poświęcił jej już wszystko, co było dobre i przyzwoite w jego życiu.

Wiedział jednak, że już nigdy się nie uwolni.

Że oni na to nie pozwolą.

W jego oczach pojawiły się łzy, a następnie pociekły po przywiedłych policzkach. Larry litował się nad sobą. Nad żalosną, zagubioną duszą, na którą czekało już tylko piekło.

Ale nawet ono będzie lepsze niż więzienie, które sam sobie stworzył. Lepiej być wolnym w piekle niż całkowicie zniewolonym tu, na ziemi.

Wytrzeł łzy, czując, że nareszcie wie, co zrobić. Już dawno powinien był z tym skończyć. Nawet chciał, tylko był zbyt słaby, żeby tego dokonać.

Ale teraz koniec, pomyślał. Postawił szampana na balkonie i wyjął z kieszeni fiołkę z proszkami. Wytrząsnął je wszystkie od razu do ust, a potem sięgnął po butelkę, by je popić. Pił wolno, z przyjemnością.

Do licha, tak lubię szampana, pomyślał. Będzie mi go brakować.

Odstawił butelkę i opadł na ciepłe płytki balkonu. Powoli doczołgał się do balustrady, czując, jak mu się pocą dłonie, a serce bije coraz szybciej. Uniósł się nieco, żeby spojrzeć w dół.

Przynajmniej raz się nie podda. Przynajmniej raz będzie silny.

Niech robią to bez niego. Niech sami się z tym męczą. W końcu i tak wszyscy usmażą się w wiecznym ogniu.

Nagle z ciemności przemówiła do niego Bestia. Prosiła go i błagała, a Larry czuł, że jest doprowadzony do ostatecznych granic. „Nie rób tego – mówiła. – Musisz zwyciężyć nieprzyjaciół. Jesteś! przecież władcą świata. Zawsze robisz, co chcesz"!.!

Larry zachichotał wysoko, po dziewczęcemu. Właśnie robił, co chciał.

Miał już tylko dosyć czekania.

Olbrzymim wysiłkiem woli uniósł się przy balustradzie i pochylił w stronę ciemności. Ciężar ciała był na tyle duży, że Larry nie musiał używać siły, żeby spaść. Przez moment wyobrażał sobie, że nauczył się latać. U ramion wyrosły mu skrzydła i pofrunął wprost nad ocean. Daleko od siebie i Bestii, która go prześladowała.

A potem już nie mógł sobie nic wyobrazić.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sobota, 3 listopada 9.30

Bar Ricka, „Island Hideaway”, stanowił kwintesencję tego typu lokali na Key West. Z głośników sączył się głos Jimmy’ego Buffeta, podawano świetne mrożone margarity, a klienci rzadko nosili coś poza szortami i hawajskimi koszulami. Wystrój wnętrza miał morski charakter, włączając w to wypchaną *Istiophorus orientalis* oraz zdjęcie z autografem najslynniejszego rezydenta wyspy, Ernesta Hemingwaya. To samo, które znajdowało się w niemal wszystkich barach przy Duval Street.

Nie należy też pomijać samego barmana, który czarował całe otoczenie.

Rick Wells po prostu taki był. Przychodziło mu to w zupełnie naturalny sposób. Korzystał z tego daru, ale wcale nie był z niego dumny. Doskonale wiedział, że promienny uśmiech też może być ucieczką przed ludźmi.

– Czym mogę służyć? – spytał mężczyznę, który usiadł na wysokim stołku za barem. Jego wykrochmalona i wyprasowana koszula, a także widoczny kac wskazywały, że jest turystą. I to z całą pewnością nie takim, który wpadł tu na poranną kawę.

– Jeden czarny wujek Jack. Bez lodu.

Jack Daniels z czarną etykietą? O tej porze kawa byłaby zdecydowanie bardziej odpowiednia. Ale Rick nie był ani ojcem tego faceta, ani jego pastorem. Nalał więc whiskey do szklaneczki, którą pchnął w jego stronę.

– Dobrze się pan wczoraj bawił?

Mężczyzna skinął głową, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Fajnie tutaj. – Rozejrzył się dookoła. – Nie wie pan, gdzie mógłbym kupić najnowszego „New Yorki Timesa”?

– Na wyspie ciężko go dostać. Sprzedaje się jak świeże bułeczki, a w dodatku parę razy drożej. To ta odległość.

Turysta zaklął pod nosem.

– Wspaniale! Moja żona będzie jeszcze bardziej wściekła. – Potrząsnął głową. – Im starsze te żony, tym mniej mają poczucia humoru.

Rick wzruszył ramionami.

– Trudno mi powiedzieć. Nie mam żadnych doświadczeń w tej dziedzinie.

Klient spojrzał na niego zazdrośnie.

– Kawaler, co?

– Od jakiegoś czasu. – Rick starał się powiedzieć to lekkim tonem, ale coś zaczęło go dusić w piersi.

– Niech pan uwierzy na słowo, że to prawda. – Facet wypił whiskey jednym haustem i postawił szklaneczkę przed Rickiem. – No proszę, nie ma „Timesa”. – Jeszcze raz potrząsnął głową z niedowierzaniem, ale i lekkim rozbawieniem. – Wygląda pan na takiego, co lubi trzymać rękę na pulsie. Jak pan sobie z tym radzi?

– Trzeba coś poświęcić, żeby móc żyć w raju – rzeki Rick z uśmiechem, nalewając mężczyźnie bursztynowego płynu. – Poza tym nic to nie zmieni, jeśli przeczytam o czymś po jakimś czasie. Po prostu później będę wkurwiony. Albo zmartwiony.

– Ma pan rację. Po jedenastym września lepiej niczego nie czytać i nie oglądać telewizji.

– Jeśli idzie o informacje, najlepszy tutaj jest „Miami Herald”.

Turysta wychylił drugą szklaneczkę.

– Ma pan go?

– Jasne. – Rick sięgnął pod bar po swój egzemplarz, który zdążył już przeczytać od deski do deski.

– Proszę bardzo.

– Dziękuję, chciałem...

– Marty! – odezwała się karcąco kobieta, która patrzyła z niesmakiem od drzwi na rozpartego przy barze mężczyznę. – Myślałam, że poszedłeś po gazetę dla mnie.

Turysta przewrócił oczami i wstał.

– Już ją mam, dziubeczku. – Położył na ladę dziesięciodolarowy banknot, wziął gazetę i pospieszył do żony.

– Miło mi było pana poznać – rzucił za nim Rick, a potem uśmiechnął się na widok nowego gościa.

Valentine Lopez, czyli po prostu Val, był jego najstarszym kumplem na wyspie.

– Proszę, proszę – cmoknął, przyglądając mu się uważnie. – Dick Tracy z Key West we własnej osobie.

Val posłał mu pełen wyższości uśmiech.

– A ty co, stary? Ciągłe marnujesz się za barem?

– Gdzieś muszę. – Rick wzruszył ramionami. – Widocznie mam do tego talent. – Wskazał wysoki stołek. – Kłapnij sobie.

Obaj pochodzili z wyspy, chociaż z zupełnie innych środowisk. Rodzina Ricka przeprowadziła się tutaj na jakiś czas przed jego urodzeniem. Ojciec był lekarzem, a matka należała do śmietanki towarzyskiej West Palm Beach. Oboje w czasie wakacji złapali coś, co miejscowi określali mianem „gorączki Key West”. Jeszcze zanim skończył się ich tygodniowy urlop, zdecydowali, że chcą tu zostać. Ojciec sprzedał swój dom i gabinet w Tampie i otworzył nowy na wyspie.

Natomiast rodzina Vala wiele lat temu przeprowadziła się tu z Kuby. Jego przodkowie zajmowali się zarówno wyrobem cygar, jak i połowem gąbek, a nieżyjący już ojciec miał własny stateczek do połowu krewetek. Było to miłe zajęcie, ale niezbyt popłatne.

Gdyby dorastali gdzie indziej, nie mieliby zapewne szans na to, żeby się poznać, nie mówiąc już o tym, by się zaprzyjaźnić. Jednak pomimo różnic majątkowych i innych

stali się sobie bliscy niczym bracia. Ich przyjaźń tylko raz stanęła pod znakiem zapytania – kiedy Rick ożenił się z dziewczyną, w której Val był po uszy zakochany.

Val usiadł przy barze.

– Możesz mi zrobić kawę z mlekiem?

– Najlepszą *café con leche* na wyspie!

– Moja mama by się z tym nie zgodziła.

– Dobra, wystarczy mi srebrny medal. Wolę nie sprzeczać się z twoją matką.

Rick zabrał się do przyrządzania kawy po kubańsku z gorącym mlekiem.

– A co u ciebie w pracy? – spytał nieco głośniejszym głosem, gdyż ekspres zaczął właśnie wypływać smolisty płyn.

– To mogłaby też być twoja praca, gdybyś odrobinę wydorósł – rzucił Val.

W skład oddziału policyjnego na Key West wchodziło osiemdziesięciu jeden oficerów i dwadzieścia dwie osoby personelu cywilnego. Val w stopniu porucznika był już samodzielnym śledczym i jako jeden z pięciu podlegał bezpośrednio szefowi całego oddziału.

– Moja praca? To tak już cienko przedzicie, stary?

Val spojrzał na niego poważnie.

– Nie żartuję, Rick. Przecież jesteś gliną. I to jednym z najlepszych, jakich...

Rick pokręcił głową.

– Byłem gliną – poprawił go dobitnie, stawiając *café con leche* przed kumplem.

– Dawno, dawno temu.

– Jesteś gliną – powtórzył z naciskiem Val. – Masz to we krwi. Nie tak łatwo z tym skończyć.

– Dość tego – mruknął Rick. – Przestań!

– Przecież to było ponad trzy lata temu. Powinieneś dać sobie spokój...

Rick poczuł nagłe dławienie w gardle.

– Tylko mi nie mów, co powinienem, a czego nie powinienem. Nigdy tego nie zapomnę! Nigdy.

Zamilkli. To prawda, że jeszcze trzy lata temu Rick pracował w policji. Najpierw w Miami–Dade, a potem w Departamencie Policji Key West. Miał opinię faceta od trudnej roboty, takiego, który nie cofa się przed niczym.

Z Miami przyznała go tutaj tragedia. Jego żona miała raka jajników. Choroba była już na tyle zaawansowana, że wszystko trwało zaledwie parę miesięcy. A potem, nieutulony w żalu, postanowił wrócić na Key West, gdzie jego rodzina mogła mu pomóc w wychowywaniu pięcioletniego syna, Sama. Chłopiec bardzo potrzebował przyjaźni i opieki po śmierci matki.

Val szybko znalazł mu miejsce w Departamencie Policji Key West. Rick cieszył się z tego, chociaż zajmował się mniej ważnymi i niezbyt skomplikowanymi sprawami. Polubił też leniwy rytm małego miasteczka.

Jednak jego spokój nie trwał długo. Parę miesięcy później dwóch uzbrojonych mężczyzn wtargnęło do jego domu. Obudzony strzałami i zupełnie zdezorientowany Sam dostał się w krzyżowy ogień. Późniejsza analiza balistyczna wykazała, że zginął od kuli ojca.

Val odsunął niedopitą kawę i wstał.

- Mam już dość – mruknął. – Idę.
- Nie bądź taki. Wypij przynajmniej swoją kawę, bo ci przyłożę.
- Ty mi? – zarechotał, ale sięgnął po filiżankę.
- Nie wygłupiaj się, stary. Przecież zupełnie straciłeś formę.

Bardzo różnili się między sobą. Val był niski i kościsty, z zasupłanymi muskularni i oliwkową cerą, a Rick prawie dwumetrowy, z potężnymi barami i jasną cerą oraz blond włosami.

- Tak sądzisz? – Rick spojrzał na swój brzuch.
- Popatrz, ani grama tłuszczu.

Val pokręcił głową.

– To kwestia treningu, stary. Moje ciało to zabójcza broń, a twoje... – zawiesił głos i wykonał nieokreślony gest.

Kumpel wybuchnął śmiechem.

– Czy przypadkiem nie mówisz tego samego kobietom? Chciałbym cię ostrzec, że to tani chwyt.

To ty tak uważasz. Ale dla dziewczyn to prawdziwa ambrozja – stwierdził Val, zaprzysięgły kawaler i miłośnik dam.

– Przepraszam, ale chce mi się rzygać.

– Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, ale to prawda. Dziewczyny ciągną do mnie jak do żłobu...

– Chyba do żłoba – wtrącił Rick.

– Mógłbym ci nawet jakąś znaleźć, gdybyś nie był taki dowcipny – mruknął urażony Val.

– Nie, dzięki. Nie skorzystam.

Policjant nagle spowaźniał.

– Minęły przecież już cztery lata od śmierci Jill...

Rick odwrócił wzrok i spojrzał w stronę rozslonecznionego prostokąta drzwi.

– Ten facet, który przed chwilą wyszedł, zazdrościł mi tego, że jestem wolny. A ja tak chciałbym na nią ponarzekać, tak jak ten gość na swoją żonę...

Val zaklął pod nosem.

– Przepraszam, stary, nie wiedziałem.

– Daj spokój. Przecież to mój problem...

Milczeli przez chwilę, a Val w tym czasie dopił kawę, wcale nie czując jej smaku.

Wreszcie się podniósł.

– Muszę już iść. Robota czeka.

– Coś ciekawego?

– Jedna zaginiona.

– Czyli tak naprawdę ktoś gdzieś wyjechał...

– Licho wie. – Val pokręcił głową. – Pracownica zarządzająca siecią komputerową Island National Bank nie pojawiła się wczoraj w pracy. Znajomi i pracownicy próbowali się z nią skontaktować, ale na próżno, dlatego dziś rano złożyli oficjalne zawiadomienie.

Rick zmarszczył brwi.

– Mówisz o Naomi Pearson?

– Mhm. Znasz ją?

– Nie zapominaj, że jestem barmanem. To ktoś więcej niż spowiednik. Znam niemal wszystkich na tej wyspie. – Przymknął oczy, starając się przypomnieć, kiedy po raz pierwszy ją spotkał. – Brałem kredyt w banku na budowę baru. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Na pewno. Może poznała jakiegoś faceta i postanowiła zrobić sobie urlop? – Val zasalutował. – Zadzwoń do mnie kiedyś. Znasz telefon.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sobota, 3 listopada 16.30

– Cześć, szefie! – krzyknął w stronę Ricka Mark Morgan, który właśnie wszedł do „Island Hideaway”. – Co tam słyhać w wielkim świecie?

Rick stał odwrócony plecami do drzwi i oglądał lokalne wiadomości w przymocowanym do sufitu telewizorze. Teraz spojrzał przez ramię i uśmiechnął się do młodego, ledwie dwudziestoletniego pracownika.

W Homestead ogłosili alarm w związku z węglikiem. Ale okazało się, że to zazdrosny mąż wysłał żonie, z którą się właśnie rozwodzi, list z białym proszkiem.

– Mówili, co to było? – spytał Mark.

– Tak, krochmal. Ale i tak zamknęli cały biurowiec, w którym pracowała ta kobieta. – Rick potrząsnął głową. – Sam nie wiem, co się teraz dzieje z ludźmi.

Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wszyscy powariowali.

Rick znowu zerknął na ekran.

– Poza tym podali, że znacznie mniej osób wzięło udział w tegorocznym Fantasy Fest. Zresztą wcale się nie dziwię.

Mark nigdy wcześniej nie widział tak dzikiej zabawy w czasie Halloween jak Fantasy Fest. Trwała ona aż dziewięć dni i kończyła się balem przebierańców na Duval Street.

– Jeśli w tym roku było mało ludzi, to co będzie, jak wszystko wróci do normy? – jęknął.

Rick wyłączył telewizor.

- Dzwoniła Libby, że będzie trochę później.
- Nie szkodzi. Mogę zostać dłużej.

Libby, jedna z barmanek i wielce rozrywkowa dziewczyna, bez przerwy się spóźniała, bowiem po wesołych imprezkach musiała dojść do siebie. Mark z uśmiechem podbił raz jeszcze swoją kartę. Wiedział, że mu się to opłaci. Rick potrafił być łagodny, ale też wymagający wobec swoich pracowników, a Mark bardzo lubił pracę w jego barze.

Tak jak wiele osób na Key West, pojawił się tutaj stosunkowo niedawno. Dwa lata temu skończył szkołę w Humble w stanie Teksas i, ku rozczarowaniu rodziców, stwierdził, że na razie ma dosyć nauki i chce poznać świat. Przez jakiś czas wałęsał się po południowo-wschodniej części kraju, a potem zakotwiczył się na trochę na Florydzie, z której przeniósł się na Key West.

Do baru trafił przypadkiem. Przyciągnęła go informacja w oknie, że właściciel szuka pracowników. Rick porozmawiał z nim chwilę, dobrze się mu przyjrzał i z miejsca zatrudnił. Mark nie wiedział, czy dlatego, że dobrze im się rozmawiało, czy też z powodu jego abstynencji, która była czymś rzadkim na wyspie.

- A jak ci minął dzień? – spytał jeszcze Rick, kierując się do wyjścia.

Mark pomyślał o swojej dziewczynie, Tarze. Wydzwaniał do niej przez pół dnia, ale w ogóle się nie odezwała. Czyżby po trzymiesięcznej znajomości już się nim znudziła?

Jednak tylko machnęła ręką, udając obojętność.

- Nic specjalnego. A co u ciebie?
- Wszystko w porządku. Sporo klientów, ale bez przesady. Rano wpadł Val.
- Fajnie. – Mark włożył fartuch i stanął za barem.

W stanie Floryda trzeba było skończyć dwadzieścia jeden lat, żeby podawać alkohol, ale Mark zajmował się wszystkim pozostałym, od zmywania aż do uzupełniania zapasów i sprzątanania po gościach. Nie była to szczególnie eksponowana praca, ale wiedział, że ma jeszcze czas.

- Czym się najpierw zająć? – spytał jeszcze szefa.

– Pomyj kieliszki przed wieczornym szczytem, a potem przetrzyj stoliki i pozamiataj.

– Tak jest.

Rick wyszedł, żeby trochę rozprostować nogi i zaczerpnąć świeżego powietrza. Mark pracował w skupieniu, wciąż powracając myślami do Tary. Poznali się niedługo po tym, jak znalazł pracę u Ricka. On pracował, a ona przyszła zabawić się z przyjaciółmi. Jednak wystarczyło, że na siebie spojrzeli, i natychmiast poczuli owo specyficzne napięcie.

To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Problem polegał na tym, że Tara miała dopiero siedemnaście lat i musiała myśleć o szkole. Co gorsza, należała do zgranej paczki, za którą Mark nie przepadał. Ci młodzi ludzie nie stronili od narkotyków i seksu. Wierzyli tylko w to, co mogli zdobyć, i przeczyli istnieniu Boga oraz innych wyższych wartości. Ich ideologia stanowiła całkowite zaprzeczenie tego, w co sam wierzył.

Kiedy się o tym dowiedział, natychmiast postanowił zerwać z Tarą, ale ona błagała, żeby tego nie robił. Twierdziła, że go kocha i że zmieni zarówno styl życia, jak i środowisko.

Lecz do tej pory jej się to nie udało, a to dlatego, że nie poparła swoich słów czynami. Tak przynajmniej uważał Mark.

Czyżby w końcu zdecydowała się na jakiś poważniejszy krok? – zastanawiał się, odstawiając tace z czystymi kieliszkami na miejsce. A może bawi się w jakimś okolicznym barze? Może jest z innym chłopakiem?

Nagle poczuł, jak narasta w nim gniew. Mark starał się nad nim zapanować. Gniew był jednym z jego wrogów, a poza tym stanowił śmiertelny grzech. To właśnie z jego powodu wpakował się w tarapaty – i to poważne.

Tara na pewno się zmieniła, pocieszał się w duchu. Musi jej wierzyć, musi mieć do niej zaufanie. Przecież ją kocha.

Westchnął ciężko. Dziewczyna zupełnie nie rozumiała jego religijności, a on tego, jak mogła się bez niej obyć. Sam wychował się w tradycyjnej rodzinie baptystów i religia od dzieciństwa odgrywała dużą rolę w jego życiu, tak dużą, że do szkoły średniej szedł z mocnym postanowieniem, iż zostanie pastorem. I dopiero na parę miesięcy przed jej ukończeniem zmienił decyzję.

Nagle poczuł, że powołanie kieruje go gdzie indziej.

Ta zmiana zbulwersowała i zmartwiła całą jego rodzinę. Ojciec prosił go, żeby jeszcze raz rozważył swoje postanowienie, a matka rozmawiała w jego sprawie z miejscowym pastorem. Ale Mark nie zmienił zdania. Twierdził, że musi najpierw poznać, czym jest grzech, by móc go skutecznie zwalczać. Inaczej nie mógłby przecież doradzać innym.

Rick pojawił się z powrotem w towarzystwie pary sympatycznych turystów i znowu stanął za barem.

Mark uśmiechnął się do nich, ale sam zajął się ustawianiem kieliszków na półkach. To szef doradzał małżonkom, gdzie znajdują najlepsze łowiska i gdzie można wynająć solidnego przewodnika. On natomiast miał jeszcze chwilę, by rozważyć swoją sytuację. Jego słowa sprawdziły się co do joty. Rzeczywiście tkwił teraz w grzechu i miał coraz mniej siły, by z nim walczyć.

Kiedy skończył z kieliszkami, zajął się przecieraniem stolików i krzeseł, a zarazem co rusz zerkał niespokojnie na zegar, świadomy tego, że za chwilę zaczną pojawiać się nowi goście. W końcu przyszła Libby, która od razu zaczęła flirtować z dwoma klientami. Mark widział ich tu wcześniej. Zawsze przychodzili razem i nosili te same czapeczki Miami Dolphins.

Gdzie się podziewa Tara? I dlaczego nie odpowiedziała na jego nagrane wiadomości? Te myśli atakowały go coraz natarczywiej.

Ostatnio dziwnie się zachowywała, sprawiała wrażenie bardzo zagubionej i dużo płakała. Sporo też schudła i wyglądała na chronicznie zmęczoną. Pod jej oczami pojawiły się nawet cienie, które w żaden sposób nie chciały zniknąć.

Być może wcale go nie kocha. Może woli swoich przyjaciół oraz łatwe życie.

Ledwie zdołał przetrzeć ostatni stolik, a w barze pojawili się nowi goście. Szybko zabrał się do zamiatania i zdołał na chwilę zapomnieć o swojej dziewczynie. A potem zrobiło się jeszcze tłoczniej.

Dopiero koło szóstej miał trochę czasu, żeby zadzwonić do niej po raz kolejny. Kiedy usłyszał jej głos, najpierw poczuł ulgę, a potem ogromną złość.

- Gdzie byłaś? – zapytał z pretensją.
- Nigdzie – rzuciła obronnie.
- Dzwoniłem do ciebie pięć razy. Nagrałem się na sekretarkę...
- O rany, chyba wysiadła!

Poczuł nagle wyrzuty sumienia, które natychmiast zdławił. Przecież ona też mogła do niego zadzwonić.

– Czy rozmówiłaś się może ze swoimi kumplami? Czy powiedziałaś im, że nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego?

– Dlaczego od razu na mnie napadasz? – jęknęła. – Przecież nie zrobiłam nic złego. Z nikim się dzisiaj nie widziałam.

Mark wypuścił ze świstem powietrze z płuc. Miał tego dość. Żałował, że nie zerwał z Tarą już dawno temu. Powinien był to zrobić, gdy tylko odkrył, w jakim towarzystwie się obraca.

- Przrzekłaś mi, że to zrobisz, Taro. – Westchnął.
- To nie takie proste! Nic nie rozumiesz...
- A może wcale ci na mnie nie zależy? Może chcesz po prostu, żebym dał ci spokój?
- Nie, nie! Przecież wiesz, że cię Kocham, ale... – Głos jej się załamał. – Ale... dzisiaj...

Urwała nagle, a on nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Powoli narastała w nim frustracja, za którą czaiła się rozpacz. Dlaczego, do licha, właśnie w tej dziewczynie musiał się zakochać?!

– Mam już dosyć twoich wykrętów, Taro. Ciągle mówisz, że mnie kochasz, a potem...

– Muszę już kończyć...

– Nie, zaczekaj! Cały dzień się martwiłem, a teraz...

Znowu musiał przerwać. Tym razem przeszkodził mu Rick, który zajrzał na zaplecze.

– Mark, mamy nowych klientów.

Skinął głową i wyciągnął w górę palec, pokazując, że za chwilę kończy. Kiedy został sam, rzucił do słuchawki:

– Porozmawiajmy jeszcze chwilę.

– To może się spotkamy? – W tle usłyszał głosy jej rodziców. – Tam gdzie zawsze.

Mark z trudem przełknął ślinę.

– Jesteś pewna? Ostatnio w ogóle się nie pokazała!

– Przyjdę. Ba... – głos jej się znowu załamał – bardzo cię Kocham.

Tara odłożyła słuchawkę, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Stał jeszcze przez chwilę przy telefonie, czując, jak narastają w nim sprzeczne uczucia. W końcu jednak obrócił się na pięcie i pospieszył do wnętrza baru. Rick posłał mu pełne niepokoju spojrzenie.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Mark wahał się przez chwilę. Rick był inteligentnym facetem, a w dodatku chyba go lubił. Być może zdołałaby mu jakoś pomóc, znaleźć wyjście z tej sytuacji...

Już otworzył usta. Chciał zacząć od Tary i jej przyjaciół, ale przyszło mu do głowy, że Rick może powiadomić o wszystkim jej rodziców, a oni obrócą swoją złość przeciwko chłopakowi córki. Być może nawet oskarżą go o deprawację nieletniej...

Mark do tej pory ich nie widział. Tara wściekała się, kiedy o nich pytał, a ze dwa razy nawet wpadła w histerię, gdy usiłował ją skłonić, by go im przedstawiła. Mówiła

tylko, że są bardzo surowi i że na pewno zabronią jej spotykać się z kimś, kto nie pochodzi z wyspy. Bała się, że się czegoś dowiedzą od jej znajomych, dlatego nalegała, by utrzymywali

w tajemnicy to, jak głęboko są zaangażowani w swój związek.

Mark chrząknął i uśmiechnął się do szefa.

– Jak najbardziej. Chyba najwyższy czas wracać do pracy.

Niewielki, ale pełen roślin i otoczony murem ogród koło świątyni Rajskiej Wspólnoty Chrześcijańskiej stał się od jakiegoś czasu ich prawdziwym rajem. Mimo że zamknięto go po zmroku, Tara, która należała do tej kongregacji i oprowadzała po niej turystów, miała klucz do furtki.

Po raz pierwszy kochali się tu na miękkiej trawie, pod jaśminem, który wypełniał ich nozdrza odurzającym zapachem, mieszając się z wonią oliwek i imbiru. Było to tak cudowne doświadczenie, że Mark gotów był nawet zapomnieć, iż popełnił grzech.

Nie zawarli przecież ślubu, a ponadto Tara była niepełnoletnia. W dodatku wdarli się na teren kościoła i grzeszyli tuż pod nosem Pana Boga.

Ale czy to na pewno był grzech? Przecież się kochali i przysięgali sobie, że się nigdy nie rozstaną!

Mark poczuł jednak wyrzuty sumienia, kiedy stanął przy furtce. Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem, wciąż było ciemno, a na ulicy nie było już ludzi. Od razu zauważył, że zamek jest otwarty. Pchnął furtkę i wszedł do środka.

– Taro! – szepnął, starając się przeniknąć mrok. Zamknął starannie furtkę i ruszył w głąb ogrodu.

Jakiś spłoszony ptak krzyknął na znak protest i przeleciał gdzieś dalej.

Tuż za nim trzasnęła gałąź. Mark podskoczył ze strachu.

– Taro, przestań się ze mną bawić.

Nikt mu nie odpowiedział. Mark zaczął bacznie się rozglądać dookoła, a jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Znowu chciał zawołać Tarę, tym razem głośniej, ale właśnie wyszła zza figowca. Niewielka figurka w białej sukience.

Jego radość na jej widok mieszała się z irytacją. Miał wrażenie, że dziewczyna specjalnie się z nim drażni.

– Dlaczego się nie odzywałaś? – spytał, podchodząc bliżej. – Przez chwilę myślałem, że... coś się stało. Że wcale cię tu nie ma.

Coś załśniło w mdłym świetle księżyca. Dopiero wtedy zauważył, że płakała. Poglądził jej mokry policzek.

– Co się stało?

Tara zakryła twarz dłońmi i potrząsnęła długimi, ciemnymi włosami.

– Musimy porozmawiać – westchnął i przyciągnął ją do siebie. – Mam prawo wiedzieć, o co chodzi.

Jej wielkie, ciemne oczy wypełniły się łzami.

– Byłam dzisiaj u lekarza. Powiedział, że... że... – Wybuchnęła płaczem.

Z Marka natychmiast wyparowała wszelka złość. Poczul, że coś go dławi. Z trudem wydobył z siebie głos:

– Ale myślałem, że... byliśmy ostrożni.

Tara jeszcze mocniej pociągnęła nosem, a on zganil się w duchu za ten brak taktu. No cóż, byli ostrożni... ale jak widać, niewystarczająco.

– Nie płacz, Taro. Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj, że cię kocham.

– Co my teraz zrobimy? – jęczała dziewczyna.

– Skąd wezmę pieniądze na aborcję...

– Wykluczone! – przerwał jej. – To w ogóle nie wchodzi w rachubę. – Ścisnął mocno jej ręce. – Przecież to nasze wspólne dziecko, owoc naszej miłości... Pobierzemy się i tyle! – zakończył z całą mocą.

– Ale... jak? – szepnęła, tuląc się do niego. – Bardzo się boję, Mark.

– Zaopiekuję się tobą i... i dzieckiem. Przrzekam.

Tara uniosła nieco głowę i spojrzała mu w oczy.

– I... będziemy szczęśliwi? Obiecujesz?

Pomyślał, że jest jeszcze bardzo młoda i niedojrzała. Zbyt młoda, żeby zostać żoną i matką.

Zresztą to samo dotyczyło jego. Właśnie znalazł się na życiowym zakręcie i kompletnie nie miał pojęcia, czego tak naprawdę chciał. Przypomniał sobie swoje dawne marzenia i uśmiechnął się gorzko, ze smutkiem.

Nagle strach przeszył mu serce. Co on najlepszego zrobił? Przecież Tara była bliżej szatana niż Boga! Jaką będzie matką? I jakim wzorem dla jego owieczek, jeśli kiedykolwiek zostanie pastorem?

Już za późno, żeby tym się przejmować, pomyślał natychmiast.

Już niedługo urodzi im się dziecko. Zostanie ojcem...

Nagle zrozumiał, że musi dać ukochanej silne oparcie. Musi wspierać ją zarówno duchowo, jak i własnym przykładem. Być może Tara nie wierzy w Boga, ale na pewno wierzy w niego. Kocha go. I on ją kocha.

To jest coś, z czym można zaczynać wspólne życie. Przytulił ją raz jeszcze, ale teraz mocniej i pewniej.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że coś mnie ciągnęło na Key West? Czułem, że Bóg ma tu dla mnie jakieś zadanie...

– Tak, ale co to ma wspólnego...? Położył palec na jej ustach.

– Myślę, że to było właśnie to. On chciał, żebyśmy założyli tu rodzinę.

Dziewczyna westchnęła i spojrzała mu prosto w oczy.

– Naprawdę tak sądzisz? – spytała z radością i nadzieją.

– Tak – odparł, czując, że sam ma coraz mniej wątpliwości. – Niech prowadzi nas Bóg. Musimy wypełnić Jego wolę, a wtedy wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Poniedziałek, 5 listopada 8.45

Śledcza Carla Chapman, walcząc ze skurczami żołądka, przykucnęła przy rozkładających się szczątkach Larry'ego Bernhardta. Wyglądało na to, że mężczyzna nago wyskoczył ze znajdującego się na trzecim piętrze balkonu. Spadł twarzą w dół. Domyślała się, że miał wiele złamań, a także krwotok wewnętrzny i ogólne obrażenia. Nie zginął od razu, bo zdołał przeczołgać się z półtora metra, zanim się poddał.

Biedak. To musiała być straszna śmierć.

Carla zauważyła fiolkę po lekarstwach, która wystawała spod lewego ramienia denata. Pochyliła się, by dojrzeć etykietę. Quaalude.

A może jednak nie było tak źle, pomyślała.

Mrużąc oczy, spojrzała w górę. Słońce świeciło jasno. Prognozy zapowiadały bezchmurny dzień i temperaturę powyżej trzydziestu stopni. I tak od trzech dni. Prawdziwe piekło.

To oznaczało, że szczątki Bernhardta prażyły się tu już od jakiegoś czasu. Lekarz sądowy powinien określić przybliżony czas zgonu, jednak Carla wiedziała, że ustalenie dokładnej godziny będzie bardzo trudne. Działanie słońca przyspieszyło rozkład, całkowicie zmieniając dane dotyczące zeszywnienia mięśni, temperatury ciała i stopnia zsinienia.

No nic, trzeba zostawić to lekarzowi, stwierdziła, spoglądając w stronę gospodyni Bernhardta, która kręciła się koło drzwi. Kobieta wyglądała tak, jakby za chwilę miała uciec stąd z krzykiem. Co jakiś czas

zerkała w stronę byłego szefa, coraz bardziej blednąc. W rękach trzymała różaniec i szeptała posiniałymi ustami: „Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą...”.

Carla natychmiast przypomniała sobie tę modlitwę, a potem swoje dzieciństwo. Kiedy ostatnio się modliła? Kiedy była na mszy? Kiedy spowiadała się i przystąpiła do komunii?

„Więcej grzechów nie pamiętam. Proszę o rozgrzeszenie i o naznaczenie pokuty...”.

Od czego zacząć? Czy musi spowiadać się ze wszystkich swoich przewin, czy tylko z tych, które pamięta?

– Czy... mogę już iść?

Policjantka zamrugła i znowu spojrzała na gospodynię. Zrobiło jej się żal tej kobiety. Przyszła dziś do pracy i z miejsca natknęła się na oblepione muchami szczątki swojego chlebodawcy. Nie dość że fatalnie zaczęła dzień, to straciła też posadę.

– Niech pani lepiej wejdzie do domu. Chciałabym jeszcze zadać pani parę pytań – powiedziała Carla.

Kobieta z ulgą skinęła głową i pospieszyła do środka. Śledcza patrzyła przez chwilę za nią, a potem skierowała wzrok na balkon. Stał na nim Val i patrzył w jej kierunku.

– Coś do mnie, poruczniku?

– Jeśli skończyłaś na dole, chodź tutaj – odkrzyknął. – Trzeba to wszystko przejrzeć.

– Dobra, już idę. – Carla wyprostowała się.

– Mam tutaj opakowanie po quaaludzie.

Zwierzchnik skinął głową.

– Zdaje się, że popił proszki butelką Dom Perignona. Przynajmniej miał lżejszą śmierć. Zostaw to wszystko chłopakom z ekipy technicznej. Już tu jadą.

Carla nawet nie obejrzała się za siebie. Przeszła przez patio, weszła do domu i znalazła się w pomieszczeniu, które przypominało oranżerię. Plecione sprzęty. Marmurowa posadzka. Ekskluzywne meble w kwieciste wzory. Lekkie zasłony i wielkie skrzydło

wentylatora obracające się pod sufitem. To bardzo w stylu Florydy, pomyślała. W stylu Key West.

Po sześciu latach spędzonych na Południu Carla nieomylnie go rozpoznawała. Lekki, przyjemny, nienarzucający się. Wszystko na wyspie było nim przesiąknięte, poczynając od budynków, a kończąc na muzyce i jedzeniu. Nawet ludzie dostosowywali się do tego stylu, zachowując swobodę i nigdzie się nie spiesząc.

Na początku bardzo jej się to podobało. Key West zdawało się rajem, do którego wpuszczają wszystkich. Sama dorastała w przemysłowych, chłodnych dzielnicach Pittsburga w stanie Pensylwania.

Oranżeria przechodziła w urządzonej z przepychem salon z pięknym żyrandolem. Carla weszła na szerokie, prowadzące na górę schody. Dywan w górnym przedpokoju był tak puszysty, że stopy niemal w nim tonęły. Przyjemnie byłoby pochodzić po nim bosy, pomyślała.

A jeszcze przyjemniej byłoby tłumaczyć się przed szefem: „Sorry, Val. Po prostu chciałam zobaczyć, jak czują się prawdziwi bogacze”.

Przywołany chyba jej myślami porucznik pokazał się w drzwiach przy końcu korytarza.

– Tutaj! – zawołał.

Sypialnia zaskoczyła ją swoim przepychem, chociaż powinna być na to przygotowana po tym, co zobaczyła na dole. Łoże z baldachimem zrobiono I z lekkiego i zapewne egzotycznego drewna. Satynowa pościel miała złoty kolor, podobnie jak zasłony z adamaszku z wielkimi chwostami. Znajdowały się tu jeszcze lustra w rzeźbionych, złotych ramach.

Carla uśmiechnęła się, widząc, jak zostały umieszczone – jedno naprzeciwko łóżka i dwa po jego bokach.

Larry Bernhardt żył jak król, no i lubił sobie popatrzeć na to, co mógł kupić.

– Co o tym myślisz? – spytał ją Val. Zerknęła na szefa. Stał z rękami na biodrach i patrzył na nią, przekrzywiając głowę. W takich

chwilach czuła mrowienie na karku, bowiem Valentine Lopez był jednym z najbardziej seksownych mężczyzn, jakich знаła.

Szkoda, że zupełnie nie zwracał na nią uwagi.

– Stary świntuch lubił się zabawić i myślał, że wszystko mu wolno.

Val spojrział na nią ze zdziwieniem, a ona wskazała głową lustra.

– Sprawdź, co w nich widać z łóżka – dodała. – Jestem pewna, że przy takim zapleczu nie spędzał samotnych nocy.

Val doskonale wiedział, co miała na myśli, mówiąc o „zapleczu”.

– Zdaje się, że forsa to międzynarodowy język miłości – mruknął.

Carla skinęła głową, rozumiejąc jego rozgoryczenie, ale to przecież kobiety były w dużo gorszej sytuacji. Mężczyźni, gdy tylko przyszła im na to ochota, je kupowali, a potem wracali do swych rodzin, zaś one zamieniały na dolary swoją młodość, jędrne ciała, piękne biusty i... brak jakichkolwiek zahamowań.

A co z osobowością? – pomyślała smutno. Co z inteligencją i pogodnym usposobieniem? W jednym z luster dostrzegła swoje odbicie – jasne od słońca włosy, zbyt szeroko rozstawione, orzechowe oczy, zadarty nos z piegami, na które „zapracowała” na plaży.

Poczuła nagle ściśnięcie w gardle. Dopiero teraz dotarło do niej, że się starzeje. Nie jest już tą dwudziestoczwolatką, która zdecydowała się na podróż na Key West z faceitem, którego prawie nie znała. Wzięła ze sobą wtedy tylko błyszczak do ust i bikini.

Sześć lat! Carla sama nie wiedziała, kiedy minęły. Stała się już osobą zasiedziłą na wyspie. No i skończyła trzydzieści lat.

Z trudem przełknęła ślinę, wspominając pierwsze miesiące pobytu na wyspie. Jej romans z tamtym mężczyzną szybko się skończył, ale za to zaczął się inny – z Key West.

To przynajmniej bardzo trwałe związki, pomyślała z uśmiechem.

Jak w małżeństwie, początkowe zauroczenie szybko przeszło w chłodną akceptację. Carla z czasem zaczęła dostrzegać coraz to nowe wady wyspy, a teraz doszła jeszcze ta

jedna, czyli zniszczona skóra. Powinna zacząć wystrzegać się słońca. Inaczej nie będzie miała co liczyć na męskie towarzystwo... Pomijając już to, że wolni faceci to byli głównie turyści, którzy później wracali do swoich miast.

Potrzebowała stabilizacji. Męża. Dzieci.

Bała się, że umrze samotna, pozbawiona obecności bliskich.

– Carla, jak sądzisz, czy popełniono tutaj przestępstwo?

Spojrzała ze zdziwieniem na szefa.

– Przestępstwo? Wszystko wskazuje na samobójstwo.

– Nie zostawił listu.

– Ci, co wyskakują, często działają pod wpływem impulsu. – Rozejrzała się po sypialni.

Pomijając łóżko, pokój stanowił wzór ładu i elegancji. Wyglądało na to, że Bernhardt się obudził, wyszedł na balkon i skoczył.

Carla potrząsnęła głową.

– Chociaż... czemu miałby się zabijać? Zdaje się, że miał wszystko. – Zerknęła na szefa. – Myślisz, że ktoś mu pomógł?

Val z westchnieniem pokręcił głową.

– Nie, to mało prawdopodobne – odparł. – Chodzi mi o coś innego. Przecież taki dom musiał sporo kosztować. O wiele za dużo, jak na mój gust. Zastanów się, ten facet nie miał własnej firmy, tylko pracował w banku.

– Był jego wiceprezesem. Tacy ludzie pewnie dużo zarabiają.

Val zmrużył oczy.

– Zależy od banku. A Island National nie należy do największych. Chodź, coś ci pokażę.

Zaprowadził ją do łazienki. Aż przymknęła oczy, porażona jasnym światłem, które odbijało się w złożonych kranach, lśniących powierzchniach

niach i lustrach. Wielka wanna mogła pomieścić ze cztery osoby. Na każdym jej rogu stał złoty amorek. Wszystkie trzymały w dłoniach naczynia, z których mogła lać się

woda. Podobnie jak w sypialni, w taki sposób rozmieszczono tu lustra, by czerpać jak największą przyjemność z widoków. Znajdował się tu też zawieszony pod sufitem telewizor.

– Trochę kiczowate – westchnęła. – Nie wydaje ci się?

Nie o to mi chodziło. Popatrz tutaj. – Przycisnęła ukryty pod blatem umywalki guzik. Natychmiast otworzył się jeden z paneli w ścianie, ukazując spory zapas narkotyków.

Carla gwizdnęła przeciągle. Ecstasy, kokaina, marihuana oraz wszelkie akcesoria potrzebne do ich zażywania. Wcześniej w sypialni zauważyła płyty Doorsów, Stonsów, Black Sabbath...

– Prochy, seks i rock and roll. Nie bardzo to pasuje do szacownego bankiera.

– Właśnie, mam wrażenie, że był kimś jeszcze.

– Sprawdź te rzeczy. – Otworzył szufladkę, w której znajdowały się poustawiane niczym karni żołnierze fiołki.

Carla włożyła gumowe rękawice i zaczęła przeglądać zawartość szufladki. Zanax. Quaalude. Vicadin. Prozac. Wszystkie te leki wydawano wyłącznie na recepty.

– Chyba był od tego uzależniony – mruknęła.

– Możliwe. – Val zmarszczył brwi. – Wygląda na to, że wypisał je jeden lekarz.

Musisz z nim porozmawiać i upewnić się, czy miał podstawy, żeby to wszystko zalecić. Sprawdź też, jak mogły wpłynąć na nastrój Bernhardta, zwłaszcza zmieszane z szampanem.

– Jasne.

– Ktoś dzwonił po Charliego?

Charlie był właścicielem miejscowego zakładu pogrzebowego, w którym przechowywano ciała aż do momentu, kiedy biegły lekarz sądowy, mieszkający na Marathon Key i obsługujący wszystkie okoliczne wyspy, mógł się nimi zająć.

Odparła, że sama to zrobiła, i ruszyła za porucznikiem z powrotem do sypialni. Następnie obserwowała go, jak przeszukiwał kolejne miejsca w pomieszczeniu. Valentine

Lopez był jednym z najsprytniejszych policjantów, jakich znała. Uwielbiała patrzeć, jak pracował.

W końcu Val ponownie rozejrzała się dookoła.

– Nie, zupełnie mi to nie pasuje. – Raz jeszcze pokręcił głową. – Na taki dom stać tylko milionera.

– Może dostał spadek albo grał na giełdzie.

– Możliwe – mruknął bez przekonania. – Kiedy skończymy, pojedź do Island National, żeby pogadać z szefem Bernhardta. Dowiedz się, ile zarabiał i czy coś ostatnio odziedziczył. Sprawdź też, czy grał na giełdzie. Ten lekarz może poczekać.

Carla wyjęła notes i wszystko sobie zapisała. Doskonale znała swoje miejsce. Wiedziała, że nie jest supergliną, tylko zwykłym śledczym, który musi wspomagać swojego szefa. Mogła mu zaoferować swoją dokładność i oddanie, a to wcale nie było mało.

Niestety gdy tylko zaczęła pracę w policji, zrozumiała, że sama nie rozwiąże żadnej wielkiej sprawy. Potrafiła pracować w zespole, ale nie w pojedynkę. Cóż, musiała pogodzić się z tym, że jej zdjęcie nigdy nie ukaże się na pierwszej stronie „Key West Citizen”.

Natomiast Valentine Lopez miał na to szanse. Podobnie zresztą jak Rick Wells.

Na myśl o Ricku poczuła nagły skurcz żołądka. Pracowali kiedyś razem i byli przyjaciółmi. A potem ona głupio się w nim zakochała. Głupio, ponieważ Rick nie mógł jej pokochać. Cały czas myślał o swojej zmarłej żonie, a potem o synu...

Już to uczucie samo w sobie było niewybaczalne, a ona jeszcze uznała, że musi go pocieszyć...

I dosłownie rzuciła się na niego. Sama zaproponowała, żeby zostali kochankami, przekonana, że Rick szybko poczuje do niej miłość. Przecież tak bardzo cierpiał. Powinien być jej wdzięczny za tę pociechę. A od wdzięczności tylko krok do głębszego uczucia...

Miłość całkiem ją zaślepiła. Zupełnie przestała myśleć. Kiedy Rick zaczął powoli wracać do dawnej formy, natychmiast doszło w nim do głosu poczucie winy. No cóż, nie kochał jej, a zarazem wiedział, ile dla niej znaczył.

Wszystko skończyło się niemal tak szybko, jak się zaczęło.

Czasami jeszcze bolało. Nawet bardzo.

– I nie zapomnij o gospodyni Bernhardta – dodał Val. – Pewnie czeka w kuchni.

Gdy za oknem usłyszeli odgłosy samochodu, wyrzeli na dwór. Przybyły posiłki.

– Powiesz im, co i jak? – spytała. Porucznik spojrział na zegarek.

– Mhm. A ty wypytaj tę kobietę, w jakiej formie ostatnio był Bernhardt i czy się z kimś spotykał. Musimy też skontaktować się z jego rodziną. Słyszałem, że jest rozwiedziony i ma kilkoro dorosłych dzieci. Może będzie coś wiedziała na ten temat.

– Dobra. – Zamknęła notes. – Idziemy. Zeszli po schodach do salonu i tam się rozstali.

Carla pospieszyła do kuchni, a Val na patio, do kolegów. Gospodyni Bernhardta siedziała przy stole i patrzyła tępo przez okno. Drgnęła, kiedy usłyszała głos Carli.

– Przepraszam, co pani mówiła?

– Pytałam, czy nic pani nie jest.

Kobieta rozłożyła ręce w bezradnym geście.

– Sama nie wiem, co robić. Powinnam zająć się praniem, potem zrobić zakupy, a potem... – urwała nagle.

Carli zrobiło się jej żal.

– Myślę, że będzie pani mogła wrócić do domu – rzekła uspokajającym tonem. – Jednak najpierw chciałabym zadać pani parę pytań.

Gospodyni skinęła głową i przeciągnęła dłonią po twarzy. Carla sięgnęła po notes.

– Jak się pani nazywa?

– Maria Charez.

– Jak długo pani tu pracowała?

– Ponad rok. – Uśmiechnęła się smutno. – Pojutrze będzie dokładnie jeden rok i jeden miesiąc.

– Czy pan Bernhardt nie wyglądał ostatnio tak, jakby się czymś martwił?

Gospodyni pokręciła głową.

– A czy w ogóle bywał w gorszym nastroju?

– Nie, nie. Zawsze był uśmiechnięty i miły. I hojny. Nigdy nie powiedział mi złego słowa.

– Hojny? – podchwyciła Carla. Kobieta skinęła głową.

– Kiedy moja córka zachorowała, powiedział, że mogę z nią zostać, a potem mi normalnie zapłacił.

– Miły? – ciągnęła policjantka.

– Tak, zawsze mówił „proszę” i „dziękuję”. – Gospodyni przetarła oczy. – A poza tym patrzył na mnie, kiedy coś mówiłam. Większość państwa tego nie robi.

Carla doskonale to rozumiała. Bogacze zwykle traktowali służbę tak, jakby nie istniała. Równie dobrze mogłyby ich obsługiwać roboty.

Maria Charez spojrzała na swoje ręce, a potem znowu na policjantkę.

– Dlaczego, na miłość boską, to zrobił?!

– Właśnie próbujemy to ustalić. Potrzebujemy jednak pani pomocy. – Gospodyni skinęła głową, wobec tego Carla podjęła kolejną kwestię: – O ile wiem, był rozwiedziony. Wie pani coś na ten temat? Gospodyni pokręciła z dezaprobatą głową.

– To było w zeszłym roku, tuż przed Bożym Narodzeniem – odrzekła. – Ta jego żona była bardzo młoda i zepsuta.

Carla uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Myślałam, że to było dawno temu.

– A, chodzi pani o poprzedni rozwód. To rzeczywiście bardzo dawno. Wiem, że pan Bernhardt ma dorosłe dzieci z tego małżeństwa.

Carla zapisywała wszystko w swoim notesie.

– A czy miał jakieś sympatie? Może jakąś narzeczoną?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, ale urządził przyjęcia, na które zapraszał różne... dziewczyny.

– Dziewczyny. Carla wyczuła całą gorycz zawartą w tych słowach. Im starszy facet, tym młodsze laski. Dla takiego trzydziestka to już wiek muzealny.

– Była pani na tych przyjęciach?

– Nie, ale...

– Słucham.

– Nic takiego. – Gospodyni pokręciła głową. Carla zauważyła, że nagle zaczęły jej się trząść ręce.

– Proszę mi powiedzieć. To może być ważne.

– Pan Bemhardt...

– Pan Bemhardt nie żyje, a to może nam pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy.

Kobieta wahała się jeszcze przez chwilę, ale w końcu skinęła głową.

– Kiedyś natknęłam się na nie rano, jak tylko przyszłam do pracy – powiedziała drżącym ze zdenerwowania głosem. – I raz widziałam... takie okropne zdjęcia.

– Zdjęcia? – powtórzyła czujnie policjantka. – Tych dziewczyn?

Gospodyni aż się skuliła.

– Tak mi wstyd...

– Gdzie pani widziała te zdjęcia?

Maria Charez wstała, a Carla przestraszyła się, że za mocno ją przycisnęła. Może chciała wyjść do łazienki, a może uciec z tego domu? Nawet by się jej nie dziwiła.

– Ja... ja pokażę – westchnęła, podchodząc do drzwi.

Po chwili znowu znalazły się w sypialni Bernhardta. Gospodyni przykucnęła i otworzyła najniższą szufladę komody, na którą podczas przeszukiwania nie zwrócili z Valem większej uwagi. Wyjęła z niej

wyprasowane chusteczki i ułożyła starannie na podłodze.

– Odkryłam to przypadkiem – wyjaśniła. – Kiedy wkładałam tu świeżo uprane chustki...

„To" okazało się drugim dnem szuflady. Jednak skrytka była pusta.

Carla zmarszczyła brwi.

– Czy pan Bernhardt wiedział o pani odkryciu?

– Nie... nic mu nie powiedziałam. Za bardzo się wstydziałam. – Gospodyni aż poczerwieniała.

– Modliłam się za niego, żeby Bóg mu... to wybaczył.

Policjantka nie dowiedziała się od niej już nic więcej. Roztrzęsiona pani Charez potwierdziła tylko to, czego i tak Carla się domyśliła – że dziewczyny na zdjęciach były nagie i w różnych pozach. Jednak gospodyni nie wiedziała, czy były nieletnie, i nie była w stanie powiedzieć, czy pan Bernhardt zaangażował się w jakąś nielegalną działalność.

Niektórych grzechów nawet śmierć nie jest w stanie wymazać, pomyślała Carla, czekając na prom, który miał ją zawieźć z powrotem na Key West.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poniedziałek, 5 listopada 10.15

Departament Policji Key West mieścił się na starym mieście przy Angela Street. W tym samym różowym, zdobionym sztukaterią budynku, tak typowym dla południowej Florydy, znajdował się także ratusz. Stary, trzypiętrowy budynek, otoczony całym mnóstwem kwitnących drzew, wcale nie wyglądał na tak poważną instytucję.

Jednak Liz stwierdziła, że jak wiele miejsc na wyspie, miał w sobie jakiś urok, biorący się być może z ducha całkowitego luzu i przekory.

Cały weekend minął jej na rozpakowywaniu się i poznawaniu najbliższych okolic. Zwiedzała je głównie pieszo, chociaż w firmie trudniącej się wynajmem środków transportu, która mieściła się przy najbliższej przecznicy, wypożyczyła skuter.

To były dla niej trudne dwa dni. Wszystko dookoła przypominało jej Rachel. Kiedy siostra sprowadziła się na Key West, dzwoniła do niej prawie codziennie. Opisywała zarówno samą wyspę, jak i nowy kościół oraz wiernych. Zafascynowana przyrodą, opowiadała o wszystkim, co widziała – o bogatych kolorach, pięknych palmach, których rosło tu tyle rodzajów, że aż trudno w to uwierzyć, i o cudownych morskich krajobrazach. Wspominała też o architekturze, która ulegała wpływom wiktoriańskiego Południa, ale również Karaibów i latynoskiej Kuby.

Teraz zaś Liz z wielkim bólem wciąż wspominała te rozmowy, a zarazem wreszcie do końca zrozumiała, dlaczego Rachel zakochała się w tej wyspie. Ale to jeszcze tylko pogłębiło jej cierpienie. Piękno Key West sprawiało, że strata siostry wydawała jej się jeszcze bardziej dotkliwa i niepojęta.

Liz ponownie próbowała oderwać się od przeszłości i skoncentrować na tym, co miała do zrobienia. Punkt pierwszy, rozmowa z porucznikiem Lopezem. Chciała go przekonać, żeby znowu zaczął szukać Rachel. W ostateczności gotowa była poinform-

mować go, że sama zamierza to zrobić. Musiała jednak mieć wszelkie informacje, którymi dysponowała policja. Dlatego stwierdziła, że nie opuści tego frywolnego budynku, dopóki nie udostępnią jej wszystkich papierów.

Na tę myśl omal nie wybuchnęła nerwowym śmiechem. Proszę, oto dzielna Liz, prawdziwy postrach policjantów. Ciekawe, co zrobi, jeśli zechcą ją usunąć siłą ze swojej siedziby?

Przystanąła na chwilę, starając się uspokoić. A potem wciągnęła głęboko powietrze i nacisnęła klamkę. Z nikim się nie umawiała. Zamierzała działać z zaskoczenia. Nie sądziła, żeby detektyw Lopez ucieszył się z jej wizyty.

Weszła do środka i skierowała się w lewo, do oficera dyżurnego. Siedząca za biurkiem kobieta uśmiechnęła się do niej miło. Mogła mieć pięćdziesiąt parę lat, chociaż była ubrana jak nastolatka, a we włosach miała nawet spinki z motylkami.

– Czym mogę służyć, złotko? – spytała ją policjantka.

Liz uśmiechnęła się do niej, starając się sprawiać wrażenie osoby stanowczej i pewnej siebie.

– Chcę się widzieć z porucznikiem Lopezem.

– Jak się pani nazywa?

– Elizabeth Ames.

Kobieta cmoknęła karminowymi ustami.

– A była pani z nim umówiona?

– Nie, ale będzie wiedział, o co chodzi.

– Dobrze. – Pchnęła w jej stronę wyświechtany zeszyt. – Proszę się tu wpisać.

Sprawdzę, czy śledczy Lopez jest teraz wolny.

Liz wpisała swoje nazwisko, czując, że serce bije jej coraz mocniej. Nareszcie przyszedł czas na czyny. Nareszcie będzie mogła zacząć działać. Usiadła na jednym z wolnych krzeseł. Jednocześnie usłyszała, jak policjantka pyta jakąś Becky, czy Val jest u siebie w biurze i czy może przyjąć niezapowiedzianą interesantkę.

Starła się jakoś uspokoić. Znała policjantów, ponieważ stykała się z nimi w poprzedniej pracy, zwłaszcza podczas konfrontacji z rodzinami patologicznymi. Miała

nawet praktykę w poprawczaku w hrabstwie St. Charles. Zresztą między innymi to doświadczenie spowodowało, że teraz bez oporów zdecydowała się na prywatną praktykę.

Dzięki temu nauczyła się również, jak rozmawiać z policją. Wiedziała, że zwłaszcza śledczy potrafią być arogancy i oporni, jednak nigdy nie pozostają głusi na racjonalne argumenty. Musiała uważać, gdyż porucznik Lopez mógł jej bardzo pomóc albo... kompletnie uniemożliwić wszelkie działania w formalny i nieformalny sposób. Ten drugi był szczególnie groźny.

– Porucznik powiedział, że może pani wejść do niego na górę – poinformowała ją dyżurna. – Wie pani, gdzie go szukać?

– Nie, ja...

– Proszcizna–przerwała jej starsza kobieta, która jednak używała młodzieżowego języka. – Schodami na samą górę, a potem w prawo. To będą podwójne drzwi. – Kobieta uśmiechnęła się. – I nie przejmuj się, złotko. Porucznik Lopez jest bardzo miły, chyba że ktoś się go czepia.

Chyba że ktoś się czepia, powtórzyła w myśli, idąc wąskimi schodami. Dlaczego nie uznała tego za zbyt pocieszające?

Na pierwszym piętrze skrzyła w prawo. Rzeczywiście tylko jedno drzwi miały dwa skrzydła i wyglądały tak, jakby zamontowano je od razu po wzniesieniu tego budynku. Jedna ich część była uchylona. Liz zapukała w drugą połówkę.

– Proszę – dobiegł do niej dźwięczny baryton. Kiedy weszła, mężczyzna spojrział na nią i się uśmiechnął. Natychmiast uderzyły ją dwie rzeczy – że jest bardzo przystojny i że mimo uśmiechu jego oczy są nadal poważne. Policjant wstał.

– Valentine Lopez – przedstawił się.

– Elizabeth Ames.

Uścisnęli sobie dłonie, a następnie porucznik wskazał jej krzesło i sam usiadł za biurkiem.

– To prawdziwa niespodzianka – powiedział.

– Co panią sprowadza na Key West?

Liz wzruszyła ramionami.

– To chyba jasne. – Dostrzegła gniew w swoim głosie i natychmiast go zdusiła. – Chodzi o moją siostrę, panie poruczniku.

Usiadła na krześle i od razu poczuła, jak bardzo jest rozchwiane. Ze względu na bezpieczeństwo nie powinno się na nim wykonywać gwałtownych ruchów ani zbytnio się rozsiadać.

– Czym mogę służyć?

– Chciałabym, żeby wznowiono poszukiwania – rzekła pewnym głosem.

Oficer pokręcił głową.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić.

Liz wciągnęła głęboko powietrze.

– Jestem pewna, że siostra nie uciekła stąd z powodu nagłego załamania. Jestem pewna – powtórzyła.

– Czy może mi pani powiedzieć, z czego bierze się ta pewność?

Spojrzała na niego, starając się wypatrzyć jakiś ironiczny błysk w jego oku, ale śledczy pozostał całkowicie poważny.

– Znam moją siostrę, panie poruczniku. Rachel nigdy nie ulegała podobnym nastrojom. Wiem, że zawsze można na niej polegać.

– Jest pani bardzo pewna siebie.

– Bo mówię prawdę. – Wysunęła do przodu brodę.

– I wierzy pani, że siostra żyje?

– Słucham?

– Użyła pani czasu terazniejszego – wyjaśnił. – Więc jeśli pani siostra nie uciekła i żyje, to co się z nią stało?

Liz miała wrażenie, że jego słowa przygniatają ją do ziemi. Zrobiło jej się najpierw zimno, a potem gorąco. Zupełnie nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Nie, ja... ja boję się, że... że... – Chrząknęła i poprawiła się na swoim miejscu. Wiedziała, że musi mówić jasno i logicznie, jeśli chce go przekonać. Nie przypuszczała

tylko, że będzie to tak trudne. – Obawiam się, że moja siostra została zamordowana. Podejrzewam, że odkryła jakąś przestępczą organizację i padła jej ofiarą.

Porucznik Lopez milczał przez dłuższą chwilę i tylko patrzył na nią ze współczuciem.

– Jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego nie zawiadomiła policji? – spytał cierpliwym tonem.

Liz wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem. Być może próbowała to zrobić. Lopez potrząsnął głową.

– Niestety nic na to nie wskazuje – rzekł łagodnie. – Proszę pamiętać, pani Ames, że nawet najbardziej zrównoważone osoby przeżywają momenty załamania. Nie ma pani pojęcia, co z ludźmi wyczynia stres czy atmosfera niepewności i oczekiwania. Mogę zapewnić...

– Zajmuję się doradztwem rodzinnym – przerwała mu. – Stykałam się z różnego rodzaju patologiami. Również z depresjami.

– Ale jednocześnie jest pani siostrą pani Howard – zauważył. – Zwykle bliskie nam osoby traktujemy zupełnie inaczej niż obcych.

Do perfekcyjnie zdawała sobie sprawę, że miała rację, ale nie zamierzała się tym przejmować.

– Poza mną Rachel nie ma żadnej rodziny. Od czasu jej zniknięcia minęły ponad trzy miesiące. Jeśli gdzieś uciekła, miała czas, żeby się ze mną skontaktować. Więc dlaczego tego nie zrobiła?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Rozłożył ręce. – Być może wciąż jest załamana. A może straciła pamięć? Takie rzeczy już się zdarzały. Wiadomość, którą zostawiła na pani sekretarce, wskazuje, że była bardzo wzburzona.

Liz zacisnęła dłonie w pięści.

– Chce pan powiedzieć, że ma amnezję z powodu hysterii? To bardzo rzadki przypadek. Przykro mi to powiedzieć, ale pospolite morderstwo zdarza się znacznie częściej.

Policjant rzucił długopis na stół, a w jego głosie pojawiły się nutki zniecierpliwienia:

- Proszę pani, nie znam rozwiązania tej sprawy. Podsuwam tylko różne możliwości.
- Pan wybaczy, ale to wszystko nie trzyma się kupy.
- Naprawdę? – Pochylił się w jej stronę. – Więc powiem coś innego. A jeśli siostra po prostu nie chce się z panią kontaktować? Przecież sama pani mówiła, że wasza ostatnia rozmowa zakończyła się kłótnią, prawda?

Liz cała się zaczerwieniła. Czowała się winna z powodu tego, co się stało.

- Ale to nie było nic takiego... – bąknęła.
- Jeśli doszło do morderstwa, muszę mieć dowody. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Chociażby ślady walki albo krwi. Ale nie znaleźliśmy niczego, co wskazywałoby na to, że ktoś zabił pani siostrę. Powinna się pani z tego cieszyć, pani Ames. Dziwi mnie, że jest inaczej.

Liz zignorowała tę uwagę, co nie znaczyło, że nie dosięgła ona celu. Właściwie dla czego upiera się, że Rachel nie żyje? O co jej chodzi?

- Chciałabym, żeby wrócił pan do tej sprawy.
- Bardzo mi przykro, ale nie mam ku temu podstaw. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. – Wstał, dając znak, że uważa spotkanie za skończone.

Liz poszła niechętnie w jego ślady.

- Chciałabym przejrzeć papiery dotyczące mojej siostry.
- Przepraszam, ale to niemożliwe. – Spojrzał na zegarek. – Czy coś jeszcze? Jestem umówiony na jedenastą.

Już wiedziała, że schrzaniła całą sprawę. Zaczęła od żądań i oskarżeń, co nigdy nie prowadziło do niczego dobrego. Rachel często jej powtarzała, że ma wybuchowy temperament. „Łagodniej, Liz, łagodniej” – mówiła przy różnych okazjach.

Postanowiła posłuchać jej właśnie teraz i wyciągnęła prosząco rękę.

– Bardzo mi na tym zależy, panie poruczniku. Przecież ta sprawa jest już zamknięta. Być może coś pan przeoczył, a ja będę mogła...

– Nic tam pani nie znajdzie. – Jeszcze raz spojrzął jej w oczy. – Nie popełniam błędów. Jestem wyjątkowo dokładny. Proszę pamiętać, że ten kawałek ładu to mój raj i nie pozwolę, żeby ktokolwiek zamienił go w piekło. Gdybym miał choć cień wątpliwości, na pewno poruszyłbym niebo i ziemię, żeby sprawdzić, co się stało.

A jeśli znajdę dowody, poruszy pan niebo i ziemię?

Tak, do cholery.

Więc proszę poczekać, a dostanie pan te dowody, bo zamierzam się dowiedzieć, co się stało z moją siostrą. Z tego powodu tu się przeprowadziłam. I wszystko mi jedno, ile czasu może mi to zająć. – Sięgnęła do kieszonki bluzki i wyjęła z niej jedną z wizytówek, które wydrukowała w sobotę w punkcie ekspresowym.

Porucznik spojrzął na kartonik i lekko się uśmiechnął.

– Podziwiam pani determinację, tylko szkoda, że sprawa jest z góry przegrana. Ale cóż, pracuję w tym zawodzie zaledwie jedenaście lat i mogę się mylić. Wolno zapytać, od czego chce pani zacząć?

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Od pańskich papierów, oczywiście.

Patrzył na nią przez chwilę, wyraźnie rozważając sprawę, a potem się roześmiał.

– Dobrze, niech będzie. – Wyciągnął dłoń, chcąc powstrzymać podziękowania. – Nie może jednak pani wynosić dokumentów z budynku ani ich kopiować, a jeśli powoła się pani na ustawę dotyczącą swobodnego dostępu do informacji, to od razu wyjaśniam, że dotyczy ona tylko spraw zamkniętych przez sąd. A pani chce przecież, żebyśmy znowu się tym zajęli, prawda?

– Jasne.

– Każę je przynieść do pokoju przesłuchań.

– Dziękuję, panie poruczniku. Chciałam...

– I jeszcze jedno – przerwał jej. – Społeczność Key West jest bardzo zwarta i niechętnie otwiera się przed obcymi. Lubi turystów, ale nie prywatnych detektywów. Proszę uważać. Inaczej może pani mieć kłopoty.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Poniedziałek, 5 listopada 13.15

Liz opuściła budynek policji po dwóch godzinach. Wciąż krążyły jej w głowie całe frazy z raportu Lopeza. Wyglądało na to, że policja rzeczywiście bardzo dokładnie zbadała sprawę. Ludzie porucznika przesłuchali ponad dwadzieścia osób z kongregacji Rachel. Wszyscy wierni wyrazili żal z powodu zniknięcia pani pastor, ale nikt nie był tym specjalnie zaskoczony. Według nich Rachel zachowywała się ostatnio bardzo dziwnie. Zupełnie inaczej niż na początku swojej pracy. Jej kazania stały się niezrozumiałe, wręcz groźne, a sama pani pastor zrobiła się nerwowa i nieprzyjemna. Jedna z kobiet powiedziała, że zastała ją na plebanii całą zapłakaną. Inni opowiadali o tym, jak Rachel wypytywała ze szczegółami o życie ich dzieci.

Policja przesłuchała też gospodynię jej siostry, ogrodnika i kościelnego, który jednocześnie zajmował się parafialnymi budynkami, a także sekretarkę i parę innych osób, które ostatnio miały z nią bliższe kontakty. W raporcie pojawiła się wzmianka o nastolatce, którą opiekowała się Rachel, ale Liz nie natrafiła na jej nazwisko.

Przeszukano dokładnie całą plebanię wraz z jej najbliższym otoczeniem, niczego jednak nie odkryto. Żadnych śladów walki czy choćby wskazówek, że pani pastor padła ofiarą napadu.

Zrozumiałe jest więc, iż policja doszła do wniosku, że Rachel sama wyjechała z Key West. Rozesłano wiadomość o jej zaginięciu do wszystkich posterunków policji na terenie stanu, a porucznik Lopez sprawdził szpitale i kostnice w całej południowej Florydzie.

Nic to jednak nie dało.

Zaraz po tym zamknięto śledztwo.

Nagle usłyszała pisk opon. Liz stwierdziła z przerażeniem, że zeszła z chodnika wprost na jezdnię.

– Jak leziesz, łamago?! Życie ci niemiłe?

Liz cofnęła się z bijącym sercem. Potrafiła gałąź oleandra i różowe płatki zaczęły opadać na ziemię. Zdenerwowany kierowca włączył silnik i przejechał obok, pukając się w głowę.

Wstrząśnięta Liz uniosła dłoń do piersi. Co się z nią dzieje? Wystarczyłby moment, a już by nie żyła!

Wciągnęła powietrze, starając się uspokoić. Terapeuta ostrzegał ją, że może mieć poważne problemy z koncentracją. Powinna uważać i pamiętać o tym, że grożą jej napady złego samopoczucia, a także chwilowa utrata kontaktu z rzeczywistością spowodowana natrętnymi myślami i zapadaniem się w siebie. No tak...

– Nic się pani nie stało, pani Ames?

Obejrzała się za siebie i dostrzegła zaniepokojonego porucznika Lopeza przed budynkiem policji. Zapewne widział to kompromitujące zdarzenie! Wcale nie chciała, żeby zorientował się, w jakim jest stanie.

Z trudem przywołała uśmiech na twarz.

– Nie, nic takiego.

– Musi pani uważać. Ruch na Key West czasami bywa niebezpieczny, szczególnie dla roztargnionych pieszych.

Patrzyła na niego przez chwilę ze zdziwieniem. W jego głosie pobrzmiwały wrogie nuty. Tak jak poprzednio, kiedy ostrzegał ją, że może mieć kłopoty.

Liz poczuła pot nad górną wargą. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Miała wrażenie, że doskonale wie, o czym myśli porucznik:

„Obie siostry to wariatki. Jedna warta drugiej”.

Liz skinęła mu głową i ruszyła Duval Street. Starła się iść swobodnie i pewnie, gdyż wciąż czuła na sobie jego wzrok.

Gdyby się zawahała, natychmiast by to zauważył. Wprost przewiercał ją wzrokiem.

Chyba rzeczywiście zwariowałam, pomyślała.

Przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Poczwała pot wzdłuż kręgosłupa i pod pachami. Nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje, ale starała się skoncentrować na oddychaniu. Wdech. Wydech.

Ruch był coraz większy. Czwała na sobie ciekawe spojrzenia niektórych przechodniów. Serce biło jej coraz szybciej. Próbowwała oddychać, walczyła, żeby utrzymać się na powierzchni.

Nagle zrozumiała, co się z nią dzieje. Dostała ataku paniki wywołanego przez stres i psychiczne wyczerpanie. Ostatnio przeżyła ich kilka. Pierwszy, kiedy wróciwszy do domu, zastała w łóżku męża ze swoją tak zwaną najlepszą przyjaciółką. Następny niedługo potem, kiedy jej nastoletnia klientka, Shera, próbowała popełnić samobójstwo, łkając jakiegoś prochy.

Nie powinna jednak o tym myśleć. Nie teraz. Ławka. Musi usiąść i odpocząć. Zaczęła rozglądać się dookoła, szukając jakiegoś miejsca, w którym mogłaby się odprężyć.

W końcu udało jej się znaleźć stojącą na uboczu ławeczkę. Usiadła na niej i podciągnęła nogi do głowy. Starała się przy tym oddychać w taki sposób, jak uczył ją terapeuta.

Wdech. Wydech. Równo. Koncentrując się tylko na tej czynności.

To zaraz minie, mówiła sobie. Wszystko będzie dobrze.

Po chwili jej serce trochę się uspokoiło, przestała też się pocić. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest spięta. Jednak strach już wypuścił ją ze swych stalowych objęć. Mimo to wciąż siedziała skulona na ławce. Dobry Boże, jak może pomagać innym, kiedy sama jest w takim stanie? Jak może znaleźć zabójcę siostry, kiedy denerwuje ją nawet rozmowa z policjantem, który tak bardzo jej pomógł?

Liz uniosła głowę. Nagle zorientowała się, gdzie jest. Gdzie zaprowadziła ją podświadomość.

Znajdowała się na terenie kościoła.

Nareszcie spłynął na nią cudowny spokój. Zrozumiała, że ma przed sobą jeden cel.

Rachel.

Poczuła mrowienie na karku. Wyszepiała imię siostry, wręcz czując jej obecność. Odniosła wrażenie, że Rachel za chwilę wyjdzie z kościoła, aby ją powitać. Pomacha do niej ręką i uśmiechnie się bardziej jak dziewczynka niż dorosła kobieta. A potem obejmie ją i mocno przytuli.

I wszystko będzie już dobrze.

– Nic pani nie jest?

Liz drgnęła i spojrzała w bok. Tuż przy niej stała kobieta, której wcześniej nie widziała. Na jej twarzy malował się wyraz niekłamanej troski.

– Tak, słucham?

Kobieta wyciągnęła w jej stronę butelkę z wodą.

– Mam sklep naprzeciwko. – Machnęła w stronę butików po drugiej stronie. – Zdaje się, że powinna się pani trochę napić.

Liz uśmiechnęła się do niej blado i wzięła butelkę.

– Tak, chyba tak.

Wypiła parę łyków i natychmiast poczuła się lepiej.

– Ten upał jest zdradliwy, zwłaszcza jeśli ktoś pochodzi z północy. Zawsze mówię turystom, żeby brali ze sobą wodę. Kobieta uśmiechnęła się raz jeszcze, a Liz stwierdziła, że nigdy nie widziała równie ładnej osoby. Miała przed sobą naturalną pszeniczną blondynkę z oczami w kolorze pogodnego, letniego nieba.

Liz uśmiechnęła się szerzej.

– Ile jestem winna za wodę? Kobieta machnęła ręką.

– Nie ma o czym mówić.

– W dzisiejszych czasach trudno o dobrego samarytanina.

– Przecież nic takiego nie zrobiłam. – Blondynka obejrzała się za siebie. – Muszę już iść do mojego sklepu. To ten, „Bikini i Mini”. Proszę zajrzeć,

– Dziękuję. Na pewno wpadnę.

Grupa nastolatków przejechała obok na rowerach. Jedna z dziewczyn pomachała ręką.

– Cześć, Heather!

– Cześć, Melanie! Mam nowe stringi! – Odwróciła się na chwilę do Liz. – Miło mi było panią poznać.

– Mnie też. Ciao!

Liz patrzyła za nią, czując, chyba po raz pierwszy na Key West, że nie wszyscy tu są do niej wrogo nastawieni.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wtorek, 6 listopada Południe

Carla siedziała przy biurku, patrząc na faks, który przed chwilą do niej dotarł. Było to faksymile biletu lotniczego na Kajmany na nazwisko Larry'ego Bernhardta z datą 9 listopada 2001 roku.

A więc miał wylecieć w piątek. Dokładnie tydzień po tym, jak skoczył ze swojego balkonu.

Być może nie była nazbyt bystrym policjantem, ale nawet ona dostrzegła bezsens tego, co się stało.

Jednak to samo wynikało z innych informacji, które udało jej się zebrać. Bernhardt był lubianym i cenionym pracownikiem Island National Bank. Jego szef słyszał coś o sporym spadku, który Bernhardt odziedziczył rok temu, ale nie mógł nic więcej powiedzieć na ten temat. To właśnie wtedy Larry kupił dom na wyspie.

Rzeczywiście był dwukrotnie żonaty. Z drugą żoną, niemal nastolatką, rozwiódł się zaraz po tym, jak przeprowadzili się na Sunset Key. Miał też dwoje dorosłych dzieci, córkę i syna, z którymi utrzymywał ścisłe kontakty. Carla rozmawiała z córką, która była zaszokowana tym, co się stało. Jej zdaniem ojciec nie miał żadnych powodów, żeby popełnić samobójstwo. Rozmawiała z nim tydzień wcześniej i twierdziła, że był w doskonałym nastroju.

W doskonałym nastroju. Carla zmarszczyła brwi. Ten motyw wciąż się powtarzał. Wszyscy, z którymi rozmawiała, twierdzili, że Bernhard był wesoły, miły, zadowolony oraz zrelaksowany. I że osiągnął sukces zarówno zawodowy, jak i osobisty. Jego współpracownicy uważali go za playboya... Wieczór poprzedzający śmierć spędził w towarzystwie przyjaciół, żartując i rozmawiając o swoich dzieciach oraz o planach na przyszłość.

Nie wspominał jednak, że się gdzieś wybiera. I oczywiście nie mówił nic o samobójstwie.

Carla zaczęła bębnić palcami po faksie. Tylko psychiatra Bernhardta miał inne zdanie na jego temat. Doktor Irwin Morgenstern stwierdził, że jego pacjent cierpiał na silną depresję i stany lękowe. Zapisał mu różne środki, które miały go wyciszyć i wprowadzić w lepszy nastrój.

Ale wzięwszy pod uwagę opinię wszystkich pozostałych osób, Carla uznała, że są to jedynie wykrety. Bernhardt zażywał narkotyki dla przyjemności, nie stroniąc też od medycznych „uszcześliwiaczy” typu prozac. Nie wiedziała tylko, czy doktor Morgenstern był tego świadomy, czy nie.

Bilet w jedną stronę. Potarła brwi. Taki bilet kupował zwykle albo ktoś bez zobowiązań, albo człowiek, który chciał gdzieś uciec. Przed rodziną. Policją. Ewentualnie urzędem skarbowym.

O co chodziło Bernhardtowi? I dlaczego ktoś z biletem na Kajmany, pięknym domem, kobietami, kupą forsy i dobrą pracą uznał nagle, że ma dość życia?

Nie, to niemożliwe, pomyślała.

Więc może jednak ktoś mu pomóc!?

Carla spojrzała na raport z wizji lokalnej. Ekipa policyjna nie znalazła zbyt wiele. Odciski palców na butelce oraz fiołce z lekarstwami należały do Bernhardta, a na poscieli znaleziono parę włosów łonowych oraz świeże ślady po nasieniu. Bowiem wcześniejsze zostały sprane.

Carla zmarszczyła brwi, bo coś jej się nagle przypomniało. Pomyślała, że dobrze by było jeszcze raz rozejrzeć się po domu Bernhardta.

Zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Zaledwie parę minut po dwunastej. Miała mało czasu...

Zagryzła wargi. Val poszedł na lunch, a potem umówiony był z prokuratorem okręgowym. Wprawdzie szef lubił wiedzieć, co robią jego pracownicy, i ufała mu bardziej niż sobie, ale nie chciała tracić czasu na jałowe rozmyślenia. Wołała sprawdzić wszystko na miejscu.

– Pieprzę to – mruknęła, wstając zza biurka.

W końcu Val uznał tę sprawę za najważniejszą, a ona nie miała dzisiaj nic więcej do roboty. Po prostu raz jeszcze obejrzy sypialnię Bernhardta.

Dotarcie do nadbrzeża przy Mallory Square, obok „Hiltona”, zajęło jej dziesięć minut. Musiała tera zaczekać na prom. Na Sunset Key pływał prom, ale także prywatne łodzie. Co prawda wszędzie wisiały tablice z napisami „Teren prywatny” albo „Wstęp wzbroniony”, ale nikt tego nie pilnował. Ludzie przyjeżdżali i wyjeżdżali, kiedy i jak chcieli. Na wyspie nie było samochodów, a jedynie akumulatorowe wózki.

Typowe dla Key West, pomyślała. Nikt się niczym nie przejmuje.

W końcu przy nadbrzeżu zacumował ładny, dziesięciometrowy prom. Carla zaczęła, aż wysiadą z niego wszyscy pasażerowie, a następnie weszła na pokład. Dostrzegła zdziwione spojrzenie kapitana, ale wcale się tym nie przejęła.

Prom czekał jeszcze pięć minut na kolejnych podróżnych, a potem ruszył w swój krótki kurs.

– Pani jest policjantką, prawda?

Spojrzała w bok. Tuż przy niej stał kapitan, który wcześniej tak ciekawie się jej przyglądał.

– Tak, ale skąd pan...?

– Wiozłem panią razem z kolegą w poniedziałek – odpowiedział, mrużąc oczy. – Rozmawialiście o tej sprawie. Szkoda Bernhardta. To był naprawdę miły facet.

– Znał go pan?

– Tylko z widzenia. Wozilem go tam i z powrotem. I to niedługo, bo pracuję tu dopiero miesiąc.

– Sądząc z akcentu, pochodzi pan z Bostonu – stwierdziła i dopiero teraz przyjrzała mu się uważniej. Był naprawdę przystojny.

Mężczyzna ukazał zęby w uśmiechu.

– Moja rodzina wciąż jest zaszokowana. Nikt nie rozumie, dlaczego się tu przenieśliem...

- Spojrzała na jego dłoń. Nie miał obrączki.
- Moja rodzina też była temu przeciwna.
- Wie pani... – Kapitan chrząknął i spojrzał w bok. – To ja go wtedy przewiozłem. Tej nocy, kiedy... kiedy to się stało.

Carla natychmiast zapomniała o flircie.

- Naprawdę? I jakie robił wrażenie?
- Takie jak zwykle. Był sympatyczny i zrelaksowany. Bardzo miły facet – powtórzył, a następnie spojrzał w stronę mostka. – Przepraszam, muszę zacumować.

Carla skinęła głową i poszła za nim do steru.

- Czy ktoś z nim był?

Kapitan zmniejszył moc silnika i podpłynął wolno do nadbrzeża.

- Nie, wtedy nie – odparł, koncentrując się na swoich czynnościach.

Postanowiła nie przeszkadzać mu przez parę minut, chociaż była bardzo ciekawa, czy coś może jednak zwróciło jego uwagę.

W końcu nieliczni pasażerowie zaczęli schodzić na brzeg. Kapitan obrócił się w jej stronę.

- Wydaje mi się, że Bernhardt miał wszystko, czego chciał – westchnął. – Zupełnie nie rozumiem, po co miałby odbierać sobie życie.

Nie on jeden zastanawiał się nad tym.

- A czy może zwrócił pan na coś szczególną uwagę?

Myślał przez chwilę, a potem tylko pokręcił głową. Carla sięgnęła do kieszeni spodni.

- Jestem śledcza Chapman. – Podała mu wizytówkę. – Proszę do mnie zadzwonić, gdyby coś sobie pan przypomniał.

Przebiegł po niej wzrokiem, a następnie spojrzał na kartonik. W jego oczach zapaliły się wesołe iskierki.

- Nie omieszkać... Carlo.

Przez chwilę myślała, że zaprosi ją do restauracji, ale nie zrobił tego. Zasalutował jej tylko, a ona zdusiła rozczarowanie i wyszła na brzeg. Powinna przede wszystkim

myśleć o sprawie Bernhardta. Ponieważ nie zaklasyfikowano jeszcze tego, co się stało, jego dom był w dalszym ciągu uważany za miejsce przestępstwa. Carla schyliła się pod policyjną taśmą i weszła do środka. Wewnątrz było ciemno i chłodno. Gospodyni przed wyjściem pozastłaniała okna.

Carla weszła na górę po schodach. Natychmiast automatycznie włączyła się klimatyzacja. Ekipa techniczna zabrała pościel do analizy, ale poza tym wszystko wyglądało tu tak samo jak poprzednio. Zaczęła się rozglądać, powoli dochodząc do wniosku, że niepotrzebnie tu przyjechała.

Jednak po chwili zrozumiała, co nie dawało jej spokoju. Gospodyni mówiła, że Bernhardt chciał mieć codziennie świeżą pościel. To oznaczało, że nie mógł używać poplamionej spermy. Carla zmrużyła oczy. Oczywiście w grę mógł również wchodzić onanizm, ale jeżeli włosy łonowe nie należały do niego, nasuwał się oczywisty wniosek: nie był tej nocy sam w swoim domu...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wtorek, 6 listopada 15.00

Świątynia Rajskiej Wspólnoty Chrześcijańskiej wyrastała wprost z chodnika, a białe ściany pięły się wysoko w górę. Zarówno dzwonnica, jak i drewniany krzyż wydawały się odciskać na pogodnym niebie.

Dookoła budynku rosło kilka gatunków palm oraz sporo euforbii z intensywnie czerwonymi kwiatami.

Liz przeszła przez otwartą metalową bramę i wspięła się po stopniach do głównego wejścia. Ono również stało otworem, jakby zapraszając wiernych do środka. Skrzydła drzwi przypominały rozpostarte ramiona Chrystusa Zbawcy.

Liz pomyślała o siostrze i natychmiast ścisnęło jej się gardło. Przystanąła na chwilę, żeby się trochę pozbiierać. Emocjonalne rozchwianie w żaden sposób nie mogło jej pomóc w tym, co chciała zrobić.

To miała być następna część jej planu. Ostatnie miejsce, w którym widziano Rachel. Jej ulubione miejsce...

Jeśli istniały jakieś dowody, że stało się z nią coś złego, z całą pewnością należało ich szukać właśnie tutaj.

Umówiła się wcześniej z pastorem Timem Collinsem, który zastąpił jej siostrę. Zastanawiała się już wcześniej, co mu powiedzieć, i doszła do wniosku, że nie może zdradzić prawdy. Nie chciała go przestraszyć. Zarówno pastora, jak i innych mieszkańców Key West.

Liz weszła do kruchty i natychmiast poczuła spokój panujący w całym kościele. Pachniało tu cytrynowym środkiem do mycia posadzek i świecami. Kiedy rozejrzała się dokoła, od razu zrozumiała, dlaczego siostra uwielbiała to miejsce. Kościół był stary, bardzo ładny i czuło się w nim obecność Boga, czego nie można było powiedzieć o

wielu innych, a zwłaszcza nowomodnych świątyniach. Kolorowe witraże tworzyły niepowtarzalną atmosferę, a echo, które niesło odgłosy kroków, zdawało się również powtarzać słowa tysięcy szeptanych modlitw.

– Czy chce pani zwiedzić kościół? – spytała młoda osoba, która pojawiła się tuż przed nią. Mogła mieć gdzieś około szesnastu lat i była bardzo ładna. – Wcześniej pani przyszła.

Liz rozejrzała się dookoła, a potem przeniosła wzrok na dziewczynę. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby spytała ją o Rachel? Być może to właśnie ona była tajemniczą podopieczną siostry, o której czytała w policyjnym raporcie?

Liz uśmiechnęła się.

– Z przyjemnością bym to zrobiła, ale jestem umówiona z pastorem Collinsem. Nie wiesz, gdzie mogę go znaleźć? – Postanowiła mówić jej na ty.

– Naszego pastora? Jest w kancelarii. – Nastolatka wskazała boczną nawę. – Przed chwilą z nim rozmawiałam.

– Dziękuję. – Liz chciała ją minąć, ale coś jeszcze przyszło jej do głowy. – A kiedy zaczyna się zwiedzanie kościoła?

– Pół do czwartej – odparła dziewczyna. – Poszukam pani.

Skinęła z wdzięcznością głową i ruszyła dalej. Zajrzała do pustej sali, która wyglądała na katechetyczną, i dopiero po chwili znalazła półotwarte drzwi z napisem „Kancelaria”.

Zapukała i zajrzała do środka.

– Proszę.

Pastor wstał zza biurka i podszedł do niej sprężystym krokiem. Był wysoki i ze zdziwieniem stwierdziła, że wygląda bardziej na sportowca niż duchownego.

– Pastor Collins? Jestem Liz Ames.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

– Bardzo mi miło.

Uścisnęli sobie dłonie, a następnie Liz usiadła na wskazanym miejscu i uśmiechnęła się do duchownego.

– Ma pan piękny kościół, pastorze.

– Dziękuję. – Rozejrzał się z przyjemnością po kancelarii. – Rajska Wspólnota to jeden z najstarszych budynków sakralnych na wyspie. Do 1936 roku należał do archidiecezji katolickiej i patronował mu św. Stefan, ale katolicy sprzedali go, postanowili bowiem wybudować większy w innej części Key West.

– To naprawdę wspaniałe, że przetrwał. – Liz zaczęła sobie przypominać opowieści siostry. – Słyszałam, że po zniszczeniach spowodowanych przez huragan trzeba go było przebudowywać.

– I to dwukrotnie. Po raz pierwszy w 1846 roku, a potem w 1935. Prace ukończono w 1940.

– Uwielbiam takie stare budynki. Może uda mi się go dzisiaj zwiedzić.

Pastor uśmiechnął się do niej jeszcze szerzej.

– Jeśli nie dziś, to może pani przyjść w każdy dzień za wyjątkiem niedzieli.

– Długo pan tu pracuje, pastorze?

– Od niedawna. Moja poprzedniczka opuściła to miejsce... raczej niespodziewanie.

Serce podskoczyło jej w piersi, ale Liz starała się zapanować nad emocjami.

– Naprawdę? To dziwne, że ktoś zdecydował się zrezygnować z tak pięknej parafii.

– Nie wszyscy nadają się do wyspiarskiego życia – mruknął i szybko zmienił temat: – Mówiła pani, że jest doradcą rodzinnym, prawda?

– Tak. – Liz poprawiła się na krześle. – Jak już wyjaśniałam, jestem dyplomowanym pracownikiem socjalnym z praktyką kliniczną, co znaczy tylko tyle, że mogę otworzyć prywatną poradnię. Specjalizuję się w sprawach rodzinnych, głównie nastolatków. A ponieważ jestem tu nowa, staram się nawiązać jak najwięcej kontaktów. – Wyjęła z torebki plik wizytówek i podała je swojemu rozmówcy.

– Pomyślałam, że będzie mi mógł pan w tym pomóc, pastarze – dodała.

Collins zawahał się, szukając właściwych słów.

– No cóż, moi wierni nie są ludźmi zamożnymi. To prawda, że na wyspie jest kilku bogaczy, ale większość ludzi żyje dość skromnie. Głównie z turystyki. – Wstał i podszedł do okna. Kiedy znalazł się w smudze słońca, wydał jej się jeszcze młodszy i przystojniejszy. Miał pewnie ze trzydzieści pięć lat, ale w tej chwili wyglądał na niecałą trzydziestkę.

– Jak pani już zapewne zauważyła, Key West jest bardzo drogim miejscem. Koszty utrzymania są wyższe niż w Miami. Drożej może być tylko na Hawajach.

– Ciekawe, dlaczego – wtrąciła Liz.

– Bo jesteśmy praktycznie odcięci od kontynentu. Na wyspy prowadzi tylko jedna droga, którą jedzie się do Miami trzy i pół godziny, tak więc wszystko trzeba przesyłać drogą morską: jedzenie, wodę pitną, zaopatrzenie sklepów. Ponadto brakuje tu ziemi, więc jej ceny, jak również czynsze za mieszkania i lokale, są bardzo wysokie. – Uśmiechnął się do niej. – Niewielu z moich wiernych mogłoby sobie pozwolić na godzinną sesję za pięćdziesiąt... a może nawet dziewięćdziesiąt dolarów. – Pastor miał głęboki, melodyjny głos. Mówił tak, jakby rzeczywiście zależało mu na Liz i na swoich owieczkach. Doskonale nadawał się na to stanowisko. Spojrzał na wizytówkę i ze zdziwienia aż otworzył szerzej oczy. – Czy jest pani pewna, że stać panią na gabinet w tym miejscu? Przecież to najdroższa ulica na Key West.

Liz wzruszyła ramionami. Już to do niej dotarło.

– Staram się żyć skromnie. Nie zależy mi na markowych ubraniach czy samochodach.

Prawda była taka, że musiała sprzedać dom po rodzicach, by sfinansować to przedsięwzięcie. Odziedziczyły go obie z Rachel, ale Liz wiedziała, że siostra nie miałaby nic przeciwko temu. Jeśli w ogóle żyła...

Pastor uśmiechnął się pod nosem.

– Na szczęście niczego takiego nie trzeba na Key West. Wystarczą szorty i skuter, to wszystko.

Pastor wzbudzał w Liz wyraźną sympatię, oczywiście na tyle, na ile to było możliwe w jej sytuacji.

– Proszę nie zapominać o okularach przeciwsłonecznych i czapce z daszkiem – dodała. – Od razu zauważyłam, że są tu niezbędne.

– Och, jest pani nad wyraz spostrzegawcza! Roześmiał się, a następnie spojrzął na zegarek. – Wie pani co, zobaczą, co się da zrobić w tej sprawie. Na wyspie jest wielu nastolatków z problemami, poczynając od tych z Narodu Tęczy, a kończąc na rozwydrzonych dzieciakach z bogatych domów. – Zamilkł na chwilę i odwrócił się tyłem do okna. Stał teraz cały skąpany w złotej poświacie. – Jedna osoba nawet od razu przyszła mi do głowy, ale... – Znowu przerwał.

Rodzice bardzo się o nią niepokoją, a ja nie wiem, co jej jest... Spotykała się z poprzednią panią pastor, ale ze mną nie chce rozmawiać.

Liz wstrzymała oddech.

– Z poprzednią panią pastor? – powtórzyła bezwiednie.

– Z tą, która wyjechała.

– Podobno zaginęła – wtrąciła, modląc się w duchu, żeby nie zauważył drżenia jej rąk. – Słyszałam, jak ktoś o tym mówił. Ponoć to bardzo tajemnicza sprawa.

– Ktoś naprawdę opowiadał o tym pani? – Zmarszczył brwi. – Nie sądziłem, żeby to jeszcze kogoś interesowało.

– Czy... czy ta sprawa rzeczywiście jest tajemnicza?

Pastor Collins usiadł na swoim miejscu i spojrzął na nią bez głębszych emocji.

– Czy ja wiem? Nigdy nie znałem pani pastor, ale musiałem spakować jej rzeczy. To nie było przyjemne zadanie.

Liz przypomniała sobie, jak bardzo była zaszokowana, kiedy dostała te pudełka. Ale potem, kiedy znalazła dość siły, żeby przejrzeć ich zawartość, nie dopatrzyła się w nich niczego, co by wskazywało na depresję siostry.

Jednak może pastor dostrzegł tam coś, co umknęło jej uwagi?

– Czy... czy wśród tych rzeczy było coś, co wskazywałoby na to, co mogło się z nią stać? – spytała z nadzieją, że uzna to za zwykłą ciekawość.

Przez chwilę tylko się w nią wpatrywał, a Liz nabrała pewności, że przejrzał jej grę. Wreszcie westchnął ciężko i potrząsnął głową.

– Policja twierdzi, że załamała się psychicznie i uciekła. To, co usłyszałem od parafian, potwierdza tę tezę.

– Co pan chce przez to powiedzieć, pastorze? – spytała łamiącym się głosem. Mogła mieć tylko nadzieję, że wyglądała choć trochę lepiej, niż się czuła. Oby...

Pastor pochylił się w jej stronę.

– Droga pani, wolałbym tego nie roztrząsać. Ósme przykazanie mówi, że nie powinniśmy fałszywie świadczyć przeciw bliźnim. Znaczy to również, że nie powinniśmy rozgłaszać plotek. Gdybym

znał fakty, chemie bym się nimi z panią podzielił.

– Tak, oczywiście – potwierdziła szybko.

– Ale jeśli mam doradzać tej nastolatce, czy też komukolwiek, kto miał do czynienia z panią pastor, powinnam coś wiedzieć na temat jej zniknięcia.

– Policja... – zaczął i zaraz urwał. – Wszyscy lubili pastor Howard... na początku. Niestety potem zaczęła się dziwnie zachowywać. Tak przynajmniej słyszałem. – Spojrzał na ręce, które położył na biurku. Liz zdziwiła ich wielkość. Sprawiał wrażenie kogoś, kto sporo pracował fizycznie, a nie skrupulatnego badacza Pisma Świętego. – Wygląda na to, że moja poprzedniczka zaniedbywała swoje obowiązki. – Pokręcił głową i westchnął. – Przestała odwiedzać osoby chore i stare, nie spotykała się z wiernymi... Kiedy tu przyszedłem, w kancelarii panował chaos. To samo działo się na plebanii. Rozumie pani chyba, dlaczego zgadzam się z tezą policji.

Liz starała się nie pokazywać, jak bardzo zabolęły ją te słowa. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła.

– Bardzo mi przykro z powodu jej rodziny – rzekł łagodnie. – Wyobrażam sobie, co przeżywają jej bliscy.

Dreszcz strachu przeszył jej ciało. Czyżby się domyślił? A jeśli tak się stało, i to być może dużo wcześniej, czy powinna mu zaufać?

Tylko skąd by mu to mogło przyjść do głowy?

Jeśli mimo wszystko wiedział, kim jest, dlaczego nie powiedział jej tego prosto w twarz? Nie wyglądał na człowieka, który by się lubował w różnych gierkach i niedomówieniach.

Liz nie bardzo wiedziała, co dalej, ale postanowiła nie wyklądać wszystkich kart na stół.

– Tak, na pewno bardzo cierpią – powiedziała, wstając, i wyciągnęła do niego dłoń. – Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, pastorze.

– Nie ma o czym mówić. Oczywiście porozmawiam z rodzicami naszych nastolatków i mam nadzieję, że się z panią skontaktują. To dobrzy ludzie, a ja ufam, że zdoła im pani pomóc.

– Bardzo bym chciała. – Podziękowała mu raz jeszcze i podeszła do drzwi, jednak jeszcze odwróciła się w jego stronę. – Jak długo trwa zwiedzanie kościoła?

Pastor spojrział na zegarek.

– Jeszcze pani zdąży – rzekł, przechodząc za nią. – Grupa powinna być w przykościelnym ogrodzie.

Pokazał jej, gdzie ma iść, a potem uprzejmie się pożegnał. Liz stwierdziła, że kościół wraz z zabudowaniami i ogrodem, a raczej małym parkiem, ciągnie się przez dwie przecznice, co było sporą rozrzutnością jak na Key West, biorąc pod uwagę głód ziemi. Archidiecezja katolicka sprzedała go po zniszczeniach, jakich dokonał huragan w 1935 roku. To właśnie wtedy przestała istnieć linia kolejowa, a miasto, do tej pory najbogatsze w Ameryce, stanęło na krawędzi bankructwa. Podnoszenie się po tej katastrofie zajęło sporo czasu.

Liz weszła do ogrodu i znowu spłynęło na nią uczucie spokoju. Mimo że kościół dwukrotnie musiał być odbudowywany, teren nigdy nie uległ zniszczeniu. Stare figowce indyjskie spuszczały do ziemi swoje korzenie, tworząc coś w rodzaju naturalnego więzienia. Liz czuła się tak, jakby wpadła do króliczej norki i znalazła się w zupełnie innym, kolorowym świecie.

Nastoletnia przewodniczka omawiała różne figurki, które się tu znajdowały. Zaczęła od Najświętszej Maryi Panny, najstarszej w całym kościele, a potem przeszła do świętego Franciszka. Wskazała też plebanie, stojącą w głębi ogrodu za kościołem, i mały cmentarzyk po prawej stronie. To właśnie na nim chowano najbardziej wpływowych obywateli Key West, włączając w to duchowych przewodników.

Na koniec zwiedzania przewodniczka pokazała grupie wyjście na Duval Street. Liz skorzystała z niego wraz z innymi i nagle zobaczyła znajomy butik. Od razu ruszyła w jego stronę.

Kiedy weszła do środka, zauważyła, że można tu kupić głównie najnowsze i najmodniejsze stroje plażowe oraz to, co ewentualnie mogłaby włożyć na dyskotekę, gdyby była nastolatką. Poza tym znajdowały się tu przepiękne wyroby miejscowych artystów, między innymi biżuteria ze srebra i półszlachetnych kamieni.

W środku było tylko parę dziewcząt, które przeglądały najnowsze rzeczy i co jakiś czas wybuchały entuzjazmem na widok tego lub owego ciuszka. Właśnie one stanowiły klientelę tego butiku. No i oczywiście bogaci turyści.

– Dzień dobry, czym mogę służyć?

Liz obróciła się w stronę swojej wybawczyni. Blondynka wyszła przed chwilą z zaplecza i teraz uśmiechała się do niej przyjaźnie.

Jestem Liz, Liz Ames – przedstawiła się.

Kobieta skinęła głową.

– A ja Heather Black. Czym mogę...?

– To ja siedziałam wtedy przy kościele – przerwała jej Liz. – Przyniosła mi pani wody.

Blondynka dopiero w tym momencie zrobiła taką minę, jakby ją sobie przypomniała.

– Ach, tak. Oczywiście. Jak się pani czuje?

– Już dobrze.

– Bardzo się cieszę. – Zerknęła jej przez ramię na grupę nastolatek. – Pomóc wam jakoś, dziewczyny? – Kiedy te pokręciły głowami, Heather znowu spojrzała na Liz. – A pani?

– Nie, dziękuję. Wpadłam tylko, żeby raz jeszcze podziękować.

– Nic wielkiego. – Heather machnęła ręką i znowu spojrzała na nastolatki. – Na długo pani przyjechała?

Liz zrobiła zawstydzoną minę.

– Wiem, że zachowałam się jak turystka, ale tak naprawdę jestem nową mieszkanką Key West. Właśnie otworzyłam poradnię rodzinną przy Duval Street.

– Coś takiego! – zaśmiała się Heather. – Bardzo mi miło. Wobec tego musimy chyba przejść na ty.

Liz znowu zauważyła, że blondynka patrzy na dziewczyny.

– Zajmij się teraz nimi. Ja poczekam. Heather podziękowała jej i pospieszyła w stronę nastolatek, zanim zniknęły w przymierzalni. Liz spostrzegła, że uważnie przeliczyła kostiumy kąpielowe, chociaż jednocześnie nawiązała z dziewczętami przyjazną rozmowę.

Liz doskonale ją rozumiała. Pracowała z młodymi osobami na tyle długo, żeby wiedzieć, jak niewiele znaczy dla nich cudza własność. Drobne kradzieże stały się wręcz plagą dużych miast. Niektórzy rodzice zauważali, że dziecko potrzebuje pomocy dopiero wtedy, kiedy zostało przyłapano na gorącym uczynku.

Heather wróciła do niej po paru minutach.

– Przepraszam, ale nie masz pojęcia, ile kostiumów mi ginie.

– Wyobraź sobie, że mam. W swojej pracy często stykam się z nastolatkami, które mają skłonność do drobnych kradzieży.

– Ładnie powiedziane – zaśmiała się Heather. – Usunęłabym z tego tylko słowo „drobne”.

Liz raz jeszcze stwierdziła, że nie sposób nie lubić Heather. Zaczęła się przy tym zastanawiać, czy siostra ją znała, a jeśli tak, to jak im się układały stosunki.

Usłyszały dzwonek przy drzwiach i w sklepie pojawiła się następna grupa młodzieży.

– Przepraszam, znowu będę musiała się nimi zająć. Ale może wybierzemy się kiedyś razem na lunch? Opowiem ci o wszystkich regułach obowiązujących w Key West.

Liz potrząsnęła głową.

– Wyspa jest bardzo mała, więc i reguł pewnie niewiele – zauważyła.
– Chyba żartujesz! Im mniejsze miejsce, tym więcej świętych zasad.
– Można się w tym pogubić – westchnęła Liz, przypominając sobie rozmowę z policjantem.
– Wcale nie. Musisz mieć tylko dobrego przewodnika. – Heather wypięła pierś.
– Takiego jak ja. Zapisz mi swój numer telefonu, to do ciebie zadzwonię. – Znowu spojrzała niespokojnie na dziewczyny.

Liz dała jej wizytówkę. Po wyjściu zerknęła w stronę kościoła i zauważyła, że pastor Collins patrzy w jej stronę. Kiedy uniosła dłoń, odwrócił się i bez pozdrowienia zniknął w budynku.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Środa, 7 listopada 9.30

Rick wszedł do kwatery głównej policji i skierował się wprost do oficer dyżurnej. Luanne Leoni zajmowała to stanowisko na długo, nim zaczął tu pracować. Była to wyjątkowo miła kobieta o sercu wielkim jak ocean i guście nastolatki. Jej szczerze, współczujące łzy na pogrzebie jego syna znaczyły dla niego naprawdę wiele. Rick nikogo nie lubił bardziej od niej.

– Cześć – mruknął, pochylając się w jej stronę. – Tęskniłaś za mną?

Zrobiła do niego oko.

– Tyle, co za moim poprzednim kotem – odparła beztrząsco.

– Nie łam mi serca, Luanne.

– Widocznie na to zasługujesz.

– Może i racja. – Uśmiechnął się do niej. – Ale to ty pierwsza wyszłaś za mąż za tego starego piernika. I wciąż jesteście małżeństwem.

– Z Sonnym? No jasne, aż do grobowej deski. – Zaśmiała się gardłowo. – Tylko nie wiem, kto kogo zabije pierwszy.

– Chcę się zobaczyć z Valem. – Ruszył w stronę schodów, ale jeszcze obejrzał się za siebie. – Gdybyś zabiła go pierwsza, daj mi znać. Mogę trochę poczekać.

Luanne wzniosła oczy do nieba.

– Mogłabym być twoją babką! Zmykaj, smarkaczu, zanim każę cię aresztować za obrazę moralności publicznej.

Rick wbiegł na schody. Rzadko tu przychodził, ponieważ wiązało się to z bolesnymi wspomnieniami, a poza tym istniało duże prawdopodobieństwo, że natknie się na swoją dawną współpracownicę, Carlę Chapman.

Kiedy przyjechał tu z Miami, zaczął pracować właśnie z nią. Carla ledwie co została policjantką i jeszcze nie znała się na tej robocie. Musiała uczyć się wszystkiego od podstaw, ale miała dużo energii i zapału. Rick doskonale wczuwał się w rolę nauczyciela, bo pozwalało mu to zapomnieć o śmierci żony. Wkrótce stali się przyjaciółmi.

Ale po śmierci Sama Carla zdecydowanie przekroczyła granice zwykłej przyjaźni. Gotowała dla niego i zmuszała do jedzenia. Przychodziła, żeby go pocieszać. Oddała mu wszystko, również swoje ciało. Po tym, jak stali się kochankami, Rick potrzebował trochę czasu, żeby uświadomić sobie, jak bardzo dziwny był to związek. On miał wszystko, a Carla nic.

Dopiero wtedy zrozumiał, że zakochała się w nim bezgranicznie.

Było mu bardzo przykro, ale nie potrafił dać jej tego, czego pragnęła. Jednocześnie stracił jej przyjaźń. Przeklinał dzień, w którym zdecydował się dotknąć Carli.

Wszedł na piętro, zastanawiając się, jak to dalej rozegrać. Żeby dotrzeć do Vala, będzie musiał przejść obok jej pokoju. Jeśli do niej nie zajrzy, a Carla dowie się, że tu był, później będzie miała do niego pretensje.

Przystanął więc i lekko zapukał, z głupią nadzieją, że może jej nie zastanie. Carla siedziała przy biurku. Zerknęła na niego, kiedy wszedł, i cień radości przemknął po jej twarzy. Szybko jednak spojrzała w okno.

Rick zaklął w duchu.

– Cześć, Carla.

Znowu na niego spojrzała.

– Cześć. Co cię tu sprowadza?

– Wpadłem na chwilę do Vala.

– Nie ma go. Powiem mu, że byłeś.

Wzięła jakieś papiery i podniosła się z miejsca, ale on zastąpił jej drogę.

– Zaczekaj, Carla. Może jednak o tym wszystkim pogadamy.

Wysunęła brodę do przodu.

– Nie ma o czym – rzekła dumnie.

Cofnął się jeszcze, żeby zamknąć za sobą drzwi, i dopiero wtedy na nią spojrzał.

– Czy nie powinniśmy porozmawiać o tym, co się stało? O nas...

Zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

– Przecież to już skończone – powiedziała szorstko. – Co się stało, to się nie odstanie.

– Zrozum, naprawdę bardzo mi przykro, że cię tak skrzywdziłem. – Zniżył głos, żeby nikt go nie mógł podsłuchać.

– Nie pochlebiaj sobie.

– Brakuje mi... twojej przyjaźni. Może udałoby nam się jakoś do tego wrócić?

Potrząsnęła głową.

– Wiesz, co najbardziej mnie boli? Świadomość, że zupełnie ci na mnie nie zależało. Że w ogóle mnie nie szanowałeś.

– Przecież wiesz, że to nieprawda!

– Prawda – syknęła. – Myślałeś, że jestem ładna, ale głupia. I tak mnie traktowałeś.

– Nie, Carla. Problem polegał na tym, że nie potrafiłem cię pokochać. Ani ciebie, ani nikogo innego...

Drzwi za nim otworzyły się bezszelestnie, ale Rick wiedział, że ktoś wszedł do pokoju.

– Tak właśnie myślałem, że tu cię znajdę – usłyszał za sobą głos Vala. – Czemu zawdzięczamy tę wizytę?

Rick przywołał uśmiech na twarz.

– Po prostu dawno nie widziałem twojej wrednej gęby – zwrócił się do kumpla.

– Skoro tak tęskniłeś, to możesz mnie nawet pocałować – zaśmiał się Val.

– Nie, dzięki. W odróżnieniu od was, policjantów, my, barmani, mamy pewne zasady.

– Moglibyście się gdzieś przenieść ze swoim miłosnym gruchaniem? – mruknęła niechętnie Carla. – Przecież ktoś musi się zająć tym morderstwem.

– Morderstwo? Na Key West? – zdziwił się Rick, który rzeczywiście miał ochotę gruchnąć Vala za to, że przerwał im rozmowę.

– Carla!

Policjantka zignorowała ostrzeżenie szefa.

– Ktoś załatwił Larry'ego Bernhardta. Rick przeniósł wzrok na kumpla.

– Myślałem, że to było samobójstwo.

– Ale mnie się wydaje, że mogło też być inaczej – rzekła dumnie Carla, nie zważając na spojrzenia Vala. – Dowody wskazują na to, że nie był wtedy sam. Lekarz twierdzi, że Bernhardt zmarł między jedenastą a pierwszą. Weześniej zjadł kolację z przyjaciółmi, po czym wesoly i najedzony opuścił towarzystwo. A potem jeszcze uprawiał seks.

– Co tylko potwierdza jego reputację – wtrącił Rick, natychmiast wczuwając się w swoją dawną rolę. – Coś jeszcze?

Policjantka prychnęła gniewnie.

– A czego jeszcze ci trzeba? Ta kobieta z całą pewnością widziała go jako ostatnia żywego. Musimy wiedzieć, kim była i kiedy wyszła.

– Nie, musisz przede wszystkim sprawdzić, czy Bernhardt żył, kiedy wyszła – poprawił ją Rick.

Carla znowu poczerwieniała.

– O to mi właśnie chodziło.

W pracy policji najważniejsze było właściwie postawione pytanie. To często pomagało rozwikłać sprawę.

Bernhardt mieszkał na Sunset Key – mruknął. – Najpierw powinnaś była przesłuchać kapitanów promów, bo dużo widzą i słyszą. Proponowałbym również, żebyś...

Wystarczy, Rick – przerwał mu Val. – Chyba że chcesz wrócić na służbę. – Spojrzał poirytowany na Carlę. – Przygotowałaś mi już raport w sprawie tego domniemanego gwałtu? Chcę to zakończyć jak najszybciej.

– Będzie gotowy na pierwszą – odpowiedziała.

– Świetnie. – Zwrócił się do Ricka i skinął w kierunku swojego pokoju. – Przejdziemy?

Po chwili Val zamknął drzwi swojego gabinetu.

– Carla powinna więcej pracować, a mniej myśleć – mruknął. – Nie wiem, co jej się roi w głowie...

– To dobra policjantka. – Rick zaczął jej bronić bardziej z nawyku niż rzeczywistego przekonania. – Jest lojalna i sam wiesz, że robi, co może.

Val westchnął.

– To prawda, ale jestem nią ostatnio trochę zmęczony. – Wskazał kumplowi krzesło. – Zaczęła zachowywać się, jakby była superglina. Wydaje jej się, że odkryła morderstwo – rzekł z naciskiem na ostatnie słowo.

– A ty tak nie sądzisz?

– Powiedzmy, że bardziej ufałbym twoim przecuciom. Gdybyś oczywiście wrócił do pracy.

Rick nawet o tym nie myślał, chociaż z drugiej strony ta sprawa zaczynała go coraz bardziej interesować.

– Więc co z tym Bernhardtem? Val przyjrzał się mu uważnie. Dlaczego tu dzisiaj przyszedłeś, Rick? Ale nie zalewaj, mów prawdę.

– Prawdę? Dobrze, z powodu Bernhardta.

– Po prostu cię to ciekawi, czy masz jakieś istotne informacje? – ciągnął Val za improwizowane przesłuchanie.

– Intryguje mnie to, że Island National Bank stracił dwóch pracowników w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin. Najpierw Naomi Pearson, a potem Bernhardta. Zastanawiam się, co łączy te dwie sprawy.

– I wydaje ci się, że jest między nimi jakiś związek?

– Po prostu nie lubię przypadków, a takie dwa zdarzenia, jedno po drugim, to cholernie zagadkowa sprawa.

Val oparł się o biurko i pokiwał głową.

– Zawsze mówiłem, że glina pozostanie glina, nawet gdyby zdecydował się na najpodlejszy z możliwych zawodów.

Rick uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Więc jednak jest jakiś związek – bardziej stwierdził, niż spytał.

Val oparł się o tył krzesła, nie zważając na alarmujące skrzyknięcie wiekowego mebla.

– Po pierwsze chciałem ci przypomnieć, że nie jesteś już policjantem, więc do czasu swojego powrotu powinieneś wyłącznie czytać gazety i słuchać radia. Polecam kronikę kryminalną o piątej.

- A po drugie?

– Skoro i tak poinformowaliśmy o tym media, to chyba mogę ci o tym powiedzieć.

- Dzięki, stary.

– Nie ma za co – mruknął Val z krzywym uśmiechem. – Jak wiesz, Bernhardt zajmował się kredytami. Najczęściej udzielano ich dużym firmom. Chodziło o sumy od stu tysięcy w górę. Jego praca polegała na weryfikacji danych klientów i ewentualnym rekomendowaniu ich radzie nadzorczej. Wystarczyło, że polecił jakąś firmę, a rada zazwyczaj nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń. Mieli do niego zaufanie.

- Ta sprawa zaczyna śmierdzieć – mruknął zaintrygowany Rick.

– I to jeszcze jak! Wygląda na to, że Bernhardt rekomendował nieistniejące firmy. Naciągnął bank na ponad milion dolarów!

Rick potarł szczękę, starając się dopasować do siebie wszystkie informacje.

– Chcesz powiedzieć, że po prostu wymyślał dane dotyczące kolejnych firm? Łącznie z ich obrotami i tak dalej?

– Mhm. – Val uśmiechnął się na widok jego miny. – Udawało mu się to, ponieważ miał wspólnika w centrum przetwarzania danych Island National.

– A raczej wspólniczkę – mruknął Rick. – Naomi Pearson. Od razu wiedziałem, że to nie przypadek!

– Słusznie. Potwierdzała wszystkie operacje wymyślonej firmy. Jak sądzę, nie za darmo.

Rick jeszcze chwilę myślał o tym, czego się dowiedział.

– To dziwne, że Bernhardt tak nagle się wzbogacił, a nikt w banku niczego się nie domyślił. Słyszałem, że żył jak król.

– Twierdził, że dostał duży spadek po wuju. Wziął nawet wolne, żeby polecieć na pogrzeb do Filadelfii. Nikt tego nie sprawdził. Wszyscy go przecież cenili i szanowali.

– Cenili i szanowali – powtórzył Rick. – Więc dlaczego skończył tak marnie? Wygląda na to, że mógł to jeszcze trochę pociągnąć.

Val rozłożył ręce.

– Reszty mogę się tylko domyślać – westchnął. – Bez pomocy Naomi na pewno by sobie nie poradził, a ona pewnie mu powiedziała, że chce z tym skończyć. Dlatego nagle wszystko zaczęło mu się walić.

– Więc czemu nie zwał z forszą?

– Może wydawało mu się, że to się nigdy nie skończy? A może przepuścił wszystko na dom, dziewczynki i narkotyki? Szastał forszą na prawo i lewo.

– A ta osoba, owa kobieta, która odwiedziła go przed śmiercią?

– Gdybyś planował samobójstwo, jak chciałbyś spędzić ostatnią noc, co? – spytał cierpko Val.

– Na pewno nie sam.

– Właśnie. – Porucznik zrobił pełną niesmaku minę. – Bernhardtowi nie wystarczyło, że dużo zarabiał. Był tak zachłanny, że chciał żyć jak król, zawsze w otoczeniu podziwiających go dworaków... i panienek.

Rick zastanawiał się później nad tymi słowami i musiał stwierdzić, że przyjaciel okazał tutaj dużą naiwność. Chciwość i pożądanie stanowiły motywy wielu zbrodni, prawdę mówiąc, niemal wszystkich, z którymi stykali się w pracy policyjnej. Trudno było uwierzyć, żeby Val nie zauważył tego do tej pory.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Środa, 7 listopada 16.00

Następnego dnia do Liz zgłosili się rodzice nastolatki, o której wspominał pastor. To, że wzbudziła w nim zaufanie, bardzo jej pochlebilo, a zarazem umożliwiło kontynuowanie planu.

Liz zaprosiła małżeństwo, Inez i Dantego Mancuso, do swojego biura. Uśmiechnęła się do nich i wskazała fotele.

– Proszę bardzo. Proszę usiąść.

Sama też usiadła i spojrzała na swoich rozmówców. Byli przerażeni. Wiedziała, że są tradycyjnie wychowani, niewykształceni i niezamożni. On pracował jako ogrodnik, a ona prowadziła dom i dodatkowo dorabiała prasowaniem. Tego rodzaju działalność, którą prowadziła Liz, musiała im się wydawać czymś wydumanym i niepotrzebnym, więc jeśli mimo wszystko tu przyszli, znaczyło to, że sytuacja ich przerosła.

Pani Mancuso spojrzała na męża, lecz gdy ten pokręcił lekko głową, sama zaczęła: Pastor Collins powiedział, że może nam pani pomóc.

– Mogę tylko obiecać, że będę próbowała – powiedziała Liz i znowu się uśmiechnęła.

Państwo Mancuso niewiele zdradzili jej przez telefon, było jednak oczywiste, że bardzo niepokoją się o córkę. A teraz dodatkowo potwierdzały to ich miny i zachowanie.

– Może najpierw opowiecie mi państwo, co dzieje się z Tarą – zaproponowała Liz, widząc ich skrepowanie.

Pani Mancuso zacisnęła dłonie.

– Sami nie wiemy, co robić. Tara była takim miłym dzieckiem... Wesołym, pełnym życia... –Spojrzała z rozpaczą na męża.

- Ostatnio bardzo się zmieniła – włączył się wreszcie. – To się zaczęło rok temu.

Nagle zamknęła się w sobie.

- I stała się smutna – dodała szybko jego żona.

- Zaczęła się obracać w złym towarzystwie...

- To tamte dziewczyny miały na nią fatalny wpływ – potwierdził pan Mancuso.

– To z ich powodu stała się niegrzeczna i zaczęła przynosić złe stopnie. W ogóle nie sposób z nią rozmawiać. Zrozpaczona matka pochyliła się w stronę Liz, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Czasami całymi godzinami siedzi zamknięta w swoim pokoju. Boję się, że przestała nawet wierzyć w Boga. – Zaczęła płakać, wycierając łzy chusteczką. – Nic nie pomaga – chlipała. – Może trochę te rozmowy z panią pastor, ale po jej zniknięciu...

Na wzmiankę o siostrze Liz poczuła skurcz serca, ale starała się przede wszystkim skupić na problemach nastolatki.

- A jak odebrała to zniknięcie?

– Jeszcze bardziej zamknęła się w sobie – odparł po chwili wahania pan Mancuso. – Wydawała się... – urwał, szukając właściwego słowa.

- Prerażona – podsunęła mu żona. – Jakby stało się coś naprawdę złego.

Liz potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie.

- Czy nie sądzicie państwo, że Tara może zażywać narkotyki?

- Narkotyki? – powtórzyli zdezorientowani.

- Sądząc z państwa opisu, to zupełnie prawdopodobne.

Małżonkowie spojrzeli po sobie, a potem znowu utkwili w niej niespokojny wzrok.

- Ale skąd miałyby je wziąć?

Wydawali się naprawdę zdziwieni i Liz zrobiło się ich żal. Można by sądzić, że tego rodzaju naiwność należała już do przeszłości, lecz całkiem często dotykała tych rodziców, którzy nigdy nie mieli nic wspólnego z narkotykami. Zdarzało się to zwłaszcza wśród uboższych rodzin.

– Narkotyki są wszędzie – mruknęła Liz, a gdy w pokoju zapadła cisza, uznała, że teraz kolej na nią.

– Może powiem coś o sobie. Jestem pracownikiem socjalnym z doświadczeniem klinicznym, od sześciu lat prowadzę też praktykę prywatną. Specjalizuję się w problemach rodzinnych, w tym problemach młodzieży...

– Pracownikiem socjalnym? – zdziwił się pan Mancuso. – Myślałem, że jest pani psychologiem.

– To bardzo pokrewne dziedziny – odparła, splatając dłonie na biurku. – Mamy zbliżone wykształcenie i różnią nas jedynie metody pracy. Psycholog skupia się na samym pacjencie i w nim próbuje znaleźć przyczyny zaburzeń, natomiast pracownik socjalny stara się znaleźć te przyczyny w środowisku pacjenta, to znaczy wśród przyjaciół, w pracy, szkole... Ale nie pomija też jego osobowości. Stara się usunąć to, co powoduje problemy...

– I myśli pani, że to uda się z Tara?

– Najpierw musiałabym z nią porozmawiać, jednak z doświadczenia wiem, że tylko nielicznym osobom nie można pomóc.

Zamiast się ucieszyć, kobieta jęknęła.

– A jeśli nasza Tara jest właśnie taka? Jeśli nie można jej pomóc?

– Nie sądzę – ucięła krótko Liz. – I to z paru powodów. Po pierwsze wygląda na to, że miała normalne i szczęśliwe dzieciństwo, a po drugie problemy pojawiły się niedawno. I po trzecie wygląda na to, że już pomogły jej rozmowy z panią pastor...

Pani Mancuso spojrzała na męża, a potem znowu na Liz.

– Pastor Collins mówił, że... że nie jest pani taka droga...

Liz uśmiechnęła się lekko na ten marketingowy zabieg.

– Myślę, że się dogadamy – rzekła uspokajająco. – Chciałabym najpierw porozmawiać z Tara, ustalić, jak często powinnam się z nią spotykać, a potem będziemy mogli wrócić do tej rozmowy, dobrze?

Oboje skinęli głową, jakby mieli to już przemyślane. Od razu też umówili córkę na popołudnie.

Pierwsze spotkanie z Tarą Mancuso przebiegło mniej więcej tak, jak Liz się spodziewała. Nastolatka w ogóle nie patrzyła jej w oczy i rzadko się odzywała. Siedziała ponura i zagniewana.

Liz zupełnie to nie dziwiło. Z nieletnimi pracowało się bardzo ciężko, zwłaszcza jeśli sami nie widzieli takiej potrzeby. Po pierwszym spotkaniu stwierdziła więc, że będzie musiała spotykać się z Tarą dwa razy w tygodniu, chociaż zdawała sobie sprawę, że trudno to będzie osiągnąć. Zarówno z powodu samej Tary, jak i jej rodziców, chociaż ci wyglądali na

zdecydowanych zrobić wszystko, żeby pomóc córce.

W końcu, po pewnych wahaniach, Liz zdecydowała się tylko na jedną sesję tygodniowo. Umówiła się więc z dziewczyną za trzy dni i czekała niecierpliwie na to spotkanie, licząc, że da ono lepsze efekty.

Jeśli Tara w ogóle się pokaże w jej gabinecie.

Przyszła, choć piętnaście minut po czasie. Liz przywitała się z nią i wskazała krzesło.

– Jak się dzisiaj miewasz, Taro?

Dziewczyna zacisnęła usta, a potem spojrzała w bok. Słońce, które wpadało do pokoju, ozłociło jej twarz i w jego świetle wyglądała na jeszcze bledszą, a cienie pod oczami stały się bardziej widoczne.

Możliwe, że coś bierze, pomyślała Liz. W tej chwili wyglądała na narkomankę, chociaż z drugiej strony mógł to być efekt ciężkich przeżyć z ostatnich tygodni czy nawet miesięcy.

Liz postanowiła wypróbować inną taktykę.

– Czy jesz coś ostatnio?

To pytanie zaskoczyło Tarę, ponieważ uniosła głowę.

– Co takiego?

– Czy w ogóle coś jesz?

– A dlaczego pani pyta?

– Bo kiepsko wyglądasz.

Tara skuliła się. Wyglądała buntowniczo i zarazem żałośnie.

– Po prostu gorzej się ostatnio czuję – stwierdziła, a Liz odniosła wrażenie, że mówi to z poczuciem winy. Wobec kogo? Rodziców? – Kiepsko śpię i nie mogę jeść, bo ciągle...

Urwała, ale Liz doskonale wiedziała, co chciała powiedzieć. Dlaczego jednak miałyby wymiotować? Czyżby to była bulimia albo anoreksja?

– Czy mogę ci jakoś pomóc? Tara zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Nie sądzę.

– Rodzice bardzo się o ciebie martwią. Nagły skurcz przebiegł po jej twarzy.

Dziewczyna obejrzała się w stronę zamkniętych drzwi.

– Tak, wiem – bąknęła. – Bardzo mi przykro. Ja... Zagryzła wargi i znowu spojrziała w dół.

– Co takiego, Taro? – spytała łagodnie Liz. Dziewczyna wciągnęła głęboko powietrze i potrząsnęła głową.

– Nie chcę o tym rozmawiać!

– A o czym byś chciała?

– W ogóle nie chcę z panią rozmawiać. Liz położyła dłonie na biurku.

– Dobrze, możemy więc razem posiedzieć. Ale to będzie tylko strata czasu.

– I pieniędzy moich rodziców – wtrąciła Tara.

– Oczywiście – zgodziła się Liz.

– A co to panią obchodzi? – spytała arogancko. – Nawet pani nie znam!

– Słyszałam, że rozmawiałas z pastor Howard. Błada twarz dziewczyny zrobiła się niemal szara.

– Nie chcę o tym mówić!

– Naprawdę mogę ci pomóc, Taro. Musisz mi tylko zaufać.

– Nie! – Dziewczyna skoczyła na równe nogi. – To nieprawda! Nikt mi nie może pomóc!

Liz również wstała i wykonała błagalny gest.

– Pozwól mi przynajmniej spróbować. Tak jak pozwoliłaś pastor Howard.

– No i co się z nią stało?!

Liz poczuła, że jej serce bije szybciej.

– Właśnie, co?

– Zniknęła! Zniknęła tak nagle, a ja zostałam sama...

Zakryła twarz dłońmi i cała zaczęła drżeć. Liz wydawało się, że płacze, ale kiedy ponownie zobaczyła jej oczy, okazało się, że są suche. Jednocześnie zauważyła, że coś się w nich czai, jakaś zła ciekawość.

– Czy pani jest wierząca? – spytała Tara. – Czywierzy pani w Boga, diabła, niebo i piekło?

– Tak – odparła zdziwiona Liz i zaraz dodała:

– A ty, Taro?

– Pastor Howard wierzyła. I ostrzegęła mnie przed diabłem.

Liz przez moment nie wiedziała, co powiedzieć. W tym momencie interesowały ją przede wszystkim słowa siostry. Być może stanowiły jakąś wskazówkę, gdzie należało jej szukać.

– A... a co ci powiedziała?

– Że Zły się maskuje. Że często wydaje się ponętny, żeby zwabić kogoś, ale tak naprawdę jest zepsuty do cna. I że tych, którzy mu zaufają, prowadzi do wiecznego potępienia.

Liz starała się ukryć swoje rozczarowanie. Te słowa z całą pewnością nie pochodziły od jej siostry. Znała ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że Rachel niczego takiego nie mówiła.

Liz przekrzywiła nieco głowę, przyglądając się Tarze. Poczła niepokój, widząc blask fanatyzmu w jej oczach. Pomyślała, że źródłem wszystkich problemów należy szukać w wierzeniach religijnych dziewczyny, niezależnie od tego, czy wierzyła w Boga, czy nie. Będzie musiała porozmawiać z pastorem o jej rodzinie.

– Czy mogę pani opowiedzieć pewną historię? – spytała Tara. – To dotyczy cudu.

– Tak, proszę.

Dziewczyna usiadła i oparła się o tył swego krzesła, niczym przestraszona kotka wciąż wpatrując się w jej oczy, aż wreszcie zaczęła opowieść:

– W roku 1846, kiedy kościół Rajskiej Wspólnoty wciąż należał do katolików, Matka Boska objawiła się dzieciom, które bawiły się w przykościelnym ogrodzie. Dokładnie dwadzieścia cztery godziny później z ran figury Chrystusa wypłynęła krew.

– Zaczęła drzeć. – Dwa tygodnie później zaczął się huragan, który zniszczył zarówno Key West, jak i sam kościół. Zginęła jedna trzecia mieszkańców. –

Dziewczyna zniżyła głos do pełnego napięcia szeptu. – Katolicka archidiecezja uznała to objawienie za sprawkę diabła i kazała z oficjalnych dokumentów kościelnych wykreślić wszelkie wzmianki na ten temat.

Liz chrząknęła.

– Jak się o tym dowiedziałas?

– Wyrosłam na tej wyspie – mruknęła Tara. – Niektóre historie można wymazać z papierów, ale nie z ludzkiej pamięci. – Zamilkła, patrząc w dal z nieobecną miną. – Niektórzy wierzą, że Matka Boska objawiła się po to, żeby ostrzec przed katastrofą. Że Bóg zesłał huragan, tak jak potop, żeby ukarać bezbożnych. Żeby zapłacili za swoje ciężkie grzechy...

Liz z trudem przełknęła ślinę.

– Ty też w to wierzysz, Taro?

– To nieważne.

– Owszem, ważne. Bo to by znaczyło...

– Muszę już iść. – Dziewczyna znowu wstała gwałtownie i niemal podbiegła do drzwi.

– Zaczekaj! – Liz ruszyła za nią. – Czy pani pastor też w to wierzyła? Czy opowiedziałas jej tę historię? Czy...

– Niech pani spyta księdza Paula. On w to wierzy. – Tara otworzyła drzwi i znalazła się w poczekalni.

– Taro, proszę – błagała. – Nie możesz tak odejść. Musimy...

Nie zdążyła skończyć. Drzwi wejściowe zamknęły się za dziewczyną, a następnie Liz zobaczyła jej sylwetkę w oknie.

Liz pograżyła się w myślach. Była pewna, że Tara wie, co stało się z jej siostrą. Rodzice dziewczyny się nie mylili – ich córka bała się. Bała się tego, że spotka ją taki sam los.

To z tego powodu źle spała i przestała jeść. To również tłumaczyło cienie pod jej oczami.

Wróciła do swego gabinetu. Kiedy otworzyła drzwi, zauważyła kartkę, która leżała pod jej stopami. Wzięła ją, rozwinęła i zaczęła czytać. Była to krótka informacja wydrukowana na zwykłym papierze:

Już wiedzq. Grozi ci niebezpieczeństwo. Uciekaj stąd jak najszybciej.

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Piątek, 9 listopada. 17.25

Mark stał za barem i przecierał kieliszki, które musiał wcześniej wyjąć ze zmywarki, jednak duchem był zupełnie gdzie indziej. Myślał o Tarze. O tym, co jej obiecał, i o ich jeszcze nienarodzonym dziecku.

Dobry Boże, czy właśnie to powinienem zrobić? – zastanawiał się.

– Mark?

Spojrzał na Ricka, który stał przy otwartej kasie. Chłopak zerknął na szufladę z pieniędzmi, a potem znowu na szefa i poczuł mrowienie na karku.

– Tak, szefie?

– Muszę trochę podzwonić. Mógłbyś mnie na chwilę zastąpić?

Mark odetchnął z ulgą. Na szczęście Rick nie potrafił czytać w jego myślach.

– Sam nie wiem. Niedługo zacznie się większy ruch – mruknął.

Koło szóstej zwykle napływała nowa fala gości.

– Poradzisz sobie – zaśmiał się szef. – Tylko trzymaj się z daleka od alkoholi.

– Nie ma problemu.

– I zawołaj mnie, gdyby...

– Nie ma sprawy. – Mark pchnął Ricka w stronę biura. – Wszystko będzie w porządku.

Szef machnął ręką, a potem zniknął za przeszklonymi drzwiami. Mark usłyszał jeszcze, jak otwiera drzwi swego biura, i policzył w myśli do dwudziestu. Następnie przesunął się w stronę kasy. Szuflada otworzyła się z metalicznym szczękiem.

Gdzieś za sobą usłyszał głos Ricka. Pewnie musiał mówić głośniejszym głosem przez telefon i na pewno nic nie usłyszał.

Mark poczuł nagłe wyrzuty sumienia. Miał wrażenie, że znalazł się na równi pochyłej, która prowadzi na samo dno piekła.

Jednak musiał to zrobić. Dla Tary. Dla ich dziecka. Musiał.

Oboje chcieli uciec z Key West dziś w nocy. Umówili się na spotkanie w ogrodzie przy kościele o drugiej. Wszystko już było ustalone. Na godzinę przed zamknięciem baru chłopak miał skłamać, że się źle poczuł. Zanim Rick zorientuje się, co się stało, będą już z Tarą daleko stąd.

Mark szybko wypisał weksel i wsunął go pod pojemnik z pieniędzmi, a następnie odliczył sześćset dolarów. Trzęsącymi się rękami wsadził pieniądze do kieszeni i zamknął kasę. Był przerażony. Jak będzie zarabiał na żonę i dziecko? Przecież sam z trudem się utrzymywał!

Łatwiej by mu było podjąć decyzję o ucieczce, gdyby nie to, że Tara zachowywała się ostatnio bardzo dziwnie. Wydawała się jeszcze bardziej obca i... nieszczęśliwa. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie żałowała swojej decyzji. Przecież całe życie spędziła tu, na wyspie, wraz ze swoimi rodzicami. A cóż on mógł jej zaoferować? Skromną pensyjkę pastora? Jeśli, oczywiście, ktoś zechce go przyjąć na to stanowisko.

Czasami nawiedzały go również inne myśli. Przecież dziecko wcale nie musiało być jego... Szybko jednak przywoływał się do porządku.

Jeśli mają zacząć wspólne życie, powinni je oprzeć na miłości i zaufaniu.

Zacisnął dłonie w pięści. Wiedział, że Tara czegoś się boi. Początkowo wcale go to nie dziwiło. Sam wpadał w popłoch, kiedy myślał o ich wspólnym życiu. Ale jej strach miał jakieś inne podłoże, a on mógł się tylko domyślać, o co chodzi.

Jej przyjaciele. Kiedy zaczął ją o nich wypytywać, wyznała, że rzeczywiście jej grozili. Bała się, że będą chcieli zabić ją albo dziecko.

Najpierw ją wyśmiał, bo zupełnie nie chciało mu się to pomieścić w głowie. Przecież ci jej znajomi to była grupa rozwydrzonych nastolatków, a nie jakiś gang. Jednak wciąż miał przed sobą pełne przerażenia spojrzenie Tary.

Dlatego stwierdził, że musi jej bronić. Najpierw pojedą do Humble w Teksasie. Rodzice nie będą zachwyceni tym, co się stało, ale pozwolą im się pobrać ze względu na dziecko.

Po chwili wrócił do przerwanej pracy. Właśnie patrzył pod światło na kolejny kieliszek, kiedy Rick stanął za kontuarem, a jednocześnie w barze pojawiła się grupa rozbrajonych turystów – widomy znak tego, że właśnie zaczęło się weekendowe szaleństwo.

Szef uśmiechnął się do Marka. Chłopak poczuł się podle, lecz przywołał na twarz błądy uśmiech. Musiał powtórzyć sobie w duchu, że wcale nie ukradł tych pieniędzy, tylko je pożyczył od Ricka. Zwróci je kiedyś, pewnego dnia...

Na pewno zwróci.

RS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sobota, 10 listopada 3.00

Głęboko pogrążona w zadumie Liz chodziła tam i z powrotem. Zupełnie nie chciało jej się spać. Cały czas myślała o Tarze i o znalezionej w gabinecie notatce.

Wiedziała, że powinna odpocząć, ale jak mogła to zrobić, skoro była o krok od następnego napadu lękowego?

Zatrzymała się, przymknęła oczy i zaczęła oddychać przez nos, starając się skupić na tej czynności. Wdech. Wydech. Kiedy w końcu serce zaczęło bić wolniej i ustał ucisk, który cały czas czuła w piersi, otworzyła oczy.

Dopiero teraz zauważyła, że stoi przy oknie, a światło księżycy sączy się między zamykanymi od środka okiennicami. Otworzyła je i wyjrzała na zewnątrz. Księżyc w pełni posrebrzył śpiącą na dole Duval Street. Zauważyła tylko jedną postać, która zmierziała gdzieś szybko, zapewne do domu.

Lib raz jeszcze zaczęła przypominać sobie wszystkie szczegóły spotkania z Tarą i po raz kolejny dochodziła do tego samego wniosku – dziewczyna czegoś się bała. Liz uważała, że wiązało się to z tym, co wiedziała na temat zniknięcia Rachel.

Czasami przychodziło jej do głowy, że siostrę zabito właśnie z powodu Tary, ale nie potrafiła tego połączyć w logiczną całość. Jednak gdyby tak rzeczywiście było, w żadnym wypadku nie powinna podejmować się tej terapii.

Znowu poczuła strach, ale jakoś udało jej się go przezwyciężyć. Nie może poddawać się lękom, musi znaleźć na nie jakiś sposób. Przecież przyjechała na Key West po to, żeby dowiedzieć się, co stało się z Rachel. Musi wytrwać, nawet jeśli będzie się to wiązało z największym stresem.

Nawet jeśli ktoś będzie jej groził. Ktoś, kto boi się stanąć z nią twarzą w twarz.

Czytała podrzuconą informację wiele razy i знаła ją na pamięć: „Już wiedzą. Grozi ci niebezpieczeństwo. Uciekaj stąd jak najszybciej”.

Kto wiedział i o czym? Zapewne ludzie, którzy zabili jej siostrę, dowiedzieli się, że Liz przybyła na wyspę. Świadczyło o tym następane zdanie. Gdyby przyjechała tu jako turystka lub po to, by pracować jako ekspert socjalny, nie groziłoby jej żadne niebezpieczeństwo. Ci ludzie domyślali się, że zjawiała się tu, by dotrzeć do prawdy.

Być może sami napisali tę kartkę, ponieważ również ich ogarnął strach...

Istniała też możliwość, że jest to po prostu czyjś głupi kawał. Ten człowiek musiałby jednak znać jej prawdziwą tożsamość... Ta układanka w żaden sposób nie chciała jej się złożyć w logiczną całość.

W głębi ducha wątpiła, by komuś chciało się w ten sposób żartować. To, że podrzucono jej tę kartkę w czasie spotkania z Tarą, nie mogło być przypadkiem. Oni ostrzegali. Jednocześnie dawali jej drogę odwrotu. Jeszcze... Tyle że Liz nie chciała... nie mogła z niej skorzystać.

Tak, Tara z pewnością jest kluczem do całej sprawy. Niestety, Liz nie miała na to żadnych dowodów poza silnym przekonaniem, że tak jest w istocie.

Obejrzała się przez ramię. Kartka leżała na szafce nocnej obok telefonu. Mogłaby ją pokazać policji... i co dalej? Opowiedzieć o Tarze? I o swoich podejrzeniach?

Nie, to nie miało sensu. Porucznik Lopez natychmiast by ją wyśmiał, żądając przy tym stanowczo, by zaprzestała dalszych poszukiwań.

Liz zakryła twarz rękami.

– Co się z tobą stało, Rachel? – szepnęła. – Co się stało?

Znowu poraził ją strach. Zrobiło jej się gorąco, a skóra pokryła się potem. Wóz albo przewóz, pomyślała szybko. Albo, albo. Nie może tak trwać w ciągłym zawieszeniu.

Muszę coś zrobić, myślała gorączkowo. Jeszcze teraz, póki nie jest za późno.

Pobiegła szybko do przedpokoju. Chwyciła buty do biegania, a potem zawróciła, żeby włożyć ciepłe skarpety. Kiedy już się odpowiednio ubrała i związała włosy w koński ogon, ruszyła na ulicę.

Zaczęła biec, wciągając do płuc nieco chłodniej– sze, nocne powietrze. Nagle zdała sobie sprawę, że czuje się świetnie. Nareszcie swobodna i wolna od strachu. Co więcej, miała takie wrażenie, jakby ten strach nigdy nie istniał. Czyżby właśnie tego jej było trzeba? Czyżby właśnie o to chodziło? Powinna ruszać do akcji, gdy tylko czuła się nieco gorzej.

Działać szybko i zdecydowanie.

Liz zaśmiała się i rozejrzała na boki. Ulica była zupełnie pusta, co rzadko się tu zdarzało. Ale cóż, nawet najbardziej zagorzali imprezowicze też muszą odpocząć.

Minęła „Island Hideaway” i kościół. Przebiegła jedną przecznicę, potem następną.

Nagle się zatrzymała. Serce znowu skoczyło jej do gardła. Wolno się odwróciła, nikogo jednak nie spostrzegła. Zmarszczyła brwi i przesunęła się w cień.

Zdawało się jej, że usłyszała głos siostry.

– Rachel? – szepnęła.

Uniosła wzrok w stronę białej sylwetki kościoła, doskonale widocznej na tle ciemnego nieba.

Nie, to nie była Rachel, tylko jej świątynia.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że jest to szaleńcza myśl, tylko ruszyła w stronę Rajskiej Wspólnoty. Najpierw wolno, a potem coraz szybciej. Serce przyspieszyło wraz z nią, aż w końcu czuła się tak, jakby chciało jej wyskoczyć z piersi.

Po chwili dotarła do białych murów i stanęła, czekając, co się stanie. Witraże lśniły lekko, jakby od środka oświetlało je delikatne światło. Popatrzyła na wielką bramę, a potem na wieżę kościelną i dzwonnice.

Dlaczego tu przyszła? O co jej mogło chodzić?

Być może naprawdę zwariowała.

Usłyszała jakiś dźwięk i spojrzała w tamtym kierunku. Coś działo się w ogrodzie.

Powiał lekki wietrzyk od morza i zaszeleściły liście. Z drzewa zerwało się samotne ptaszysko. Znowu dobiegły do niej odgłosy drapania, a także cichy okrzyk.

Liz podbiegła do ogrodowej furty. Wiedziała od przewodniczki, że zamykano ją na noc w obawie przed pijakami, nieproszonymi kochankami, a także chuliganami, którzy mogliby zniszczyć figurki.

Z każdym krokiem bała się coraz mocniej. Miała ochotę zwać gdzie pieprz rośnie. Znowu poczuła pot nad górną wargą i znajome drżenie, które powoli zaczęło w niej narastać.

Co się z nią dzieje, na miłość boską?! Czyżby chciała się sprawdzić? Przecież jest środek nocy, a ona zupełnie nie zna tego miasta!

Czy jestem gotowa na to, by podjąć walkę z własnym strachem i tym wszystkim, co mnie czeka? – pytała samą siebie. Czy starczy mi zimnej krwi?

Nie czekając na odpowiedź, której przecież nie mogła sobie udzielić, nacisnęła klamkę. Drewniana furta otworzyła się wolno. Coś przemknęło pod jej nogami. Omal nie krzyknęła, ale zaraz zachciało jej się śmiać, gdy spostrzegła uciekającego kota. Biedne zwierzę zgłodniało w ogrodzie i zaczęło przeraźliwie mauczeć...

No dobrze, skoro tak, to chyba warto by się tu rozejrzeć...

Nieco pewniej wsunęła się do środka i aż oniemiała z zachwytu. Ogród wyglądał nieziemsko w świetle księżycy. Jak jakiś raj na obcej planecie.

Przeszła dalej, wciągając egzotyczne zapachy jaśminu, imbiru i oliwek. Patrzyła na pobłyskujące kwiaty i liście w dziwnych kształtach. A także na korzenie figowców, które wyglądały jak rzeźby.

Nagle dostrzegła coś nienaturalnie białego na ciemnym kobiercu zieleni. Podeszła bliżej. Dotarło do niej, że na pewno nie jest to kwiat...

Ręka.

Poczuła, jak narasta w niej krzyk. Mimo to zdołała się opanować i kucnęła obok ciała. Wiedziała, że ta osoba nie żyje. Trzęsącą się dłonią odgarnęła kwiaty z jej twarzy.

Zmartwiła z przerażenia, a potem poderwała się z głośnym krzykiem. Odwróciła się i pobiegła w stronę furtki. Potknęła się i upadła na kolana, ale szybko wstała, wołając o pomoc.

Tara! Dobry Boże, więc jednak zabili Tarę!

Wreszcie dotarła do furtki i ponownie potknęła się, wypadając na ulicę. Ktoś złapał ją mocno za ramię. Liz krzyknęła jeszcze głośniej.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Sobota, 10 listopada 3.45

Kobieta wpadła w histerię, ale Rick przytrzymał ją mocno i nie pozwolił, by za bardzo go skopała i podrapała. Jej głośne krzyki przesywały nocną ciszę.

W końcu wycelowała dobrze i kopnęła go w go–leń. Puścił ją i syknął z bólu.

– Cholera – zaklął. – Mogłaby pani uważać. Zaczął masować obolałą nogę.

– Co... co pan? – powiedziała niewyraźnie.

– Nie chciałem pani zrobić nic złego – zarzekał się. – Gdybym pani nie złapał, poleciałaby pani prosto na chodnik. Cholera. – Znowu zajął się golenią.

– Przepraszam, ja nie... – Liz zadrżała. – Tam w ogrodzie... Tam jest Tara.

Ktoś...

Zerknął w stronę otwartej furtki.

– Ktoś tam jest?

– Tara... – odpowiedziała i natychmiast zakryła sobie usta. W jej oczach pojawił się strach. – Ktoś ją... zabił – dodała po chwili.

Rick zmarszczył brwi, pewny, że źle zrozumiał.

– Chce pani powiedzieć, że tam w ogrodzie jest ktoś... martwy?

Skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Zamor... mordowany – wyjąkała.

Rick jeszcze raz spojrział w stronę ogrodu. Średnia zabójstw na Key West ledwie była widoczna w dole amerykańskiej skali, ot, jakiś tam ślad, a częściej w ogóle zanikała. Trudno więc było mu uwierzyć, że nieznajoma rzeczywiście natknęła się na trupa.

– Może ta osoba po prostu zasnęła – mruknął. – Sprawdziła pani puls? – A gdy potrząsnęła głową, dodał: – Dobra, niech pani tu zaczeka. – Z żalem spojrział w stronę baru. – Gdzie ją pani widziała?

– Tam, z tyłu. Widziałam rękę, a potem... – Urwała przerażona.

– Zaraz to sprawdzę – powiedział, a potem jeszcze raz spojrział w stronę nieznaną. Wpatrywała się w niego wielkimi ze strachu oczami. – Nic pani nie będzie?

Po chwili udało jej się pokręcić głową, chociaż wcale nie wyglądała na przekonaną. Rick bez ociągania ruszył przed siebie. Chociaż instrukcje nie były zbyt składne, szybko znalazł dziewczynę. Od razu stwierdził, że nie musi sprawdzać jej tętna.

Ktoś poderżnął jej gardło. W trawie widać było olbrzymią plamę krwi. Rick odgarnął kwiaty, żeby dobrze przyjrzeć się temu, co się stało. Dawno nie oglądał takich widoków i teraz poczuł się nieco słabo.

Cholerny skurwysyn! Dlaczego takie rzeczy jeszcze się zdarzają?!

Odwrócił się i pospieszył do kobiety. Już z daleka dostrzegł, że opierała się o furtkę. Czyżby miała zemdleć?

– I? – spytała tylko.

– Nie żyje – mruknął, odpinając telefon komórkowy. Szybko wystukał numer policji i podał jej aparat. – Niech pani powie o tym, co się stało. I proszę powiedzieć officer dyżurnej, że jest z panią Rick Wells.

Zrobiła to, co kazał, a Rick wrócił do ogrodu. Jako policjant, wprawdzie były, ale jednak policjant, wiedział, że musi przede wszystkim zabezpieczyć miejsce przestępstwa.

Spojrział raz jeszcze na dziewczynę. Była ładna i bardzo młoda. Miała długie, ciemne włosy i delikatne rysy. Zmrużył oczy. Czyżby już gdzieś ją widział? Potrzebował czasu, żeby sobie przypomnieć. Tak, mieszkała na Key West. Widywał ją z grupą młodzieży, która chodziła do różnych lokali przy Duval Street, że dwa razy wpadała też do niego. Lecz on nigdy nie podawał alkoholu nieletnim, więc musiało ich to zniechęcić.

Rick uważnie studiował rośliny i krzaki. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyna nie walczyła. Pewnie zabójca zaszedł ją z tyłu i poderżnął gardło, zanim zorientowała się, co się dzieje.

Tylko co mogła tu robić w środku nocy? Sądząc po niewielkich plamach opadowych i stężeniu pośmiertnym, musiała umrzeć całkiem niedawno. Może jakąś godzinę albo dwie temu.

Spojrzał na jej dłonie. Jedna leżała luźno, a druga była zaciśnięta w pięść. Na żadnej nie było skaleczeń czy zadrapań. Pochylił się mocniej, korzystając z jasnego światła księżyca. Wydało mu się, że denatka zaciskała w rękę kawałek papieru.

Nagle dobiegły do niego jakieś głosy. Val i Carla, pomyślał. Wyprostował się, żeby ich powitać.

– Co robisz? – syknął Val.

Rick zeszywniał, słysząc jego ton.

– A jak sądzisz? Sprawdzam miejsce zabójstwa.

– To nie twoja sprawa. Możesz już iść.

Rick nie ruszył się z miejsca, tylko spojrzał na Carlę, ale ona odwróciła wzrok.

– Sam mówiłeś, że glina jest się do końca życia – warknął do Vala.

– Carla, odprowadź stąd pana Wellsa.

Rick spojrzał ostrzegawczo na byłą podwładną.

Nie pozwoli, żeby go stąd odprowadzano jak jakiegoś natrętnego gapia.

– O co chodzi, Val? Jedenaście lat pracowałem w policji i mam na koncie więcej takich spraw, niż ty będziesz miał przez całe życie. Powinieneś być wdzięczny, że się tym zająłem. I przynajmniej zapytać, co o tym sądzę.

Val zmrużył oczy.

– Coś tutaj robiłeś?

– Sprawdziłem tylko jej tętno. Zgodnie z instrukcją. Tylko tyle.

– Więcej nie dotykałeś ciała?

– Zrobiłem jej sztuczne oddychanie. – Spojrzał na poważną twarz kolegi. – Nie, do cholery. Jasne, że nie.

Val cały poczerwieniał.

– Do licha, Rick, przecież jesteś cywilem. Poza tym pierwszy ją znalazłeś, więc jesteś też pierwszym podejrzanym. Tak, wiem, że tylko chwilowo, ale zawsze – stłumił jego protest. – Przecież sam wiesz, że to tak wygląda.

- Dobra. – Rick pokręcił głową. – Wiesz, gdzie mnie szukać.
- Nic z tego. Za chwilę masz złożyć zeznanie.
- Tak jest, poruczniku.

RS

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sobota, 10 listopada 4.28

Pół godziny później Carla skończyła przesłuchanie Liz Ames i pastora Collinsa, który obudził się z powodu hałasów przy kościele, i ruszyła w stronę Ricka, który krążył przy furtce niczym uwięzione zwierzę.

Podeszła do niego z obawą. Wcale nie miała ochoty na tę rozmowę. Był wściekły na Vala, lecz na niej miało się to skupić.

Doskonale rozumiała jego gniew. Ktoś zamordował tę dziewczynę. Rick był tu niedługo po dokonaniu zabójstwa i instynkt gliniarza kazał mu natychmiast zabrać się do badania śladów. Jednak najlepszy przyjaciel zabronił mu tego, co więcej, wręcz demonstracyjnie zignorował jego wnioski.

Oczywiście Rick miał rację. Do prowadzenia tej sprawy nadawał się lepiej niż Val, który rzadko stykał się z morderstwami, a co ważniejsze, Rick miał ten policyjny instynkt, który pozwalał powiązać najbardziej odległe ślady czy dowody. Val dopiero się tego uczył, a ona... zaczęła mieć nadzieję, że też coś potrafi.

Ku wyraźnemu niezadowoleniu Vala.

Znowu spojrzała na Ricka. Chociaż nie nosił odznaki, wciąż był doskonałym gliną. Carla zadrżała. Szkoda, że widziała tę dziewczynę. Ten widok był jeszcze bardziej poruszający niż rozkładające się zwłoki Bernhardta.

Obawiała się, że po powrocie do domu nie będzie mogła zasnąć.

– O co mu, do diabła, chodziło?! – Rick od razu wsiadł na nią. – Widziałas, jak mnie potraktował?

Carla spojrzała za siebie. Zobaczyła odchodzącego pastora i Elizabeth Ames.

– Daj mu spokój – mruknęła. – Po prostu Val jest bardzo spięty, bo sytuacja stała się poważna.

Rick zniżył głos:

- Czy jest coś, czego nie wiem? – spytał.
- To nie Miami, Rick – szepnęła drżącym głosem.
- Nie mamy kilku morderstw każdego dnia.

Uśmiechnął się do niej.

- Jak ci leci?
- W porządku. – Spuściła oczy. – Fatalnie. Nie wytrzymałam i porzygałam się

do krzaków. Zupełnie nie nadaję się do tej roboty – zakończyła zdruzgotana.

Daj spokój, nikt się nie nadaje. – Westchnął.

- Myślisz, że mnie się nie robi niedobrze na taki widok?

Carla zwilżyła wyschnięte wargi.

– Morderstwo w miasteczku to będzie duża sprawa. W dodatku zginęła miejscowa dziewczyna, a nie jakiś turysta, jak to już bywało.

- Tak, masz rację. Jak rozumiem, wiesz, kim jest ofiara?
- Tara Mancuso, uczennica liceum. Val zna tę rodzinę. To rdzenni mieszkańcy

wyspy, a nie przyjezdni, jak ja.

Carla zauważyła, że Rickowi powoli mija cała złość.

- I co o tym myśli?
- Wydaje mi się, że na razie jest po prostu zdumiony, kompletnie zaskoczony, jak my wszyscy. Obejrzała się za siebie. – A ty masz jakieś podejrzenia?

Rick zmarszczył brwi.

– Nie, ale wiem, że znała zabójcę i że nie był to atak na tle seksualnym. W ogóle nie zauważyła tego, co się stało.

- Bogu dzięki.

Pochylił się w jej stronę. Poczula zapach jego wody po goleniu i na moment zapało jej dech w piersiach.

- Carla, to morderstwo – szepnął. – Sposób, w jaki tego dokonano...

Urwał, kiedy z mroku wyłonił się zmartwiony Val.

– Przepraszam, stary, że musiałeś czekać – rzucił w jego stronę. – Jasna cholera, coś takiego na mojej wyspie! – Odwrócił szybko głowę, ale Rickowi wydawało się, że dostrzegł łzy w jego oczach.

– Znam jej rodziców. Sam nie wiem, jak im to powiedzieć.

Rick doskonale go rozumiał. Jemu też zdarzało się być w podobnej sytuacji.

– Bardzo mi przykro.

Val skinął głową, próbując się pozbierać.

– Czy Carla spisała twoje zeznania?

– Właśnie mieliśmy się za to zabrać – wtrąciła policjantka, wyjmując notes z kieszonki. –No, gadaj – zwróciła się do Ricka.

– W zasadzie nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Zamykałem właśnie bar...

– O której to było? – spytał Val.

– Koło pół do czwartej.

– Hm, późno...

– Tak. – Zerknął na kumpla. – Miałem więcej klientów, za to mniej pracowników.

– Ktoś nie przyszedł do pracy?

– Ba, żeby to jedna osoba. Najpierw zadzwoniła Libby, że jest chora, a potem, koło drugiej, Mark Morgan poczuł się kiepsko i poszedł do domu.

– Więc od drugiej byłeś sam w barze? Rick pokręcił głową.

– Od drugiej trzydzieści. Właśnie wtedy udało mi się wykopać Pete'a.

Carla wiedziała, że mówił o miejscowym pijaczku, który spędzał większą część swego czasu w barach, zamieniając na drinki historie z przeszłości Key West, jeszcze z czasów, kiedy marynarze z wojennej floty USA przeważali liczebnie nad stałymi mieszkańcami. Jego ulubiona opowieść dotyczyła kryzysu kubańskiego i wszystkiego, co się z nim wiązało.

– A potem co?

– Byłem zmęczony, więc tylko trochę ogarnąłem lokal i włożyłem pieniądze z kasy do sejfów, a rozliczenie dnia odłożyłem na rano. Chciałem się jak najszybciej położyć. Właśnie zamykałem „Hideaway”, kiedy usłyszałem krzyk tej kobiety.

– To znaczy?

– Pani Ames. Później dowiedziałem się, jak się nazywa.

– Aha, czy to znaczy, że nie widziałeś jej wcześniej? – spytała Carla.

– Nie, nigdy.

– I co dalej? – ciągnął Val.

– Krzyki dobiegały z ogrodu. Kiedy dotarłem do furki, właśnie wybiegała.

Przewróciłaby się, gdybym jej nie złapał, a ona wpadła w histerię. Szczerze mówiąc, wcale się jej nie dziwię. Kiedy udało mi się ją uspokoić, powiedziała mi o tej dziewczynie.

– Co dokładnie powiedziała?

Rick próbował sobie przypomnieć.

– Coś o martwej dziewczynie w ogrodzie. Od razu mówiła, że to morderstwo.

– A ty co zrobiłeś?

– Myślałem, że się myli, że to jakaś narkomanka albo pijaczka. Dlatego poszedłem, żeby to sprawdzić. Wystarczyło jednak popatrzeć, by zrozumieć, że miała rację. Rick urwał na chwilę, a jego dłonie same zacisnęły się w pięści. – Więc wróciłem do pani Ames i dałem jej moją komórkę, żeby do was zadzwoniła. Resztę wiecie. Oglądałem właśnie cia-

ło, kiedy przyjechaliście.

Val skinął głową.

– Dobra, dzięki. Na razie nam to wystarczy.

Rick wzruszył ramionami.

– Mówiłem przecież, że wiecie, gdzie mnie znać leżę.

– Jasne.

Carla patrzyła za byłym szefem. Tak bardzo chciała pobiec za nim, pragnęła, żeby wziął ją w ramiona i pocieszył.

Dziś dałaby się pocieszyć komukolwiek.

Wciąż miała przed oczami pozbawioną życia twarz Tary. Dziewczyna wyglądała tak, jakby jej głowa miała lada chwila odpaść. Zadrżała i poczuła, że znowu robi jej się niedobrze. Wciągnęła powietrze, chcąc przewyciężyć to uczucie.

– Dowiedziałas się czegoś ciekawego od pastora albo tej kobiety? – zapytał Val.

– Nic, co mogłoby mieć większe znaczenie – odparła, otwierając notes na poprzedniej stronie. – Pastor poszedł spać o dziesiątej i nie słyszał niczego podejrzanego. Obudziły go nasze światła.

– Nie dotarły do niego krzyki pani Ames? – zdziwił się Val.

– Oczywiście zapytałam go o to, ale powiedział, że zawsze śpi bardzo mocno.

Val zmarszczył czoło.

– Rick usłyszał ją, chociaż był koło baru, a do niego nic nie dotarło. Dziwne.

– Ale tak właśnie twierdzi.

– A co z panią Ames? Skąd się tam wzięła?

– Mówiła, że nie mogła zasnąć i wyszła pobiegać. A potem usłyszała jakieś odgłosy, które dochodziły z ogrodu...

– Zaraz, zaraz. Uprawiała jogging o trzeciej w nocy?!

– Pytałam ją dwa razy. – Carla rozłożyła ręce. – W ogóle jest jakaś dziwna.

Val zmrużył oczy.

– I co dalej?

– Powiedziała, że kościół ją wołał. Przecież tylko powtarzam – dodała, widząc minę szefa.

– Tak, jasne.

– Powiedziała, że przebiegła obok kościoła i zatrzymała się przy Fleming Street.

Poczuła się tak, jakby ktoś ją zawołał po imieniu... jakby wołał ją kościół.

– Naprawdę usłyszała jakiś głos?

– Wydaje jej się, że tylko w myśli, choć to było zarazem rzeczywiste. Wiem, jak to brzmi, ale to jej słowa – dodała, znowu widząc niedowierzanie w oczach Vala. – Była wstrząśnięta. Powtarzała, że mogłaby uratować tę małą, gdyby zjawiała się tu wcześniej.

– Była pijana albo naćpana?

– Nie sprawiała takiego wrażenia. Jej źrenice reagowały na światło i dość składowanie przekazała mi to, co chciała przekazać.

Zgnębiony Val westchnął głęboko.

– Świetnie, nasz główny świadek słyszy głosy.

Dziennikarze będą zachwyceni.

– Moim zdaniem wycofa się z tego jutro rano.

– Carla pokręciła głową.

– Zobaczymy. Nie byłbym taki pewny. – Val spojrział na zegarek. – Coś jeszcze?

– Tak. Pani Ames знаła ofiarę. Szefer wytrzeszczył oczy.

– Słucham?

– Tara była jej klientką. Polecił ją pastor Collins. To w końcu małe miasto.

– Jesteś pewna?

– Jasne, Key West liczy sobie...

– Nie o to chodzi – przerwał jej zniecierpliwiony Val. – Z tego co mówisz, wynika, że zarówno pastor Collins, jak i pani Ames znali ofiarę. I jako pierwsi się tutaj pojawili.

– Myślisz, że coś w tym jest?

– Sam nie wiem. Teraz jest czas na zbieranie danych. Niczego nie możemy wykluczyć. – Val wskazał furtkę. – Tak swoją drogą, powinna być zamknięta na noc.

Carla skinęła głową.

– Robiono tak, od kiedy ktoś zniszczył figurki.

– Więc jak ofiara... i zabójca się tam dostali?

– Nie pytałam o to. – Pokręciła głową.

– Więc będziesz jeszcze musiała pogadać z pastorem. – Spojrział w stronę parkingu. – O, przyjechała już ekipa techniczna. Wezwałeś Charliego?

– Wydaje mi się, że tak. Jeszcze sprawdzę.

– Dobrze. I zadzwoń do doktora Dana na Marathon. Chcę mieć jak najszybciej wyniki autopsji.

–Skinęła głową, a Val spojrział na zmierzającego w ich kierunku szefa ekipy technicznej.

– Czy coś jeszcze? – spytała Carla.

– Mhm. Chcę wiedzieć wszystko o tej dziewczynie. Z kim się przyjaźniła, z kim chodziła, a także jakich miała wrogów. Musisz porozmawiać z jej rodzicami, nauczycielami i sąsiadami. – Spojrział na nadchodzącego mężczyznę. – Cześć – przywitał się krótko. – Ciało jest tam.

Szef ekipy skinął głową i zabrał swoich ludzi. Po chwili wszyscy zniknęli w ogrodzie. Val znów spojrział na Carłę.

– Chcę też wiedzieć, jak spędziła ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Co robiła, z kim się spotykała, co jadła... Dosłownie wszystko.

Skinęła głową i zamknęła swój notatnik.

– A co z prasą?

– Jak długo się da, trzeba trzymać ją z daleka od tej sprawy. Wolałbym mieć już podejrzanego lub... podejrzaną, zanim wszystko się rozniesie. Rozmawiałem o tym z Reidem i mam jego poparcie.

– A co z jej rodziną?

– Ja to załatwię. – Znowu spojrział na zegarek, zastanawiając się zapewne, jak długo może jeszcze zwlekać z wizytą u rodziców Tary. – Mam czas. Pojadę do nas, a ty czuwaj, żeby wszystko przebiegło jak trzeba. Potem... sam się tym zajmę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Sobota, 10 listopada 8.00

Rick zastukał do otwartych drzwi Vala. Przyjaciel uniósł głowę. Jego spojrzenie i zmęczona twarz wskazywały, że po powrocie z kościoła już nie zmrużył oka. Podobnie jak Rick.

Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Chodził po sypialni, wciąż myśląc o całej sprawie. Rozpoznał styl, w jakim dokonano tej zbrodni. Charakterystyczne ślady na kończynach i tułowiu Tary, a także pozycja, w jakiej ułożono ciało... Nie wiedział tylko, gdzie się z tym wcześniej zetknął.

Przynajmniej na początku.

– Mamy poważny problem – powiedział, wchodząc bez zaproszenia do środka.

Val przeciągnął dłonią po twarzy.

– Wiesz co, nie chcę się z tobą kłócić. Odebrałem już telefony od burmistrza, przewodniczącego Izby Turystyki, no i oczywiście reportera „Miami Herald”.

– I z pewnością możesz spodziewać się następnych. – Rick położył wydruk komputerowy na biurku kumpla. – Popatrz na to.

– Co to takiego?

– Informacje, które ściągnąłem dziś w nocy z Internetu. – Rick potarł przekrwione oczy. – Pamiętasz serię morderstw w Miami dwanaście lat temu? Nazwano je „nowotestamentowymi”. A może mówi ci coś nazwisko Taft, Gavin Taft?

Val potrząsnął głową.

– Nie, nic. Możesz mi to przypomnieć?

– Tuż przed moim rozpoczęciem pracy w Miami–Dade ktoś poderznął gardła paru kobietom i pokaleczył ich ciała. Zbrodnie skojarzono z Nowym Testamentem ze

względu na te rany oraz sposób, w jaki układano ofiary. Jakby wisiały na krzyżu. Podobno morderca wypisywał na denatkach fragmenty z Nowego Testamentu. – Rick urwał i zamyślił się na chwilę. – Dochodzenie nic nie dało, aż w końcu policjant, który przypadkowo zatrzymał Tafta za przekroczenie szybkości, zauważył krew na jego rękach.

Val skinął głową.

- Coś sobie przypominam. Ale chyba go wtedy skazali?
- Tak. Czeka na wyrok śmierci i wniósł kolejną apelację.
- Jak zwykle! – Val zacisnął zęby. – Jak te wszystkie sukinsyny! Powinni...
- Jest coś jeszcze – przerwał mu Rick. – W Internecie odkryłem fanklub Gavina

Tafta oraz parę czatów na temat jego morderstw. Znajdziesz je na wydrukach.

Kiedy porucznik zabrał się do przeglądania papierów, Rick zaczął chodzić po pokoju, przypominając sobie wszystkie szczegóły tamtej sprawy. Niektórzy z jego kolegów uważali, że Taft nie pracował sam i miał co najmniej kilku wspólników. Byli też tacy, którzy sądzili, że Taft jest niewinny i że prawdziwy zabójca pozostaje na wolności.

- Jezus Maria – jęknął Val, podnosząc wzrok znad papierów. – Jak sądzisz, z kim mamy do czynienia? Z naśladowcą?
- Bardzo możliwe – westchnął Rick. – To morderstwo jest na tyle podobne do „nowotestamentowych”, że nie możemy tego lekceważyć.
- A jeśli to nie naśladownictwo?
- Niewykluczone, że Taft miał jakiegoś wspólnika albo... wspólników. Niektórzy koledzy tak właśnie uważali.

Val pokręcił głową.

- Więc co robił ten wspólnik przez ostatnie cztery lata?
- Może działał w innej części kraju. – Rick wzruszył ramionami. – A może tylko się przyczaił albo siedział w więzieniu z jakiegoś innego powodu.
- A może jeszcze powiesz, że to nie Taft załatwił te wszystkie kobiety? – zaśmiał się sucho Val. – Że skazano niewłaściwą osobę.

- Takie rzeczy też się zdarzają.
- Ale nie w tym przypadku. Jego DNA wskazuje, że to on popełnił te morderstwa.
- Tyle że nie wszystkie. Poza tym nigdzie nie znaleziono narzędzi zbrodni ani rzeczy, które należały do ofiar.

Kiedy Rick mówił, Val jeszcze raz spojrzął na leżące przed nim wydruki, a potem zaczął je przeglądać.

- Tak, tak, słucham cię, ale to wykluczone. Taft na pewno jest tym mordercą. – W końcu znalazł to, czego szukał, i podsunął kartkę przyjacielowi. – O, masz tu czarno na białym.

Rick uśmiechnął się lekko.

- Znam te materiały. Ale pamiętaj o ewentualnym współniku.

W drzwiach pojawiła się Carla. Jej wzrok tylko prześliznął się po Ricku.

- Masz chwilę, Val?

Szef zaprosił ją gestem do środka.

- Rick znalazł coś ciekawego. Zobacz.

Z wahaniem podeszła do biurka. Val podał jej papiery i ponownie zwrócił się do kumpla.

- Dzięki za te informacje. Będziemy w kontakcie. Rick zrozumiał, że Val chce się go pozbyć, ale wcale się tym nie przejął, tylko rozsiadł się wygodniej na swoim krześle.

- I co dalej?

- Myślę, że powinieneś wrócić do siebie i się przespać.

- Nic mi nie będzie. – Rick machnął ręką. – Co dalej zamierzasz robić?

Val wstał.

Oczywiście pożegnać się z tobą.

- Dobrze wiesz, że chodzi mi o sprawę.
- Do widzenia, Rick.

– Masz już może wyniki badań lekarskich? – spytał, pochylając się. – Przecież wiesz, że jestem w to zamieszany.

– Chcesz wrócić do pracy? Trzymam tu nawet dla ciebie wolny pokój. Jednak do tego czasu nic ci nie mogę powiedzieć, a ty o tym doskonale wiesz.

– Do diabła, Val! Przecież na bieżąco śledziłem tamtą sprawę. Widziałem wszystkie dowody... – Zniżył głos: – A potem Jill zachorowała i życie mi się rozsypało...

Przyjaciel popatrzył na niego łagodniej.

– Wiem, bardzo mi przykro. Też żałuję, że nie mogę z tobą pracować, ale takie są przepisy. Muszę jak najszybciej wyłączyć cię z tego śledztwa.

Czy przynajmniej raz nie możesz zapomnieć o przepisach? – spytał Rick, przeszywając go spojrzeniem. – Zawsze trzymałeś się zasad. Zawsze wybierałeś uczciwą drogę.

– Co sporo mnie kosztowało – mruknął Val. – Gdybym nie był taki cholernie uczciwy, nie straciłbym Jill.

Rick stęzał na wzmiankę o swojej żonie. Spojrzał na Carlę, która przerwała lekturę i śledziła ich uważnie, a potem znowu na przyjaciela.

– Ale teraz jesteśmy kwita, prawda?

Val pobladł. Dopiero teraz dotarło do niego, że posunął się za daleko.

– Przepraszam, Rick. Nie powinienem był tego mówić.

Rick wstał.

– Nie ma sprawy. Zdaje się, że obaj jesteśmy zmęczeni.

Val wyszedł zza biurka.

– Naprawdę doceniam, że nam to przyniosłeś. – Wskazał wydruki. – Muszę cię jednak prosić, żebyś trzymał się z daleka od tej sprawy, dobra?

Rick spojrział na niego. Czyżby Val naprawdę sądził, że będzie przyglądać się, jak on i Carla starają się po omacku rozwiązać tę zagadkę? Zawsze żałował, że osobiście nie rozpracował Tafta, a teraz nadarzała mu się okazja, żeby to sobie zrekompensować.

Poza tym miał pewne przecucia związane z tą sprawą. Coś, co od paru godzin nie dawało mu spokoju.

– Rozkaz, poruczniku. – Zasalutował. – Jak sobie życzysz.

RS

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Sobota, 10 listopada 15.00

Liz obudziła się i usiadła gwałtownie na łóżku. Rozejrzała się nieprzytomnie dookoła, a potem jej wzrok padł na stojący obok budzik.

– Już trzecia? – jęknęła z niedowierzaniem. – Trzecia po południu?!

Nagle powróciły do niej wydarzenia poprzedniej nocy. Przypomniała sobie otwarty ogród i leżącą wśród kwiatów Tarę. A potem przesłuchanie. Sama nie wiedziała, jak udało jej się wrócić do domu. Pamiętała tylko, że kiedy kładła się do łóżka, wciąż prześladował ją obraz zamordowanej dziewczyny. Wydawało jej się, że nie będzie mogła w ogóle zasnąć. Widocznie jednak zasnęła i spała twardo aż do tej pory!

Zerknęła jeszcze na szafkę i zrozumiała, dlaczego. Stało tam opakowanie proszków zapisanych przez terapeutę. Ciekawe, ile ich wzięła? Jeden, a może dwa...

Nie zastanawiała się nad tym długo. Najważniejsze, że tabletki spełniły swoje zadanie. Nareszcie mogła stawić czoło rzeczywistości. Nagle spurpurowiała na wspomnienie wczorajszych zdarzeń.

Czy rzeczywiście powiedziała policjantce, że kościół ją wołał? Czy sama w to uwierzyła?

I czy nadal jest skłonna tak sądzić?

Liz jęknęła i popatrzyła tęsknie w stronę tabletek. Na pewno jej się jeszcze przydadzą, ale nie teraz. Gdy się poruszyła, poczuła, że bołą ją ręce i nogi. Miała takie wrażenie, jakby biegła wczoraj aż do rana.

Spojrzała na jasny prostokąt okna. Nawet go wczoraj nie zasłoniła. Na jej policzkach pojawiły się łzy, które wytarła wierzchem dłoni.

Biedna Tara! Była przecież tak młoda. Tyle jeszcze przed nią było – praktycznie całe życie.

Liz popłynęły ciurkiem. Liz zaczęła się po cichu modlić za dziewczynę. Dziękowała Bogu, że nie cierpiała za bardzo, i prosiła, by przyjął ją do siebie.

Gardło jej się ścisnęło. Ten diabeł wcielony, który zabił Tarę, z całą pewnością przyczynił się też do „zniknięcia” Rachel. Liz doskonale to wiedziała, chociaż wątpiła, czy uda jej się przekonać do tej teorii policję. Jednocześnie wydawało jej się, że w całą sprawę zamieszanych jest więcej osób, chociaż oczywiście nie miała pojęcia, ile.

Liz zacisnęła dłonie. Musi podjąć z nimi walkę. Nie pozwoli, żeby uszło im to na sucho.

Odrzuciła koldrę i wstała. Syknęła, kiedy zaboląły ją stopy, ale mimo to próbowała utrzymać się na nogach. Dopiero gdy pokój wokół niej zawirował, oparła się o ścianę.

Spokojnie, powoli, powtarzała sobie.

Zaczęła oddychać przez nos, starając się skupić na tej czynności. Nie miała czasu na załamania nerwowe, a poza tym ma przecież proszki. Musi tylko zdobyć się na niewielki wysiłek.

Jej myśli wciąż krążyły wokół śmierci Tary. Powinna złożyć dziś wizytę rodzicom dziewczyny, musi też porozmawiać z pastorem Collinsem. Być może mógłby jej pomóc. Czowała, że duchowny wie więcej, niż jej powiedział, i to zarówno o Rachel, jak i o problemach Tary.

Liz puściła się ściany i ruszyła wolno, krok za krokiem, w stronę drzwi. Przede wszystkim pojedzie na policję. Po tym, co się stało, porucznik Lopez będzie musiał przyznać jej rację. Wygląda na bystrego człowieka, więc na pewno zrozumie, że istnieje związek między zniknięciem jej siostry a śmiercią Tary.

Jednak porucznik Lopez nie podzielał zdania Liz. Wysłuchał jej ze znużeniem, które powoli przechodziło w nieskrywaną irytację.

– Dobrze, pozwoli pani, że podsumuję – mruknął. – Uważa pani, że morderca Tary zabił wcześniej pani siostrę. Sądzi tak pani, ponieważ...

– Ponieważ moja siostra pomagała Tarze przed swoim zniknięciem – wtrąciła Liz.
– Dziewczyna musiała wplątać się w jakieś ciemne sprawy, a Rachel chciała ją z tego

wyciągnąć. Najpierw zginęła moja siostra, a potem, kiedy zaczęłam się z nią spotykać, również Tara.

Lopez odłożył z trzaskiem długopis.

– Pani Ames, prowadzę poważną sprawę. Nie mam czasu na sprawdzanie tego rodzaju historyjek.

– Historyjek?! – oburzyła się. – Tara nie żyje. Moja siostra...

– Zaginęła – rzucił szybko. – Co innego, gdyby ktoś ją zabił, ale przecież nie znaleziono ciała. A jeśli rzeczywiście odkryła jakieś przestępstwo, dlaczego nie przyszła z tym do mnie albo do śledczej Chapman?

– Wskazał koleżankę. – Do kogokolwiek z policji.

Liz nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie, ale nie zamierzała się poddawać.

– Tara wiedziała, kto zabił Rachel. Potwornie się bała, kiedy z nią rozmawiałam. Porucznik i śledcza spojrzeli na nią z nowym zainteresowaniem.

– Powiedziała to pani? – spytał Lopez. Liz zawahała się.

– No, niezupełnie.

Porucznik spojrział na koleżankę. Liz miała wrażenie, że chce popukać się w głowę. Pewnie myślał, że ma do czynienia z wariatką.

– To może kościół to pani powiedział? – spytał z uprzejmym uśmiechem.

– Nie!

Lopez pochylił się w jej stronę i wycelował w nią palec.

– Przecież powiedziała pani wczoraj śledczej Chapman, że kościół panią wzywał, prawda? Że to budynek kazał pani zawrócić.

Liz cała pokraśniała.

– Byłam zmęczona, kiedy to mówiłam. Chodzi o to, że miałam dziwne przeczucie związane z Rajską Wspólnotą...

– Ale powiedziała pani co innego – zauważyła policjantka. – Że to kościół...

– Tak, wiem – przerwała jej Liz. – Byłam wstrząśnięta tym, co się stało. Nie myślałam wtedy logicznie – nie. No i...

– A teraz pani myśli? – spytał porucznik Lopez z nagłym błyskiem w oku.

– Oczywiście.

– Wobec tego chciałbym zadać pani jedno pytanie, pani Ames. Czy nie wydaje się pani dziwne, że mieszka tu pani zaledwie dwa tygodnie, a już odkryła pani motywę jedyne, powtarzam, jedyne morderstwa na Key West, a w dodatku znalazła pani ofiarę...

Liz spojrzała na niego z bezbrzeżnym zdziwieniem.

– Nie rozumiem.

– Przecież to pani jest główną podejrzaną. Taka jest standardowa procedura w policji.

– Ależ to bez sensu. Wysłałam, żeby pobiegać!

– O trzeciej w nocy? – wtrąciła policjantka. – W dodatku sama, bez świadków. I jeszcze twierdzi pani, że to kościół panią wołał.

– Wiem, że brzmi to dziwnie, ale nie kłamię – jęknęła Liza, patrząc na nich prosząco. – Chyba mi wierzycie?

W pokoju zapanowała cisza. W końcu porucznik Lopez chrząknął kilka razy.

– Wróćmy do Tary i jej obaw. Tara podczas rozmowy z panią nie wspomniała, że chodzi jej o własne życie, prawda?

Liz zrozumiała, że policjant chce podkopać jej pewność siebie. Z jakichś powodów zależało mu na tym, by ją stłamsić, a może nawet trochę przestraszyć. Stwierdziła jednak, że za nic się nie podda.

– Prawda – rzuciła przez zaciśnięte zęby. – Ale całe jej zachowanie wskazywało, że chodzi właśnie o to.

Porucznik spojrzał na koleżankę.

– Słyszysz, Carla? To zupełnie nowa metoda. Musisz koniecznie zapisywać to, czego nie mówią podejrzeni.

Kiedy kobieta zaśmiała się, Liz uznała, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy.

– Właśnie na tym polega moja praca – powiedziała, wstając. – Muszę domyślać się różnych rzeczy...

– A moja praca to odkrywanie prawdy – rzekł z naciskiem porucznik Lopez. – Chcę faktów i tylko faktów. Pani uczucia mnie nie interesują. – On również wstał, żeby odprowadzić ją do wyjścia.

– Ale...

– Żadne ale – przerwał jej. – Jest pani zmęczona. To zrozumiałe po tym, co się stało. Proszę pozwolić nam działać.

Liz sięgnęła jeszcze do torebki. Postanowiła użyć ostatecznego argumentu.

– Proszę, niech pan spojrzy. Ktoś to wepchnął pod moje drzwi, kiedy rozmawiałam z Tarą.

Porucznik Lopez wziął kartkę i przeczytał ją bez większego zainteresowania.

– Tak? – spytał, jakby spodziewał się czegoś jeszcze.

– To przecież groźba.

– Albo żart.

– Nie, to nie żart. – Liz potrząsnęła głową. – Mówiłam panu, że miałam wtedy spotkanie z Tarą. A potem ktoś ją zabił. Nie widzi pan związku?

Lopez spojrział na nią ze współczuciem.

– Bardzo mi przykro, pani Ames. Rozumiem, co pani przeszła. Najpierw zniknięcie siostry, a teraz... ta sprawa. – Spojrział w stronę koleżanki. – Wie pani co, będę o tym myślał. Jeśli coś znajdę w tej sprawie, natychmiast się z panią skontaktuję. Carla postara się sprawdzić, skąd pochodzi ta kartka... Tak będzie dobrze?

Liz odetchnęła z ulgą.

– Tak – szepnęła. – Znacznie lepiej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Sobota, 10 listopada 16.30

Lekarz, który pracował dla policji na Key West, był starym przyjacielem Ricka. W szkole średniej grali razem w drużynie Fighting Conchs, przy czym Rick był rezerwowym rozgrywającym, a Daniel Carson odbierającym. W drugiej klasie wygrali nawet mistrzostwa stanowe szkół średnich, a ponieważ jako rezerwowi spędzali dużo czasu na ławce, bardzo się zaprzyjaźnili. Później, kiedy znowu się spotkali przy okazji pracy, ta zażyłość jeszcze się umocniła i stała bardziej serdeczna.

Rick wiedział, że Daniel będzie znacznie mniej dyskretny niż Val, zwłaszcza że obaj panowie za sobą nie przepadali. Rick podejrzewał, że Daniel chętnie powie mu wszystko tylko po to, żeby zrobić Valowi na złość.

– Daniel? Tu Rick Wells.

– Cześć, Rick – przywitał się głosem ochryplym od papierosów. Daniel palił nałogowo przez szereg lat. Kiedy jego ojciec zmarł na raka płuc, zerwał z nałogiem, ale charakterystyczna chrypka pozostała. – Co u ciebie?

– Nic specjalnego. Wszystko po staremu. A co słyhać u Vicki i dzieciaków?

– Świetnie, świetnie. Wyobraź sobie, że Danny trafił od razu do pierwszego składu. Wcale nie był rezerwowym – rzekł z dumą.

Rick poczuł ukłucie bólu. Jego Sam miałby w tej chwili dziewięć lat i też pewnie grałby w piłkę. Być może nawet zacząłby już myśleć, że dziewczynki nie są tak głupie, jak mu się wydawało.

Poczuł, że ścisnęło mu się gardło. W tej chwili nie mógł nic powiedzieć. I tylko chciało mu się płakać.

– Przepraszam, stary – zreflektował się Daniel. – Ale bezmyślne ze mnie bydlę. Rick chrząknął.

- Nie ma sprawy – wydusił z siebie. – Jest odbierającym, tak jak ty?
- Jasne. Ale jest zręczniejszy i szybszy.
- I pewnie sprytniejszy. – Rick próbował żartować, odepchnąć od siebie bolesne wspomnienia.

– Ja myślę. Chociaż to wcale nie takie łatwe – dodał zaraz. – Zaczekaj chwilę. – Rick słyszał, że Dan rozmawia z kimś, prawdopodobnie z którymś z dzieci. – No, już. A teraz powiedz, czy dzwonisz, żeby pogadać, czy czegoś ci trzeba.

- Czegoś mi trzeba – zaśmiał się Rick.
- Tak?
- Wciąż robisz sekcje zwłok dla policji?
- Właśnie skończyłem jedną jakąś godzinę temu – podjął ochotczo Daniel. –

Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego! Pobicia, samobójstwa, przedawkowania, ale takie świństwo... Czasami mam ochotę rzucić ten zawód, żeby zachować choć parę złudzeń dotyczących świata i ludzi.

- Obawiam się, że już za późno – mruknął ponuro Rick. – I co stwierdziłeś?
- Wiesz, że to poufne informacje. Przecież nie pracujesz już w policji.
- Ale mam nadzieję, że i tak mi powiesz.
- Dlaczego się tym interesujesz? – zaciekawiał się Dan.

– Mam pewne przeczucia związane z tą sprawą, a Val chce mnie z tego wyłączyć.

- Rozpoznałeś ten styl?
- Tak.

Daniel wahał się przez chwilę.

- Dzwonisz z aparatu stacjonarnego czy z komórki? To ważne.
- Ze stacjonarnego.
- Zaczekaj chwilę. – Odłożył słuchawkę, żeby wziąć dokumenty.

Wrócił dość szybko. Potwierdził to, czego Rick sam się domyślał: że zaatakowano ją od tyłu i że umarła na skutek poderżnięcia gardła. Śmierć nastąpiła bardzo szybko.

Nie była w żaden sposób wykorzystana seksualnie, a jej ciało okaleczono już po śmierci.

Jednak ostatnia wiadomość była bardzo zaskakująca.

- A poza tym ta dziewczyna była w ciąży. Płód miał jakieś trzy miesiące.
- Cholera.
- To jeszcze nie wszystko, stary. Zabójca rozciął jej łono i wyjął dziecko.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sobota, 10 listopada 17.00

Liz weszła po kościelnych schodach, wpatrując się w drewnianą bramę, którą miała przed sobą. Bała się zerknąć w lewo, gdzie zaczynał się przykościelny ogród. Obiecywała sobie, że tego nie zrobi. Wystarczyłby sam widok policyjnej taśmy, żeby przywołać zdarzenia minionej nocy.

Jednak nie potrafiła zapanować nad sobą i w końcu spojrzała w stronę żółtej wstęgi. Tak jak się obawiała, natychmiast stanął jej przed oczami obraz martwej Tary – jej pusta twarz, szklane oczy i krew, masa krwi...

Poczuła się winna temu, co się stało.

Powinna była coś zrobić, żeby temu zapobiec. Powinna była przewidzieć bieg wypadków...

W końcu udało jej się oderwać wzrok od ogrodu i wbiegła w górę po schodach. Niestety, drzwi kościoła były zamknięte. Nacisnęła klamkę parę razy, ale nic to nie dało. Sprawdziła drugie, również zamknięte, a potem stanęła, nie bardzo wiedząc, co robić.

Uznała, że na polecenie policji do kościoła nie wolno nikomu wchodzić. Przecież niedawno dokonano tu morderstwa, a bezwzględny zabójca wciąż jest na wolności.

Liz zobaczyła dzwonek i nacisnęła go. Po paru minutach usłyszała czyjeś kroki. Pastor Collins pojawił się w drzwiach. Miała wrażenie, że znacznie się postarzał od ostatniego spotkania.

Jednak nie to ją zdziwiło, a wyraz oskarżenia, który dostrzegła w oczach duchownego. Cofnęła się nawet trochę, widząc jego minę.

- Przepraszam, pastorze. Czy przeszkadzam?
- Miałem dzisiaj ciężki dzień – rzekł sztywno. – Czym mogę służyć?
- Słowo „ciężki” zabrzmiało jak eufemizm.

– Chciałam dowiedzieć się o rodziców Tary. Czy już się pan z nimi widział?
– Naturalnie. – Skinął głową. – Co byłby ze mnie za pastor, gdybym tego nie zrobił?

– Przepraszam, nie chciałam pana obrazić – powiedziała zmieszana. – Niektórzy wolą cierpieć w samotności.

– Państwo Mancuso to ludzie wielkiej wiary. Wierzą, że Bóg pomoże im przetrwać to wszystko.

Liza przypomniała sobie fanatyczny błysk w oczach Tary, gdy mówiła o niebie i piekle.

- Czy... czy ich wiara w jakiś sposób odbiega od normy?
- Słucham?

Przepraszam, źle się wyraziłam – wyjąkała, czując, jak płoną jej policzki. – Po prostu Tara mówiła rzeczy dotyczące religii, które wydały mi się dosyć dziwne. Myślałam, że może...

- To dziecko nie żyje, proszę pani. Niech spoczywa w pokoju.
- Nic pan nie rozumie!
- Może to panią zdziwi, ale rozumiem aż za wiele. – Wyraźnie zamierzał skończyć tę rozmowę. – Muszę już iść.
- Niech pan zaczeka! – Wyciągnęła rękę w taki sposób, żeby nie mógł zamknąć drzwi.

Zdziwiła ją wroga postawa pastora oraz jego komentarze. Przecież poprzednio przyjął ją ciepło i chciał jej pomóc. Nawet bezpośrednio po morderstwie starał się ją pocieszać i trwał przy niej, dopóki nie zajęła się nią policjantka.

Co mogło wpłynąć na taką zmianę postawy?

- Bardzo proszę, pastorze. Chciałam złożyć kondolencje... Może mogłabym jakoś pomóc państwu Mancuso?
- Nie – rzekł chłodno. – Do widzenia.
- Skąd ta pewność? Mogę przecież...

– Nic pani nie może – przerwał jej niezbyt grzecznie. – Sami mi powiedzieli, że nie chcą pani widzieć.

– Cofnęła się zaszokowana.

– Naprawdę? Nic nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego miałoby...

– Nic na to nie poradzę! – rzucił, czerwieniejąc z gniewu. – Tara nie żyje, a jej rodzice odchodzą od zmysłów. Nie sądzi pani, że dostatecznie już pani pomogła?!

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Liz odwróciła się poruszona i w tym momencie zauważyła mężczyznę, który blokował jej przejście. Wyglądał jak z sennego koszmaru. Przez całą twarz, od czoła aż po brodę, biegła widoczna blizna. Ktoś nie tylko go oszpecił, ale również uszkodził lewe oko, które łykało upiorną bielą.

Jednak to drugie, zdrowe, przewiercało ją na wylot. Nie zważając na to, zeszła parę stopni w dół.

– Przepraszam – powiedziała.

Mężczyzna nawet się nie poruszył.

– Przepraszam – powtórzyła, tłumiąc strach. – Chciałabym przejść.

Zanim zrozumiała, co się dzieje, monstrum złapało ją za rękę i wpiło się palcami w nadgarstek. Liz jęknęła z bólu.

Napastnik warknął niczym pies łańcuchowy, który chce ostrzec nieproszonych gości. W niczym nie przypominało to ludzkiej mowy.

– Zostaw ją, ty potworze! – Tuż za nim pojawiła się Heather Black. – Słyszałeś? I to już!

Mężczyzna wyglądał tak, jakby naprawdę się przestraszył. Nagle skulił się, zmałał i z pochyloną głową zbiegł po schodach.

Liz patrzyła za nim z bijącym sercem, jak pospiesznie wszedł za żywopłot, a potem zniknął jej z oczu.

– Nic ci nie jest?

Liz spojrzała na Heather. Czy mogła jej ufać? Jedyna życzliwa dusza na wyspie, ale...

- Chyba nie – odparła, rozcierając nadgarstek. – Tylko trochę się przestraszyłam.
 - Ten facet mnie wnerwia. Ciągłe się tutaj kręci, węszy...
 - Kto to taki?
 - Stephen. Nazwiska nie znam. Może wcale go nie ma – mruknęła, krzywiąc się.
- Jest tu kościelnym. O ile wiem, mieszka w Rajskiej Wspólnocie od zawsze.

Liz przełknęła ślinę, starając się pozbiierać po spotkaniu z tak przerażającym typem.

- A skąd ma tę bliznę?

Nie jestem stąd, więc nie wiem dokładnie, ale podobno zrobił to jego ojciec. Od tego czasu jest nienormalny. Zajął się nim kościół.

Liz pokręciła głową. Nie chciała uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się na świecie. Że można tak traktować dzieci.

- To znaczy, że jest niegroźny, prawda?

- Podobno.

Liz zmarszczyła brwi.

- Uważasz, że jednak jest?

– Poprzednia pani pastor, Rachel Howard, przyłapała go na tym, jak podglądał ją na plebanii. Od razu jej powiedziałam, że powinna go wyrzucić, ale ona była na to za dobra. – W oczach Heather pojawiły się łzy. – A teraz zniknęła... Serce Liz nagle przyspieszyło.

- Więc znałaś poprzednią panią pastor? Heather wzruszyła ramionami.

– Jasne, tak jak wszyscy tutaj. Można nawet powiedzieć, że byliśmy przyjaciółkami.

Liz poczuła, że robi jej się głupio. Jeśli tak było w istocie, Rachel pewnie wspominała jej o siostrze i... o tym, czym się zajmuje.

- Często... często się spotykałyście? – spytała, starając się uśmiechnąć.

Heather westchnęła i pokręciła głową.

– Rachel była strasznie zajęta. Ja też. Ona głównie wieczorami, a ja z rana i po południu. Czasami spotykałyśmy się na parę chwil, ale bardzo ją lubiłam. Naprawdę.

Liz odetchnęła z ulgą.

- Zamknęłaś już sklep?
- Mhm. A czemu pytasz? Czyżbyś nagle zapragnęła kupić sobie bikini?
- Raczej nie – zaśmiała się Liz, myśląc o absurdalności takiej propozycji. – Po

prostu uratowałaś mnie już dwa razy i chciałabym ci się odwdziżyć.

Może wybierzemy się na drinka albo kolację?

- Heather machnęła ręką.
- Nie ma takiej potrzeby.
- Dla mnie to będzie sama przyjemność. – Jej uśmiech wypadł teraz znacznie

naturalniej. – Oczywiście jeśli masz czas.

Heather spojrzała na zegarek, a potem przez moment coś rozważała. W końcu skinęła głową.

- Wobec tego chodźmy na drinka. Znam świetne miejsce.

Pięć minut później siedzieli już w ogródku „Iguana Cafe”. Liz posłuchała Heather i zamówiła koktajl rumowy, specjalność Key West, z likierem bananowym i jeżynowym, rumem jasnym i ciem-

nym, a także sokiem z wiśni i słodko-kwaśnym sosem. Heather wzięła to samo, ostrzegając Liz przed zdradzieckim działaniem tego z pozoru słabego drinka.

Miejscowi bardzo lubią to miejsce – rzuciła, kiedy stanęły przed nimi dwie szklanki z zachęcająco wyglądającym płynem. – Podają tu świetną cafe eon leche i kubańskie kanapki. Prawdę mówiąc, najlepsze jakie jadłam.

- Dobrze wiedzieć. – Liz rozejrzała się dookoła.

Wypiła trochę mrożonego alkoholu. Był rzeczywiście doskonały. Nic dziwnego, że stał się tak popularny.

– Słyszałam o tym, co się zdarzyło w nocy szepnęła Heather, pochyliwszy się w jej stronę. Podobno to ty znalazłaś... ciało. – Aż zadrżała. Jak się teraz czujesz?

Liz odstawiła szklankę.

- Prawdę mówiąc, nie najlepiej. Ciągłe jestem zaszokowana.
- Ale jak to się stało? Skąd się tam wzięłaś o tej porze?

Liz opowiedziała jej, jak nie mogła zasnąć i w końcu zdecydowała się pobiegać.

– A potem usłyszałam jakieś drapanie i chciałam sprawdzić, co dzieje się w tym ogrodzie. – Spojrzała na swoją szklankę. – Teraz tego żałuję.

– Jasne. – Heather pokręciła głową i jeszcze bardziej posmutniała. – Znałam tę dziewczynę.

Liz poprawiła się na krześle.

– Naprawdę?

– Mhm. Tak jak większość miejscowych dzieciaków przychodziła do mnie na zakupy – odparła i uśmiechnęła się gorzko. – Przecież wiadomo, co sprzedają.

– Czy Tara kradła?

– A, więc na imię miała Tara? Nie, nigdy nie zauważyłam, żeby chciała coś ukraść. W ogóle wyglądała na miłą dziewczynę.

– Ale miała problemy – rzuciła Liz, zanim zdołała się powstrzymać.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Przecież jej nie znałaś. A może...? – Heather popatrzyła na nią wyczekująco, bawiąc się swoim naszyjnikiem z monogramem R. K.

Liz zasłoniła usta, zmartwiona tym, co się stało.

– Przepraszam, nie powinna była tego mówić – tłumaczyła się. – Najlepiej będzie, jak o tym zapomnisz.

I natychmiast zaczęła wypytywać nową znajomą o jej życie na wyspie, a także jak się znalazła na Key West.

– Obawiam się, że nie mam zbyt wiele do powiedzenia – zaśmiała się Heather. – Wychowałam się w Miami, więc nie tak daleko. Próbowałam studiować, a potem jakiś czas byłam modelką. Ale to nie jest praca dla mnie. Zupełnie się do tego nie nadaję – dokończyła, krzywiąc się.

– Dlaczego? – Liz była bardzo ciekawa. Uroda Heather predestynowała ją do tego zawodu, o czym zaraz też jej powiedziała.

Heather ponownie się zaśmiała.

– Ludzie myślą się co do modelek. Niektóre z nich wcale nie są takie ładne. Chodzi o to, żeby były fotogeniczne, a ja fatalnie wychodziłam na zdjęciach...

– Naprawdę? – zdziwiła się Liz.

– To wina moich genów. Mam taki kościec, który sprawia, że na fotografiach wyglądam niezgrabnie. Powiedziałam o tym mojej matce, kiedy przyszła do mnie z pretensjami, że nie zrobiłam kariery...

– Jesteś z nią blisko?

– Nie, raczej nie. Chociaż mieszka niedaleko stąd, na Islamoradzie. – Heather wypila odrobinę swojego koktajlu. – Ponieważ zarobiłam jednak trochę pieniędzy, parę lat temu mogłam otworzyć ten butik.

Liz bardzo chciała zapytać o siostrę, ale nie wiedziała, jak zacząć. Czy powinna wyjaśnić Heather, kim jest naprawdę? Czy może lepiej zachować incognito? Instykt podpowiadał, że nowa znajoma stałaby się jej sprzymierzeńcem, ale mogła się przecież mylić.

Jednak Heather sama zaczęła opowiadać jej o Rachel.

– O Boże, czuję się trochę głupio, że tak wskoczyłam na tego biedaka Stephena – westchnęła. – Po prostu jestem do niego uprzedzona po tym, co usłyszałam od Rachel.

– Od tej, co zniknęła? Bo to ona była poprzednim pastorem w Rajskiej Wspólnocie, prawda?

Heather spojrzała na nią podejrzliwie.

– Interesuje cię to?

– Jasne. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby jakiś pastor opuścił w ten sposób swoje owieczki – improwizowała. – Czy sądzisz, że rzeczywiście uciekła?

Heather westchnęła jeszcze głośniej.

– Sama nie wiem. Czasami wydaje mi się, że Rachel nie mogła tego zrobić...

– Naprawdę? – Liz pochyliła się w jej stronę.

– Dlaczego?

– Uwielbiała swoją parafię i w ogóle całą wyspę.

– Zmarszczyła brwi. – Była bardzo oddana swojej pracy. Nie było mnie tutaj, kiedy zniknęła. Prowadziłam rozmowy z hurtownikami. Dopiero po powrocie dowiedziałam się, co się stało, i na początku nie chciałam w to uwierzyć. Poza tym było mi głupio, że może byłam jej potrzebna, a mnie akurat nie było na Key West.

Liz aż ścisnęło się serce. Nagle poczuła olbrzymią sympatię do tej kobiety, której przecież prawie nie znała. Jednak obie miały podobne wrażenie. Być może Heather naprawdę stanie się w przyszłości jej sojuszniczką...

– Rozmawiałaś z policją? Powiedziałaś im to, co mnie?

– Próbowałam. – Potarła w zamyśleniu policzek. – Ale prawda jest taka, że coś rzeczywiście niepokoiło Rachel. Czasami zachowywała się... dziwnie.

– Nie wiesz, co ją męczyło?

– Nie, nie chciała mi powiedzieć.

– Może bała się Stephena – zasugerowała Liz.

– Bała się? – powtórzyła Heather, ściągając brwi. – Czy powiedziałam, że się bała?

– Nie, ale myślałam... Wydawało mi się, że tak właśnie... ee... mogło być – płatała się Liz.

– Wiesz co – Heather zamyśliła się jeszcze mocniej, a jednocześnie spojrzała uważniej na swoją rozmówczynię – nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale... Ale Rachel rzeczywiście zachowywała się tak, jakby czegoś się bała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Sobota, 10 listopada 17.15

Mark leżał na łóżku w wynajętym pokoju i wpatrywał się w drzwi. Szczekał zębami i drżał na całym ciele. Mimo koca i ciepła panującego w pomieszczeniu czuł dojmujący chłód.

Tara nie żyła. Ich dziecko również. Oboje zamordowano.

Mark zamknął oczy, a jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Przed oczami znowu stanął mu ten potworny obraz. Starał się nie poddawać wszechogarniającemu lękowi, który ścigał go od dzisiejszej nocy, próbował jeszcze raz przemyśleć sytuację. Poszedł na spotkanie, tak jak się umówili. Furtka do ogrodu była otwarta. Wszedł do środka i cichutko zawołał Tarę, ale mu nie odpowiedziała.

Zdziwiony przeszedł nieco dalej. Nie chciał obudzić pastora Collinsa lub kościelnego Stephena. Zaczął się nawet zastanawiać, czy Tara nie przestraszyła się tego, co zamierzali zrobić. A może zatrzymali ją rodzice?

Pogrążony w myślach dotarł do przeciwległego muru. A potem wszystko potoczyło się jak w koszmarnym filmie. Zobaczył Tarę całą we krwi.

Zakrył usta, żeby powstrzymać okrzyk, i znowu zadrżał. Zza okna dobiegały odgłosy wesołej zabawy. Zwykle przychodziły tu dzieciaki z sąsiedztwa, chociaż piaskownica była bardzo stara, a huśtawka wyglądała na zdezelowaną. Najwyraźniej im to jednak nie przeszkadzało.

Mark próbował skoncentrować się na dzieciach i ich okrzykach radości. Starał się odzyskać spokój ducha, żeby móc się pomodlić i zapytać Boga, co ma robić dalej. Wiedział, że tylko On może mu pomóc.

Jednak niezależnie od tego jak bardzo się starał, wciąż powracał myślami do tej strasznej nocy. Pamiętał, jak padł na kolana i zaczął błagać, żeby coś powiedziała. Kie-

dy jej dotknął, była jeszcze ciepła. Jakiś bulgoczący dźwięk wydobył się z gardła dziewczyny, a on pomyślał z nadzieją, że może jednak żyje. A potem zobaczył jej głowę i krew, masę krwi, która nie zdążyła jeszcze wsiąknąć w ziemię. Zrozumiał, że nie ma już żadnej szansy.

Z płaczem podniósł się z kolan. Cały był pobrudzony krwią, ręce, kolana, spodnie i koszula, wszystko czerwone. A potem coś go chyba zaćmiło. Sam nie wiedział, jak to się stało, że zaczął biec w stronę furtki, potykając się i padając. Rozciął sobie rękę i cały był podrapany. Wydawało mu się, że czuje za sobą czyjś oddech.

Jakoś udało mu się dotrzeć do samochodu, a potem do mieszkania. Jakoś... z Bożą pomocą.

Jęknął i wcisnął się w kąt łóżka. To zdarzyło się wiele godzin temu. Sam nie wiedział, ile. Aż do rana czekał na przyście policji. Co prawda utrzymywali z Tarą swój związek w tajemnicy, ale wiele osób mogło się domyślić, co się między nimi dzieje.

Zęby znowu zaczęły mu dzwonić. Wszyscy pomyślą, że to on zrobił. Tara nosiła jego dziecko i mogą to potraktować jako wystarczający powód morderstwa. Uznają pewnie, że chciał się pozbyć kłopotu.

Poczuł nagłą falę mdłości, ale postanowił się jej nie poddać. Zacisnął zęby i usiadł na łóżku. Może policja nie dojdzie do tego, że był chłopakiem Tary. A jeśli nawet, to przecież aż do drugiej był w „Hideaway”.

Dobry Boże, weksel! Nagle przypomniał sobie to, co zdarzyło się w barze. Nie miał tylko pojęcia, czy kiedykolwiek wspominał Rickowi o Tarze.

W liście do szefa, który zostawił wraz z wekslem, wspominał, że jest w przymusowej sytuacji i musi pożyczyć te pieniądze. Ale co jeszcze? Wiedział, że jest to bardzo ważne. I że Rick też będzie go szukał, choćby z powodu pieniędzy... Prawdę mówiąc, dziwił się, że jeszcze go tu nie ma.

Mark skulił się na łóżku i objął rękami nogi. Spodziewał się, że kiedy Rick znajdzie weksel, on już będzie daleko stąd. Teraz jednak jego sytuacja radykalnie się zmieniła. Może powinien opowiedzieć o wszystkim szefowi? Wiedział, że Rick mu uwierzy.

Nagle jego wzrok padł na kolana, potem uniósł ręce. Wszędzie były ślady zaschniętej krwi. Krwi Tary.

Nawet Rick pomyślałby, że to on jest mordercą, gdyby zobaczył go w takim stanie. Tak jak każdy.

A to znaczyło, że wsadzą go do więzienia.

Mark jęknął głośno, kiedy to sobie uświadomił. Natychmiast zerwał się z łóżka i pobiegł do maleńkiej łazienki. Znajdowała się tu niewielka umywalka, trochę podniszczony sedes oraz stara wanna otoczona kabiną prysznicową.

Najpierw wszedł do wanny, żeby otworzyć okienko, które znajdowało się tuż nad nią, chcąc wpuścić trochę świeżego powietrza. Następnie zaczął ściągać z siebie zabrudzone ubranie. Dopiero potem odkręcił prysznic i wszedł pod gorącą wodę. Zaczął szorować ciało tak mocno, że aż poczuł ból.

Nie mógł pójść do Ricka. Przecież pracował kiedyś w policji i do tej pory miał tam wielu przyjaciół. Mark nie miał wątpliwości co do tego, jak postąpiłby szef, kiedy mu o wszystkim opowie.

Nie miał nikogo na tej wyspie. Nikt nie mógł mu pomóc.

Znowu poczuł na gardle lodowatą rękę strachu. Stał w parującej wodzie i trząsł się z zimna. Wiedział jednak, że musi się pozbierać. Powinien zachować spokój i myśleć logicznie.

Od tego zależała jego przyszłość... a być może nawet życie.

Wylał szampon i zaczął go rozcierać we włosach, wciąż myśląc o tym, co dalej. Uciekać, tylko uciekać. I to jak najszybciej... ma przecież sześćset dolarów od Ricka. To powinno mu wystarczyć na jakiś czas.

Alte ten pomysł wcale mu się nie podobał. Czuł się jak tchórz i zdrajca. Jakby zdradził Tarę i ich dziecko.

Potrząsnął głową, chcąc odpędzić od siebie te myśli. Przecież Tara nie żyje. Nie może już pomóc ani jej, ani dziecku.

Wiedział jednak, że to nieprawda. Zakręcił wodę i wyszedł spod prysznica. Domyślał się, kto mógł to zrobić. Tara zawsze bała się swoich przyjaciół. Niejednokrotnie wspominała mu o ich groźbach, ale nie potraktował tego poważnie.

To oni musieli wysledzić ją wczoraj w ogrodzie i zabić w tak potworny sposób.

Mark poczuł narastający bunt. Szybko wytarł się i włożył czyste ubranie. W pośpiechu pozbierał swoje rzeczy i wrzucił je bez ładu i składu do torby. Na razie musi stąd uciec, zanim pojawi się Rick oraz policja. Nie ucieknie jednak z Key West jak ostatni szczur.

Wiedział, że zrobili to znajomi Tary. Jej „banda”, jak czasami o nich mówiła. Teraz musi udowodnić, że są prawdziwą bandą opryszków, zdolną nawet do morderstwa.

Najgorsze było to, że nie miał pojęcia, jak to zrobić.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Niedziela, 11 listopada 10.00

Rick zaczął walić do drzwi.

– Mark, to ja! Otwórz! – Odczekał chwilę, a potem znowu mocno zastukał. – Otwieraj, bo pójde na policję, ty złodziejskie nasienie!

Przyłożył ucho do cieniutkich drzwi, ale nic nie usłyszał. Rozejrzał się dookoła po obskurnym korytarzu, a potem znowu spojrzął na drzwi. Jego pracownik mieszkał w wyjątkowo kiepskich warunkach. W korytarzu było duszno i mieszały się tu zapachy różnych posiłków. Z pozostałych pokoi dobiegały odgłosy sportowych komentarzy, ktoś inny oglądał jakiś film.

Cholera! Tego właśnie się spodziewał. Miał też cichą nadzieję, że mimo wszystko zastanie tu Marka. Niestety...

Ale cóż, chłopak na pewno już wyjechał. Inaczej po co brałby sześćset dolców z firmowej kasy?

Rick stwierdził stratę dopiero wczoraj po południu, kiedy przeliczył utarg i oficjalnie zamknął piątkowy dzień. Początkowo chciał wyrzucić feralny weksel, ale w końcu go zatrzymał. Od razu też domyślił się, że już jest za późno, by ścigać Marka, postanowił jednak spróbować.

Rick stał jeszcze chwilę przed drzwiami, zastanawiając się, czy jednak nie włamać się do środka. Ale nie miał wystarczających powodów. Mark uciekł i zabrał ze sobą forszę, a jego szef mógł teraz tylko odwrócić się na pięcie i odejść.

Nie żałował tych pieniędzy. Bardziej bolała go świadomość, że Mark zawiódł jego zaufanie. Cóż, okazało się, że się pomylił. Pewnie nie pierwszy i nie ostatni raz...

Gdy tylko wyszedł z budynku, w ogóle przestał myśleć o tej sprawie. Znowu zaczął się zastanawiać nad morderstwem Tary Mancuso. To było wielkie wydarzenie na wy-

spie. Wszyscy o tym mówili, chociaż do prasy nie przedostały się wiadomości na temat okultystycznego charakteru zabójstwa oraz tego, że Tara była w ciąży i że morderca zabrał jej płód. Rick nie sądził, żeby Valowi udało się długo ukrywać fakty dotyczące tych spraw. Wystarczy jeden sprytny reporter z jakąś wtyką w policji, a wszystko wyjdzie na jaw.

I wtedy rozpęta się piekło.

Rick nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Tego rodzaju morderstwa zawsze budziły obawy społeczne. Niestety, bardzo często utrudniało to dalsze prowadzenie śledztwa.

Val go potrzebował. Niezależnie, czy chciał się do tego przyznać, czy nie.

Dlatego Rick zdecydował się odwiedzić panią Ames.

Wsiadł zatem na swoją hondę nighthawk, uruchomił silnik i pojechał w stronę starych. Z Packer Street, przy której mieszkał Mark, jechało się tam parę minut. W czasie przesłuchania udało mu się dowiedzieć, że Elizabeth Ames mieszka i pracuje przy Duval Street, w domu położonym niedaleko jego baru. Dowiedział się też, że mieszka dopiero od niedawna na Key West i zajmuje się doradztwem rodzinnym. Tej nocy wybrała się, żeby pobiegać, i zwróciła uwagę na ogród z powodu jakiegoś kota.

Coś się w tym wszystkim nie zgadzało. Miał wrażenie, że pani Ames nie powiedziała wszystkiego, albo... że to jemu skąpiono informacji. Ta historia wydawała mu się psychologicznie mało prawdopodobna.

Zaparkował pod „Hideaway”, a potem przeszedł kawałek w stronę domu pani Ames. Kiedy tam dotarł, przyjrzał mu się uważnie, a następnie spojrzął w stronę kościoła. Dlaczego samotna kobieta zdecydowała się na bieganie w takim miejscu i o takiej porze? W dodatku nie wzięła z sobą gazu łzawiącego czy choćby telefonu.

Nic się tutaj nie zgadzało.

Po historii z Markiem zaczął trochę wątpić w swój instynkt, ale nie na tyle, żeby nie móc ocenić tej sytuacji. Podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Po chwili usłyszał kroki na schodach. W drzwiach pojawiła się Liz Ames.

– Dzień dobry. Jestem Rick Wells. – Uśmiechnął się do niej. – Jestem właścicielem baru „Island Hideaway”.

Liz patrzyła na niego uważnie.

– Czym mogę służyć?

– To ja usłyszałam pani krzyki wczoraj w...

– Wiem, kim pan jest – przerwała mu. – O co panu chodzi?

Jej wrogość bardzo go zdziwiła. Ludzie na Key West zawsze byli wyluzowani i zachowywali się przyjaźnie, a w każdym razie nie tak odstręczająco.

Pomyślał jednak o tym, co przeżyła, i uznał, że sam stałby się podejrzliwy.

– Chciałbym porozmawiać z panią o tym, co się stało – odparł, nie owijając niczego w bawełnę. Kiedy się zawahała, znowu wyszczerzył zęby w swoim, jak mu się wydawało, najbardziej przekonującym uśmiechu. – A także zobaczyć, jak się pani miewa. Dobrze wiem, że taki widok to olbrzymi wstrząs.

Zmarszczyła lekko brwi.

– Niby skąd?

– Bo byłem kiedyś policjantem.

Przez chwilę mu się przyglądała, jakby chciała sprawdzić, czy mówi prawdę, aż wreszcie podjęła decyzję.

– Niech pan wejdzie.

Zamknęła drzwi na zamek, a następnie poprowadziła Ricka w górę po wąskich schodach. W końcu weszli do salonu, w którym znajdowała się jedynie wygodna sofa, podniszczony stolik i lampa. Na podłodze nie było dywanu ani nawet chodników. Ściany świeciły pustkami. Na stoliku leżało kilka książek w twardej oprawie.

Ten pokój powiedział mu wiele o Elizabeth Ames. Głównie to, że nie zamierzała za-trzymywać się tu na dłużej.

Dziwne, pomyślał. Po co w ogóle otwierała prywatną praktykę na Key West?

– Napije się pan czegoś? – spytała sztywno.

– Może wody albo kawy?

– Nie, dziękuję.

Proszę, niech pan usiądzie.

Podszedł do kanapy, przebiegając wzrokiem po tytułach książek. Wszystkie dotyczyły historii Key West.

Liz podeszła do stolika i zebrała książki na jeden stosik.

– Chciałam się czegoś dowiedzieć o wyspie – wyjaśniła.

Dziwne, pomyślał raz jeszcze. Elizabeth Ames wcale nie wyglądała na osobę zachwyconą Key West i wszystkim, co się wiązało z tym „rajem na ziemi”, jak często nazywano wyspę.

Była bardzo nieprzystępna i podejrzliwa, jak wiele osób z północy. Wcale się nie dziwił, że nie chce tu zostać. Nigdy nie dopasowałyby się do miejscowej społeczności.

Rick usiadł i znowu się uśmiechnął.

– Mógłbym pani pomóc – powiedział.

– W czym? – zdziwiła się, a mars na jej czole jeszcze się pogłębił.

– No, z informacjami. Wychowałem się na Key West. – Rozłożył ręce. – Wiem prawie wszystko o tej wyspie.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, a potem, z braku wyboru, usiadła na przeciwnym końcu sofy.

– Chodzi mi o dosyć szczególną sprawę. O coś, o czym niedawno usłyszałam.

– Mianowicie?

– Ktoś mi powiedział, że Matka Boska ukazała się dzieciom...

– Bawiącym się w przykościelnym ogrodzie. Oczywiście nie był wtedy ogrodzony. – Pokiwał głową. – Słyszałem tę historię, ale nie wiem, czy jest prawdziwa.

Liz potrząsnęła głową.

– Ale w tych książkach nie ma o tym nawet wzmianki.

Rick tylko wzruszył ramionami.

– Wszyscy na Key West o tym słyszeli. Znam nawet kilka różnych wersji. Dlaczego to panią interesuje?

Spojrzała na swoje zaciśnięte ręce. Zrozumiał, że zastanawia się, czy powiedzieć mu prawdę. I czy w ogóle może mu zaufać. Kiedy uniosła głowę, odetchnął z ulgą, bo nie było już w niej niechęci, a słowa, które usłyszał, to potwierdziły.

– To Tara opowiedziała mi tę historię. Była moją pacjentką.

A więc Elizabeth Ames nie tylko znalazła się na miejscu zbrodni, ale również знаła ofiarę. Rick miał wrażenie, że nagle opadła z niej cała wrogość.

– Bardzo mi przykro – szepnął. – Wobec tego wstrząs musiał być większy, niż sądziłem.

– To było okropne – wyszeptała drżącymi wargami.

– Czy powiedziała pani o tym porucznikowi Lopezowi?

– Oczywiście – rzekła takim tonem, jakby miała pretensje. Nie, nie do niego. Do Vala.

Rick postanowił pociągnąć ten temat.

– Nie lubi go pani, prawda?

– Nawet go nie znam.

– Ale z pewnością to go zainteresowało.

– Nie okazał mi tego – burknęła. – Może go pan sam o to zapytać. Przecież się znacie, prawda?

Rick uśmiechnął się lekko. Jego przyjaciel wyraźnie naraził się Elizabeth Ames, która wyglądała na osobę bardzo bystrą. Dobrze, wobec tego on rozegra to inaczej. Będzie szczerzy i uczciwy aż do bólu.

– Val powiedział, żebym przestał interesować się tą sprawą.

– Bo nie jest pan już policjantem?

– Właśnie.

Pani Ames uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy. Miała miły uśmiech i w ogóle wyglądała teraz znacznie lepiej. Można było nawet powiedzieć, że jest bardzo atrakcyjna.

– A pan zdecydował się jednak na własne śledztwo? Czy tak mam odbierać tę wizytę?

- Mniej więcej.
- A dlaczego?
- Słucham? – spytał zdziwiony.
- Dlaczego chce pan to robić?

Milczał przez chwilę.

- Bo byłem kiedyś policjantem i...
- Ale już nim pan nie jest – przerwała mu. – Więc po co? Znał pan Tarę?

Rick znowu pogrzyżył się w swoich myślach. Musi rozegrać to jak najlepiej. Musi mówić prawdę, inaczej Elizabeth Ames nie będzie mu ufać.

– No cóż, byłem pierwszym policjantem na miejscu zbrodni, po drugie rozpoznałem styl, modus operandi, w jakim dokonano tego zabójstwa. Poza tym wiem, do cholery, że potrafię się tym zająć lepiej niż inni.

- I to wszystko?

Rick zaklął szpetnie, ale tym razem w duchu.

– Nie – wyznał. – Mój instynkt mi podpowiada, że muszę się tym zająć. Wiem, że to głupie, ale...

– Wcale nie – wtrąciła. – Ja też tak czuję. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, czując, że coś się między nimi dzieje. Coś ważnego. Rick pierwszy odwrócił wzrok, zawstydzony całą sytuacją.

Powiedział pan coś o stylu, w jakim dokonano tego morderstwa – zauważyła.

– Tak. Wiele lat temu pewien seryjny zabójca dokonywał podobnych mordów na terenie Miami. Ofiarami padały młode kobiety.

Zauważył, że jest poruszona tymi słowami. W jej zielonych oczach zapaliło się jakieś światełko.

– W gazetach pisali, że podejrzięto jej gardło. Czy jest coś, czego nie zauważyłam?

- Tak.

– Proszę mi powiedzieć – poprosiła z wahaniem. – Wiem, że to nie będzie przyjemne.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, ale w końcu jej powiedział. Pomiął tylko najbardziej brutalne szczegóły.

Liz pobladła. Widział nawet, jak walczy z płaczem.

– Ten zabójca z Miami... tak samo...? – Nie dokończyła pytania.

Rick skinął głową.

– Właśnie. Nazywał się Gavin Taft.

– I nigdy go nie złapano?

– Złapano. Obecnie czeka na wyrok śmierci w więzieniu stanowym Starke na Florydzie.

Liz odetchnęła z ulgą, ale zaraz przypomniała sobie o Tarze.

– Nie rozumiem. Więc kto zabił tę biedną dziewczynę?

Rick pokręcił głową.

– Też tego nie rozumiem. Przynajmniej na razie. To mógł być jakiś naśladowca albo współnik, który zdołał ukryć się przed policją.

W pokoju zapanowała cisza, którą wreszcie przerwała Liz.

– Czy słyszał pan coś o księdzu Paulu?

Rick zastanawiał się chwilę, ale potem pokręcił głową.

– Nie jestem katolikiem.

– Ponoć dużo wie o pojawieniu się Matki Boskiej, tak przynajmniej mówiła mi Tara. Pomyślałam, że powinnam z nim porozmawiać.

– Cóż, to zawsze jakiś trop...

– Też tak sędzę. – Liz zagryzła wargi. – Wciąż myślę, że mogłam temu jakoś zapobiec. Że... że to przeze mnie.

Rick pokręcił głową.

– Przecież ją zamordowano. Pani jej tylko doradzała...

– Była moją pacjentką. Wprawdzie spotkałam się z nią tylko dwa razy, ale to właśnie ja powinnam jej była pomóc. – Liz zacisnęła ręce. – Twierdzi pan, że znała zabójcę. To znaczy, że niepotrzebnie poszła do tego ogrodu. I że prawdopodobnie można ją było przed tym przestrzec.

Rick doskonale ją rozumiał. Również śmierć jego syna była całkowicie bezsensowna i można jej było uniknąć.

– Niech pani zadzwoni do archidiecezji katolickiej. Kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Przewodniczki Morskiej – dodał. – Na pewno czegoś się pani dowie o tym księdzu.

Liz spojrzała na niego.

– A ja jak mogłabym panu pomóc? Pochylił się w jej stronę.

– Czy przypomniała sobie może pani coś związanego z wczorajszą nocą? Interesuje mnie wszystko, nawet najmniejsze drobiazgi. Jakieś hałasy, zapachy, wrażenie, że coś się nie zgadza albo jest nie na miejscu.

Liz zakryła na moment oczy.

– Powiedziałam wszystko policji.

– A czy mogłaby mi to pani powtórzyć?

Zgodziła się i po chwili wahania opowiedziała mu o tym, jak nie mogła zasnąć i poszła trochę pobiegać. Nagle poczuła wezwanie Rajskiej Wspólnoty i zawróciła, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Wspomniała o kocie, a na koniec zrelacjonowała to, co znalazła w ogrodzie.

– I to już wszystko? – dopytywał się. – Jest pani pewna? Czasami umykają nam pewne szczegóły, które później nagle wracają.

Liz potrząsnęła głową.

– Nic więcej nie pamiętam.

– Proszę się zastanowić. Powoli. Najpierw miała pani spotkanie z Tarą. Jakie pani odniosła wrażenie?

– Jak mówiłam, była u mnie tylko dwa razy – zaczęła. – Rodzice się o nią martwili, a dziewczyna ewidentnie miała problemy. Cały czas się bała...

– Czego albo kogo? – wtrącił Rick.

– Nie wiem. – Spojrzała na podłogę, jakby chciała uniknąć jego wzroku. – Moim zdaniem miała dziwne poglądy religijne. Mówiła o niebie i piekle jak fanatyczka. Również dlatego chciałam się skontaktować z księdzem Paulem.

Rick myślał przez chwilę, starając się poskładać wszystkie elementy układanki.

– Czy powiedziała pani, kim jest ojciec jej dziecka? Jeśli tak...

– Kto taki? – zdziwiła się.

– Ojciec dziecka – powtórzył. – Jak mówiłem, Tara знаła zabójcę, a on najprawdopodobniej wiedział, że jest w ciąży.

Liz pobladała i zamknęła oczy. Rick przestraszył się, że zaraz zemdleje, więc przysunął się do niej, żeby ją podtrzymać.

– Przepraszam, myślałem, że pani wie.

Zaczęła płakać. Chlipała cicho, a łzy spływały po jej policzkach. Rick przytulił ją do siebie. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest spięta i że drży na całym ciele.

Nie miał pojęcia, jak ją pocieszyć.

Na szczęście nie było to potrzebne. Pani Ames szybko się opanowała i wyraźnie zawstydzona odsunęła od niego.

– Przepraszam... zupełnie się tego nie spodziewałam. – Spojrzała na niego, a potem w bok. – To trochę za dużo, jak... jak na mnie.

Rick nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Proszę się tym nie przejmować – bąknął.

– Zrobiłam z siebie idiotkę.

– Wcale nie – zaprotestował. – Przecież wie pani, że jestem barmanem. Nie takie rzeczy widziałem. Najwięksi twardziele wyplakiwali się w moją koszulę.

Liz uśmiechnęła się.

– Dziękuję. Szkoda, że nie mogłam bardziej panu pomóc.

– Ależ pomogła mi pani. Gdyby jednak przypomniała pani sobie coś, proszę wpaść do mnie do baru.

– Jasne. – Odprowadziła go do drzwi, a potem jeszcze raz spojrzała mu w oczy. – Teraz ma to jakiś sens. Tara wyglądała tak, jakby nie jadła i mało spała. Zastanawiałam się nawet, czy nie ma anoreksji. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jest w ciąży.

– To może też tłumaczyć, skąd brał się jej starch – mruknął Rick. – Przecież była uczennicą, a już spodziewała się dziecka.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Niedziela, 11 listopada 14.00

Liz poszła za radą Ricka i zadzwoniła do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Przewodniczki Morskiej z pytaniem o księdza Paula. Natychmiast też uzyskała odpowiedź, że ze względu na swój wiek rezyduje on w domu opieki św. Katarzyny, subsydiowanym przez Kościół katolicki

Kobieta, która odebrała telefon, zapewniła ją, że ksiądz ucieszy się z wizyty, nawet jeśli Liz nie jest katoliczką. Tak ją to zachęciło, że wybrała się tam niemal natychmiast i teraz stała przed parterowym budynkiem z różową sztukaterią, otoczonym przez palmy.

Liz domyśliła się, że wzniesiono go pod koniec lat sześćdziesiątych albo na początku siedemdziesiątych, gdyż ten okres nie należał do szczególnie chlubnych w dziejach architektury. Weszła do środka. Ze względu na swoją pracę bywała dość często w tego rodzaju ośrodkach, a ten, chociaż może nieco mniejszy, nie różnił się zasadniczo od innych. Czuć go było środkami dezynfekującymi i starością. Tuż przed sobą miała dyżurkę pielęgniarek, a po prawej spory hol z telewizorem, stolikami do gry w karty i szachy, a także fotelami i kanapami. Kilku pensjonariuszy tłoczyło się na wózkach inwalidzkich

przed telewizorem, ku irytacji innych, którzy też chcieli obejrzeć „Dziesięcioro przykazań” Charltona Hestona.

Liz podeszła do okienka recepcji. W tym momencie pojawił się przy niej mały, komasmaty piesek i stanął słupka, jakby prosił o jedzenie. Sądząc z jego wyglądu, „zarabiał” w ten sposób na całkiem godziwe życie. Liz kucnęła i podrapała go za uchem.

– Spryciarz z ciebie, ale niestety nie mam nic do jedzenia – mruknęła.

Pies popatrzył na nią tak, jakby zastanawiał się, czy mówi prawdę, a następnie pomaszzerował dalej. Liz patrzyła za nim jeszcze przez chwilę.

Kiedy się podniosła, zobaczyła uśmiechniętą pielęgniarkę.

– Wabi się Nicpoń – wyjaśniła kobieta. – Zwykle mówimy odwiedzającym, żeby go nie karmili, ale to niewiele pomaga.

– Wcale się nie dziwię – zaśmiała się Liz.

– Czym mogę pani służyć?

– Nazywam się Liz Ames – przedstawiła się. – Chciałabym odwiedzić jednego z pensjonariuszy, księdza Paula. Może pani sprawdzić, czy zgodzi się mnie przyjąć?

Pielęgniarka pokręciła głową.

– To niepotrzebne. Jeśli jest przytomny, na pewno z przyjemnością z panią porozmawia. Skrzydło C, pokój czternasty.

– Jeśli będzie przytomny? – powtórzyła z bijącym sercem Liz.

– Ksiądz Paul czasami od nas odpływa, a czasami jest zupełnie przytomny. Ma aż sto dwa lata, proszę się więc nie dziwić, jeśli zacznie wygadywać jakieś niestworzone rzeczy.

Liz szybko odnalazła wskazany pokój. Ksiądz Paul siedział na wózku, na kolanach miał otwartą Biblię i odmawiał różaniec. Zastukała więc do uchylonych drzwi.

– Wejść, Margaret.

Liz wsunęła się do środka.

– Nie, proszę księdza. Nie jestem Margaret. Nazywam się Elizabeth Ames i chciałam prosić o chwilę rozmowy.

Duchowny zmrużył oczy.

– Chodź tutaj, moje dziecko. – Uśmiechnął się do niej. – A w czym ci może pomóc taki kościany dziadek jak ja?

Liz przysiadła na brzegu jego łóżka.

– Jestem doradcą rodzinnym. Jedna z moich pacjentek opowiedziała mi ciekawą historię. Podobno ksiądz wie więcej na ten temat...

Kapłan zaśmiał się i przeciągnął chudą ręką po brodzie.

– Znam wiele ciekawych historii – stwierdził. – To być może jedyna korzyść z tego, że żyję tak długo. – Pochylił się w jej stronę i puścił łobuzerskie oko. – I uwielbiam je opowiadać – dodał ostrzegawczym tonem.

Liz potrząsnęła głową, zdziwiona, że duchowny potrafi zachować dystans do własnej osoby. Była to bardzo rzadka właściwość, nawet w młodszym wieku.

– Nigdzie mi się nie spieszy, proszę księdza – uspokoiła go. – A ta historia jest dosyć szczególna. Chodzi mi o Matkę Boską, która ukazała się dzieciom przy kościele Rajskiej Wspólnoty.

Staruszek z przyjemnością pokiwał głową. Odłożył różaniec na Biblię i podjechał wózkiem w stronę Liz.

– Tak, to rzeczywiście niezwykła historia. Opowiedzieli mi moi dziadkowie, którzy twierdzili, że jest jak najbardziej prawdziwa. Byli wówczas dziećmi, a Key West była wtedy prawdziwą wyspą, zupełnie odciętą od reszty kraju. – Duchowny spojrzał w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. – Czy wie pani, że miasto Key West należało niegdyś do najbogatszych w kraju? – Przeniósł wzrok na Liz.

– To z powodu naszych talentów ratowniczych. U nadbrzeży wyspy rozbijało się bardzo dużo statków. Wtedy odzywał się dzwon, a potem na morze wyruszały nasze jednostki.

– I ten, który uratował załogę i pasażerów, miał prawo do ładunku, prawda? – wtrąciła Liz.

– Właśnie. – Uśmiechnął się lekko. – Krążyły nawet plotki, że niektórzy specjalnie wabili statki na rafę.

– A ksiądz uważa, że to prawda?

Chciwość to potworna siła, moje dziecko – westchnął kapłan. – Nie na darmo jest jednym z siedmiu grzechów głównych. Diabeł jest sprytny i potrafi wykorzystać nasze ludzkie słabości: pychę, chciwość, nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, gniew, lenistwo. To przede wszystkim ich powinniśmy się strzec, jak uczył nas Pan Jezus.

Liz nagle zadrżała, przypomniawszy sobie Tarę. W jej oczach paliło się to samo fanatyczne światło, które zabłysło w oczach księdza Paula. Tutaj jednak wydawało się ono bardziej na miejscu.

- Wystraszyłem panią.
- Nie, skąd. – Liz potarła ramiona.
- Mam nadzieję, że tak.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Słucham?

Na twarzy księdza znów pojawił się daleki, nieobecny wyraz.

- Wiem, że nie chce pani słuchać o Bestii. Nikt nie chce. To teraz... niemożliwe.

Duchowny zamilkł i zamknął oczy. Liz już zaczęła się zastanawiać, czy nie zasnął i czy nie powinna już pójść.

Nagle ksiądz Paul ocknął się z zamyślenia i spojrzał na nią niebieskimi oczami.

– W tamtych czasach ta świątynia należała do Kościoła katolickiego, i właśnie w przykościelnym ogrodzie Matka Boska objawiła się bawiącym się dzieciom. Stało się to między figowcami i drzewkami poinsecji. Nic nie mówiła, tylko unosiła się nad ziemią w złocistej aureoli, przypominającej złoto wydobyte z wraków. Dzieci nie bały się jej, jedynie były zdziwione. Rozumiały, że to Bóg im się w ten sposób objawia. Upadły na kolana, żeby mu za to podziękować, a kilkoro pobiegło po księdza Roberta.

- Czy on też widział Matkę Boską? – spytała, będąc pod wrażeniem tej historii.

Stary duchowny pokręcił głową na cienkiej szyi.

– Nie, ale uwierzył dzieciom. Niby dlaczego miałyby zmyślić tę historię? To były dobre, wierzące dzieciaki. – Ksiądz zamilkł na chwilę. – Przez następne dwa tygodnie Key West stało się świadkiem kolejnych cudów. Chromi zaczęli chodzić, ślepi widzieć, chorzy nagle zdrowieli, a na figure Chrystusa pojawiły się stygmaty.

- Lecz potem to się skończyło – szepnęła Liz. – Nadszedł huragan.

Tak, na początku powiała lekka, delikatna bryza od zachodu, ale starzy mieszkańcy już wiedzieli, czego się spodziewać. Niektórzy spakowali dobytek i zaczęli uciekać w stronę głównego lądu, od wyspy do wyspy, inni zaczęli się przygotowywać. Oczywiście

nie zabrakło niedowiarków, którzy kpili z tych, co uwierzyli w huragan. Przecież wyspa nigdy wcześniej poważnie nie ucierpiała od tego żywiołu, więc Bóg i tym razem ją oszczędzi.

Ale Liz doskonale wiedziała, że nie oszczędził. Czytała o huraganie i o ogromnych szkodach, jakie wyrządził. W roku 1846 nie prowadzono jeszcze klasyfikacji huraganów, dlatego nie nadano mu wówczas imienia.

– W tamtych czasach nie było jeszcze system wczesnego ostrzegania ani centrum kryzysowego w Miami. – Oczy księdza aż pociemniały. – Biły tylko dzwony kościelne. Ale i tak było za późno. Huragan już się zaczął.

Liz znowu zadrżała, wyobrażając sobie tę scenę. Z lektur wiedziała, że transport odbywał się wyłącznie drogą morską. Linia kolejowa powstała dopiero w 1912 roku, a autostrada dwadzieścia sześć lat później, w 1938.

– Huragan trwał czterdzieści osiem godzin. Wśród wycia wichru słychać było czasami kościelne dzwony i krzyki ofiar. Wielu ludzi żywioł cisnął do morza, które później przez kolejne tygodnie wyrzucało martwe ciała na brzeg. Poginęły całe rodziny.

– Zniżył głos. – Mężowie, żony i dzieci. To cud, że ktokolwiek przeżył.

– Jednak dziadkowie księdza ocaleli.

– Ochroniła ich Matka Boska.

Liz dopiero teraz zauważyła, że wstrzymuje oddech.

– Ale kościół został zniszczony?

– Tak – smętnie potwierdził ksiądz Paul. – A ci, którzy się w nim ukrywali, znaleźli się w morzu.

– I właśnie dlatego archidiecezja uznała zdarzenie w ogrodzie za podstęp złych mocy?

Smutek księdza jeszcze się pogłębił.

– To nie był żaden podstęp. Matka Boska ukazała się dzieciom, żeby je ostrzec. Ci, którzy uwierzyli, ocaleli. – Zniżył swój głos do szeptu. – Kościół stoi na uświęconej ziemi. – Złapał dłoń Liz w swoje kościste palce. Miał zaskakująco dużo siły. – Po-

słuchaj, dziecko, to wyjątkowo święte miejsce i trzeba je za wszelką cenę chronić. Inaczej zło nie znajdzie już więcej żadnych przeszkód.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Poniedziałek, 12 listopada 9.30

Liz siedziała przy biurku i wpatrywała się w ścianę swojego gabinetu. Ostatnie słowa wypowiedziane przez księdza Paula wciąż dźwięczały w jej uszach. Słyszała je nawet podczas niespokojnego snu, śniąc o demonach i ciałach, które morze wyrzucało na brzeg.

Inaczej zło nie znajdzie już żadnych przeszkód.

Morze przez kolejne tygodnie wyrzucało ciała na brzeg. Poginęli mężowie, żony i dzieci.

Na początku w ogóle miała problemy z zaśnięciem, gdyż te obrazy legły jej się pod powiekami. Brały się one nie tylko z opowieści księdza Paula, ale również ze słów Ricka Wellsa. Wciąż męczył ją opis śmierci Tary, zwłaszcza po tym, jak dowiedziała się, po co zabójca rozciął jej łono.

Nareszcie zaczęła rozumieć, jak naprawdę czuła się Tara. Pojęła całą jej niepewność, dotyczącą przyszłości zarówno jej, jak i dziecka. Dobrze przynajmniej, że do końca nie wiedziała, co się z nią działo. Musiała jednak wcześniej spotkać mordercę. Czy to właśnie on był ojcem jej dziecka?

Liz dłońmi zakryła oczy. Całkowicie się skompromitowała przy Ricku Wellsie. Nie powinna była płakać i tulić się do niego jak mała, bezradna dziewczynka.

Widziała, że czuł się przy niej nieswojo, dlatego było jej jeszcze bardziej głupio. Ale w żaden sposób nie mogła powstrzymać łez. Nie po tym, czego się dowiedziała.

Rick uznał ją pewnie za straszną histeryczkę.

Cóż, przynajmniej miała jakieś usprawiedliwienie, chociaż oczywiście nie powiedziała mu wszystkiego.

Nagle zadzwonił telefon. Liz podskoczyła, a potem ze zdziwieniem spojrzała na aparat. W końcu podniosła słuchawkę.

– Liz Ames, słucham?

– Tu pastor Collins. – Mówił takim tonem, jakby sam był zdumiony, że do niej dzwoni.

– Słucham, pastarze.

– To bardzo dziwne, ale... wydaje mi się, że znalazłem coś, co do pani należy.

– Coś, co do mnie należy? – powtórzyła. – Chyba niczego nie zgubiłam, ale zaraz...

– Nie, nie – przerwał jej. – Źle mnie pani zrozumiała. Znalazłem zaadresowaną do pani kopertę.

Pod poduszką kanapy, koło okna mojej pracowni.

– Rachel! To na pewno było coś od Rachel!

– Pani Ames?

– Przepraszam, zamyśliłam się. Mnie samej wydaje się to dziwne.

– Czy zechce to pani teraz odebrać?

– Tak, jeśli można.

– Jak najbardziej. Przyjmuję dzisiaj na plebanii, a nie w kancelarii. Może pani tam przyjść?

Liz potwierdziła i dziesięć minut później już była w drodze. Minęła kościół i weszła na teren ogrodu, starając się nie patrzeć w stronę odległego muru.

Pastor czekał na nią niecierpliwie przy drzwiach.

– Dzwoniłem do pani raz jeszcze – zaczął bez przywitania. – Muszę wyjść w nagłej sprawie do jednego z moich wiernych.

– Ale co...?

Wcisnął jej w ręce dużą, szarą kopertę, na której widniało jej imię i nazwisko, wypisane drukowanymi literami. Liz patrzyła na nią z rosnącym zdziwieniem. Charakter pisma nie należał do Rachel.

– Przepraszam, sprawa jest pilna – powtórzył pastor.

– Niech pastor zaczeka. – Liz złapała go za ramię. – Gdzie pastor to znalazł? Spojrzał na nią zimno.

– Tu, obok. W mojej pracowni. Pod poduszką kanapy. Jak pani sądzi, skąd się tam wzięło?

– Liz przełknęła ślinę, czując ciężar swojej winy. Zastanawiała się, czy brnąć w dalsze kłamstwa, czy też może wyznać mu teraz całą prawdę.

Pastor spojrzał na zegarek.

– Sama chciałabym wiedzieć – bąknęła.

– Wie pani, bardzo często siadałem na tej kanapie, ale jakoś nigdy nie zauważyłem tej koperty. Więc dlaczego dzisiaj?

– Nie wiem. Naprawdę bym panu powiedziała, gdybym wiedziała.

Przez dłuższy czas patrzył jej w oczy, zapominając o pośpiechu.

– A czy jest coś, co chciałaby mi pani powiedzieć?

Poprzednia pastor była moją siostrą. Wydaje mi się, że zamordował ją ten sam potwór, który zabił Tarę. Czy może mi pan pomóc?

Liz już otworzyła usta, żeby to powiedzieć, ale w końcu bąknęła tylko, że nic.

Duchowny wyglądał na rozczarowanego.

– Cóż, muszę już iść.

Czy mogłabym zobaczyć to miejsce? – spytała. – To, gdzie znalazł pastor tę kopertę. Mam nadzieję, że pomoże mi to zrozumieć, skąd tam się wzięła.

Pastor pokręcił głową i raz jeszcze spojrzał na zegarek.

– Nie wydaje mi się, żeby znalazła tam pani odpowiedź. Proponuję, żeby zwróciła się pani do Boga. Tylko on może panią pocieszyć.

Z tymi słowami zamknął drzwi tuż przed jej nosem. Liz patrzyła na niego zdziwiona jeszcze przez jakiś czas.

Pastor wiedział, kim jest. Nagle stało się to dla niej zupełnie jasne. To właśnie z tego powodu tak radykalnie zmienił swój stosunek do niej. Tylko skąd mógł się o tym dowiedzieć?

Liz pomyślała o poruczniku Lopezie.

Fatalnie się stało, że nie porozmawiała szczerze z pastorem. Dlaczego stchórzyła? Przecież dał jej taką szansę.

W tym momencie przyszło jej do głowy, że nie ufa mu do końca. Ze coś w nim ją niepokoi. Wciąż miała wrażenie, że pastor nie powiedział jej całej prawdy, i strasznie ją to męczyło.

Spojrzała na kopertę i na dziwne, niezgrabne litery, które składały się na jej imię i nazwisko. Musi dowiedzieć się, co stało się z jej siostrą. Zrobi wszystko, żeby tego dociec.

Będzie nawet kłamać w obliczu Boga.

Ręce Liz zaczęły się trząść. Otworzyła kopertę ze ściśniętym sercem. Znajdowały się w niej fotografie rodzinne i inne pamiątki: bilet na musical na Broadwayu z czasów, kiedy razem z Rachel wybrały się na wycieczkę do Nowego Jorku, kartka od mamy, zaproszenie na uroczyste wręczenie dyplomu Liz, książeczka, w której rodzice wpisywali uwagi na temat rozwoju Rachel w dzieciństwie.

Przeglądała te rzeczy ze łzami w oczach. Znajdowały się tu najcenniejsze pamiątki z ich dzieciństwa oraz młodości. Wyglądało to tak, jakby Rachel zgarnęła je wszystkie w pośpiechu, chcąc ocalić przed jakimś kataklizmem.

Ale dlaczego? Czy po to, żeby trafiły do Liz? Czy może z jakiegoś innego powodu?

Znowu zaczęła przeglądać pamiątki. Nagle spomiędzy nich wypadł jakiś papier. Liz schyliła się po niego. Była to kartka z zeszytu, na której widniało kilka szkiców z dziwnym, rogowym kwiatem. Cóż to mogło być? Symbol religijny? A może logo jakiejś instytucji z Key West?

Drzwi plebanii znowu się otworzyły.

– Jeszcze pani tu jest? – spytał pastor, nie kryjąc zniecierpliwienia. Pod pachą miał Biblię i wyglądał, jakby bardzo się spieszył.

– Przepraszam, już idę – bąknęła i wyciągnęła rysunki w jego stronę. – Czy wie pastor, co to jest? Proszę spojrzeć.

Popatrzył na kartkę, a potem w bok.

- Nie mam pojęcia.
- Czy to nie jest symbol religijny? A może logo jakiejś firmy? – naciskała.
- Już mówiłem, że nie wiem – mruknął i zatrzaskał za sobą drzwi. – Żegnam panią.

Kłamał, Liz była tego pewna. Popatrzyła jeszcze za nim, starając się przypomnieć sobie rozmowę z pastorem. Miał dziwną minę, kiedy pokazała mu ten rysunek.

Dręczyło go poczucie winy? Strach? A może coś innego, czego nie potrafiła jeszcze nazwać?

Zmarszczyła brwi. Dziwiło ją też to, że duchowny spędził całe dziesięć minut na plebanii, chociaż twierdził, że bardzo się spieszy. Czy mogło to mieć jakiś związek z jej prośbą? Sam przyznał, że to on spakował rzeczy Rachel. Być może znalazł coś niewygodnego, co postanowił zachować tylko dla siebie.

Ale cóż to takiego mogło być? Liz gubiła się w domysłach.

Nagle poczuła, że musi zajrzeć na plebanię. Przesunęła się w stronę wejścia ocienionego niewielkim, otwartym ganeczkiem. Sięgnęła po gałkę przy drzwiach i przekreśliła ją.

Drzwi otworzyły się. Wśliznęła się jak najszybciej do środka, zanim zdążyła pożłować swojej decyzji.

Wnętrze wyglądało bardzo surowo. Nic nie wskazywało na to, że mogła tu kiedyś mieszkać osoba tak lubiąca domową, ciepłą atmosferę, jak jej siostra. Stał tu tylko telewizor i trochę mebli, za to na półkach było pełno książek. Ale brakowało kwiatów,

bibelotów i obrazów na ścianach. A także miękkich narzut i poduszek na kanapie i fotelach, które tak lubiła Rachel...

Liz szybko zabrała się do przeszukiwania salonu. Jednocześnie bała się, że pastor może zaraz wrócić, chociaż wyglądał tak, jakby wybierał się gdzieś na dłużej.

Przejrzała wszystko w salonie, a następnie w łazience i kuchni, jednak nic szczególnego nie rzuciło jej się w oczy.

Przeszła więc do sypialni, która również niczym się nie wyróżniała i wyglądała raczej spartańsko. Trochę zawstydzona chciała ją szybko opuścić, ale zerknęła jeszcze na stojące na szafce zdjęcia. Jedno przedstawiało pastora w stroju futbolowym, a obok paru kolegów, którzy również mieli ochraniacze i kaski na głowach. Na drugim znajdował się tylko pastor ubrany w strój wyższej uczelni i starsze małżeństwo. Zapewne byli to jego rodzice.

Przyszło jej do głowy, że na każdym z tych zdjęć widzi zupełnie innego człowieka. Teraz z kolei pastor nosił koloratkę i ciemny strój.

Ale kim jest tak naprawdę? Z kim miała do czynienia?

W końcu postanowiła zajrzeć w parę miejsc. Otworzyła szuflady, w których znajdowały się skarpetki i męskie slipy. Nagle zrobiło jej się potwornie głupio. Co ona, na miłość boską, robi?! Jak by się czuła, gdyby ktoś w ten sposób naruszył jej prywatność?

Liz wyprostowała się, czując wstręt do samej siebie. Szybko odwróciła się, by natychmiast stąd wyjść. Łamała przecież prawo!

Wzięła swoją kopertę i skierowała się do drzwi. Rzuciła jeszcze okiem na sypialnię i nagle poczuła, że robi jej się słabo.

W oknie stał Stephen i wpatrywał się w nią zdrowym okiem. Jego twarz wykrzywił jakiś dziwaczny grymas.

Przybliżył głowę do szyby, wciąż poruszając ustami. Uniósł zaciśniętą w pięść dłoń. Zdała sobie sprawę, że chce stłuc szkło. Że chce ją złapać na gorącym uczynku.

Lecz nagle jego monstrualne oblicze odsunęło się od okna. Stephen rozejrzał się, a potem błyskawicznie zniknął.

Liz podbiegła do okna, żeby sprawdzić, co się z nim stało, nigdzie go jednak nie widziała i tylko wciąż poruszająca się karłowata palemka świadczyła o tym, że był tu przed chwilą.

Bogu dzięki, coś go wystraszyło, pomyślała. Nie, nie coś. Ktoś!

Pastor Collins wrócił!

Liz nie widziała go, ale usłyszała, jak otwiera drzwi i wchodzi na plebanię. Ciekawe, co sobie pomyślał, kiedy zauważył, że nie zamknął drzwi na klucz. Był chyba bardzo wzburzony, gdy wychodząc, natknął się na nią.

Liz zaczęła się gwałtownie rozglądać, szukając kryjówki. Garderoba! Zupełnie o niej zapomniała. Pomieszczenie nie było duże i bardzo zagracone, ale udało jej się wcisnąć w najdalszy kąt. Wisiały tu nie tylko ubrania, ale stały też pudła z różnymi dekoracjami i leżał sprzęt sportowy. Czuła zapach stęchlizny, potu i wody po goleniu. W powietrzu unosiły się drobiny kurzu i musiała uważać, żeby nie kichnąć.

Pastor wszedł do sypialni. Słyszała jego niespokojny oddech. Sama zacisnęła usta, żeby nie wydać nawet najcichszego dźwięku.

W końcu otworzył drzwi garderoby. Liz dostrzegła cień jego nóg i jeszcze bardziej przytuliła się do ściany. Poczula jakiś ruch koło swego ucha, jakby przeszedł tamtędy niewielki owad. Wystarczyło, że to sobie wyobraziła, a już chciało jej się krzyżeć.

Duchowny rozsunął ubrania. W srebrnym świetle dostrzegła jego twarz. I znowu musiała bardzo nad sobą panować, żeby nie krzyknąć. Mężczyzna, którego dostrzegła, tylko w niewielkim stopniu przypominał pastora Collinsa. Miał złe oczy i twarz wykrzywioną gniewem. Wyglądał jak drapieznik, który się na nią zaczął.

Ten człowiek nie jest tym, za kogo się podaje, pomyślała.

Strach bez ostrzeżenia chwycił ją za gardło. Zabrakło jej tchu. Poczula jego ciężar na piersi. Zakryła usta ręką i pomyślała, że pastor za chwilę ją znajdzie, a ona w żaden sposób nie będzie mogła się wytłumaczyć.

Wyobraziła sobie niesmak oraz satysfakcję porucznika Lopeza. Na pewno powie, że obie siostry to wariatki.

Tylko nie teraz! – westchnęła w duchu. Dobry Boże, tylko nie teraz!

Pastor zamknął drzwi garderoby. Usłyszała jego kroki w sypialni, a potem w przedpokoju. A następnie trzask drzwi wejściowych.

Liz opadła wolno na podłogę. Oddychała głośno, łapiąc chciwie powietrze. Pomyślała, że chyba nie zdoła się podnieść i będzie musiała tu zostać, dopóki ktoś jej nie pomoże.

Już nie muszę się bać, uspokajała się w duchu. Tylko spokojnie, spokojnie.

Powoli zaczynała dochodzić do siebie. Serce na tyle wyrównało swój rytm, że zaryzykowała przesunięcie się w stronę drzwi. Nogi wciąż miała słabe, ale uniosła się trochę i nacisnęła klamkę.

Wyrzała na zewnątrz. Tak jak przypuszczała, nikogo nie dostrzegła.

Otworzyła więc szerzej drzwi i wtedy przypomniała sobie, że zostawiła gdzieś kołpertę. Znowu zanurkowała między ubraniami. Nagle zauważyła tuż przed sobą błysk metalu. Sięgnęła po błyszczący przedmiot i rozpoznała pierścionek.

Odsunęła stojące przy nim buciory i podniosła go do światła. Przez chwilę przyglądała mu się z niedowierzaniem, a potem zerknęła na swój serdeczny palec, na którym znajdowała się jego bliźniacza kopia.

Złote pierścionki wysadzone rubinami. Oba należały do jej matki, która rozdzieliła je między nią i Rachel.

O ile dobrze wiedziała, siostra nigdy się ze swoim nie rozstawała. Tak jak ona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Poniedziałek, 12 listopada 17.00

Parę godzin później Liz zasiadła za biurkiem w swoim gabinecie. Popołudniowe słońce zaczęło już zaglądać w najbardziej zacienione kąty, a ona patrzyła na oba pierścionki znajdujące się na jej serdecznym palcu. Szczęśliwie udało jej się niepostrzeżenie uciec z plebanii i zdołała nawet dotrzeć do domu, zamykając za sobą drzwi na klucz, żeby nikt nie mógł być świadkiem jej załamania.

A teraz patrzyła tylko na dwa bliźniaczo do siebie podobne przedmioty.

Mama dała im te pierścionki kilka miesięcy przed śmiercią. Liz doskonale pamiętała ten dzień. Nawet to, że niebo było pogodne i że z ogrodu dobiegał do nich zapach kwitnącego groszku. A także stroje, zarówno swój, jak i siostry.

Parę miesięcy później, w czasie pogrzebu mamy, ślubowały sobie, że nigdy nie będą zdejmować tych pierścionków. Oczywiście było to trochę niemądre, ale Liz wiedziała, że siostra dotrzymała obietnicy aż... do końca. Po prostu taka była.

Skąd więc ten pierścionek wziął się w garderobie?

Odpowiedź była naprawdę bolesna. To jeszcze jeden dowód na to, że Rachel nie żyje.

Niestety, nie będzie mogła zanieść go na policję.

Liz wyrzała przez okno na rozslonecznioną i pełną ludzi ulicę. Jak mogłaby się nim posłużyć?

Musiałyby powiedzieć: „Proszę, panie poruczniku, znalazłam to w garderobie pastora Collinsa, w której się przed nim schowałam”. To przecież nie miało żadnego sensu.

Przyznałaby się, że złamała prawo, a od tego był tylko krok do więzienia. Znalazłaby się na łasce porucznika Lopeza.

Albo w szpitalu dla wariatów.

W głowie jej szumiało. Przycisnęła rękami skronie i zaczęła je masować. Koperta z pamiątkami i tajemniczymi rysunkami. Pierścionek. Stary kościelny, który widział ją na plebanii. Dziwna zmiana, jaka nagle zaszła w pastorze. Zniknięcie siostry. Śmierć Tary. To wszystko w żaden sposób nie chciało jej się złożyć w jedną całość.

Zadzwoił telefon, więc podniosła słuchawkę, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

Słucham, tu Elizabeth Ames.

Doktor Ames? Terapeutka rodzinna?

Liz wyprostowała się. Głos był celowo zniekształcony. Trudno jej było nawet ustalić wiek i płeć rozmówcy.

– Tak, jestem terapeutka, ale nie doktorem – wyjaśniła.

Po tych słowach nastąpiła cisza.

– Halo, słucham? – powiedziała. – Czym mogę służyć?

– Jestem przyjacielem Tary Mancuso. Chciałbym porozmawiać.

Mężczyzna, pomyślała tylko. Przez jakiś czas nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Czuła się tak, jakby własnymi myślami wyczarowała tego tajemniczego rozmówcę.

– Możemy się umówić na spotkanie – zaproponowała w końcu, starając się panować nad głosem.

– Nie, nie chodzi mi o terapię.

– Więc o co?

– Mam informacje na temat śmierci Tary...

Liz ścisnęła mocniej słuchawkę.

– Jestem w swoim gabinecie...

– Nie, nie tam – przerwał jej rozmówca. – Nie chcę, żeby nas razem widziano.

Popatrzyła na zewnątrz. Właśnie zaczął zapadać zmrok. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało.

- Więc był pan przyjacielem Tary?

- Tak, chciałem... – Mężczyzna urwał. – Nic takiego. Nie powinienem był do pani dzwonić.

- Niech pan zaczeka. Proszę powiedzieć, gdzie mam przyjechać.

Przez moment bała się, że rozmówca odłoży słuchawkę, w końcu jednak usłyszała jego głos. Mimo chustki, przez którą mówił, wyczuła, że jest zdenerwowany.

- Przy Mallory Square. Dokładnie o zachodzie.

- Ale skąd mam...?

- Niech się pani nie przejmuje. Sam panią znajdę. I... proszę bardzo uważać.

Oglądanie zachodu słońca przy Mallory Square było już niemal rytuałem na Key West i dla wielu służyło jako wstęp do całonocnej zabawy. Zarówno turyści, jak i miejscowi przychodzili tu, żeby podziwiać słońce, które tonęło w wodach Zatoki Meksykańskiej. W całym mieście znajdowały się plakaty podające dokładny czas rozpoczęcia zachodu. Dzisiaj miał on nastąpić za osiem szóstą.

Kiedy Liz zjawiła się na placu, impreza, która zaczynała się na godzinę przed zachodem, rozkręciła się już na dobre. Pełno tu było półnagich, spieczonych słońcem ludzi, których bawili różnego rodzaju cyrkowcy i muzycy.

Liz przeszła najpierw koło połykacza ognia i komika, bawiącego publiczność niewyszukanymi żartami. Panowała atmosfera bachanalii, połączona z nastrojem religijnego wyczekiwania. Jedni przyszedli tu po to, żeby się zabawić, inni żeby medytować, a większość i po jedno, i po drugie.

Ona jednak chciała dowiedzieć się czegoś o śmierci Tary.

W końcu zatrzymała się obok tłumu podziwiającego żonglera i zaczęła udawać, że też ogląda występ. Mężczyzna wyrzucił w górę kilka płonących obręczy. Wśród tłumu rozległy się pomruki uznania, kiedy zaczął nimi żonglować.

Liz przesunęła się dalej. Mijały kolejne minuty, a ona zaczęła coraz natarczywiej przyglądać się mijanym ludziom. Czuła się całkowicie wyobcowana z roześmianego i zrelaksowanego tłumu. Otaczało ją tyle nieznanych twarzy, że prawie wpadła w panikę.

Która z nich należała do tajemniczego rozmówcy? I jak zamierzał znaleźć ją w takim tłumie?

Jeśli oczywiście zamierzał, w co zaczynała wątpić. Być może było to kolejne zagra-
nie, mające na celu wypłoszenie jej z wyspy. I zwabienie jej na ulicę, by... Liz zadrżała.
Nie chciała nawet myśleć o tym, co mogłoby się z nią stać w takim tłumie.

„I... proszę bardzo uważać” – przypomniała sobie słowa nieznajomego.

Nad jej górną wargą pojawiły się kropelki potu. Tłum bardziej na nią napierał. Przy-
cisnęła rękę do coraz mocniej bijącego serca.

Tylko spokojnie, tylko spokojnie, powtarzała w duchu.

Nagle poczuła, że ktoś za nią staje. Przed sobą miała prawdziwy mur ludzkich ciał.
Odwróciła się, czując, że serce chce jej wyskoczyć z piersi.

– Dzień dobry, pani Ames.

Przed sobą miała młodego człowieka w przeciwsłonecznych okularach i bejsbolów-
ce oraz wytartych szortach. Nie nosił koszuli. Na tym kończyło się jego podobieństwo
do zgromadzonej na placu młodzieży. Mimo okularów zauważyła, że jest bardzo spięty
i co chwila rozgląda się dookoła. Zachowywał się tak, jakby ktoś go ścigał.

– Proszę ze mną. – Młodzieniec złapał ją za ramię. Liz skinęła głową i pozwoliła
się przeprowadzić przez tłum. Szli nad wodę. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Niech pani usiądzie i patrzy na słońce, nie na mnie – zakomenderował chłopak.
Stwierdziła, że ma młody głos. Pewnie dopiero niedawno skończył szkołę.

Liz posłuchała go. Przez moment wpatrywała się w spokojne wody zatoki, a potem
odważyła się zerknąć na młodzieńca.

– Dlaczego skontaktował się pan właśnie ze mną? I po co te środki ostrożności?

– Jeszcze nie. Za parę minut.

Liz nie była już zdenerwowana, tylko niezmiernie zaciekawiona. Słońce zaczęło
powoli zapadać się w morską toń.

– Bardzo kochaliśmy się z Tarą – zaczął wreszcie. – Chcieliśmy razem uciec.

Chłopak Tary, pomyślała Liz. Ojciec dziecka.

– Umówiliśmy się właśnie tej nocy – ciągnął młodzieniec.

Liz poczuła zimne mrowienie koło kręgosłupa. Nie wytrzymała i spojrzała na swojego rozmówcę. Zdjął okulary, ukazując nabiegłe krwią oczy.

– To ja ją znalazłem. Leżała tam... Najpierw poczuła litość, a potem strach.

Przecież ten młody mężczyzna mógł być mordercą!

A teraz ją wytropił, ponieważ jako ostatnia kontaktowała się z jego dziewczyną. Być może myślał, że Tara jej o nim opowiedziała.

– Jestem pewny, że poszukuje mnie policja – ciągnął, wpasowując się bezbłędnie w jej myśli. – Tara była w ciąży i pewnie myślała... Ale chyba nie wiedzą, kim jestem.

Staraliśmy się być bardzo ostrożni...

Liz rozejrzała się na boki. Czy ktokolwiek usłyszałby w tym hałasie, gdyby zaczęła krzyczeć? A jeśli nawet tak, to czy zdążyłby zareagować?

Było to mało prawdopodobne, ale mimo to postanowiła zagrać va banque.

– Jednak ja wiem, kim pan jest. Znam pana nazwisko. To dlatego mnie pan szukał, prawda?

Młodzieniec zmarszczył brwi.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

– Czy jestem jedynym świadkiem?

Dopiero teraz ją zrozumiał i spojrzał na nią z nieudawanym zdziwieniem, które przeszło w przerażenie. Liz natychmiast pojęła, że nie ma się czego obawiać.

– Tara nic by pani nie powiedziała. To jej przede wszystkim zależało na utrzymaniu tego w sekrecie.

– Dlaczego?

– Bo się bała. – Rozejrzał się uważnie dookoła. – Chciała, żebym uwierzył, że to z powodu rodziców. Utrzymywała, że są bardzo surowi. Teraz jednak wiem, że chodziło o jej przyjaciół.

Liz zrobiła zdziwioną minę.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Że ją wyśmieją? Zaczną unikać? Przecież nie mogliby zrobić jej krzywdy. Nie mogliby jej...

– Zabić? – dokończył za nią. – Tak właśnie mi się wydaje. To oni ją zamordowali.

Liz potrząsnęła głową, zupełnie nieprzekonana do tej koncepcji. Jednocześnie przypomniała sobie to, co mówił Rick Wells.

– Niemożliwe – szepnęła. – Ktoś... mający kontakty z policją powiedział mi, że kilka lat temu popełniano podobne przestępstwa w Miami. Winowajcę skazano na śmierć, ale policja uważa, że to była robota współnika tego człowieka albo kogoś, kto go naśladował.

- To nieprawda. Wiem o tym.

Liz pochyliła się w jego stronę.

– Ale skąd?

Chłopak milczał przez dłuższą chwilę. Liz domyśliła się, że chce pozbierać myśli, by przedstawić jak najlepsze argumenty.

– Mówiłem, że mieliśmy razem uciec tej nocy, a Tara bardzo się bała. Bała się swoich przyjaciół, którzy zaczęli jej grozić. To nie mogło być jakieś przypadkowe morderstwo.

– Grozili? – zdziwiła się jeszcze bardziej Liz. – Czym?

W oczach młodzieńca pojawiły się łzy. Spojrzał pod nogi, chcąc to ukryć.

Tara należała do ich paczki. Wszyscy tam pilnowali wszystkich. To było jak jakaś organizacja. Jej członkowie nie mogli przyjaźnić się z nikim spoza Kwiatu...

– Kwiatu? – przerwała mu. – Jakiego Kwiatu?

– Tak się nazywali: Rogaty Kwiat – wyjaśnił. Liz poczuła, jak dreszcz przebiegł po jej ciele.

Przypomniała sobie rysunki siostry. Czy mogło jej chodzić o tę organizację?

– Już jakiś czas spotykałem się z Tarą, zanim mi powiedziała o tej paczce. Mówiła, że to jej „rodzina”. Powiniennem być na to zwrócić uwagę, zwłaszcza jak mnie spytała, czy chcę się do nich przyłączyć.

– A pan odmówił?

– Jestem człowiekiem wierzącym. A oni... zachowywali się niemoralnie. Mimo że kochałem Tarę, nie byłem w stanie tego zrobić.

– Niemoralnie? – powtórzyła. – To znaczy?

– Seks, narkotyki... – Chłopak chrząknął. – Ale było coś jeszcze. Jakieś dziwne wierzenia, praktyki... Mogłem się tego jedynie domyślać. Czekala, wiedząc, że to nie wszystko.

– Rodzina Rogatego Kwiatu nie wierzy ani w Boga, ani w niebo czy piekło. Istnieją dla nich tylko ziemskie przyjemności. Nie chcą nikomu służyć...

Liz pomyślała o rozmowie, jaką odbyła z Tarą, i o jej komentarzach na temat nieba i piekła. Nic dziwnego, że była wewnętrznie rozdarta.

- Powiedziałem jej, że musi wybierać między mną a grupą.

– I wybrała pana?

– Tak.

Młodzieniec westchnął i spojrzał na rąbek słońca wystający z wody. Liz też zerknęła w stronę zachodu. Kiedy słońce zupełnie schowało się za horyzontem, na niebie pojawiła się zielona poświata.

Tłum zaczął wiwatować i śmiać się.

– Dobry Boże – westchnął chłopak.

Liz spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Widziała pani to światło? Bardzo rzadkie zjawisko. Tara powtarzała... – Gardło mu się ścisnęło i nie mógł przez chwilę mówić. – Powtarzała, że ten, kto je zobaczy, dokona czegoś wielkiego.

– Czy sama je widziała?

Skinął głową.

- Tak, na dzień przed tym, kiedy... kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży.
- Bardzo mi przykro.

Tłum zaczął się powoli rozchodzić. Na placu zapanowały cisza i spokój. Liz zadrżała.

- Tara wiedziała, kim pani jest.
- Słucham?
- Wiedziała, kim pani jest naprawdę. Liz uznała to za zwykły błąd.
- To znaczy?
- No, że jest pani siostrą pastor Howard. – A gdy Liz otworzyła ze zdziwienia

usta, dodał: – Miała rację, prawda?

- Skąd się dowiedziała? – spytała drżącym głosem.
- Nie pytałem.

Czy... czy mówiła o tym coś jeszcze? Albo o mojej siostrze?

Bardzo lubiła panią pastor. Potwornie przeżyła jej zniknięcie.

Liz znowu poczuła głośne dudnienie swego serca.

- Czy... czy domyślała się, co się z nią stało?

Chłopak potrząsnął głową, a ona odwróciła twarz, żeby ukryć rozczarowanie.

- Dlaczego mi pan to wszystko powiedział? – spytała po chwili.
- Wydaje mi się, że te dwie sprawy się łączą. Śmierć Tary i zniknięcie pani siostry.

Liz odetchnęła z ulgą. A więc ktoś jeszcze myślał tak jak ona. Więc może jednak nie zwariowała. Zrozumiała, że nie jest już sama.

- Dlaczego pan... – zawahała się. – Dlaczego tak sądzisz?

Młodzieniec skinął głową.

- Tara wprost szalała po zniknięciu pani...
- Twojej – poprawiła go. – Jestem Liz.

...twojej siostry. Dopiero teraz zaczynam rozumieć jej rozpacz. No i wszystko wskazuje na to, że to sprawka tej samej osoby lub osób.

– Też mam takie przeczucie.

Przez chwilę milczeli, wpatrując się w pociemniałe wody.

– Co mam robić dalej? – podjęła Liz.

Sam nie wiem. Zadzwoiłem do... ciebie, bo chciałem, żeby ktoś jeszcze znał prawdę. Na wypadek, gdyby coś mi się stało.

– Nie rozumiem – powiedziała nagle przestraszona.

– Mam tylko moje podejrzenia, ale chcę znaleźć zabójców Tary – stwierdził z mocą.

Liz z trudem przełknęła ślinę.

- Jak?

– Chcę stać się jednym z nich.

– Zły pomysł – mruknęła przerażona. – Bardzo zły pomysł.

– To jedyny sposób, żeby się czegoś dowiedzieć.

– A czemu nie pójdziesz z tym na policję? Tylko na nią spojrział, jakby chciał sprawdzić, czy nie żartuje. Liz знаła już odpowiedź. Jako ojciec dziecka i kochanek Tary stałby się głównym podejrzanym. Co gorsza, sam przyznał, że pierwszy znalazł martwą Tarę, a potem uciekł z miejsca zbrodni.

Jeśli teraz zgłosi się na policję, skończy za kratkami.

– Przecież jeśli się nie mylisz, ci ludzie są zdolni do morderstwa. Niektórzy mogli cię widzieć z Tarą. To olbrzymie ryzyko.

Chłopak spojrział z obawą na pusty plac, a potem podniósł się.

– Nie, nie wycofam się z tego. To jedyny sposób, żeby poznać prawdę. Muszę już iść – dodał szybko.

– Zaczekaj. – Ona również wstała. – Powiedz przynajmniej, jak się nazywasz.

– Mark. Mark Morgan.

– Posłuchaj, Mark, porozmawiajmy, zanim...

– Nie ma o czym – przerwał jej. – Poza tym jest już za późno. Udało mi się nawiązać kontakt z grupą... – Uśmiechnął się do niej. – Ale dziękuję za troskę.

Liz westchnęła ciężko i potrząsnęła głową.

– Chciałabym ci pomóc...

– To niemożliwe. Już nie będę się z tobą kontaktował – powiedział Mark. – Gdyby coś się stało, idź do Ricka Wellsa. To przyjaciel. Tylko jemu ufam.

- Do Ricka Wellsa? – powtórzyła zdziwiona.

- Znasz go?

- Tak... spotkaliśmy się.

Chłopak skinął głową. Już chciał odejść, ale jeszcze odwrócił się w jej stronę.

– I pomódl się za mnie czasami. Wygląda na to, że będę tego potrzebował.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Piątek, 16 listopada 22.20

Mark czekał na Sarę, która miała go wprowadzić do grupy. W tym czasie modlił się, prosząc Boga o wsparcie i siłę.

Właśnie dzisiaj miał się stać członkiem Rogatego Kwiatu.

Bał się.

Uniósł oczy ku niebu. Ciemne chmury zakryły okrągłą twarz księżycy. O tej porze na plaży Southernmost, najdalej wysuniętej na południe w całym kraju, nie było już nikogo. Z tyłu dobiegały odgłosy ruchu z Whitehead i South Street. W samochodowym radiu leciały piosenki Jimmy'ego Buffeta.

„Cheeseburger w raju”.

Raj. On też myślał kiedyś w ten sposób o Key West. Uznał ją za najwspanialszy klejnot w naszym kraju innych wysp.

Teraz jednak dostrzegł przerażającą brzydotę pod maską piękna.

Mark spojrział na zegarek, a potem w stronę wejścia na plażę. Umówili się kwadrans po dziesiątej. Nie wiedział, dlaczego dziewczyna się spóźnia.

Sara, gdzie jesteś? – pomyślał.

Sara była najlepszą przyjaciółką Tary w grupie. To właśnie o niej słyszał najczęściej. To właśnie ona była za tym, żeby się do nich przyłączył.

Oczywiście skłamał jej, mówiąc, że Tara opowiedziała mu o rodzinie Rogatego Kwiatu, lecz on uznał, że wcale tego nie potrzebuje i dlatego z nim zerwała. Teraz, po jej śmierci, przemyślał wszystko i zapragnął wejść do grupy.

Powiedział też Sarze, że życie straciło dla niego sens i że nie ma pojęcia, co dalej ze sobą zrobić. Zawsze wierzył w Boga, ale teraz zwątpił. Uznał, że niepotrzebnie wyrzekł się Tary w imię jakichś tam ideałów. Dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo pragnie tego, co ziemskie. Chciał po prostu używać życia.

Najlepiej razem z członkami grupy.

Dziewczyna przyjęła to niechętnie, ale on nalegał. Pragnął stać się częścią Rogatego Kwiatu. Tara już go kiedyś przecież zaprosiła do rodziny. Zrobi wszystko, czego będą chcieli. Zastąpią mu prawdziwą rodzinę, której przecież nie ma.

W końcu obiecała, że się za nim wstawi, aż wreszcie zorganizowała dzisiejsze spotkanie. Poinstruowała go, że ma przyjść sam. I że ma czekać na ławce niedaleko przepalonej lampy.

Wszystko to wydało mu się bardzo łatwe. Może zbyt łatwe. Czyżby Sara go oszukała i wcale nie miała zamiaru się z nim spotykać? Czyżby odkryła prawdziwy powód, dla którego zainteresował się grupą?

Jeśli tak, stanowił teraz łatwy cel.

Coś jeszcze przyszło mu do głowy – coś znacznie gorszego. A może naraził w ten sposób Sarę na niebezpieczeństwo? Wyobraził ją sobie w kałuży krwi z poderżniętym gardłem, i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Poczował, że robi mu się niedobrze.

Stłumił jednak to uczucie i pomyślał o Liz. Zadzwoił do niej raz jeszcze z wiadomością, którą nagrał na sekretarce.

– To dzisiaj – powiedział tylko.

Miał do niej zadzwonić następnego dnia. Gdyby tego nie zrobił, powinna o wszystkim zawiadomić Ricka.

Nawet się ucieszył, że nie zastał Liz, bo na pewno próbowałyby go odwieść od tego planu. Cóż, był nawet gotów się na to zgodzić. Czemu nie powiadomić o wszystkim policji? To przecież jej sprawa.

Nie, już za późno, pomyślał.

Chmury przesunęły się nieco dalej i zobaczył wiotką sylwetkę w świetle księżyca. Sara! Mark poczuł jednocześnie ulgę i strach.

Panie, bądź ze mną. Teraz i w godzinę mojej śmierci. Amen.

Nie miał pojęcia, dlaczego właśnie ta modlitwa przyszła mu do głowy. Cieszył się jednak, że pomyślał o tym, co ostateczne. Wiedział, że niezależnie od tego, co stanie się tej nocy, Bóg mu pomoże.

Wstał i uśmiechnął się do dziewczyny.

– Już się bałem, że nie przyjdiesz.

Sara pozostała poważna. Wyciągnęła w jego stronę kawałek czarnego materiału.

– Zanim staniesz się prawdziwym członkiem Kwiatu, musimy pozostać dla ciebie anonimowi powiedziała sztywno, jakby ktoś ją tego wyuczył.– Odwróć się, Mark.

Opaska na oczy, pomyślał z przerażeniem. Wykonał posłusznie jej polecenie, chociaż wszystko mu mówiło, że nie powinien tego robić.

Wokół jego oczu mocno zacisnął się ciemny materiał, ale ponieważ był miękki, nie przeszkadzało mu to za bardzo. Najgorsze było to, że nic nie widział.

– Teraz przodem. – Kiedy obrócił się w jej stronę, wzięła jego twarz w swoje dłonie. – Pamiętaj, że obiecałeś robić wszystko, co ci każę. I to bez ociągania.

Mark skinął głową, a ona wspięła się na palce. Poczuł jej usta na wargach, jej język w swoich ustach. Nagle zorientował się, że wraz z nim w jego ustach znalazło się coś innego. Jakiś proszek, pomyślał. Narkotyk!

Dziewczyna cofnęła język, ale wciąż przyciskała usta do jego ust. W końcu musiał przełknąć tabletkę.

W tym momencie chyba się uśmiechnęła. W każ– dym razie wyczuł zadowolenie w jej głosie, gdy powiedziała:

– Bardzo dobrze. Niech się tylko upewnię.

– Znowu go pocałowała, ale tak namiętnie, że zaskoczyło go to jeszcze bardziej niż obecność proszku w ustach. Poczuł, jak dziewczyna przesuwa w dół rękę po jego ciele. W końcu dotarła do jego członka, który natychmiast odpowiedział na pieszczotę.

Mark miał łzy w oczach. Jak to możliwe, że własne ciało zdradziło go w ten sposób? Że zdradził Tarę?

Sara zaśmiała się gardłowo.

– Będzie cudownie, zobaczysz – szepnęła mu do ucha, pewnie wyczuwając, że jest spięty. – To najwspanialsze doświadczenie. Zaufaj mi.

Wzięła go znowu za rękę i poprowadziła po piasku. Po paru minutach znaleźli się na chodniku. Mark zaczął odbierać świat niczym ślepiec. Dzielił przedmioty na miękkie i twarde, a dźwięki na dalekie i bliskie.

Wyczuł, kiedy minęli wyjście z plaży, i od tego momentu zaczął liczyć kroki. Osiem w lewo.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwiczek samochodu. Mark nie miał pojęcia, że się tam znajduje. Kiedy tu przyjechał, nie widział żadnego pojazdu.

Ktoś wysiadł z auta i zbliżył się do nich. Mark wyteżył słuch. Koniecznie chciał zapamiętać ten głos.

Osoba, która wysiadła z samochodu, zatrzymała się przy nich.

– Połknął – powiedziała Sara. – Zdaje się, że już go bierze.

Mark zrozumiał nagle, że miała rację. Jego ciało zrobiło się ciężkie, a głowa lekka. Przed oczami zaczęły mu tańczyć kolorowe światełka. Wrażenie było nienaturalne, ale dosyć miłe. Nie czuł już strachu ani niepewności.

Dwie pary ramion wsadziły go do samochodu. Rozwalił się na siedzeniu z błogim uśmiechem na ustach, a jego myśli szybowwały w przestworzach. Przed oczami przewijały się sceny z całego życia. Ci, których znał i kochał, machali mu z dołu, a on leciał dalej. Był tak lekki, że nie mógł się zatrzymać, żeby z kimś porozmawiać, co zaczynało go coraz bardziej martwić.

Poczuł, jak samochód ruszył. Próbował się na tym skupić, zapamiętać, jak długo będzie trwała ta podróż. Do wyboru mieli tylko dwa kierunki. Nic mu jednak nie wychodziło. Minuty stawały się nagle godzinami, a te z kolei zamieniały się w rozbiegane po łące króliki. Jego fantazje coraz częściej dotyczyły seksu. I Sary.

– Pragniesz mnie, prawda? – usłyszał tuż obok jej głos.

Dopiero teraz dotarło do niego, że siedzi przy nim i ugniata pieszczotliwie jego uda. Dziewczyna rozpięła mu rozporek. Jęknął głucho, kiedy poczuł tam jej dłoń.

Zaraz jednak pochyliła się, żeby go lizać i ssać. Pieszczota była tak potężna, że z gardła wyrwały mu się jakieś nieartykułowane dźwięki.

– Zaczekaj, mała. Już jesteśmy na miejscu. Ten głos dobiegał z daleka i Mark nie mógł określić, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety.

Znowu ktoś musiał pomóc mu wysiąść. Mark nie czuł ziemi pod stopami. Miał wrażenie, że płynie w powietrzu. Gdyby nie to, że wciąż trzymały go dwie pary rąk, uleciałby w górę.

Nagle poczuł wokół tysiące oddechów. Głuchy pomruk przebiegł przez otaczający go tłum. Wszyscy się tutaj zebrali, pomyślał, nie bardzo wiedząc, kogo ma na myśli. Są głodni.

Chcą go zjeść. A w każdym razie jego duszę.

W przeblýsku świadomości zrozumiał, że powinien walczyć albo chociaż wołać o pomoc. Wyprzeć się wszystkiego, co wiąże się z tymi żywymi trupami. Jednak przeszył go tylko dreszcz podniecenia.

Czyjeś ręce zdarły z niego całe ubranie.

– Wypij – szepnęła mu do ucha Sara.

Brzeg naczynia miał tuż przy ustach. Nie było duże. Poczuł w ustach słonawy płyn.

Zebrani wydali pełen aprobaty okrzyk. Po całym ciele Marka zaczęło rozchodzić się ciepło. Wraz z nim pojawiła się wzmożona świadomość i poczucie mocy.

– Ciesz się zarem Kwiatu! – usłyszał czyjś głos. – On daje wszystko. Z niego pochodzi rozkosz.

Wszyscy zaczęli skandować:

– Niech zo–ba–czy! Niech zo–ba–czy!

Rozwiązano mu opaskę i Mark ujrzał otaczające go stwory. Niektóre miały ludzką formę, inne przypominały dzikie zwierzęta, egzotyczne ptaki i potwory.

Czuł, jak krzyk rośnie mu w gardle. Stwory podeszły bliżej. Zaczęły go dotykać i głaskać, szeptały mu coś miłośnie do ucha. Wydawały cienie piski podniecenia.

A może to jednak był jego głos?

Mark nie miał pojęcia. Było tak, jakby zebrani czcili go i modlili się do niego. Jego doznania były zupełnie niesamowite, o wiele bardziej intensywne niż seks, który uprawiali z Tarą. Zupełnie niezziemskie. Czuł, że ma cudowną moc. Był bogiem.

Wszehmocnym i wszechwiedzącym.

A więc to właśnie miała na myśli Tara, przemknęło mu przez głowę. To mu obiecywała. Najwspanialsze doświadczenie. Gdyby wybrał rodzinę Rogatego Kwiatu, mógłby doznawać tego bez ustanku.

Mark wciąż czuł, że lewituje nad podłogą. W pewnej chwili wydało mu się, że znalazł się na ołtarzu, a spragnione usta pochłaniają go całego. Doznawał kolejnych orgazmów, nie mając pojęcia, kiedy to się skończy.

Nagle jakieś światło wybuchło w jego głowie. Oślepiło go i spopielilo. A po nim przyszła ciemność – tak czarna i nieprzenikniona jak piekło. Była straszniejsza niż cokolwiek na świecie. Nikt by takiej nie zdołał wymyślić.

A w jej wnętrzu czaiła się Bestia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Sobota, 17 listopada 21.45

Należący do Ricka Wellsa bar „Island Hideaway” wyglądał zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała. Oglądała wcześniej „Casablance”, więc spodziewała się tropikalnych roślin, wirujących pod sufitem wentylatorów oraz kobiet w zwiewnych sukniach, którym będą towarzyszyli mężczyźni podobni do Bogarta.

Bardzo się jednak pomyliła. Przede wszystkim nie było tu roślin, poza tym brakowało zwiewnych sukni oraz współczesnych odpowiedników Bogarta.

Żaden Sam nie mógł „zagrać tego jeszcze raz”, choćby z tej prostej przyczyny, że nie było tu pianina, nie mówiąc o pianisie.

Zamiast tego dudniła muzyka reggae z płyty kompaktowej, która nie była jednak w stanie zagłuszyć hałasu, jaki panował w środku.

Liz zatrzymała się w drzwiach, nie bardzo wiedząc, co dalej. Najwyraźniej trafiła na czas największego obleżenia knajpy przez turystów. Barowy kontuar był dosłownie oblepiony ludźmi. Poza Rickiem pracowała tu seksowna dwudziestolatka z grzywą złotych włosów, i oboje mieli co robić.

Rick nie ucieszy się na jej widok.

Liz cofnęła się, zastanawiając się, jaki ma wybór. Mark zostawił jej na sekretarce wiadomość, że zostanie wprowadzony do grupy. Miał się spotkać z wysłanniczką Rogatego Kwiatu wczoraj o dziesiątej piętnaście.

Gdyby nie przekazał jej następnej wiadomości, powinna skontaktować się z Rickiem Wellsem, który miał zdecydować, co dalej.

Mark nie odezwał się więcej i Liz obawiała się, że znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. Mógł nawet podzielić los Tary.

– Wchodzisz, kotku?

Spojrzała przez ramię. No tak, zablokowała wejście do baru.

Mógł nawet podzielić los Tary. Jasne.

Kiedy już się tam znalazła, z trudem przepchnęła się do kontuaru i usiłując przekrzywić hałas, zawołała Ricka.

– Pani Ames? – powiedział przyjemnie zaskoczony. – Co panią tu sprowadza?

– Muszę z panem porozmawiać! – niemal wrzasnęła. – To bardzo ważne.

Ach, tak. – Posłał w jej stronę seksowny uśmiech, a następnie zwrócił się do mężczyzny, który znajdował się tuż obok Liz. – Pete, bądź dżentelmenem i zrób damie miejsce.

Pete, który wcale nie wyglądał na dżentelmena, zerknął w jej stronę i aż cmoknął z nieklamany uznaniem.

– Chce pani usiąść?

– Nie, dziękuję, chciałam tylko...

– W porządku. – Wstał ze swego miejsca i niebezpiecznie się zachwiał. Gdyby nie mur ludzkich ciał, pewnie by upadł. – Zdaje się, że i tak powinienem iść do domu.

Gdy podtrzymała go, uśmiechnął się do niej, a potem zaczął przepychać się przez tłum.

– Nie musiał pan go wypędzać – zwróciła się do Ricka. – Mogłam przecież...

– Niech się pani nim nie przejmuj. – Zabrał szklaneczkę Pete'a i butelkę po piwie, a następnie wytarł blat przed Liz. – Siedział tu od przedpołudnia. Myślę, że wystarczy jak na jeden dzień.

– Od przedpołudnia? – Popatrzyła zdziwiona w kierunku drzwi, za którymi zniknęła Pete. – Mam nadzieję, że nie jest samochodem.

– Nie. Miał stary rower, ale tak często wpadał do rowu, że z kół zrobiły się ósemki. Zresztą Val i tak zarekwirował go na wszelki wypadek.

– Zna pan dobrze porucznika Lopeza, prawda?

– Od piaskownicy. Jesteśmy starymi kumplami. – Wykonał gest w stronę baru. –
Czego się pani napije?

Tak naprawdę nie miała na nic ochoty, ale poczuła się winna, że zajmuje nie tylko
miejsce przy kontuarze, ale i czas Ricka.

- Jak pan ocenia swoje mrożone margarity?
- Są zabójcze. Woli pani z solą czy bez?
- Jasne, że z solą.

Poprosił ją, żeby zaczekała, i obsłużył paru gości, rzucając kilka dowcipnych uwag.

Liz dopiero po chwili zorientowała się, że mimowolnie wodzi za nim oczami, i natychmiast odwróciła wzrok. Nie na długo. Musiała przyznać, że jest nie tylko przystojny, ale ma w sobie również wdzięk dzikiego kota. Z pewnością bardzo podoba się kobietom. Wielu kobietom.

Ale nie takim jak ona. Bo Liz była rozsądna i szukała w mężczyznach oparcia, a nie szampańskiej przygody. Nauczyło ją tego życie. Powinna ze wszystkich sił strzec się takich facetów, bo potrafili zabawić jak nikt inny, ale potem...

Jej były mąż trochę przypominał Ricka, tyle że ten wydawał się inteligentniejszy i ciekawszy jako człowiek. A przy tym niezwykle sprawny. Obserwowała z podziwem, jak świetnie łąpał ze wszystkimi kontakt, a jednocześnie perfekcyjnie wykonywał różne czynności.

W tej chwili na przykład zajmował się jej margaritą.

Kiedy była już gotowa, zbliżył się do Liz i podał jej rozłożysty kieliszek.

- Proszę.

Liz spojrzała w bok i wypła odrobinę płynu. Po wstępnej degustacji musiała przyznać, że drink jest naprawdę cudowny.

- Dziękuję. Rzeczywiście świetna. Uśmiechnął się i pochylił w jej stronę.
- Sam opracowałem recepturę.
- No proszę – rzekła z podziwem.
- To przecież nic wielkiego. – Machnął rękę. – A trochę umili ludziom życie.

W tym również mnie, pomyślała. Alkohol rzeczywiście bardzo jej pomógł. Po paru łykach poczuła się mniej spięta niż zwykle, bardziej wyluzowana. Nie mogła jednak zapomnieć, po co tu przyszła.

– Ale nie zjawiała się tu pani po to, żeby się bawić, prawda? – spytał, jakby czytał jej w myślach.

– Nie, chociaż bardzo tego żałuję. – Uśmiechnęła się. – Jestem tu z powodu Marka Morgana.

– Marka? – powtórzył, unosząc brwi.

– Mówił, że jest pan jego przyjacielem. Że panu ufa.

– To bardzo miło z jego strony. A czy powiedział pani, że ukradł z kasy sześćset dolarów, kiedy stąd uciekał? Nic dziwnego, że darzy mnie takim zaufaniem.

– Uciekał? – zdziwiła się. – Niemożliwe.

– Ależ jak najbardziej. – Mimo stanowczych słów Rick nie był już tak sarkastyczny. – Zostawił mi kartkę z informacją.

– Kiedy to było?

– Tej nocy, kiedy zamordowano tę dziewczynę.

Ach tak, pomyślała. Chciał wtedy uciec z Tarą.

– Widziałam go niedawno.

Rick spojrzał na nią ostro.

– Kiedy?

– Parę dni temu. W poniedziałek.

Zawahał się, jakby się zastanawiał, czy ta rozmowa ma jakiś sens.

– Nie mam czasu na tego rodzaju rozważania – mruknął w końcu. – Margarita jest na koszt firmy.

– Niech pan zaczeka! – Pochyliła się w jego stronę i zniżyła głos: – Chodzi o za-bójstwo Tary.

Usłyszał ją. Domyśliła się tego po jego minie. Natychmiast wyprostował się i rzucił w stronę blond-barmanki:

– Margo, poradzisz sobie przez parę minut? Dziewczyna skinęła głową, a Rick pokazał Liz, jak przejść na zaplecze. Następnie otworzył drzwi do swego biura.

– Proszę szybko powiedzieć, o co chodzi? – spytał, nie siadając.

– Mark ma kłopoty. I to duże.

– To znaczy?

– Po pierwsze był tamtej nocy w ogrodzie przy kościele.

– Cholera. – Rick zacisnął dłonie.

– To było jego dziecko. On i Tara mieli uciec z Key West.

– A to sukinsyn! – Rick usiadł ciężko na swoim biurku. – Zostawił mi tylko weksel.

– Jaki weksel?

– Zwykłą kartkę z informacją, że zwróci mi te pieniądze. Pisał, że są mu bardzo potrzebne. – Potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Co jeszcze pani powiedział?

Liz przekazała mu wszystko, kończąc na tym, jak Mark znalazł Tarę i uciekł z miejsca zbrodni.

– Idiota, rzeczywiście wpakował się w niezłe tarapaty – mruknął Rick. – Radziła mu pani, żeby poszedł na policję?

Gdy odpowiedziała mu cisza, obrzucił Liz pełnym zdziwienia spojrzeniem.

– A w ogóle jak go pani poznała?!

– Zadzwoił do mnie w poniedziałek. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałam.

– Dlaczego to zrobił?

– Chciał, żeby ktoś wiedział o wszystkim na wypadek, gdyby... coś mu się stało.

– I wybrał właśnie panią?

Liz wahała się przez chwilę. Wiedziała, że nie uda jej się tym razem wykręcić sianiem. Sprawy zaszły już za daleko.

Nie może też popełnić błędu, próbując oszukać Ricka Wellsa. Komuś w końcu musi zaufać.

– Po pierwsze rozmawiałam z Tarą, a po drugie... jestem siostrą Rachel Howard.

– Jest pani siostrą pani pastor z Rajskiej Wspólnoty Chrześcijańskiej? Tej, która zniknęła?

– Tak.

Spojrzał na zegarek.

– Sprawdzę, co się dzieje u Margo. To może zająć parę minut.

Wyszedł, a ona opadła na krzesło. Nawet nie przypuszczała, że ta rozmowa będzie tak wyczerpująca. Nagle poczuła, że drży. Zaciśnęła więc ręce na podolku i zaczęła rozglądać się dookoła, żeby tylko czymś się zająć. Żeby nie myśleć.

Na biurku oraz ścianach nie było żadnych fotografii ani dyplomów, które zwykle widywało się w tego rodzaju miejscach.

Nie, jest jedno zdjęcie. Z początku nie dostrzegła go, ponieważ stało za solidną tacą z papierami. Liz wstała i wzięła je do ręki. Przedstawiało Ricka w mundurze policyjnym i piękną kobietę w prostej letniej sukience.

To musiała być jakaś uroczystość, sądząc po nieskazitelnym, pięknie wyprasowanym mundurze. Być może moment ukończenia akademii policyjnej.

Kiedy Liz ze ściśniętym gardłem odstawiła fotografię na miejsce, dostrzegła inną, całkowicie ukrytą za tacą.

Znajdował się na niej chłopczyk z loczkami bardzo przypominający Ricka. Mógł mieć najwyżej trzy lata i pozował do zdjęcia z całkowitą naturalnością, jaką mają tylko małe dzieci.

Kto to taki? – zaczęła się zastanawiać. Czy syn Wellsa, czy może tylko jego siostrzeniec albo bratanek? Nie wspominał nigdy o dzieciach, ale też nie znali się na tyle, żeby prowadzić tego rodzaju rozmowy.

Nagle przypomniała sobie, że Rick nie nosi obrączki. Na pewno.

Podobnie jak wielu żonatych mężczyzn, dodała zaraz w duchu.

Tak naprawdę nic nie wiedziała o jego życiu prywatnym. Popatrzyła raz jeszcze na fotografię chłopczyka. To dziwne, że Rick chowa ją za tymi wszystkimi papierzyskami. Dziwne i... smutne.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i szybko odstawiła zdjęcie na miejsce. Po chwili w biurze pojawił się gospodarz. Liz zdążyła w ostatnim momencie.

– Przepraszam, ale w sobotę mamy urwanie głowy.

– To ja przepraszam – powiedziała, myśląc o zdjęciu i o wtrącaniu się w nie swoje sprawy. – Nie pomyślałam o tym, że mamy sobotę. Ale... ale bardzo boję się o Marka.

Rick poprosił ją, żeby usiadła, a potem sam zajął miejsce za biurkiem.

– Opowiedz mi wszystko, Liz. Od samego początku. – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, a ona przyjęła to zupełnie naturalnie. To oczywiste, że powinni przejść na ty, skoro mają razem pracować.

– Tak, Rick. – Zaczęła od telefonu siostry i od decyzji, żeby się tu przenieść.

Wyjaśniła mu, dlaczego nie wierzy w wersję policji oraz dlaczego sama zdecydowała się na dalsze działania.

Na koniec jeszcze raz powiedziała o obawach siostry:

– Rachel mówiła, że odkryła nielegalną organizację, w której uczestniczą młodzi ludzie, i że boi się o własne bezpieczeństwo. W tej przesyłce były rysunki kwiatu z rogami, a Mark powiedział mi, że grupa Tary nazywała się właśnie Rogaty Kwiat.

Rick pochylił się w jej stronę.

– Co o niej wiesz?

Powtórzyła mu wszystko, czego dowiedziała się od Marka. O niejasnych praktykach i o tym, że członkowie grupy grozili Tarze, kiedy próbowała z nimi zerwać.

– Ta młodzież uważa się za rodzinę i jest bardzo zazdrosna o pozostałych członków grupy – ciągnęła.

– To dlatego Tara utrzymywała w tajemnicy związek z Markiem. Podobno członkowie Rogatego Kwiatu zażywają narkotyki i uprawiają grupowy seks. Mają hedonistyczną i ateistyczną ideologię.

– To wygląda jak jakiś niebezpieczny kult – stwierdził Rick. – W całym kraju są tysiące takich grup o różnym poziomie organizacji. Zwykle jest tam jakiś przywódca: Sun Myung Moon, Crowley czy kiedyś Charles Manson.

Liz potrząsnęła głową.

– Wszystko jedno. Najważniejsze, że Rogaty Kwiat zawładnął duszą Tary. Mark uważa, że zabili ją jego członkowie, ja zaś uważam ponadto, że są odpowiedzialni za śmierć mojej siostry. – Ponieważ Rick nie wyglądał na przekonanego, Liz pospieszyła z dalszymi informacjami: – Mark uznał, że zrobi najlepiej, jeśli rozpracuje grupę od środka. Zostawił mi wiadomość, że zgodzili się go przyjąć. Miał zadzwonić, gdyby wszystko poszło dobrze, ale... – głos jej zadrżał – nie zadzwonił. Ustaliliśmy, że w takim wypadku zgłoszę się do ciebie. – Rozłożyła ręce. – Więc jestem.

Rick milczał przez chwilę. W odróżnieniu od niej był całkowicie spokojny.

– A zastanawiałaś się nad tym, czy powiedział ci prawdę?
– Nie. Dlaczego miałby kłamać?
– Może jest zamieszany w zabójstwo Tary.
– Niemożliwe. – Pokręciła zdecydowanie głową.
– Nie widziałeś go, kiedy o niej mówił. Był w niej zakochany po uszy.
– A czy wiesz, ile osób pada ofiarą zakochanych partnerów? Nie uwierzyłybyś, jak dużo. Mogli się o coś pokłócić albo Mark przestraszył się ojcostwa...
– Urwał, widząc jej minę. – Przepraszam, Liz. Byłem kiedyś policjantem i w tej sprawie staram się myśleć jak rasowy glina. Trzeba na tę sprawę patrzeć z różnych perspektyw.

– A czy ja tak nie robię?
– Niestety nie. Chwytasz się wszystkiego, co mogłoby ci pomóc w odkryciu prawdy o siostrze. Jesteś za bardzo w to zaangażowana.

Liz westchnęła głośno i wstała.

– Mam już dosyć ludzi, którzy mi to bez przerwy powtarzają. Wcale nie przesadzam. Mark bał się tej grupy i ja też się jej boję. A teraz nie mam z nim kontaktu...

Rick wstał. Musiała unieść głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Dobrze – powiedział w końcu, jakby rozmawiał z upartą dziewczynką. – Być może masz trochę racji, ale pomyśl też o tym, że Tarę najprawdopodobniej zabił współ-

nik kogoś, kto parę lat temu zabijał kobiety w Miami. Ewentualnie naśladowca... Możliwe, że twoja siostra też padła jego ofiarą. Chociaż wcale nie jest wykluczone, że sama stąd uciekła...

Już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Rick wyciągnął rękę.

- Twoja siostra zaginęła trzy miesiące temu, prawda?
- Cztery – poprawiła go. – Ostatnio widziano ją dwunastego lipca.
- Więc gdzie jest jej ciało, Liz? Zabójca Tary wcale nie próbował ukryć tego, co zrobił. Znajdował jakąś obrzydliwą przyjemność w tych wszystkich okropieństwach, których się dopuścił. Tak to przynajmniej odbieram... Gdyby w taki sam sposób potraktował panią pastor, zostawiłby mnóstwo śladów.

Rick miał trochę racji, zresztą jej też nie dawało to spokoju. Tyle że ona kierowała się również przeczecuciami, a te rzadko ją zawodziły.

- Może nie chciał się jeszcze wówczas ujawniać – podsunęła mu rozwiązanie. – A może wpadł w panikę...

Rick spojrział na nią łagodniej.

- Możliwe, ale musimy brać pod uwagę tę wersję, która jest najbardziej prawdopodobna. Tutejsza policja współpracuje w tej sprawie z Biurem Śledczym Stanu Floryda. Być może Tara należała do grupy, która nazywa się Rogaty Kwiat, ale uwierz mi, to mało prawdopodobne, żeby paru nastolatków dokonało takiej zbrodni. To była prawdziwa rzeźnia.

Liz opuściła głowę.

- Pomóż mi. Mark powiedział, że będziesz wiedział, co robić.
- Dobrze, porozmawiamy o tym jutro rano.
- Jutro rano może już być po Marku – rzekła zgnębiona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Niedziela, 18 listopada 2.45

- Dzięki, Margo, już sobie poradzę – mruknął Rick, zapinając torbę z pieniędzmi.
- Możesz lecieć do domu.
- Jesteś pewien? – Dziewczyna przetarła krzesło szmatą, a następnie położyła je na stoliku. – Mogę zostać dłużej.

Rick uśmiechnął się do swojej najnowszej pracownicy. Miał szczęście, że udało mu się ją znaleźć. Nie tylko była pracowita i ładna, ale potrafiła radzić sobie z pijaczkami.

- Co? Nie masz dzisiaj żadnej randki?
- Nie. Mogę co najwyżej pójść do domu. A ty?
- Jak będziesz w moim wieku, zrozumiesz, że sen to najlepsza rozrywka – zaśmiał się szef.

Margo uniosła oczy do sufitu.

- Tak, tak. Ciekawe, ile masz lat? Założę się, że najwyżej trzydzieści.
- Wielkie pudło. Trzydzieści sześć – powiedział dobitnie.
- To tylko dziesięć lat więcej niż ja. – Wydęła wargi. – Niewiele. Całe pokolenie, pomyślał rozbawiony.
- Mogłabym nalać sobie wina i dotrzymać ci towarzystwa – dodała zaraz. Musiałyby być głuchy i ślepy, by nie zauważyć, że jest to wstęp do czegoś więcej. Udawał jednak, że niczego nie spostrzegł.

Margo pojawiła się w barze następnego dnia po zniknięciu Marka. Szukała pracy. Rick przyjął ją jak prawdziwy dar od losu i byłby chyba niespełna rozumu, gdyby wdał

się z nią w jakiś głupi romans. Poza tym miał pewne zasady, których zawsze się trzymał.

– Napij się, ale beze mnie – westchnął. I zaraz wyjaśnił, żeby złagodzić wymowę tych słów: – Lubię samotność. Mam wrażenie, że jakoś do mnie pasuje...

Na twarzy Margo pojawiło się rozczarowanie, ale szybko schyliła się pod kontuar.

– Dobra. – Wzięła torebkę i skierowała się do wyjścia. – Chyba daruję sobie to wino, bo przecież jutro ja otwieram. – Podeszła do drzwi i zatrzymała się przy nich na chwilę. – Ta kobieta, która tu przyszła, to twoja narzeczona?

Rick pokręcił głową.

– Nie, Margo. Po prostu znajoma znajomego.

Ciekawe, dlaczego zadała to pytanie? Był pewien, że zachowywał odpowiedni dystans wobec Liz Ames, co oczywiście nie znaczy, że mu się nie spodobała. Nie miał jednak zamiaru romansować z siostrą pani pastor... ani z nikim innym.

Potrząsnął głową i spróbował skoncentrować się na tym wszystkim, co musiał jeszcze zrobić. Czynności były jednak tak bardzo rutynowe, że jego myśli błądziły gdzie indziej. Żeby nie zajmować się samą Liz, zaczął rozważać to, co mu powiedziała.

Powinien pójść do Vala. Mark był chłopakiem Tary, a także ojcem jej dziecka, no i tej fatalnej nocy był w przykościelnym ogrodzie. Pojawił się pierwszy na miejscu zbrodni, a potem uciekł, nie kontaktując się z policją.

To czyniło zeń podejrzanego. I to głównego podejrzanego.

Rick zmarszczył brwi, myśląc o dolcach, które chłopak zabrał z kasy, a także wekslu. Może potrzebował pieniędzy, żeby zapłacić Tarze, by się od niego odczepiła? A może były one przeznaczone na aborcję? Tara nie chciała usunąć ciąży, co doprowadziło do kłótni i w konsekwencji...

Czy ta dziewczyna mu groziła, że ujawni to, co się stało?

Tylko komu? Mark mieszkał sam i zarabiał jedynie na własne utrzymanie. Nie miał żony ani niczego do stracenia.

Szantażyści uderzali zazwyczaj w najbardziej czułe miejsce. Rick zastanawiał się chwilę, co to mogło znaczyć w przypadku Marka. Chłopak najbardziej cenił sobie swoją wiarę. Czy to znaczyło, że Tara zdołała to jakoś wykorzystać przeciwko niemu?

Rick wyłączył oświetlenie, zostawiając tylko nocne lampy, włączył alarm i z kaskiem pod pachą wyszedł na ulicę. Spojrzał na ciemne, poznaczone kropkami gwiazd niebo. Może rzeczywiście Mark pokłócił się z Tarą? Może uznał, że dziecko nie jest jego? Mógł ją nawet zabić z zazdrości...

To by pasowało do przebiegu zdarzeń. Morderstwo dokonane brzytwą lub nożem zawsze miało bardziej „osobisty” charakter niż z użyciem broni palnej. Zabójca musiał dotykać swojej ofiary, walczyć z nią i czuć jej spazmy, a także ciepłą krew na swoich rękach.

Rick wsiadł na motor i zapalił silnik. Takie zabójstwo wymagało jednak silnych nerwów. Mieli je tylko dobrze wyszkoleni żołnierze, zawodowi zabójcy i psychopaci. Chociaż, z drugiej strony, jeśli było dokonane w afekcie...

Rick skierował się na południe miasta. W swoich rozmyślaniach nie dotknął jeszcze podstawowego problemu związanego z zabójstwem Tary: dlaczego dokonano go w stylu Gavina Tafta? Mark jest przecież zbyt młody, żeby mógł mieć z nim coś wspólnego, a jednocześnie nie wyglądał na kogoś, kto studiowałby kryminalne kroniki. A może jednak? Stylizacja zbrodni na modłę Tafta mogłaby odwrócić podejrzenia od prawdziwego zabójcy.

Sprytnie posunięcie, a Mark nie był przecież głupcem.

Ale jednocześnie oznaczałoby to, że zabił Tarę z premedytacją.

Światła przy Truman Avenue zmieniły się na czerwone i Rick zatrzymał się, czując pod sobą pomruki potężnego silnika. W ten sposób zamykało się domyślne koło podejrzeń. Jeśli Mark zaplanował morderstwo, nie mógł go dokonać w afekcie. Jeśli zabił z premedytacją, musiał być do tego świetnie przygotowany.

A to oznaczało morderstwo pierwszego stopnia, co w stanie Floryda wiązało się z karą śmierci. Rick nie miał wątpliwości, że w tym przypadku prokurator by się jej domagał.

Światła zmieniły się i Rick skręcił w lewo, w Truman Avenue. Czy to możliwe, żeby Mark popełnił tę zbrodnię? I po co wciągał w to Liz Ames, w dodatku wymyślając całą tę bzdurną historię z Rogatym Kwiatem?

Żeby mieć dodatkowe alibi?

Rick wciągnął głęboko powietrze. To zaczynało powoli do siebie pasować. Liz doskonale nadawała się do roli zaślepionej sojuszniczki, ponieważ obsesyjnie interesowała się zaginioną siostrą.

Do doskonale, pomyślał, oglądając się za siebie. Następnie zawrócił w niedozwolonym miejscu i pomknął w kierunku, z którego przyjechał. Wszystkie jego myśli krążyły wokół byłego pracownika. Mark nie tylko opowiedział Liz swoją bajeczkę, ale jeszcze przysłał ją do niego.

Oszukał ją, a miał zamiar oszukać również Ricka.

To był błąd. Poważny błąd.

Dojechał do Duval Street, minął Rajską Wspólnotę, swój bar i zatrzymał się przed mieszkaniem Liz Ames. Zdjął kask, przejechał dłonią po wilgotnych włosach i spojrzał w górę, w stronę okien.

Mimo późnej godziny paliły się w nich światła. Właśnie tego się spodziewał.

Postawił motor na podnóżku i jeszcze raz uniósł głowę. Zobaczył Liz, która patrzyła na niego, uniósł więc dłoń w geście pozdrowienia, a następnie wskazał drzwi. Skinęła głową.

Otworzyła mu parę minut później. Miała na sobie spodenki i koszulkę do biegania. Była boso.

– Już wiem, dlaczego Mark się z tobą skontaktował – powiedział bez zbędnych wstępów.

Bez słowa zaprosiła go do środka. Zamknęła drzwi na zasuwę, a potem poprowadziła go na górę, aż znaleźli się w salonie.

– Może usiądziesz – zaproponował.

Posła za jego radą, a Rick zaczął wyłuszczać swoją teorię. Kiedy skończył, spojrzała na niego markotnie.

- Bardzo mi przykro – bąknął.

– Niby dlaczego? – spytała nieco drżącym głosem. – Każdy ma prawo do własnego zdania.

– Ale wiem, ile nadziei z tym wiązałaś. Rozumiem, że chodzi o twoją siostrę...

Liz westchnęła i przesunęła dłonią po oczach.

- A skąd Mark dowiedział się o Gavinie Tafcie?

- Skądkolwiek, choćby z Internetu.

- On ją kochał, Rick. Szkoda, że nie słyszałeś, jak o niej mówił.

– Może okazało się, że dziecko nie jest jego albo Tara chciała z nim zerwać.

Liz wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nic podobnego – rzekła z mocą. – Tej nocy mieli razem uciec. Dlatego Mark wziął te pieniądze.

– Jeśli tak, to gdzie się podziały jej rzeczy?

– Co takiego? – spytała zdezorientowana.

No, jakieś bagaże – odparł. – Przynajmniej szczoteczka do zębów i zmiana bielizny. Jeśli Tara gdzieś się wybierała, powinna mieć ze sobą torbę albo plecak. Widziałaś coś takiego na miejscu zbrodni? Przypomnij sobie.

Liz opadła na kanapę.

– Ale Mark mówił... To wszystko było takie przekonujące...

Rick kucnął obok i wziął ją za rękę. Wydała mu się potwornie zimna, zwłaszcza jak na panującą wokół temperaturę.

– Czy nie uwierzyłaś mu dlatego, że bardzo chciałaś mu wierzyć? Z powodu twojej siostry...

– Już sama nie wiem... – W oczach Liz pojawiły się łzy. – Przecież Mark to jeszcze dziecko. Jak mógłby zrobić coś takiego?

– Ja też nie chcę w to wierzyć. Lubiłem Marka, ufałem mu, ale słyszałem już tyle osób, które z pełnym przekonaniem powtarzały, że ich znajomy lub przyjaciel nie mógł czegoś zrobić... Dlatego chcę się opierać wyłącznie na faktach.

Liz westchnęła ciężko.

- I co teraz?

- Musimy zgłosić się na policję.

– Teraz? W nocy?

– Tak mi się wydaje. Według mnie tuż po waszym spotkaniu Mark wyjechał z miasta. Im dłużej będziemy zwlekać, tym dalej zdoła uciec...

Liz skinęła głową i wstała.

- Czuję się jak ostatnia idiotka.

Nie jesteś pierwszą osobą oszukaną przez sympatycznego psychopata – mruknął Rick. – I niestety nie ostatnią.

Liz uśmiechnęła się gorzko.

– I tak miałam iść jutro na policję i wszystko im powtórzyć. Również przekazać to, co dostałam od siostry. – Wskazała leżącą na stoliku kopertę. – Pastor Collins znalazł ją u siebie na plebanii. Uznałam to za dowód, że Mark mówi prawdę.

- Co jest w środku?

Różne pamiątki rodzinne i zdjęcia, a także strona z jej rysunkami. – Znowu westchnęła. – Możesz sam zobaczyć. Ja się przebiorę.

Puścił jej rękę, a Liz wyszła z pokoju. Kiedy został sam, wysypał zawartość koperty na stół. Nie było w niej nic szczególnego...

Dopiero kiedy spojrzał na kartkę z rysunkami, poczuł, jak jeżą mu się włosy.

Tara miała podobny tatuaż na wewnętrznej stronie uda. Podobny czy taki sam? Z całą pewnością był to kwiat. Rick z trudem przełknął ślinę. Cały czas starał się przypo-

mnieć sobie dokładnie tamten obrazek, ale bez skutku. Było ciemno, a on miał wtedy mało czasu.

Z pewnością nie widział wówczas jednak ani stokrotki, ani róży.

Tylko co? Znał jednego człowieka, który mógł odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy coś się stało? – usłyszał głos Liz. Nawet nie zauważył, kiedy zjawiła się w salonie.

Miała na sobie spłowiałe džinsy i biały T-shirt. Wyglądała na przestraszoną.

– Zmiana planów – mruknął. – Muszę najpierw zadzwonić.

Dziesięć minut później Rick podziękował staremu kumplowi i odłożył słuchawkę. Lekarz nie był szczególnie zachwycony tym, że Rick obudził go w środku nocy, i nie krył, że wolałby, by to się więcej nie zdarzyło, ale udzielił mu wszystkich potrzebnych informacji.

– I co? I co? – dopytywała się Liz. – Czy Tara miała taki tatuaż?

Rick skinął głową.

– Tak, po wewnętrznej stronie lewego uda. Daniel nie pamiętał dokładnie, jak wyglądał ten kwiat.

– To niedobrze, prawda?

Rick machnął ręką.

– Głupstwo. Można to sprawdzić.

Liz potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem.

– Daniel kazał go przerysować, bo uznał, że to może być ważne – wyjaśnił Rick. – Rano będę musiał do niego pojechać na Marathon Key.

– A jeśli okaże się, że te kwiaty są takie same? – spytała, wskazując rysunek swojej siostry. – Co wtedy?

– Sam nie wiem – odparł szczerze. – Pomyślimy o tym, jak już wszystko będzie jasne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Niedziela, 18 listopada 13.00

Liz nie mogła znaleźć sobie miejsca. Chodziła po domu i wyglądała przez okno. Ustalili z Rickiem, że on pojedzie na Marathon, a ona zostanie u siebie na wypadek, gdyby Mark jednak zadzwonił. Mieli najpierw sprawdzić, czy oba kwiaty są takie same, a dopiero później zastanowić się, czy iść z tym na policję. Musieli się też trochę prześpać, żeby nabrać sił do dalszego działania.

Liz udało się zasnąć za ledwie na niecałe trzy godziny. Obudziła się z przekonaniem, że musi coś zrobić. Nie znosiła niepewności, a bezczynność była wprost nie do zniesienia. Wołałaby już pojechać z Rickiem, chociaż zdawała sobie sprawę, że nie mogła mu w żaden sposób pomóc.

Wciąż myślała o siostrze i Tarze. Zastanawiała się też nad Markiem, i to z jeszcze większą sympatią niż przedtem. Jeśli nie był mordercą, to okazał niezwykłą odwagę.

W końcu zaczęła myśleć o Ricku. Nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo inteligentny i aż się pali do policyjnej pracy. Dlaczego więc ją rzucił? Raczej wątpliwe, żeby chodziło mu o pieniądze. Może został ranny w czasie wykonywania zadania? Albo rozczarował się do systemu prawnego? Zastanawiała się też nad osobami, które widziała na zdjęciach w jego biurze: śliczną blondynką i chłopcem.

Wreszcie, kiedy słońce znalazło się w zenicie, poszła do kuchni, żeby zrobić sobie kawy. Najpierw wypila jedną filiżankę, a potem parę następnych. W efekcie zaczęła ją boleć głowa i żołądek. Czuła się coraz podłej. Pomyślała, że w wieku trzydziestu trzech lat trzy godziny snu to stanowczo za mało.

W końcu przestała się miotać po domu i zatrzymała się przy oknie w salonie. Wyjrzała na rozslonecznioną ulicę. Co się dzieje? – pytała samą siebie. Przecież Rick obiecał, że zadzwoni, jak tylko zobaczy rysunek z tatuażem Tary. Zerknęła na zegarek i skrzywiła się z obrzydzeniem. Wyspa Marathon znajdowała się jakieś dwie godziny drogi od Key West, a Liz nie wiedziała nawet, o której Rick wyjechał.

Nagły dźwięk klaksonu zwrócił jej uwagę. Zauważyła Heather, która przebiegała właśnie z opakowanym w folię talerzem przez ulicę. Liz otworzyła okno.

- Hej, uważaj! – krzyknęła, chociaż nie było to już potrzebne. – Życie ci niemiłe?!
- Mam coś dla ciebie – odrzyknęła Heather. – Ciasteczka z limonkami!
- Zaraz schodzę.

Liz pospieszyła na dół. Kiedy otworzyła drzwi, nowa znajoma wręczyła jej talerz.

- Proszę bardzo. Sama upiekłam.
- Naprawdę umiesz piec? Z takim wyglądem?
- zdziwiła się szczerze. – Chyba zzielenieję z zazdrości.
- Nie mogłam dziś spać, więc szalałam w kuchni – wyjaśniła Heather. – To jeden z moich sposobów na gorszy nastrój.

Liz ściągnęła brwi.

- Coś się stało?
- Mogę wejść?
- Jasne. Zaraz zrobię ci kawę.

Poprowadziła przyjaciółkę do kuchni.

- Usiądź – powiedziała, wskazując krzesło. – To zajmie parę chwil.

Szybko uruchomiła ekspres, a potem usiadła obok Heather.

Co się stało?

Ktoś mnie śledził.

Liz poczuła, jak serce podskoczyło jej do gardła.

- Co takiego?!

Heather zacisnęła dłonie na podołku.

– Tak, wczoraj w nocy. I... i wcześniej chyba też. Myślę, że to nic takiego, ale po tym, co stało się z Tarą, mam niezłego pietra.

Liz skinęła głową. Doskonale ją rozumiała.

– Dobrze, opowiedz mi teraz o wszystkim – poprosiła, zapominając zupełnie o kawie.

– Od paru dni czułam się tak, jakby ktoś przyglądał mi się z ukrycia. Wiesz, jak to jest, niby nic się nie dzieje, ale masz takie dziwne wrażenie, jakby niefizyczny dotyk... Czasami uda ci się też zauważyć jakiś ruch za plecami.

– Tak, wiem, o czym mówisz – szepnęła Liz.

– Czy to kobieta, czy mężczyzna?

– Mężczyzna – odparła przyjaciółka i na chwilę zamilkła. – Wczoraj... wczoraj nagle obudziłam się w środku nocy. Sama nie wiedziałam, dlaczego, bo spałam bardzo mocno... – Heather na moment urwała i jeszcze mocniej zacisnęła dłonie. – I potem zauważyłam, że... że okno jest uchylone.

– Było otwarte, kiedy zasypiałeś?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Nie śpiam przy otwartym oknie, bo mam problemy z zatokami.

– Dzwoniłaś na policję?

Heather potrząsnęła głową.

Bałam się, że uznają to wszystko za wytwór mojej wyobraźni.

– Ale okno...

– Tu też mogę się mylić. Tak naprawdę nie mam żadnych dowodów, że ktoś mnie śledził. Wyszłabym na idiotkę.

– Lepiej być żywą idiotką niż... – Niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu, a gdy Heather jęknęła, Liz szybko dodała: – Przepraszam, nie powinnam była tego mówić.

– Nie, nic takiego. – Machnęła ręką, choć wciąż wyglądała na wstrząśniętą. – Czy... czy Tara wspominała może, że ktoś ją śledził?

– Nie, ale rozmawiałam z nią tylko dwa razy. Nie powiedziała mi wszystkiego.

W kuchni zapadła cisza. Liz siedziała na brzeжку krzesła, nie bardzo wiedząc, co dalej. Czy powinna zapytać Heather o Rogaty Kwiat, czy raczej nie? Może słyszała coś o tej grupie, przecież przez jej butik przewija się sporo nastolatków...

A jeśli już od tego zacznie, czy powinna jej zdradzić, że jest siostrą byłej pani pastor? I wyjaśnić, dlaczego tak naprawdę przyjechała na Key West?

Sygnal telefonu wdarł się niemal jak tornado w jej rozważania. Liz skuliła się, a potem zerwała na równe nogi.

– Przepraszam, czekam na telefon – rzuciła. Przez chwilę wahała się, lecz w końcu podniosła słuchawkę znajdującego się w kuchni aparatu.

– Halo?

– Liz, tu Rick – usłyszała znajomy głos. – To jest ten sam kwiat.

– O Boże! Rick! To jednak prawda!

– Niekoniecznie, ale musimy się nad tym wszystkim jeszcze raz zastanowić.

– A może już teraz powinniśmy coś zrobić? – Liz zniżyła głos.

– Najwyższy czas, żeby Val zaczął działać – stwierdził Rick. – Na razie musimy jechać do „Hideaway”, żeby zastąpić Margo. Przyjdę do ciebie, jak tylko znajdę wolną chwilę.

– Zaczekaj! Jesteś pewny, że to dobry pomysł? Mark mówił...

– Właśnie o niego mi chodzi – przerwał jej.

– Musimy go jak najszybciej znaleźć, a bez policji nam się to nie uda.

– Dobrze, znasz się na tym lepiej ode mnie – powiedziała pełnym rezygnacji głosem.

– Liz, nie przejmuj się. I uważaj. Nie... ów...omu... – Usłyszała jeszcze jakies trzaski, a potem rozmowa nagle się urwała.

Była pewna, że Rick chciał jej przekazać, żeby nikomu nie mówiła o tym, co się stało, dopóki nie zawiadomi policji. To rozwiązywało jej dylematy związane z Heather.

Liz obróciła się, żeby spojrzeć na przyjaciółkę. Właśnie patrzyła w okno, a na jej ślicznej twarzy wciąż było widać oznaki niepokoju. Liz zagryzła wargi niemal do bólu. Miała wielką ochotę zignorować ostrzeżenie Ricka i o wszystkim jej opowiedzieć. Przecież najpewniej Heather była w poważnym niebezpieczeństwie, chociaż zupełnie nie wiedziała, dlaczego.

Przyjaciółka wyczuła jej wzrok i spojrzała na nią.

- Coś się stało?
- Nie, nic ważnego. – Liz uśmiechnęła się z przymusem.

Heather ściągnęła brwi.

- Wyglądasz na zdenerwowaną.
- Chyba po prostu wypijałam za dużo kawy. – Liz zaśmiała się, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to fałszywie.
- Pójdę już – powiedziała z lekką urazą przyjaciółka, podnosząc się z krzesła.
- Zaczekaj! – Liz wyciągnęła rękę. – Ktoś... znajomy ma kłopoty, a ja próbuję mu pomóc.

Heather wahała się chwilę, a potem skinęła głową.

- Rozumiem. Jeśli będziesz chciała pogadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć.
- Dziękuję – powiedziała tylko Liz, ale tym razem nikt nie mógłby zważyć w jej szczerość.

Zeszły na dół, gdy jednak Heather miała już przestąpić próg, Liz chwyciła ją za rękę.

- Zaczekaj. Jeszcze jedna sprawa. Moim zdaniem powinnaś pójść na policję.

Heather wzruszyła ramionami.

- Chyba jednak mi się wydawało – mruknęła. – Po co ktoś miałby mnie śledzić?
- Lepiej uważaj – niemal błagała ją Liz. – Nigdy bym sobie nie darowała, gdyby coś ci się stało.

– Jestem silna – zaśmiała się Heather i napружиła mięśnie. – Różni faceti próbowali się do mnie dowalać.

Liz patrzyła za nią bez cienia uśmiechu. A jeśli ten „facet” nie będzie chciał się do niej dowalać? I jeśli będzie miał dla niej nie uwodzicielskie słowa, lecz brzytwę lub ostry nóż?

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Niedziela, 18 listopada 15.20

Val czekał na Ricka w barze. Wyglądał na niezłe wkurzonego. Podniósł się z miejsca, gdy tylko zauważył kumpla.

- Musimy pogadać – warknął.
- Dzień dobry – mruknął Rick. – Cieszę się, że mnie tak miło witasz.

Też był zdenerwowany. Na Marathon pojechał nie motorem, ale swoim niezawodnym, starym dżipem. Niezawodnym do dzisiaj, poprawił się w duchu. Tuż za Big Pine Key wysiadła mu klimatyzacja i teraz czuł się mocno nieświeżo i chciało mu się pić.

W tym momencie wcale nie miał ochoty na spotkanie z Valem.

- Przestań truć, Rick. Wiem, gdzie dzisiaj byłeś. Uważam to za koniec naszej przyjaźni.

Wydało się, pomyślał Rick. Cholera jasna!

- Pozwolisz, że najpierw napiję się czegoś zimnego? – powiedział, kładąc telefon i kluczyki na kontuarze.
- Nie, nie pozwolę. Ale i tak mnie nie posłuchasz. Zawsze robisz to, co ci się podoba!

Margo patrzyła na nich z rosnącym zdziwieniem, a następnie odwróciła się, żeby zrobić szefowi drinka.

Mężczyźni wymienili długie spojrzenia. Rick zaklął w duchu.

- Margo, będziemy u mnie w biurze.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Val obrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- Złamałeś zasady, stary.

- Skąd wiesz?
- Dzwonił Daniel. Miał wątpliwości związane z tym, co zrobił.

Dbą o własną skórę, pomyślał Rick. Spryciarz.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Wzruszył ramionami. – Nie robię przecież nic złego.

Bzdury! Daj mi ten rysunek.

Rick znieruchomiał.

- To tylko kopia.

Val wyciągnął dłoń, która drżała od tłumionej wściekłości.

- Wobec tego... kopię.

Rick wyjął ją z kieszeni i podał. Val schował kartkę, nawet na nią nie patrząc. Bez wątplenia widział już wcześniej ten rysunek.

– Posłuchaj, zaczynasz grzebać w dowodach i w moim, rozumiesz, moim śledztwie! Jakim prawem? Masz z tym skończyć raz na zawsze i nie mieszać się w nie swoje sprawy.

Val otworzył drzwi, chcąc wyjść.

- Słyszałeś o grupie, która nazywa się Rogaty Kwiat? – spytał spokojnie Rick. Porucznik zatrzymał się, ale nie odwrócił głowy.

– Należą do niej nastolatki z Key West. Sami nazywają siebie rodziną. Na pewno biorą narkotyki i uprawiają seks grupowy, a może też... mają związek z tym morderstwem.

Val wreszcie się odwrócił.

- Chyba żartujesz!
- A wyglądam, jakby mi się zebrało na opowiadanie dowcipów? – spytał gorzko

Rick.

- Myślisz, że to oni mogli zabić Tarę?
- Tak.

Val pokręcił głową.

- Nie mam czasu na takie nonsensy.

- Myślę jednak, że powinienes mnie wysłuchać. – Wskazał mu krzesło. – Jeśli uznasz, że to nie ma sensu, nic więcej ci już nie powiem.

Porucznik przyglądał mu się dość długo, zanim usiadł.

- Dobrze, ale się streszczaj.

Pamiętasz, mówiłem ci, że tej nocy, kiedy zginęła Tara, jeden z moich pracowników źle się poczuł i poszedł wcześniej do domu.

Val skinął głową.

- Tak, pamiętam tego chłopaka. Mark... jak mu tam?

- Morgan. Mark Morgan.

- Właśnie, jak mu leci?

- Leciało. Już u mnie nie pracuje.

Porucznik spojrział na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

- Dlaczego?

- Zabrał mi z kasy sześćset dolców i uciekł. Zostawił tylko weksel.

- Weksel? – powtórzył z niedowierzaniem Val.

- I list, w którym wyjaśniał, że musiał wziąć te pieniądze, bo są mu pilnie potrzebne, żeby wyjechać z Key West. Obiecał, że je zwróci.

- Już to widzę – zaśmiał się kumpel.

Nawet do niego poszedłem, ale oczywiście jego wóz zniknął, a mieszkanie było zamknięte. – Rick urwał, zastanawiając się, co by znalazł w środku, gdyby zdecydował się wejść. – Uznałem więc, że mogę zapomnieć o pieniądzach.

Val pochylił się w jego stronę.

- Ale, jak rozumiem, to nie koniec historii?

- Niecały tydzień temu Mark zadzwonił do Liz Ames, a potem spotkał się z nią przy Mallory Square. Nie znali się wcześniej, ale powiedział jej, że ma informacje na temat śmierci Tary. – Val wyprostował się. Rick wiedział, że ma do niego mnóstwo

pytań, ale wołał wysłuchać tej historii do końca. – Okazało się, że Mark był chłopakiem Tary. Chcieli razem uciec tamtej nocy i dlatego ukradł te pieniądze.

– A przynajmniej tak twierdzi – wtrącił Val. – Czy wiedział, że była w ciąży?

– Tak. Ale najgorsze jest to, że był tej nocy w przykościelnym ogrodzie.

– Cholera jasna! – Val zerwał się na równe nogi. – To ja po całej wyspie szukam podejrzanego, a ty...! Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Dziś w nocy.

Porucznik aż poczerwieniał z gniewu.

– Powinieneś być od razu do mnie zadzwonić. Przecież doskonale wiesz, że w takim śledztwie liczy się każda minuta.

– Właśnie to chciałem zrobić – rzekł spokojnie Rick. – Zamknąłem bar i wybrałem się do Liz, żeby jeszcze raz opowiedziała mi o tym, co usłyszała od Marka.

– Ale tego nie zrobiłeś, tylko wykorzystałeś starą znajomość, żeby nielegalnie wejść w posiadanie dowodów dotyczących śledztwa. Bardzo sprytnie, Rick.

Przyjaciół pokręcił głową.

– Dasz mi wreszcie skończyć czy nie?

Val wyduł pogardliwie wargi.

– Przede wszystkim powinienem jak najszybciej złapać tego mordercę.

– Więc może jednak mnie wysłuchasz. – Rick powoli zaczynał tracić cierpliwość.

– Tara była członkiem grupy, o którą cię pytałem. Tego Rogatego Kwiatu. Mark twierdził, że pozostali członkowie jej grozili. Mówili, że jeśli będzie próbowała odejść z „rodziny”, zrobią jej coś złego. Właśnie dlatego zdecydowali się na ucieczkę. Umówili się w ogrodzie, ale Mark znalazł ją tam martwą. Jego zdaniem to ludzie z grupy ją zabili, a także maczali palce w zniknięciu pani pastor.

– Nic dziwnego, że ta kobieta dała się na to nabrać.

– Też tak myślałem, ale potem zobaczyłem te rysunki. – Rick zrobił efektowną przerwę. – Liz dostała kopertę z rzeczami po siostrze i na jednej kartce znajdowały się rysunki dziwnego kwiatu z rogami. Właśnie wtedy przypomniałem sobie tatuaż, który

miała Tara. Stwierdziłem, że jeśli jest to ten sam kwiat, to cała sprawa może być nieco bardziej skomplikowana.

Val milczał przez dłuższą chwilę.

–I... był? – raczej stwierdził, niż spytał.

Rick skinął głową.

- Tak.

- Powinieneś być przyjąć z tym od razu do mnie.

- To prawda. – Spojrzał na przyjaciela. – Chciałem jednak wcześniej się upewnić...

- No to się upewniłeś – mruknął ponuro Val. – A teraz może powiesz mi, gdzie jest Mark Morgan?

- Nie mam pojęcia.

- Mów prawdę. Gdzie mogę go znaleźć?

- Zniknął. To dlatego Liz Ames poprosiła mnie o pomoc. Mark chciał znaleźć zabójców Tary i dlatego postanowił przyłączyć się do Rogatego Kwiatu. To było dwa dni temu. Od tego czasu nie odezwał się do Liz.

Val zaśmiał się szyderczo.

- Czy wszyscy w tym cholernym mieście prowadzą własne śledztwa? – jęknął.

Zaczął chodzić po pokoju. Zatrzymał się dopiero po paru chwilach i wymierzył w Ricka palec.

- Chcesz powiedzieć, że na naszej niewielkiej wysepce szerzy się jakiś tajemniczy kult? Tutaj, gdzie wszyscy wszystkich znają? I jeszcze w dodatku jego wyznawcy mordują się bez jakichś szczególnych powodów? I może składają przysięgę krwi albo coś takiego... To wszystko brzmi wyjątkowo idiotycznie.

- Sam tak myślałem, dopóki nie zobaczyłem tych rysunków. Myślę, że te dwie sprawy mogą się ze sobą wiązać.

– A nie przyszło ci do głowy, że rysunki pani pastor to kopie tatuażu, który widziała u Tary? Być może o tym rozmawiały i dziewczyna opowiedziała jej jakieś nie stworzone historie. Niektóre nastolatki mają naprawdę bujną wyobraźnię.

Rickowi zrobiło się głupio. Sądził, że wziął wszystko pod uwagę, a jednak przeoczył tak oczywiste rozwiązanie. Val ciągnął dalej:

– Przyjrzyjmy się faktom. Mark Morgan był związany z ofiarą, więc miał powody, żeby pragnąć jej śmierci. W dodatku pojawił się na miejscu zbrodni. To wszystko składa się w jedną całość.

– Sam wiesz, że czasami pozory mylą.

– Tak, ale bardzo rzadko. Ile miałaś takich spraw? Niezwykle scenariusze trzeba zostawić specom z Hollywood.

Rick otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Val uniósł dłoń.

– Ja też postanowiłem ci coś powiedzieć. Sprawdziłem panią Ames i wydaje mi się, że powinieneś na nią uważać.

Wal śmiało, nawet jeśli ma się okazać, że jest wielokrotną morderczynią.

Porucznik pokręcił głową.

– Wręcz przeciwnie, ale miała wyjątkowo ciężki rok. Najpierw zmarła jej matka, a po paru miesiącach ojciec. Siostra przeprowadziła się tu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy były mąż zdradził Liz z jej byłą przyjaciółką. Przedtem miał inne kochanki, i pani Ames bardzo przeżyła rozpad swego małżeństwa. A potem jeszcze nastolatka, którą się zajmowała, próbowała popełnić samobójstwo. Widzisz, wystarczy, żeby złamać każdego.

– To wszystko?

– Nie, jeszcze nie. Pani Ames rzeczywiście tego nie wytrzymała i musiała pójść do szpitala. Wciąż jest na lekach. Terapeuta błagał ją, żeby tu nie przyjeżdżała, bo bał się ponownego załamania.

Rick zrobił wielkie oczy.

– Boże święty, musiałeś dzwonić do St. Louis, a oni przeprowadzili prawdziwe śledztwo. Na jakiej podstawie?

– Była pierwsza na miejscu zbrodni i знаła ofiarę. Co byś zrobił na moim miejscu? Musiał przyznać, że to samo. Niezależnie od tego, czy mu się to podobało, czy nie, Val spełniał jedynie swe obowiązki.

– Ta kobieta ma problemy, stary. Poważne problemy ze sobą...

Rick starał się to wszystko przemyśleć. Nareszcie zaczął lepiej rozumieć Liz i tę aurę kruchości, która ją otaczała. Poczul się też oszukany, bowiem Liz Ames nie wyznała mu całej prawdy.

– Chcesz powiedzieć, że jest wariatką i że nie powinienem jej wierzyć?

Val pokręcił głową.

– Nie do końca. Staram się sprawdzić to, o czym mi mówiła, muszę cię tylko ostrzec, że nie wszystko musi być prawdą. Ludzie po załamaniach nerwowych wygadują niestworzone rzeczy, a w dodatku świadomie lub bezwiednie manipulują słuchaczami, wykorzystując ich instynkt opiekuńczy...

Rick z trudem przełknął ślinę. Tak właśnie było w jego przypadku. Chciał wierzyć Liz i chciał się nią opiekować. Ciekawe, czy wciągnęła go w to specjalnie, czy też nie była tego świadoma?

Niestety, jeśli idzie o Liz, nie potrafił zachować obiektywizmu. Nagle zadzwonił telefon komórkowy Vala.

– Halo, tu porucznik Lopez – odezwał się natychmiast.

Słuchał przez chwilę z wyrazem coraz większego niedowierzenia.

– Zaraz tam będę, Carla.

Bez pożegnania skierował się w stronę drzwi.

– Co się stało? – spytał go Rick.

Val stanął w drzwiach i wahał się przez moment, jakby zastanawiając się, czy mu zaufać.

- Wygląda na to, że Naomi Pearson wcale nie uciekła – mruknął ponuro. – Znalaziono ją na Dog Beach.
- Jak rozumiem... martwą? Porucznik skinał głową.
- Tak, z poderżniętym gardłem i rozciętym brzuchem. – Spojrzał Rickowi prosto w oczy. – Wiele wskazuje na to, że mamy tu seryjnego mordercę.

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Niedziela, 18 listopada 18.10

Plaża Dog Beach cieszyła się wielkim powodzeniem u miejscowych, a to dlatego, że można tam było zabierać czworonożnych ulubieńców. Zajmowała piaszczysty kawałek lądu pomiędzy Waddell Avenue a oceanem, tuż za restauracją „Backyard” Louiego. Naomi Pearson odkrył pies myśliwski, który pobiegł za rzuconym przez pana kółkiem. Jego właściciel najpierw zwymiotował do znalezionej nieopodal wiaderka, a potem skontaktował się z policją.

Carla stała jakieś dwa metry od zmarłej, trzymając przy ustach i nosie chusteczkę skropioną wodą kolońską. Wokół panował potworny smród.

Carla była na to przygotowana. W zeszłym roku pracowała w zespole, który badał sprawę utonięcia i wiedziała, że zwłoki, które miały kontakt z wodą, rozkładają się zupełnie inaczej. Przede wszystkim pojawia się na nich żółtawa, mazista substancja, zwana tłuszczem woskiem. Wraz z upływem czasu tłuszczowosk jęlczeje, wydzielając potworny fetor.

Zamieniają się weń zarówno mięśnie, jak i tkanka tłuszczowa ofiary, której kontury rozmywają się, czyniąc z niej bezkształtnego potwora. Wyższa temperatura wody jeszcze przyspiesza ten proces.

Naomi Pearson wyglądała teraz niemal groteskowo. Prawie nie można było rozróżnić konturów jej na pół uciętej głowy, a rozcięty brzuch wyglądał jak koszmar paranoika. Całe ciało zatraciło swój ludzki charakter.

Carla spojrzała w prawo, w stronę restauracyjnej werandy. Niemożliwe, żeby leżała tu długo, bo nawet lekki wietrzyk w stronę „Backyard” wypłoszyłby stamtąd wszyst-

kich klientów. Więc gdzie była? Czyżby wyrzuciły ją tutaj fale Atlantyku? A może coś trzymało ją pod wodą?

Za sobą usłyszała trzask samochodowych drzwiczek. Nareszcie. Obejrzała się i dostrzegła Vala. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdołałaby powstrzymać mdłości. Pomyślała, że powinna coś robić, ale nie wiedziała co. Miała już tego dość.

Pomachała szefowi ręką, a potem znowu czekała. Val również przyłożył chustkę do nosa. Wiedział, czego się spodziewać.

- Kto ją znalazł? – spytał.

- Pies jednego z plażowiczów. Facet był tak wstrząśnięty, że po przesłuchaniu odesłałam go do domu. Oczywiście mam nazwisko i adres.

- Zabezpieczyłaś miejsce?

- Tak, chociaż tylko wariat chciałby się tu zbliżyć – odparła. – Reese jest na północnym krańcu plaży, a McKinney na wschodnim. – Zauważyła gapiów, którzy zebrali się na werandzie u Louiego. – Zdaje się, że wiatr się zmienił.

Val zerknął w stronę restauracji, a potem zajął się oględzinami. Patrzył długo na ofiarę, aż wreszcie zbliżył się do niej, starając się posuwać wraz z kierunkiem wiatru.

Kiedy w końcu stanął obok Carli, zauważyła, że z oczu ciekną mu łzy.

- Jesteś pewna, że to Naomi Pearson?

- Tak. Miała przy sobie torebkę.

- Dotykałaś czegoś?

- Chyba żartujesz. Nawet do niej nie podchodziłam, szefie.

- Pamiętasz, kiedy zniknęła?

- Ostatnio widziano ją pierwszego. Siedemnaście dni temu.

Val zmarszczył brwi.

- Nie wygląda na to, żeby morderca starał się jakoś obciążyc ciało. Moim zdaniem po prostu wrzucił je do wody, a ono o coś zahaczyło, i dopiero jakiś prąd albo przyplływ je uwolnił.

- Myślisz, że to ta sama osoba, która zabiła Tarę?

– To raczej oczywiste. Nie wydaje ci się? Carla zawsze zgadzała się z Valem. Po odejściu Ricka uznała go za swego mentora. Mimo to miała teraz wątpliwości.

– Tarę zostawiono na miejscu zbrodni, a Naomi wrzucono do wody. Dlaczego zabójca zmieniałby swój rytuał?

Szef spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Rytuał, Carla? Czyżbyś czytała coś na ten temat?

Policjantka poczuła, jak policzki nabiegają jej krwią. Istotnie, studiowała ostatnio zwyczaje Tafta i innych niebezpiecznych sekciarzy. Sama nie wiedziała, dlaczego uznała to za istotne. Być może miała już dosyć opinii słodkiej idiotki.

Tak, trochę...

To świetnie. – Spojrział na rozkładające się ciało. – A jeśli idzie o twoje pytanie, to oczywiście nie znam na nie odpowiedzi. Co nie znaczy, że ona nie istnieje. Być może ten element nie jest dla mordercy istotny albo zabił ją właśnie w wodzie. Jedno jest pewne, dwa zabójstwa na Key West to o dwa za dużo.

Koło plaży zatrzymał się następny wóz. Pojawiło się parę osób z biura szeryfa, a także ekipa techniczna. Val zwrócił się jeszcze do podwładnej:

– Chciałbym, żebyś coś zrobiła. Sprawdź chłopaka, który nazywa się Mark Morgan. Pogadaj z jego bliskimi. Zniknął jakiś tydzień temu, ale wcześniej wynajmował mieszkanie przy Packer. Dobrze by było, gdybyś tam zajrzała.

– Carla spojrziała na nadchodzących policjantów.

– Kto to taki? – spytała, zbierając się do odejścia.

– Jeśli ci się powiedzie, nasz główny podejrzany. Bardzo by nam się przydał – dodał z ciężkim westchnieniem i odwrócił się od zwłok Naomi Pearson.

Carla wypełniła sumiennie polecenie szefa, niestety Mark Morgan nie miał żadnych bliskich. Przynajmniej na wyspie. Skończył dwadzieścia lat i wychował się w Teksasie. Jego gospodyni mieszkała na Key West „od zawsze” i chwaliła się, że widywała

Ernesta Hemingwaya w czasach, kiedy chodził do baru „Sloppy” Joego w latach czterdziestych. Jeśli chodzi o Marka, nie szczędziła mu pochwał.

– To był naprawdę porządny chłopak – mówiła, prowadząc Carlę do jego pokoju. – Nie taki, jak ci teraz.

Przystanąła przed drzwiami i zaczęła szukać klucza. Zupełnie nie zwracała uwagi na papierosa, który niemal przykleił się do jej karminowo uszmkowanych warg.

– Zawsze „tak, proszę pani” albo „nie, proszę pani”. Pomagał mi, jak tylko mógł. Szkoda, że się wyprowadził.

– Już na stałe? – spytała Carla, cofając się przed naporem tytoniowego dymu. Gospodyni wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie widziałam go od tygodnia i nie zapłacił za pokój. – Kobieta w końcu znalazła klucz i otworzyła drzwi drżącą ze starości ręką. – Tak już jest z tymi dzieciakami. Wprowadzają się na tydzień, a potem jadą dalej. Mark i tak był tu najdłużej.

– Czy to znaczy, że ktoś sprzątał już jego pokój? – spytała natychmiast Carla, starając się ukryć swoje rozczarowanie.

– Jeszcze nie. Miałam ostatnio kłopoty ze sprzątaczką. – Uśmiechnęła się. Papieros zachwiał się w kąciku jej ust i trochę popiołu opadło na szaroburą wykładzinę. – Poza tym miałam nadzieję, że może wróci.

– Czy miał jakichś przyjaciół albo dziewczynę?

– Przychodziła tu taka jedna. Z czarnymi włosami. Bardzo ładna.

Na pewno Tara, pomyślała Carla.

– A czy poznałaby ją pani na zdjęciu?

– Pewnie tak. – Kobieta uporała się z zamkiem i ściągnęła brwi. – Czy Mark ma może jakieś kłopoty?

– Jeszcze nie wiemy – odparła ostrożnie Carla.

– Po prostu staramy się wszystko sprawdzić.

Gospodyni pchnęła drzwi i Carla zajrzała do środka. Mieszkanie składało się z niewielkiego pokoju oraz ciemnej kuchni. Panował tu nieprzyjemny zaduch. Łóżko było porządnie zasłane, a na szafce leżała Biblia. Carla wzięła ją do ręki. Skórzana oprawa była dość mocno zniszczona, a kartki nosiły ślady częstego czytania. Zaznaczono w niej fragmenty z Apokalipsy.

Odłożyła ją i podeszła do komody z trzema szufladami. Wszystkie były puste, podobnie jak szafka.

Carla obróciła się w stronę gospodyni, która obserwowała ją od drzwi.

– Co tam jest? – spytała, wskazując zamknięte drzwi, znajdujące się naprzeciwko tych do kuchni.

– Łazienka?

– Mhm.

Policjantka weszła tam. Od razu zauważyła brudną odzież leżącą na podłodze. Wyglądało to tak, jakby chłopak rozebrał się i wszedł pod prysznic, nie troszcząc się o swoje rzeczy. Ręcznik wisiał na szynie od kotary.

Carla odsunęła plastikowy materiał i zajrzała do środka. O dziwo, znajdowała się tu wanna, ale można z niej było korzystać jak z prysznicą. Na okienku stała opróżniona do połowy butelka szamponu. Z kranu ciekło. Mydło Marka wciąż leżało w mydelniczce.

Kręcąc głową, zasunęła kotarę. Chłopak wyprowadził się tak szybko, że nie zabrał nawet części swoich rzeczy.

Spojrzała jeszcze raz na ubrania i dopiero teraz zauważyła, że są poplamione czymś ciemnym. Wzięła T-shirt do ręki. Na jasnoniebieskim materia- le widać było rdzawe ślady.

Krew, zrozumiała nagle. Szybko odłożyła koszul- kę i wyprostowała się. Była bardzo podekscytowana. Ten porządny chłopak miał całe ubranie we krwi.

– Znalazła coś pani? – spytała z ciekawiona gospodyni.

Carla odwróciła się, starając się zasłonić sobą szokujący widok.

- Przepraszam, muszę pilnie zadzwonić – powiedziała, zamykając starannie drzwi. Następnie wybrała numer komórki Vala.
- Zdaje się, że coś mam, szefie – powiedziała, nie potrafiąc ukryć podniecenia.
- Mark Morgan...?
- Tak! Wygląda na to, że nareszcie znaleźliśmy głównego podejrzanego.

RS

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Niedziela, 18 listopada 18.45

Wystarczyło, że Liz spojrzała na Ricka i od razu wiedziała, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało? – spytała.
- Mogę wejść? – mruknął.

Otworzyła więc drzwi, a on wszedł do środka. Nie skierował się jednak na górę, tylko obrócił w jej stronę.

- Jest jeszcze jedna ofiara. Kobieta. Nazywała się Naomi Pearson.

Naomi Pears... – zaczęła, gdyż to nazwisko brzmiało znajomo. Nagle przypomniała sobie to, co czytała w „Key West Citizen”. No tak, zaginiona pracownica banku, powiązana z jego wiceprezesem, który popełnił samobójstwo po tym, jak zdefraudował olbrzymią sumę. Liz uniosła dłoń do ust. – Jak to się...?

- Nie znam szczegółów, ale zdaje się, że zabito ją tak samo jak Tarę.

Zrobiło jej się słabo. Bez słowa podeszła do schodów i usiadła na nich ciężko. Po chwili spojrzała na Ricka.

- Gdzie ją znaleziono?
- Na plaży.

- To znaczy, że Rachel też wepchnął do morza. – Zacisnęła pięści. – Myślałam, że ten człowiek nie ukrywa swoich zbrodni.

Rick przykucnął obok.

- To jeszcze nic nie znaczy. Twoja siostra może przecież żyć...

– Nie pocieszaj mnie, Rick. O ile pamiętam z prasy, policja uważała, że Naomi Pearson też uciekła. Tak jak Rachel.

– Tak, tyle że ona miała powody.

– A moja siostra nie miała? Tylko posłuchaj porucznika Lopeza...

Rick westchnął ciężko.

– Sam nie wiem, co powiedzieć.

Najlepiej nic nie mów. – Liz zakryła twarz dłońmi. Już dawno podejrzewała, że siostra nie żyje, jednak taka śmierć wydawała jej się wyjątkowo straszna.

– Miałś jakieś informacje od Marka?

Pokręciła głową.

– Był u mnie Val. Wszystko mu powiedziałem.

Milczała. Nie mogła w tej chwili wydobyć z siebie głosu. Bała się, że lada chwila wybuchnie głośnym płaczem.

– Liz, muszę cię o coś spytać.

– Tak? – Spojrzała na niego po chwili niewidzącymi oczami.

Val mówił mi, że przeszłaś ostatnio załamanienerwowe. Czy to prawda?

Przez chwilę nie pojmowała, dlaczego ją o to pyta. Kiedy wreszcie zrozumiała, nie zdołała powstrzymać jęku. Wiedziała, że jeśli to się wyda, radykalnie wpłynie na opinię o niej. Już teraz Rick patrzył na nią podejrzliwie.

Uniosła jednak dumnie brodę.

– Tak, to prawda.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– A czemu miałabym to zrobić? Przecież się prawie nie znamy.

Rick zmełł przekleństwo w ustach.

– Bzdury.

– Tak uważasz? – Zaciśnęła pięści. – A co chciałbyś ode mnie usłyszeć? Że ledwo się trzymam? Że za dużo ostatnio przeszłam i czuję się zagubiona? Że nie powinieneś się ze mną zadawać, bo mam nierówno pod sufitem? Tak właśnie powinnam zrobić?

– Przynajmniej wiedziałbym wszystko.

Liz zaśmiała się gorzko.

– W ten sposób udowodniłabym, że rzeczywiście jestem trzepnięta. Wyobrażasz sobie tę rozmowę:

„Cześć, jestem Liz. Ostatnio przeszłam załamanie nerwowe. Opowiedzieć ci o tym? To naprawdę bardzo ciekawe”.

Nic nie powiedział. Wstał, a Liz poszła w jego ślady.

– Rick, czy uważasz, że z tego powodu nie można mi wierzyć? O to właśnie ci chodzi?

Milczał. Nawet nie przypuszczała, że cisza może tak boleć.

Liz jeszcze mocniej wysunęła brodę.

– Jeśli chcesz, możesz sobie iść – powiedziała, wskazując drzwi. – Droga wolna. Poradzę sobie sama.

– Nie o to chodzi! – Trzepnął się pięścią w udo. – Po prostu chciałem ci ufać. Bardzo mi na tym zależało.

– A teraz nie możesz? – Spojrzała na niego z bólem. Nagle poczuła, jak ścisnęło jej się gardło. – Rick... dlaczego chciałeś mi zaufać? – wydusiła z siebie.

Podszedł do drewnianych drzwi i oparł się o framugę. Starał się nie patrzeć na Liz. Jego wzrok błędził gdzieś po schodach.

– Wiem, jak to jest, kiedy się wszystko... traci – zaczął wolno. – Domyślam się, jak musiałeś się czuć... – Rick westchnął głęboko. Liz milczała, nie chcąc mu przerywać. – Parę lat temu miałem... wszystko. Żonę i syna. Kochałem ich i lubiłem swoją pracę.

Kobieta i chłopiec na zdjęciach, pomyślała.

– Najpierw straciłem żonę. Zmarła na raka. A potem syna... – Rick urwał nagle.

Liz wiedziała, że może tylko słuchać. Musi się sam pozbierać i opowiedzieć o tym, co się stało.

– Po śmierci Jill przeprowadziliśmy się tutaj. Pracowałem z Valem w Departamencie Policji. Było nam ciężko, ale jakoś sobie radziliśmy z Samem. Wiedziałem, że muszę się nim zająć.

Liz napotkała jego wzrok. Dopiero teraz zauważyła, że oczy Ricka są suche, ale przepelnione rozpaczą i zaczerwienione.

– I? – Chciała mu jakoś pomóc.

Pewnej nocy włamali się do mnie dwaj zamaskowani bandyci. Mieli broń. Ja też. Zaczęliśmy strzelać. – Rick urwał na chwilę. Widziała, że to wyznanie przychodzi mu z największym trudem. – Sam miał wtedy pięć lat. Zbudził się przerażony i zaczął wołać mamę. Chociaż wiedział, że nie żyje, czasami mu się to zdarzało. Do tej pory mam w uszach jego krzyk...

Zamilkł i skulił się cały. Liz podeszła, żeby go przytulić. Przez moment trwali tak, czując ciepło swoich ciał. Rick drżał. Po paru chwilach trochę się uspokoił, na tyle, żeby skończyć swoją opowieść:

– To ja go zastrzeliłem, Liz. Tak wykazały badania pocisku.

Liz poczuła gwałtowny skurcz serca. Tego się nie spodziewała. To było niewiarygodnie wprost straszne. Los w szatański sposób zadrwił sobie z policjanta, kierując w syna kulę wystrzeloną do bandyty. Nie, to niemożliwe... a jednak się stało. Nie rozumiała, jak Rick zdołał się z tego podzwignąć. Jeśli kiedykolwiek...

– Żałuję, że mnie wtedy nie zabili. Położyła palec na jego wargach.

– Nie wolno tak mówić.

– Kiedy to prawda. To ja powinienem być zginąć. Tak bardzo kochałem Sama...

Dopiero teraz w jego oczach pojawiły się łzy. Miała nadzieję, że wraz z nimi przyjdzie ukojenie.

– Mogliście zginąć razem.

Pokręcił głową.

– Wszystko mi jedno.

Przytuliła go do siebie jeszcze mocniej.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Bardzo przykro, Rick.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, że zaczęli się całować. Była to jedyna pociecha, jaką mogła mu zaoferować. Rick westchnął ciężko i przyciągnął ją do siebie. Po chwili poczuła jego ciało. Ich wargi znowu się połączyły, ale tym razem mocniej i namiętniej. Czowała, że oboje są coraz bardziej podnieceni. Nagle poczuła strach. Wcale nie chciała, żeby tak się stało. To nie było zbyt mądre z jej strony. Nie wiedziała, jak sobie później z tym poradzi.

Przecież od czasów Jareda nie miała żadnego mężczyzny.

A ów jeden jedyny ją zdradzał.

Liz starała się o tym nie myśleć. Skoncentrowała się na narastającym podnieceniu. Pragnęła Ricka i tylko to się teraz liczyło.

Odsunęła się trochę od niego i spojrzała mu prosto w oczy.

– Chodźmy na górę – powiedziała.

Wzięła go za rękę i bez słowa poprowadziła do sypialni. Tam rozebrali się i wskoczyli do łóżka. Przez dłuższy czas całowali się, nie dotykając się nawzajem.

Wkrótce przestało jej to wystarczać. Przesunęła dłonią po jego ciele, ciesząc się muskularni i gładkością skóry. Aż westchnęła, kiedy dotarła do jego męskości.

Być może powinna wykazać większą powściągliwość i pozwolić Rickowi przejąć inicjatywę, jednak nie miała na to ochoty. Nigdy nie lubiła erotycznych zabaw i gier. Zawsze zmierzała prosto do celu i robiła to, co chciała. Nie było to szczególnie kobiece i byłyby męż nie omieszkał jej tego wytknąć, kiedy się rozstawali.

Cóż, nie mogła się już zmienić.

Teraz to ona dosiadła Ricka i doprowadziła ich ciała do ekstazy. Ale potem on dokończył dzieła, doprowadzając ją aż na szczyty rozkoszy.

Przez dłuższy czas leżeli bez ruchu, wsłuchując się w bicie swoich serc, lecz powoli cisza stawała się nie do zniesienia.

Rick chrząknął.

- Sam nie wiem, co powiedzieć...

Przeknęła ślinę, czując dokładnie to samo. Jak mogła mu wyznać, że potrzebowała tego może nawet bardziej niż on? Od rozwodu bała się seksu, jednak to, co się stało, pozwoliło jej zrozumieć, że w dalszym ciągu jest kobietą. Dawno nie czuła się tak rozluźniona i... szczęśliwa.

Myślała, że Jared zabił w niej te uczucia.

Liz uśmiechnęła się, czując się tak, jakby zdjęto z jej ramion olbrzymi ciężar.

- Wcale tego nie żałuję. Naprawdę – powiedziała szczerze.

– A czy ja mówiłem coś innego? – Przyciągnął ją ze śmiechem do siebie. – Cóż byłby ze mnie za mężczyzna, gdybym żałował tak wspaniałego doznania?!

Znowu zamilkli, ale teraz czuli się ze sobą dobrze.

Po chwili Liz oparła się na łokciu.

- Co ci powiedział porucznik Lopez, kiedy poinformowałeś go o tej grupie?

– Chodzi ci o Rogaty Kwiat? – spytał, żeby zyskać na czasie. – Cóż, nie był tym szczególnie zainteresowany.

Dopiero po paru sekundach zrozumiała, co to znaczy.

- A więc podejrzewa Marka?

– Tak, uważa, że miał wystarczające motyw.

– Jak rozumiem, porucznik Lopez podejrzewał również, że Naomi Pearson uciekła z wyspy – rzekła z przekąsem.

Rick westchnął ciężko.

– Zawdzięczam Valowi, że jeszcze jestem na tym świecie. Po śmierci Sama nie mnie już nie interesowało. Nawet życie. – Spojrzał w bok. – To on mi pomógł. Jest moim najlepszym kumplem i dobrym policjantem.

– Dobrym policjantem? Naprawdę? Przecież, jak do tej pory, nic mu się nie udało! – Rick wprawdzie milczał, ale Liz nie zamierzała odpuścić. – Co z Rogatym Kwiatem? Co z rysunkami mojej siostry i tatuażem Tary?

– To mógł być przypadek – odparł nieswoim głosem. – Val słusznie zauważył, że Tara mogła pokazać ten tatuaż twojej siostrze, wymyślając jakąś niestworzoną historię...

– Co nie wyjaśnia jego pochodzenia – wpadła mu w słowo. – Myślę, że Mark ma rację i że jest to symbol grupy, do której należała Tara. Myślę, że Rachel też się jej bała. Pewnie o to jej chodziło w wiadomości, którą mi zostawiła na sekretarce.

– Bardzo dobrze, Liz, ale gdzie dowody? Ten rysunek może oznaczać jakąś tajną grupę, ale mamy teraz drugą ofiarę. Trudno mi uwierzyć, żeby nastolatki zamordowały aż dwie osoby.

Liz obróciła się na plecy i spojrzała w sufit. Sama nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Rick miał rację, Rogaty Kwiat mógł zabić Tarę, ale pracownicę banku? To nie trzymało się kupy.

Jednak nie traciła wiary w słowa Marka, wierzyła też swojej siostrze. Rachel rzeczywiście coś odkryła i z tego powodu bała się o swoje życie.

– A jeśli się mylisz, Liz? Być może nie ma żadnego Rogatego Kwiatu i to Mark jest wszystkim winny?

Przymknęła na chwilę powieki, a potem uniosła się i spojrzała mu prosto w oczy.

– To prawda, mogę się mylić... Ale pamiętaj, że mogę też mieć rację.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Niedziela, 18 listopada 20.00

Rick wszedł do baru, wciąż myśląc o Liz i o tym, t co między nimi zaszło. Stosunek z nią był wyjątkowym doświadczeniem. Świetnie do siebie pasowali i nie musieli niczego udawać. Nie musieli się też starać, żeby zadowolić partnera, bo przychodziło im to naturalnie i bez najmniejszego wysiłku.

Nagle poczuł, że chce to odrzucić. Zapomnieć o tym. Jednocześnie narastało w nim poczucie winy.

Jill już nie żyje, przekonywał siebie w duchu. To nie jest zdrada.

Więc dlaczego czuł się tak podle?

Przed oczami stanął mu obraz żony i syna. Dzień, w którym Sam się urodził. Jego pierwszy tort z jedną świeczką na środku. Wdzięczne spojrzenie chłopca, kiedy układał go do snu. Obraz Jill w białej sukni. Ich pierwsza wspólna noc. I śmiech, kiedy wygłupiali się z Samem.

Cudowne wspomnienia. Miłe aż do bólu.

Ale, o dziwo, teraz mógł je jakoś znieść.

- Nareszcie, Rick – powitała go Margo. – Mieliśmy już kogoś po ciebie wysłać.
- Właśnie – włączyła się z uśmiechem Libby. – Jedyna pociecha, że może przynajmniej dobrze się bawiłeś.

Pomyślał, że to, co się zdarzyło u Liz, można ująć w ten sposób.

Poczuł, że się czerwieni, i zrobiło mu się jeszcze bardziej głupio.

Wszedł za kontuar i zdawkowo uśmiechnął się do dziewczyn.

- No i jak wam się udało poradzić z tym tłumem?

Powiódł wzrokiem po niemal pustym wnętrzu.

– Dobra robota.

– Mądrała – mruknęła Margo, opróżniając swój pojemnik na napiwki. Przeliczyła banknoty, a drobne od razu wsypała do portmonetki. – Mam nadzieję, że dacie sobie radę beze mnie.

Rick dotknął jej ramienia.

– Jestem ci wdzięczny, Margo, że zostałam dłużej – rzekł poważnie. – Mam u ciebie dług.

Dziewczyna uśmiechnęła się zalotnie i odrzuciła do tyłu długie włosy.

– Świetnie. Odbiorę go w najmniej spodziewanym momencie.

– Czy były dla mnie jakieś informacje? – spytał jeszcze, kiedy Margo sięgnęła po swoją wielką torebkę.

– Dzwonił porucznik Lopez. Chciał wiedzieć, kiedy wrócisz. Powiedziałam, że będziesz później.

Rick zmarszczył brwi.

– O której to było?

Margo spojrzała na zegar.

– Pół godziny temu.

– Mówił, o co mu chodzi?

– Nie, ale pytał o tego chłopaka, który pracował tu przede mną.

– O Marka? – spytała Libby, która rozmawiała właśnie z jednym ze stałych klientów. – Czego mógł od niego chcieć?

Margo wzruszyła ramionami.

– Pytał, czy go może gdzieś widziałam. Głupie pytanie, przecież nawet nie wiem, jak wygląda.

– A ty, Libby? – Nagle od drzwi dobiegł ich głos porucznika. – Ty znasz Marka. Może widziałaś go ostatnio?

Rick spojrział w stronę wejścia. Carla i Val wchodzili właśnie do baru. Oboje wyglądali bardzo... oficjalnie.

Val podszedł do Libby.

- No jak, widziałaś go?

- Nie. Ostatni raz, kiedy razem pracowaliśmy. Żle się wtedy poczuł. Skąd to pytanie?

Porucznik Lopez nie odpowiedział. Nie musiał. To było standardowe przesłuchanie.

- A kiedy ostatni raz pracowaliście? – Carla wyjęła notatnik.

- Nie pamiętam, jaki to był dzień. – Libby spojrzała na szefa. – A ty, Rick?

- Ja też, ale mogę to sprawdzić w swoich notatkach – odparł. – Oczywiście jeśli policja sobie tego zażyczy.

- Może później. – Val pokazał Margo coś, co wyglądało jak powiększone zdjęcie z prawa jazdy. – Widziałas go kiedyś?

Dziewczyna patrzyła przez chwilę na fotografię, a jej mina trochę się zmieniła. Po chwili pokręciła głową.

- Nie, nigdy. To właśnie jego szukacie? Czyżby skłamała? – zastanawiał się Rick. A jeśli tak, to dlaczego?

- Właśnie. Możesz to zatrzymać – dodał, kiedy chciała mu zwrócić zdjęcie. – I daj mi znać, gdybyś go gdzieś zobaczyła.

Margo skinęła głową, pożegnała się ze wszystkimi i wyszła. Rick popatrzył za nią ze zdziwieniem, a potem zwrócił się do dwójki policjantów.

- Siadźcie, proszę – powiedział, wskazując wysokie stołki. – Napijcie się czegoś?

- Nie, dzięki. Jesteśmy służbowo.

- Mogę spytać, o co wam chodzi?

- Szukamy Marka Morgana. Czy jest może gdzieś tutaj?

Rick skrzywił się.

- Doskonale wiesz, że nie.

- Naprawdę? A skąd mam to wiedzieć? Przez moment mierzyli się wzrokiem.

Rick wytrzymał spojrzenie Vala.

- Marka Morgana nie ma w moim barze.
- Widziałeś go ostatnio?
- Nie.
- A pani Ames? Może ona go widziała?
- Skąd mam wiedzieć?
- Nie udawaj idioty – powiedziała nieswoim głosem Carla. – Wiemy, że byłeś u

niej dzisiaj.

Rick zamarł, a potem zauważył, że Libby uciekła gdzieś wzrokiem. Następnie spojrzął na policyjną parę.

- Czy to znaczy, że ktoś mnie śledzi?

Val zignorował jego pytanie.

- Mam nakaz aresztowania Marka Morgana – poinformował.

Rick aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Chyba żartujesz! Dwie godziny temu...
- Dwie godziny temu jeszcze nic nie wiedziałem – przerwał mu Val.
- Czego się dowiedziałeś?
- Czyżbyś zapomniał, że nie mogę ci tego powiedzieć?

Pewnie znaleźli jakieś dowody winy Marka, pomyślał Rick. Poważne dowody. Inaczej nie dostaliby nakazu aresztowania.

Val wskazał odległy stolik w kącie baru.

- Możemy porozmawiać?

Rick skinął głową i spojrzął w kierunku pracownicy.

- Libby, możesz zająć się barem?

Dziewczyna znacząco rozejrzała się po pustym lokalu i wzruszyła ramionami. Przeszli we trójkę do stolika i usiedli.

– Jak seryjni mordercy wybierają swoje ofiary? – zaczął Val bez zbędnych wstępów.

Zwykle jest to kwestia przypadku. Jakaś dziewczyna, która chciała dojechać autostopem do domu, homoseksualista szukający partnera, dziecko bez opieki... Właśnie dlatego tak trudno ich złapać. Przypadkowość czyni całą sprawę znacznie trudniejszą.

– Ale nie wszyscy działają w ten sposób, prawda? Taft miał inną metodę. Rick skinął głową.

– To prawda. Taft strannie wybierał i planował perfekcyjne morderstwo. Starał się też zbliżyć do swojej ofiary, chociaż czasami bardzo pobieżnie.

– W mieszkaniu Marka znaleźliśmy dowody, że był zamieszany w morderstwo Tary. Jednocześnie wiemy, że był związany z Naomi Pearson.

– To znaczy? – zainteresował się Rick.

– Chodzili do tego samego kościoła, byli też w grupie zajmującej się studiowaniem Biblii – odparł Val. – Wiemy, że się przyjaźnili.

– Tak jak wiele osób na Key West.

– To prawda, ale Morgan zabił obie zabite kobiety. – Policjant urwał i zmarszczył czoło, jakby ponownie zastanawiał się nad całą sytuacją. – Zebrałem dane na temat tego chłopaka. Podobno ma wybuchowy temperament i jest potwornie zazdrosny. Pewien jego rywal trafił do szpitala tylko dlatego, że gapił się na jego dziewczynę.

– Mark go pobił? – spytał z niedowierzaniem Rick.

– Mhm. Podróżował od dwóch lat. Sprawdzamy inne miejsca, może tam też wydarzyło się coś podobnego.

– Pasuje tu również religijny aspekt tego morderstwa – włączyła się Carla. – W jego pokoju znaleźliśmy Biblię z podkreślonymi fragmentami na temat zemsty i ognia piekielnego, głównie ze Starego Testamentu i Apokalipsy. Ci, którzy go znali, mówią, że brał to wszystko bardzo poważnie.

Rick oparł się o tył krzesła i zadumał się głęboko. Coś mu tutaj nie pasowało.

- Dlaczego mówicie mi to wszystko? Posłuchaj, Val, przecież kazałeś mi się trzymać z daleka od tej sprawy.
- Mamy powody, by przypuszczać, że Liz Ames będzie jego następną ofiarą.
- Liz? Chyba przesadzasz...
- Tak sądzisz? – Porucznik pochylił się w jego stronę. – Skontaktował się z nią, opowiadając jakieś bajeczki na temat tajemniczego kultu. Czy kiedykolwiek wierzyłeś, że to prawda? Widzę po twojej minie, że nie... Więc powiedz mi, po co zbliżył się do Liz? Cholera, on zaczął polowanie!

Na moment Ricka zupełnie zatkało. Kiedy w końcu odzyskał głos, spytał tylko:

- A co ja mam zrobić?
- Pani Ames powie ci, kiedy Mark znowu się do niej odezwie, a ty musisz nas o tym poinformować.

Val doskonale wiedział, że Liz nigdy nie zadzwoni do niego. Po poprzednich doświadczeniach uważała go za wroga.

Jednak Rick, mimo tego, co między nimi zaszło, też nie był pewien, czy powie mu o telefonie od Marka.

- Przemyśl to sobie, Rick – rzekł jeszcze Val, wstając od stolika. – Być może życie pani Ames zależy właśnie od ciebie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Niedziela, 18 listopada Północ

Liz obudziła się niespodziewanie. Zupełnie zdezorientowana rozejrzała się z bijącym sercem po sypialni. Wcałe nie zamierzała spać; wręcz przeciwnie, wciąż miała na sobie szorty i T-shirt, które włożyła po wyjściu Ricka. Miała nadzieję na telefon od niego. Albo od Marka.

Myślała zarówno o jednym, jak i o drugim.

Przesunęła się na bok, żeby spojrzeć na zegarek, i w tym momencie książka, którą wcześniej czytała, spadła na podłogę. Pochyliła się, żeby ją podnieść, i zamarła. Z sąsiedniego pokoju dobiegły do niej jakieś odgłosy. Przypominały dźwięki, które mogło wydawać zwierzę, próbujące wydostać się z zamkniętego pomieszczenia.

Tyle że ona nie miała ani psa, ani kota.

Przerażona wysliznęła się z łóżka. W pokoju znowu coś zaczęło hałasować. Tym razem głośniejsze.

Liz potrząsnęła głową. Nie, na pewno jej się wydaje albo odgłos dobiega z ulicy...

Podeszła do drzwi sypialni i wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Zostawiła pojedyncze światła zarówno w salonie, jak i w kuchni nad zlewem. To dało jej teraz poczucie pewności i pozwoliło dokładnie się rozejrzeć.

Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Przez chwilę nasłuchiwała, ale usłyszała tylko przejeżdżający ulicą skuter, jakieś śmiechy i trzask samochodowych drzwi-czek. Odetchnęła z ulgą. Jasne, przecież zostawiła otwarte okna. Dzień był bardzo gorący i postanowiła trochę przewietrzyć mieszkanie. Dźwięk, który tak ją zaniepokoił, na pewno pochodził z zewnątrz.

Weszła do salonu, żeby zamknąć okna, i w tym momencie znowu usłyszała ten zduszony dźwięk. Dochodził z kuchni. Szybko weszła do środka i zapaliła górne światło. Kołatanie jeszcze się nasiliło. Dobiegało z szafki przy zlewie. Podeszła do niej i otworzyła drzwiczki.

Stworzonko, które się tam tłukło, na moment znieruchomiało i spojrzało na nią paciorkowatymi oczkami. Szczur, pomyślała, patrząc z obrzydzeniem na bezwłosy ogon.

Zatrzasnęła drzwiczki i odskoczyła na dobre pół metra. Jak mógł się tu dostać? I jak ma się go pozbyć? Nigdy nie zaśnie, jeśli będzie wiedziała, że wciąż jest w tej szafce!

Truczna, pomyślała, albo pułapka na szczury. Z całą pewnością znajdzie jakiś nocny sklep lub aptekę. Liz obróciła się do drzwi i aż krzyknęła.

U wejścia do kuchni stał Stephen i na nią patrzył. Na okaleczonej twarzy miał straszliwy grymas.

Poruszał ustami, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Liz spojrzała szybko na prawo i lewo, zastanawiając się nad obroną. Za sobą miała szafkę z przyborami kuchennymi. Noże! Noże do mięsa! Gdyby zdążyła wziąć jeden z nich, miałyby szansę w walce.

– Jak się tu dostałeś? – spytała, cofając się. – Idź sobie.

Potwór postąpił krok w jej stronę. Znowu poruszył ustami i nawet coś zabulgotało mu w gardle. Nic to jednak nie znaczyło. Stephen wyciągnął rękę, jakby chciał ją chwycić.

– Zostaw mnie! – Liz oparła się o szafkę. Sięgnęła na oślep do tyłu, otworzyła szufladę i chwyciła pierwszy z brzegu nóż. – Idź sobie! – powtórzyła i machnęła ostrzem w powietrzu. – Zobaczysz, zaraz cię zranię!

Stephen zastygł z wyrazem przerażenia na twarzy. Teraz to Liz napierała na niego, a on się cofał.

– Zobaczysz, że mną nie ma żartów – powtarzała jak w transie.

Jęknął i oparł się o ścianę. Nie uciekł jednak, tylko opadł na podłogę i zasłonił głowę rękami. Skulił się i drżał na całym ciele.

Liz zrobiło się przykro, że tak go wystraszyła. Nie było to wcale trudne. Spojrzała niepewnie na nóż, a potem na jęczącego Stephena, który zachowywał się jak małe, skrzywdzone dziecko. Ze ściśniętym gardłem przypomniała sobie to, czego dowiedziała się o nim od Heather, i... odłożyła nóż na stół.

Ten człowiek nie stanowił dla niej zagrożenia.

Zrozpaczona, że tak go przeraziła, zarazem wzbudzając w nim wspomnienia z dzieciństwa, zaczęła go uspokajać:

– Wszystko w porządku. Nic ci nie zrobię. Popatrz, już nie mam noża.

Nie odsłonił głowy i wciąż drżał. Serce ścisnęło jej się na ten widok. To, co przeżył, musiało być naprawdę straszne.

Pokazała mu puste ręce.

– Nie skrzywdzę cię, Stephen. Sama się bałam, dlatego wzięłam ten nóż.

Opuścił nieco ramiona i zerknął na nią. Liz przesunęła się w jego stronę.

– Wiesz, co to strach, prawda, Stephen? Skinął głową. Ale i bez tego wiedziała by, że ją rozumie. Wystarczyło na niego spojrzeć. Zrobiła jeszcze jeden krok w jego stronę.

– Już wszystko dobrze. Już nie jestem zła. – Uśmiechnęła się do niego. – Chcesz mleka i ciasteczek?

Gdy skinął głową, Liz wyciągnęła do niego rękę.

– Usiądź przy stole.

Wstał, przyjmując wyciągniętą dłoń. Zaprowadziła go do stołu i posadziła daleko od noża. Stephen utkwiał wzrok w blacie.

Liz nalala dwie szklanki mleka i wzięła paczuszkę ciastek Oreos, do których czuła wielką słabość. Wyspała kilka na talerzyk i postawiła przed dziwnym gościem.

– Proszę, możesz jeść. – Usiadła po drugiej stronie stołu.

Spojrzał na nią i na jego ustach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Następnie przeniósł wzrok na ciasteczka. Pochłonął je wszystkie bardzo szybko, a potem wypił całe mleko paroma łykami.

– Chcesz jeszcze?

Stephen skinął głową. Tym razem wyłożyła na talerzyk resztę paczki.

– Pokażę ci, jak ja to robię – powiedziała i zanurzyła ciasteczko w swoim mleku.

Mężczyzna przyglądał się przez chwilę tej czynności, a potem sam tak zrobił. Kiedy jadł, Liz obserwowała go dyskretnie. Z powodu zniekształconej twarzy uznała go za potwora, a ponieważ nie mógł się z nią porozumieć, wydawało jej się, że chce ją skrzywdzić.

Nic nie mogło być dalsze od prawdy. Stephen był bardzo łagodny. Na zawsze pozostał dzieckiem, tyle że w ciele dorosłego mężczyzny.

To, że tu przyszedł, musiało znaczyć, że czegoś od niej chciał. Właśnie z tego powodu starał się jej coś ważnego przekazać, kiedy wychodziła z kościoła, dlatego też pojawił się w oknie plebanii, kiedy grzebała w rzeczach pastora. Teraz też mu o coś chodziło.

Tylko o co?

– Jak tu się dostałeś, Stephen?

Odwrócił się i wskazał salon.

– Przez okno? – spytała, a on odpowiedział skinieniem głowy.

Pewnie przez to boczne, pomyślała, przypomniawszy sobie stary, rosnący nieopodal figowiec. Wejście po nim i dostanie się do wnętrza nie powinno nastęczać większych kłopotów.

– Dlaczego przyszedłeś?

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Na jego twarzy pojawił się wyraz frustracji. Wstał i wskazał drzwi.

Liz również wstała, ale potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem.

Podszedł do wyjścia i skinął na nią. Liz ruszyła za nim, ale zatrzymała się na szczycie schodów. Stephen ponownie wskazał drzwi, tym razem wyjściowe.

Liz wciągnęła powietrze do płuc.

– Nie mogę iść z tobą.

Stephen obrócił się w jej stronę i wyciągnął rękę w stronę drzwi. Liz potrząsnęła głową.

– Ależ zrozumiem, nie mogę. To nie byłoby rozsądne – nie z mojej strony. Popatrz – wskazała swoje białe stopy – nie mam nawet butów. A poza tym ten szczur... – nie dokończyła.

Stephen wyciągnął do niej rękę, w oczach miał błaganie. Chciał, żeby mu zaufała. Liz wiedziała, że może się z nim czuć bezpiecznie, chociaż nie miała pojęcia, gdzie ją zaprowadzi.

Zeszła parę stopni niżej i dotknęła jego dłoni.

– Dobrze, pójdę. Zaczekaj chwilę.

W duchu modliła się o to, żeby przecucie nie zawiodło jej również i tym razem. Wróciła do kuchni i zawiązała szafkę paskiem, by uniemożliwić gryzoniowi ucieczkę, włożyła buty i wróciła do Stephen. Zanim wyszli na dwór, westchnęła jeszcze głęboko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Poniedziałek, 19 listopada 1.00

Stephen prowadził Liz do kościoła Rajskiej Wspólnoty. Szli opłotkami w otoczeniu żywopłotów i starych drzew, unikając Duval Street.

Liz oddychała coraz szybciej i coraz bardziej się bała. Przekroczyła barierę zwykłego strachu i teraz pograżyła się w odmętach wszechogarniającego lęku. Nie miała pojęcia, dlaczego zaufała Stephenowi. Chwilami wydawało jej się to czystym szaleństwem. Przecież wiedziała o nim tylko to, co powiedzieli jej Heather i pastor Collins.

Rachel się go bała.

To on mógł ją zabić.

Dotarli do muru przykościelnego ogrodu. Stephen położył palec na ustach i otworzył furtkę. Kiedy weszli do środka, Liz zadrżała. Poprzednio była tu tej nocy, kiedy zginęła Tara.

Powiodła wzrokiem po pięknym, okrytym księżycową poświatą ogrodzie i przypomniała sobie tamtą noc, a potem przed jej oczami pojawił się obraz zamordowanej dziewczyny. Jej piękna twarz w śmiertelnym grymasie. I krew. Dużo krwi.

Liz zakryła usta, by nie zacząć krzyczeć. Aż podskoczyła, kiedy Stephen znów wziął ją za rękę. Zauważyła, że wcześniej zamknął furtkę na klucz. Żeby nikt im nie przeszkadzał? Czy żeby nikt nie przeszkadzał jemu?

Wskazał przeciwną część ogrodu. Przed sobą mieli wielki cień plebanii. W jednym z okien paliło się nagle światło nocnej lampki. Ciekawe, czy pastor Collins też nie może zasnąć? – zastanawiała się w duchu. I czy usłyszałby ją, gdyby zaczęła krzyczeć?

Stephen jakby przeczuł, o czym myślała, i ponownie uniósł palec do ust. Przeszli przez ogród, omijając plebanię.

A potem zobaczyła niewielki budynek przylegający do siedziby pastora. Ciekawe, że nigdy wcześniej nie zwróciła na niego uwagi. Może dlatego, że przypominał szopę. Nie sądziła, że ktoś może tam mieszkać.

To siedziba Stephena, domyśliła się i dreszcz przebiegł jej po plecach. Dlaczego mnie tutaj przyprowadził? Co chce zrobić?

Żeby się dostać do domku, musieli wyjść z krzaków i przejść przez oświetloną przestrzeń. Stephen rozejrzał się uważnie dookoła, a potem dał znak, żeby Liz się pospieszyła. Jednak zawahała się przed drzwiami.

– Nie – szepnęła.

Stephen skinął na nią głową, a kiedy nie dało to rezultatu, pociągnął za ramię. Liz ociągała się jeszcze chwilę, ale w końcu weszła do środka.

Wnętrze było urządzone nadzwyczaj ubogo. Stephen miał tylko jeden pokój i małą kuchnię. Stało tu trochę zupełnie do siebie niepasujących mebli i Liz podejrzewała, że kościelny otrzymał je od różnych osób, a niektóre znalazł na śmietniku. Na ścianach nie było obrazów, a na półkach ani książek, ani bibelotów.

Na porządnie pościelonym łóżku siedział pluszowy miś z jednym oczkiem zrobionym z guzika. Było widać, że ma mniej więcej tyle lat co jego właściciel. Ta zabawka przypominała jej samego Stephena – brzydki, ale miły. Nigdy mocniej nikomu nie współczuła. Bardziej żałowała go z powodu tego, co stracił, niż tego, co miał teraz.

Poprowadził ją do drzwi, których wcześniej nie widziała. Czyżby był tu jeszcze jeden pokój? – zastanawiała się. Nie był to jednak pokój, tylko nieużywana garderoba z materacem, na którym ktoś siedział.

Dopiero po chwili rozpoznała skulonego jak dziecko Marka. Kiedy uniósł głowę, stwierdziła, że wygląda, jakby postarzał się o ładnych parę lat.

– Mark! – jęknęła. – Bogu dzięki!

– Liz! – Chłopak zerwał się z materaca, żeby ją uścisnąć.

– Tak się bałam – szepnęła, zdziwiona tym, że Mark drży, jakby miał febrę. – Myślałam, że już nie żyjesz.

– Ja też. – Chłopak pociągnął nosem i spojrział w stronę drzwi. – To Stephen mnie uratował.

– Stephen? – zdziwiła się.

Chciała na niego zerknąć, ale gdzieś zniknął.

– Zawdzięczam mu życie. To mój dobry duch opiekuńczy – westchnął.

Liz zmarszczyła brwi.

– Gdzie cię znalazł?

– Tutaj, w ogrodzie – szepnął, nagle blednąc. – W tym samym miejscu, co...

Nie musiał kończyć. A więc zostawili go tam, gdzie zamordowali Tarę. Liz poczuła, że włosy zjeżyły się jej na karku.

– Jak to się stało?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Byłem nieprzytomny po tym, jak... – znowu urwał. Był bardzo osłabiony.

– Po czym, Mark? Co się stało?

Chłopak podniósł drżącą dłoń do ust.

– Niedobrze mi.

Liz pomogła mu porządnie usiąść, a następnie otworzyła na oścież drzwi do sąsiedniego pokoju. Mark zachowywał się tak, jakby nie do końca panował nad swoim ciałem.

W końcu usiadła przy nim. Do ust cisnęły jej się kolejne pytania, o Rachel, o Tarę i Rogaty Kwiat. Czekala jednak cierpliwie, aż Mark zbierze siły i zacznie sam mówić. Minęły sekundy, a potem minuty. Wreszcie chłopak uniósł głowę i spojrział jej w oczy.

– Tej nocy, kiedy do ciebie dzwoniłem, spotkałem się z Sarą na Southernmost Beach. Dała mi jakiś narkotyk i zawiązała oczy.

– Jaki narkotyk? – spytała Liz.

Mark pokręcił wolno głową.

– Nie wiem. To była tabletki. Poczulem się potem całkowicie zrelaksowany. W ogóle straciłem poczucie rzeczywistości. Czulem się jak bańka, która leci sobie ponad światem.

Prawdopodobnie lek przeciwdepresyjny, pomyślała. Może xanax albo librium.

- I co dalej?

Nie mam pojęcia, dokąd mnie zabrali. Podróż nie trwała chyba długo, chociaż tak naprawdę to nie wiem. – Wziął głęboki oddech, przygotowując się do następnej części swojej historii. Mówienie sprawiało mu trudność, lecz jeszcze gorsze było to, co miał do powiedzenia. – Czulem, że dookoła zgromadziło się bardzo wiele osób. Z metalowego naczynia, przypominającego kielich mszalny, dali mi coś do picia.

- Jaki to miało smak?

– Dziwny – odparł po chwili namysłu. – Zupełnie go nie znałem. Płyn był ciepły.

– Może alkohol?

Mark pokręcił głową.

– Więc narkotyk? – zadała kolejne pytanie.

– Myślę, że tak, bo od tego momentu nic nie pamiętam. – Zaciśnął dłonie w pięści. – Jak mogę złapać mordercę Tary, skoro wszystko kłębi mi się w głowie?!

Liz położyła mu dłoń na ramieniu. Ona też była rozczarowana, ale starała się tego po sobie nie pokazywać. Miała nadzieję, że Mark dowiedział się czegoś ważnego.

– Dobrze, spróbujmy razem to rozplatać. Może będę mogła ci pomóc. – Westchnęła. – Opowiadaj, nie zastanawiając się nad znaczeniem tego wszystkiego. Coś, co wydaje ci się bezsensowne, mnie może coś powiedzieć.

Mark przełknął z trudem ślinę i zaczął powoli:

– Kiedy wypilem ten płyn, wszyscy zaczęli coś śpiewnie powtarzać.

– Co takiego? – zainteresowała się Liz.

Mark ścisnął skronie rękami.

– Sam nie wiem... Coś o kwiecie, zarze i świetle... Zdjęli mi opaskę.

Liz wyprostowała się czujnie.

– Czy udało ci się kogoś rozpoznać?

– Nie, bo to nie byli ludzie, tylko... niesamowite stwory. Ptaki, dzikie zwierzęta, żywe trupy... – Głos odmówił mu na moment posłuszeństwa. – Miałem wrażenie, że...

– Tak? – Pochyliła się w jego stronę.

– Że chcą mnie pożreć z duszą i ciałem.

Na moment zaparło jej dech w piersiach. W końcu potrząsnęła głową.

– Pewnie byli poprzebierani.

– Pewnie tak – zgodził się bez przekonania.

– Więc nikogo nie udało ci się rozpoznać?

– Chyba nie.

Zdziwił ją ten brak pewności, ale nic nie powiedziała. Zaczęła zastanawiać się, co też mu mogli dać. Był to zapewne jakiś narkotyk z grupy halucynogennych, a jako pracownica społeczna musiała znać ich działanie. Było jej to, niestety, potrzebne do pracy.

– Zaczęli mnie szarpać – podjął po chwili Mark. – Jakby chcieli mnie rozerwać na strzępy. Ale... chodziło im o seks.

Tak bardzo zniżył głos, że musiała pochylić głowę, aby wychwycić słowa. Opowiedział jej o pieszczotach rąk i ust, i o tym, jak położono go na ołtarzu, który wydawał mu się unosić nad ziemią. I o nieustającym orgazmie.

Ecstasy albo kokaina mogły tłumaczyć intensywność seksualnych doznań. Mescalina lub peyotl mogły być odpowiedzialne za barwne wizje. LSD za silniejszą świadomość czasu i przestrzeni.

Liz poczuła, że robi jej się sucho w gardle. Serce zaczęło jej bić szybciej.

– Wreszcie moja głowa... eksplodowała. – Znowu zaczął drżeć. – Zobaczyłem najjaśniejsze światło we wszechświecie. Było porażająco jasne. A potem nagle otoczyła mnie ciemność. – Spojrzał na nią pełnymi przerażenia oczami. – I wtedy ją zobaczyłem, Liz.

- Ją?
- Bestię.

Liz milczała przez dłuższą chwilę. Różne myśli chodziły po jej skołatanej głowie.

Mark zakrył oczy rękami.

- Tak mi wstyd.
- Nie wygłupiaj się, przecież byłeś pod wpływem narkotyków, jakiejś mieszanki ecstazy, LSD i może czegoś jeszcze. Nie możesz odpowiadać za to, co się z tobą działo.
- Oni chcieli mnie zabić, Liz!
- Powiedzieli to? Czy ktoś ci groził?
- Doskonale wiedzieli, po co tam przyszedłem –jęknął chłopak.
- Ale skąd? – Zmarszczyła brwi. – Mark, przeżyłeś szok. Musisz odpocząć. Gdyby chcieli cię zabić, na pewno by to zrobili...

– Bóg mnie chronił. Wysłał Stephena, żeby mnie uratował. Jestem pewny, że miałem zginąć w tym... tym miejscu.

Liz nie wiedziała, co powiedzieć. Patrzyła ze strachem na młodego przyjaciela, w którego oczach pojawiło się fanatyczne światło. Widziała je już wcześniej u Tary i teraz zaczęła podejrzewać, że było ono wynikiem zatrucia organizmu silnymi narkotykami.

- Wierzysz, Liz? – Chłopak pochylił się w jej stronę.
- Nie sądzę, żebyś kłamał – odparła ostrożnie.
- Nie, nie w moje słowa. Czy wierzysz, Liz?
- Chodzi ci o Boga?

Mark skinął głową, a jednocześnie zaczął dzwonić zębami.

- Tak, oraz w niebo i piekło. A także w szatana i jego ciemne moce. I w Jezusa Chrystusa, który jest naszym światłem i zbawieniem. Bez niego niknie wszelkie życie...
- To musiał być olbrzymi szok – powtórzyła uspokajająco i położyła dłoń na jego czole. – Wszystko będzie dobrze.

– Nieprawda! – Odepchnął jej dłoń. – Nic nie rozumiesz! Już teraz trwa walka między siłami ciemności i światła!

Liz spojrzała na niego ze strachem.

– Mark, jeśli się uspokoisz, będziemy mogli razem się zastanowić nad tym, co dalej robić – rzekła ze ściśniętym gardłem.

Złapał ją za rękę.

– Zbyt wiele osób zakłada, że dobro zwycięży – ciągnął gorączkowo, nie zważając na jej słowa. – Ale zło jest potężne. Bardzo potężne.

Mark znowu się skulił i zaczął płakać jak dziecko. Liz wzięła go w ramiona i mocno przytuliła. W pewnym momencie poczuła jakiś ruch i spojrzała w stronę drzwi. Stał w nich Stephen i patrzył na Marka z niepokojem i czułością. I strachem.

Liz ściągnęła brwi. Czyżby znali się już wcześniej? Wskazywały na to uczucia, które udało jej się wyczytać z twarzy Stephena, chociaż wydawało się to prawie niemożliwe.

Wyczuł na sobie jej wzrok. Przez chwilę stał jeszcze w miejscu, a potem wycofał się do swojego mieszkania.

Liz poklepała Marka po plecach.

– No już, lepiej ci?

– Nie mogę się ich pozbyć z mojej głowy – mruknął zdesperowany chłopak. – Nie mogę usunąć z niej Bestii. – Szatana. Belzebuba. Anioła Ciemności.

Liz zaczęła mu się przyglądać z rosnącym niepokojem. U niektórych narkotyki takie jak LSD czy mescalina wywoływały długotrwałe stany psychozy. Zwykle ci ludzie byli w jakiś sposób do tego predysponowani, psychicznie albo biologicznie. Dotyczyło to osób zagrożonych chorobami psychicznymi, noszących w sobie jakieś urazy. Narkotyki „otwierały” ich i budziły demony. Niektórzy nigdy już nie dochodzili do siebie.

Dość popularne były też psychozy religijne. Mark nie był tu wyjątkiem.

– Muszę cię zawieźć do szpitala – rzekła. – Powinni cię tam zbadać.

– Nie! – Chłopak zerwał się na równe nogi. – Dowiedzą się o tym. Oni są wszędzie. Widzą wszystko.

Rachel też mówiła, że ją słyszą. I że są wszędzie.

Liz potrząsnęła głową, nie bardzo wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. W opowieści Marka fakty mogły przemieszać się z narkotycznymi halucynacjami. Na przykład schizofrenicy często twierdzili, że ktoś ich śledzi i że są w niebezpieczeństwie.

Musiała zapewnić chłopakowi opiekę medyczną, wszak sama nie była lekarzem. Nie wiedziała, jak należy odtruwać ludzi po takiej dawce narkotyków. Bała się, że Mark będzie jeszcze długo cierpiał z tego powodu, i zaraz mu to powiedziała.

– Zabiją mnie, Liz – jęknął. – Wiem, że mnie zabiją.

Już otworzyła usta, aby go zapewnić, że policja z pewnością go ochroni, ale zaraz je zamknęła. Dla policji to właśnie Mark był głównym podejrzanym. Nawet Rick mógł go wydać, gdyby dowiedział się, gdzie się znajduje.

Tak, należało się z tym liczyć. Policja potrzebowała sukcesu, a Mark był świetnym kandydatem na kozła ofiarnego.

Zostali więc sami na placu boju.

Liz wzięła młodego przyjaciela za rękę.

– Dobrze, nikomu nie powiem – mruknęła. – Nie sprowadzę tu ani lekarza, ani policji. Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Poniedziałek, 19 listopada 2.45

Rick siedział sam w pustym barze. Jego telefon leżał przed nim na kontuarze. Libby wyszła parę minut wcześniej. Załatwili wszystko i właściwie mógł już zamykać, ale chciał jeszcze chwilę pomyśleć w ciszy i spokoju.

Zbyt wiele zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Kochał się z Liz, rozmawiał z Carlą i Valem, Mark stał się głównym podejrzanym... A wcześniej odwiedził Daniela i porównał rysunki pastor Howard z tatuażem Tary.

Czy Mark mógł rzeczywiście być seryjnym zabójcą? Ten miły i pobożny chłopiec, który nie brał alkoholu do ust? Rick nie tylko mu ufał, ale zaczął go też szanować...

Starzy gliniarze z policji w Miami znali takie przypadki. Mówili nawet, że najgorsze zbrodnie popełniają ci, którzy wyglądają na zupełnie niewinnych. Ci spokojni, mili, mądrzy i często wykształceni faceci.

Nie chodziło oczywiście o drobne przestępstwa, lecz o rzeczy naprawdę straszne. Tacy właśnie byli seryjni zabójcy, a także narkotykowi bossowie i ci, którzy dokonywali największych i najbardziej skomplikowanych skoków. Zamaskowane, skrytobójcze, śmiertelnie groźne zło.

Tak się po prostu działo na tym świecie, Rick znał to z policyjnej praktyki. Zdeklarowanych przestępców, żyjących na społecznych obrzeżach, miało się odnotowanych w kartotekach i w razie czego zamykało się do pudła, natomiast najtrudniejsi do zdemaskowania byli ci, którzy wtapiali się w tłum porządných obywateli.

Ale Mark? To niemożliwe. Jakoś nie chciało mu się to pomieścić w głowie, Wciąż nie wierzył, że może to być prawda.

Jednak nie był w stanie zaprzeczyć faktom, a te były nieubłagane dla chłopaka.

Pomyślał ze strachem o teorii Vala i Carli. Bał się, że Liz naprawdę mogłaby stać się następną ofiarą mordercy. Spojrzał na telefon. Chciał do niej zadzwonić. Usłyszeć jej głos. Upewnić się, że nic jej nie jest.

Więc dlaczego nie dzwonił? Już parę razy wybierał nawet numer, który uzyskał w miejscowej informacji, ale nigdy nie wybrał go do końca.

Przycisnął dłonie do oczu. Dlaczego się waha? I dlaczego czuje się tak dziwnie? Tak, to poczucie winy. Bolesne przekonanie, że zdradził Jill, że nie wywiązał się z małżeńskiej przysięgi...

Jego żona tak naprawdę nigdy dla niego nie umarła. Wciąż żyła w jego sercu...

Pochylił głowę ze ściśniętym gardłem. Spojrzał na blat stolika, ale niewiele zobaczył. Dwie krople spadły na brązową powierzchnię.

Kocham cię, Jill, pomyślał. Zawsze będę cię kochał.

Ja ciebie też. Ale trzeba żyć dalej...

Rick potrząsnął głową. Nie wierzył w duchy. Wiedział, że głos w jego głowie nie należał do zmarłej żony. To raczej rozsądek podszeptował mu takie rozwiązanie... zarażem jednak zdawało mu się, że żona jakoś go wspiera. Że jest z nim...

Nie zastanawiając się nad tym dłużej, chwycił telefon i wybrał numer Liz. Usłyszał sześć sygnałów, a potem włączyła się sekretarka. Słuchał nagranej wiadomości z rosnącym niepokojem.

Zaczął zastanawiać się, dlaczego Liz sama nie odebrała. Może zasnęła głęboko? A może nie chciało się jej wstać?

Nagle przypomniał sobie, że ma aparat również przy łóżku. Nic więc prostszego jak podnieść słuchawkę.

– Liz, tu Rick – powiedział. – Musimy porozmawiać. Zadzwoni najszybciej, jak będziesz mogła, bez względu na porę.

Na wszelki wypadek zostawił jej numer swojej komórki i rozłączył się.

Na pewno śpi spokojnie. Przecież to środek nocy. Nikt normalny nie odbiera telefonów o tej porze.

Rick wstał i przypiął sobie komórkę do pasa. Zaczął się powoli zbierać. Przed wyjściem włączył nocne światła i alarm. Jeśli Liz będzie go potrzebować, na pewno się odezwie. A teraz najwyższy czas jechać do domu i choć trochę się przespać.

Jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie i wybrał się do Liz. Postawił nighthawka na parkingu przed jej kamienicą i spojrzał w górę. Gdzieś tam w środku paliło się pojedyncze światło. Okna od frontu były otwarte i stanowiły dostateczną zachętę dla każdego przypadkowego maniaka.

A zwłaszcza dla tego jednego.

Rick zaklął pod nosem, czując, że coś tu jest nie w porządku. Że Liz może grozić poważne niebezpieczeństwo.

Mimo że wydawało się to szaleństwem, podszedł do jej drzwi i zadzwonił. Nikt nie odpowiadał. Poczul narastającą panikę.

– Liz! To ja, Rick! – krzyknął w stronę otwartego okna.

Sam nie wiedział, ile czasu minęło. W końcu jednak usłyszał kroki na schodach, a potem odgłos otwieranej zasuwki. Odetchnął z ulgą dopiero wtedy, kiedy zobaczył twarz Liz oświetloną przez uliczne latarnie.

– Strasznie się martwiłem – zaczął się usprawiedliwiać. – Dzwoniłem do ciebie, ale nie odpowiadałaś, więc...

Na jej twarzy pojawił się jakiś dziwny wyraz.

– Wyłączyłam dzwonek.

Wyjaśnienie okazało się prostsze, niż się spodziewał. Chyba postradał zmysły.

– Muszę z tobą pogadać. Mogę wejść? Nie odsunęła się, żeby go przepuścić.

– To chyba nie najlepsza pora – zauważyła.

– Sprawa jest bardzo ważna.

Wahała się przez chwilę, starannie unikając jego wzroku.

- Jeśli chodzi ci o to, co między nami się zdarzyło, to...
- Chodzi o Marka.

Natychmiast otworzyła szeroko drzwi.

- Proszę.

Rick wszedł do środka. Liz zamknęła drzwi, ale nie zachęcała go do wejścia na górę. Obróciła się i skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała w ten sposób dodać sobie odwagi. Czuł jej wrogość, a w każdym razie niechęć.

W ciągu tych paru godzin musiało zdarzyć się coś, co zmieniło nastawienie Liz do niego. Coś poważnego, o czym nie miał zielonego pojęcia.

Pomyślał o Valu i o tym, co mówił na temat chłopaka.

- Czy zrobiłem coś złego? – spytał.
- Nie, nic. – Nerwowo przejechała ręką po zmierzwionych włosach. – Chciałeś mi coś powiedzieć o Marku.

Rick nie pozwolił jednak zwekslować rozmowy na inne tory. Chciał ustalić, co takiego się stało.

- Czy wpuściłabyś mnie, gdybym powiedział, że chcę porozmawiać o nas?
- Niczego od ciebie nie oczekuję, Rick, naprawdę. Nie musisz...
- Do licha, Liz! A może to ja czegoś chcę... Spojrzała mu w oczy. Wyraz jej twarzy zmienił się nieznacznie. Patrzyła na niego trochę łagodniej.
- Och, sama nie wiem, co powiedzieć...

Spojrzał na sufit, ponieważ dla niego ta sytuacja też była czymś nowym.

- Powiedz cokolwiek, Liz. Czekam.

Uśmiechnęła się do niego lekko.

- Dobrze. Czy możesz wobec tego jakoś określić, o co ci chodzi?
- Jeszcze nie. – Dotknął lekko jej policzka. – Bardzo cię lubię, Liz. To, co się stało... Miałem parę kobiet po śmierci Jill, ale nigdy nie było aż tak... – wahał się, starając się wybrać najwłaściwsze słowo – znaczące. Muszę się z tym oswoić – dodał po chwili.
- Nie przeszkadza ci to?

– Nawet odpowiada – odparła.

On też się uśmiechnął, a potem pochylił się i pocałował ją mocno. Kiedy wypuścił Liz z ramion, zauważył, że ma zamglone spojrzenie.

Bardzo mu się to spodobało. Może nawet aż za bardzo...

– Był u mnie dzisiaj Val z Carlą. Liz natychmiast oprzytomniała.

– Czego chciał?

– Ma nakaz aresztowania Marka. Jego zdaniem to on zabił Tarę.

– Stara śpiewka. No cóż, bardzo potrzebuje jakiegoś winowajcy.

– Policja uważa również, że Mark zabił Naomi Pearson. Mają jakieś dowody. Wystarczające, żeby prokuratura wydała nakaz aresztowania.

– Nie wierzę.

– Jest coś jeszcze. Val uważa, że możesz być jego następną ofiarą.

Na moment zupełnie ją zatkało, a zaraz potem potrząsnęła głową.

– Bzdury.

– Powiedziałem im to samo, ale...

– Ale co? – Cofnęła się, jakby to on mógł jej zagrażać. – Przecież dobrze znałeś Marka. Wierzysz, że mógł to zrobić? Naprawdę w to wierzysz? To wprost niepojęte...

– Przynajmniej mnie wysłuchaj. Chciałbym wierzyć w jego niewinność, ale pamiętaj, że prokuratura to poważna instytucja i trzeba solidnych podstaw, żeby kogoś aresztować. To nie dzieje się ot, tak sobie, tylko muszą być wiarygodne dowody.

– Więc skąd się biorą te wszystkie prasowe informacje, że posadzono kogoś niewinnego? Albo niepotrzebnie skazano na krzesło elektryczne?! – niemal wykrzyczała.

– To dlatego, że system nie jest doskonały. Zdarzają się błędy, a właśnie nimi głównie interesuje się prasa – tłumaczył cierpliwie. – Musisz jednak pamiętać, że są one bardzo rzadkie.

– Więc jakie mają dowody przeciwko Markowi?

– Nie chcieli mi powiedzieć.

– No proszę. – Westchnęła ciężko. – Jestem zmęczona, Rick. Chciałabym iść spać.

Zignorował jej słowa. Musiał ją przecież ostrzec, zadbać o jej bezpieczeństwo.

– Seryjni zabójcy mają kilka różnych metod. Większość zaczyna swoją działalność od kogoś znajomego: sąsiada, współpracownika albo nawet przyjaciela. Dopiero potem atakuje obcych.

– Przestań mnie straszyć.

– Ale niektórzy starannie wybierają swoje ofiary i próbują nawiązać z nimi jakiś kontakt...

– Idź już. – Liz zabrała się do otwierania drzwi, ale Rick powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Taka relacja działa pobudzająco na morderców – ciągnął. – Czują wtedy większe podniecenie i zabójstwo wydaje im się bardziej interesujące. Tak właśnie działał Taft. Tak też może działać Mark, jeśli... policja ma rację.

Liz nawet się nie poruszyła, tylko stała jak słup soli. Dlatego Rick zdecydował, że może dokończyć.

– Mark znał Naomi. Studiowali razem Biblię. To buduje wzajemne zaufanie.

Liz wyglądała na wstrząśniętą.

Nie chcę tego słuchać – rzekła drżącym głosem. – Idź już, proszę.

Teraz stara się nawiązać kontakt z tobą. Udaje zastraszonego i bezbronnego. Nie ma lepszego sposobu, żeby wzbudzić czyjeś zaufanie...

– Przestań!

Złapał ją za ramię.

– Ale ty mu ufasz, prawda, Liz?

– Dlaczego to robisz?! – spytała, wyrwawszy się z jego uścisku. – Dlaczego próbujesz mnie przestraszyć?!

– Bo nie chcę, żeby coś ci się stało, do cholery!

Liz nagle złagodniała.

– Nic mi się nie stanie. Wiem rzeczy, o których nie masz zielonego pojęcia...

Rick wstrzymał oddech.

– To znaczy, że się z tobą kontaktowałam, prawda? Zawahała się na chwilę, ale on i tak domyślił się prawdy.

– W ogóle nie dzwonił.

– Nie wierzę ci.

– To twój problem. Mówię prawdę...

Rick zaklął pod nosem i pokręcił głową. Nic nie zrozumiała. Zaufanie, jakim darzyła Marka, mogło oznaczać śmierć, a ona w ogóle nie brała tego pod uwagę.

Nagle poczuł jej dłoń na swoim ramieniu.

– Dziękuję – powiedziała.

– Za co?

– Za to, że tak ci na mnie zależy.

– Może wcale nie powinno. – Odsunął się od niej. – Przy twoim podejściu do sprawy już niedługo nie będę miał kogo ostrzegać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Poniedziałek, 19 listopada Południe

Carla zaparkowała tuż przy kościele. Przerażony pastor Collins krążył nieopodal.

Śledcza potrząsnęła głową. Dawno nie miała tyle roboty. Najpierw znika pani pastor, potem seryjny morderca zaczyna kroić na kawałki kolejne kobiety, zaś szanowany pracownik banku defrauduje olbrzymie sumy, a następnie skacze z balkonu. Na dodatek nad Karaiby nadciągnął niż, z którego może powstać niszczycielski huragan. Raj na ziemi zamienił się nagle w prawdziwe piekło.

Pastor pospieszył w jej stronę.

– Dziękuję, że pani tak szybko przyjechała. Chodzi o Stephena, naszego kościelnego i ogrodnika. Sam nie wiem, co z nim robić, dlatego wezwałem policję.

– Chwileczkę – mruknęła Carla. – Proszę mi najpierw powiedzieć, co się stało.

Duchowny skinął głową i zacisnął dłonie.

– Od jakiegoś czasu nie widziałem Stephena, więc zacząłem się niepokoić. Poszedłem do niego, żeby sprawdzić, co się stało, i znalazłem... – Głos mu się załamał. – Zaraz pani pokażę. Proszę ze mną.

Przeszli wzdłuż kościoła i przez ogród. Carla zobaczyła biały budynek, a potem niewielką komórkę stojącą tuż obok.

– Tutaj mieszka Stephen – wyjaśnił pastor. – Najpierw była tu szopa, ale przerebiono ją na mieszkanie po powrocie Stephena z zakładu opieki w Miami. Źle się tam czuł i nasz Kościół przejął nad nim pełną kuratelę.

Dotarli do półotwartych drzwi.

– Czy drzwi były otwarte, kiedy pan tam wszedł, pastarze? – spytała Carla.

– Nie. Najpierw zapukałem, a potem nacisnąłem klamkę – odparł zdziwiony duchowny. – Może nie powinienem był wchodzić, ale bardzo się o niego martwiłem.

Carla zostawiła te słowa bez komentarza, podeszła do drzwi komórki i zastukała.

– Policja. Czy ktoś tam jest?

Nikt nie odpowiedział, więc zapukała raz jeszcze, a kiedy znowu nikt nie zareagował, pchnęła drzwi, a potem weszła ostrożnie do środka. Wewnątrz panował porządek, chociaż meble były stare i źle dobrane.

Pastor Collins stanął obok niej.

– Tam, na łóżku.

Łóżko stało przy prawej ścianie pod małym, pozbawionym zasłonek oknem. Błękitna narzuta wyglądała na mocno zniszczoną, podobnie jak pas–telowa pościel, która spod niej wystawała.

Carla podeszła bliżej.

Pościel nie tylko była zużyta, ale również pobrudzona krwią. Śledcza patrzyła na rdzawe smugi. Nie mogła się mylić.

Do licha, to właśnie to, pomyślała.

A zaraz za tym przyszła druga refleksja: „Ładny mi raj na ziemi”.

– Wydawało mi się...

– Niech się pan odsunie, pastorze – przerwała mu. – Czy wcześniej czegoś pastor dotykał?

– Nie, chciałem tylko...

– To dobrze.

– Czy Stephen... – zaczął duchowny, ale głos mu zadrżał. – Ile tu krwi...

Ważno, bardzo dużo, pomyślała. Ale zaraz przypomniała sobie Tarę... No cóż, widziała więcej.

- Jak długo nie widział pan Stephena, pastorze?

- Jakies dwa dni.

Carla włożyła gumowe rękawiczki i zabrała się do roboty. Zdjęła narzutę i ich oczom ukazało się mnóstwo krwi. Tylko ta na obrzeżach miała rdzawy kolor, zaś tam, gdzie zgromadziło się jej więcej, była zupełnie świeża.

Carla spoglądała na podłogę. Krwawy szlak znaczył się na podłodze i prowadził do drzwi na tyłach mieszkania. Na żółtawej ścianie dostrzegła krwawy odcisk dłoni.

Śledcza poczuła, jak serce skacze jej do gardła.

- Co to jest? – spytała, wskazując na pomieszczenie. – Garderoba?
- Pewnie coś w tym rodzaju. Sam nie wiem – odparł pastor Collins.

Wzięła telefon komórkowy, wybrała numer Departamentu Policji i poprosiła o jak najszybsze wsparcie.

Prawdopodobnie chodzi o zabójstwo – dodała, żeby zmobilizować dyspozytorkę. Następnie wyłączyła telefon i spoglądała na duchownego. – Proszę, niech pan poczeka na zewnątrz, pastorze.

Ale przecież Stephen może...

Urwał nagle, ponieważ zza drzwi dobiegł do nich głośny jęk. Carla szybko podeszła do nich i otworzyła je jednym ruchem. To nie była garderoba, ale mały pokój. Właściciel mieszkania leżał na materacu w samych majtkach. Cały był poplamiony krwią. Tuż obok ukazała się Biblia, a powyrywane kartki słały się na materacu i podłodze. Mężczyzna leżał na plecach z twarzą zwróconą do sufitu. Carla dostrzegła tylko białka jego oczu.

- Stephen! – krzyknął przerażony pastor. – Stephen, co ci się stało?!

Kościelny obrócił nieco głowę. Przez moment patrzył na nich swoim zdrowym okiem, a potem otworzył usta i wydał niesamowity odgłos, w którym było zwierzęce przerażenie i zdziwienie wywołane tym, co się zdarzyło. Carla wzdrygnęła się gwałtownie, pastor był przerażony.

Już chciała podejść do Stephena, ale zauważyła nóż w jego dłoni. Przypominał on nóż myśliwski służący do sprawiania zwierzyny. Ostre jak brzytwa ostrze pokrywała warstwa krwi.

Cholera! Carla sięgnęła po broń, ale zrobiła to zbyt wolno. Stephen zerwał się i natarł na nią z głośnym rykiem.

– Niech pan uważa, pastorze! – krzyknęła. Żeby go chronić, sama stanęła przed napastnikiem, a potem zrobiła unik, niestety nie do końca udany, bo Stephen zdołał pchnąć ją na ścianę. Poczowała ból, chociaż nie wiedziała, czy ugodził ją nożem. W każdym razie prawa ręka była w porządku.

– Stój! – krzyknęła. – Stój, bo strzelam! Stephen dopadł najpierw jednych drzwi, potem drugich. Carla zobaczyła grupę turystów w ogrodzie, jednocześnie usłyszała policyjne syreny.

Dzięki Bogu, pomyślała.

Turyści zaczęli krzyczeć z przerażenia. Śledcza wybiegła z szopy i ujrzała Stephena, który miotał się po ogrodzie z nożem w ręku. Jakieś dziecko stało bezbronne i płakało. Carla dopadła do niego w trzech susach i chwyciwszy mocno bołą lewą ręką, przeniosła pod mur.

– Cofnąć się! Cofnąć! – krzyczała do dorosłych.

Trzech policjantów wpadło przez furtkę do ogrodu, a na Duval Street słyhać było jeszcze jedną syrenę. Ktoś musiał uznać, że sytuacja jest naprawdę poważna.

Carla ruszyła w stronę miotającego się Stephena. Mężczyzna upadł, potknąwszy się o korzenie, ale zaraz wstał.

– Nie ruszaj się! – krzyknęła znowu. Spojrzał na nią z wyrazem rozpaczony na twarzy.

Ścisnął mocno nóż. Była pewna, że znów chciał się na nią rzucić.

– Stój! Nie ruszaj się!

Stephen był bardzo blisko. Zaczął krzyczeć, a jego twarz wykrzywiła się w potwornym grymasie.

Dopiero wtedy zdecydowała się na strzał. Kościelny drgnął, ale w dalszym ciągu sunął w jej stronę.

Za późno, pomyślała. Całe życie przesunęło jej się przed oczami. Seria kolorowych rozczarowań. A potem jakaś siła zmiotła ją z nóg.

– To koniec – westchnęła.

Ale nawet nie zemdląca. Koledzy szybko wyciągnęli ją spod bezwładnego ciała.

– No i jak, Carla? Nic ci nie jest? – spytał Val. Musiała się chwilę zastanowić nad odpowiedzią.

Czuła się tak, jakby jej tutaj w ogóle nie było. Jakby znalazła się nagle gdzie indziej. Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, że wciąż żyje.

– Chyba nie – wydusiła w końcu z siebie.

Na nogach jak z waty podeszła do leżącego obok kościelnego.

– Czy on...?

Kłęczący obok Stephena policjant stanowczo pokręcił głową.

– Wciąż żyje. Zadzwońcie po karetkę.

Val spojrzał na kolegów.

– Szybko, szybko!

Po chwili wszystko zamieniło się w totalny chaos. Przyjechała karetka, pojawili się też dziennikarze.

Ktoś gratulował Carli, ktoś pytał, jak się czuje. Pamiętała też, że Val serdecznie poklepał ją po ramieniu.

– Świetnie się spisałaś – stwierdził.

Jednak ona wcale tak nie uważała. Powoli wracała do świata żywych, po jakimś czasie była nawet w stanie złożyć oświadczenie dla prasy, w którym trzymała się wyłącznie faktów.

Cały czas obsesyjnie myślała o tym, że nigdy dotąd nie mierzyła do człowieka, a strzelała jedynie na ćwiczeniach. Podniosła ręce do oczu i dopiero teraz zauważyła, że wciąż ma na nich gumowe rękawiczki.

– Może rozejrzemy się w środku? – zaproponował Val.

Skinęła głową, ponieważ wiedziała, że właśnie tego od niej oczekuje. W końcu nic jej się nie stało. Okazało się, że napastnik nawet jej nie drasnął. Jeśli zostawił jakieś ślady, to przede wszystkim na psychice Carli.

Ekipa techniczna już uwijała się w mieszkanku Stephena. Zbierano wszystkie dowody, uprzednio je fotografując.

– Co się stało? – spytał ją Val. Carla powoli budziła się z koszmaru.

Jechałam właśnie na lunch, kiedy przyjąłam zgłoszenie, że pastor Collins wzywał policję. Podobno bał się, że komuś stało się coś złego. Miałam po drodze, więc postanowiłam zajechać najpierw do kościoła. Pastor był bardzo zdenerwowany.

- Jak bardzo?

– Bardzo – odparła po chwili namysłu. – Był wstrząśnięty. Od dwóch dni nie widział Stephena i postanowił sprawdzić, co się z nim dzieje. Kiedy do niego zajrzał, zauważył krew...

– Ma klucz do jego mieszkania?

– Było otwarte. – Carla westchnęła ciężko. – Potem weszliśmy tam oboje. Ślady krwi prowadziły od łóżka do pomieszczenia obok. Dopiero wtedy poprosiłam o wsparcie, bo sprawa wyglądała na poważną.

– Więc dlaczego zgodnie z procedurą nie zaczekałaś, aż przyjedziemy?

Carla spuściła oczy.

– Tak, wiem, że nawaliłam. Ale z tego pomieszczenia dobiegł do nas jęk i uznałam, że Stephen lub ktokolwiek może potrzebować pomocy. Dlatego od razu weszłam do środka.

– I co dalej? – Val raz jeszcze zajrzał do malutkiego pokoiku.

– Najpierw pomyślałam, że mam rację. Stephen wyglądał na rannego.

– Dlaczego?

– Był cały we krwi i miał wywrócone oczy, jakby był nieprzytomny. – Aż zadrżała na to wspomnienie.

– Ale kiedy pastor spytał, czy nic mu nie jest, ocknął się. To było niesamowite.

Val skrzywił się na tę ostatnią uwagę. Wymagał od podwładnych, żeby trzymali się faktów i nie ubarwiali swych relacji.

– Kiedy zobaczyłam, że ma nóż, sięgnęłam po pistolet – mówiła dalej Carla. – Niestety, za późno. Stephen natarł na nas i wybiegł do ogrodu. Resztę widziałeś.

Val wsunął się do małego pomieszczenia i przykucnął. Carla spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Strony z Biblii – mruknął pod nosem. – Bardzo ciekawe. – Zaczął się im przyglądać, niczego nie ruszając.

– Ta jest z listu świętego Piotra. A ta ze świętego Łukasza. Zdaje się, że to głównie Nowy Testament – powiedziała Carla.

Szef spojrzał na nią.

– Tak dobrze znasz Pismo Święte?

– Wychowano mnie w wierze katolickiej – odparła, rozcierając ramiona, bo nagle zrobiło jej się zimno. – Chodziłam regularnie na msze i do spowiedzi. No i modliłam się, ale to wszystko. Dlaczego pytasz?

– Sam nie wiem. – Val zadumał się na chwilę. – Po prostu zastanawiam się, o co w tym wszystkim może chodzić.

Szef wyjął chusteczkę i sięgnął po Biblię, starając się nie zacierać śladów. W pewnym momencie aż gwizdnął.

– Carla, popatrz na to!

Podeszła do niego i kucnęła, przyglądając się wyświechtanej Biblii. W lewym rogu znajdowało się imię i nazwisko, wypisane niegdyś złotymi, a teraz już wyblakłymi literami.

– Rachel Howard – przeczytała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Poniedziałek, 19 listopada 15.00

Liz uchyliła drzwi. Tuż przed nią z ponurymi minami stali Valentine Lopez i Carla Chapman. Serce zabiło jej mocniej. Wiedzieli, że Mark tu jest. Rick przejrzał jej grę i zawiadomił kumpla.

Co ma teraz zrobić?

Przede wszystkim uspokoić się, niczego nie dać po sobie poznać.

- Tak, słucham?
- Mamy nowe informacje na temat zniknięcia pani siostry – zaczął porucznik Lopez.

- Zniknięcia mojej siostry? – powtórzyła ze zdziwieniem. – Co takiego...?

- Czy możemy wejść? – spytał.

- Tak, proszę.

Ręce jej się trzęsły, kiedy ich wpuszczano.

- Czy ktoś u pani jest?

- To moja sprawa – odparła już nieco pewniej i popatrzyła na nich wyczekująco. –
O co chodzi?

Porucznik Lopez spojrzał na podwładną.

- Carla.

Skinęła głową i sięgnęła do płóciennej torby, z której wyjęła zapakowaną w folię książkę. Liz natychmiast rozpoznała Biblię siostry.

- Widziała to pani już kiedyś?

Kiedy wzięła Biblię do ręki, zauważyła ślady krwi na wytartej, skórzanej okładce. Łzy same napłynęły jej do oczu.

– To mojej siostry. – Powiodła palcem po złożonych literach. – To był prezent ode mnie... Skąd... skąd się to wzięło?

– Czy zna pani Stephena St. Johna? Pracował jako ogrodnik i kościelny w Rajskiej Wspólnocie Chrześcijańskiej.

– Tak, ale co on ma...?

– Mamy powody, by przypuszczać, że jest zamieszany w zniknięcie pastor Howard.

Zimny dreszcz przeszył Liz.

– Nie rozumiem.

Śledcza Chapman była dziś w kościele. Wezwał ją pastor. Stephen zaatakował ją nożem, którym mógł też zamordować Tarę Mancuso i Naomi Pearson. To właśnie u niego znaleźliśmy tę Biblię.

Liz poruszyła parę razy ustami, zanim wydobyła z siebie głos:

– Prze... przepraszam, muszę usiąść. Cofnęła się i opadła ciężko na schody.

Usiadła z głową przy kolanach i zaczęła głęboko oddychać. Wdech i wydech. Wdech i wydech.

Jeszcze jeden dowód na to, że Rachel nie żyje, pomyślała.

– Czy siostra wspominała kiedyś Stephena St. Johna w rozmowach z panią? Albo z nazwiska, albo z funkcji?

Liz pokręciła przecząco głową.

– Jest pani pewna?

– Tak. – Spojrzała na porucznika. – Ale proszę porozmawiać z właścicielką butiku „Bikini i Mini”. Przyjaźniła się z Rachel i mówiła mi, że... że siostra bała się Stephena. Podobno przyłapała go, jak ją podglądał.

Policjanci wymienili znaczące spojrzenia.

– Zna pani jej nazwisko? – spytała Carla, wyjmując notes.

- Tak. Nazywa się Heather Black. Śledcza zapisała to i spojrzała na Liz.
- A czy Tara coś może o nim mówiła?
- Nie, nic.
- A czy wie pani, jak Stephen mógł wejść w posiadanie tej Biblii?
- Nie mam najmniejszego pojęcia.
- Kiedy go pani po raz pierwszy spotkała? – wtrącił porucznik Lopez.

Liz potrzebowała chwili, żeby to sobie przypomnieć.

– W czasie jednej z wizyt w kościele. Poszłam, żeby porozmawiać z pastorem Collinsem, a ten człowiek za... zastąpił mi drogę. Trochę się wystraszyłam, ale pani Black zauważyła całe zajście i mi pomogła. Potem miałam wrażenie, że Stephen jest raczej niegroźny...

– Tak jak wszyscy – powiedziała Carla i zamknęła notes.

Liz zaczęła rozcierać ramiona. Znowu było jej zimno.

– Chce pani powiedzieć, że... że to on zamordował Tarę i...?

– Dziękujemy za pomoc, pani Ames – włączył się natychmiast porucznik Lopez.

– Nie będziemy pani dłużej przeszkadzać.

Śledcza podeszła do niej i wyciągnęła rękę.

– Bardzo mi przykro, ale musimy zachować Biblię pastor Howard – powiedziała.

– To dowód rzeczowy.

Liz podała owinięty folią pakunek.

– Dowód? Chcecie państwo powiedzieć, że Stephen...

– Na razie nic jeszcze nie możemy powiedzieć – przerwał porucznik Lopez. –

Jednak dobra wiadomość to taka, że otwieramy ponownie sprawę pastor Howard. Być może miała pani rację i pani siostra jednak nie wyjechała...

Liz jęknęła głucho. Wcale nie chciała mieć racji, pragnęła tylko zobaczyć Rachel całą i zdrową.

– Pani Ames?

– Tak? – Ponownie uniosła głowę.

– Nie orientuje się pani, czy Stephen St. John znał Marka Morgana? – spytał ją porucznik.

– Co takiego?

– Czy Stephen znał Marka Morgana? – powtórzył Lopez.

– Nie... nie wiem. Trudno mi... –Patrzyła bezradnie to na śledczą, to na porucznika. Nie mogła pozbierać myśli. Nie wiedziała już, w co wierzyć ani komu ufać.

– Przepraszam, zdaje się, że to nieodpowiedni moment na takie rozmowy – mruknął Lopez. – Gdyby pani coś sobie przypomniała, proszę nam dać znać.

Wreszcie wyszli. Liz przez dłuższą chwilę patrzyła na zamknięte drzwi, a potem z trudem podniosła się i zamknęła zasuwę. Była wyczerpana. Ruszyła na górę, powłócząc nogami.

Miała ochotę się położyć, ukryć pod pościelą i spać tak długo, dopóki to wszystko wreszcie się nie skończy.

Nagle się zatrzymała. Przed nią stał Mark. Strach chwycił ją za gardło.

Komu wierzyć? Przecież ścigała go policja. Uważają, że to właśnie on zamordował Tarę i Naomi Pearson. A ona ma być jego następną ofiarą.

Uśmiechnęła się gorzko, przypominając sobie pytanie porucznika. Czy Stephen znał Marka?

– Wszystko słyszałem – powiedział chłopak, zaciskając pięści. – To nieprawda. Stephen nie skrzywdziłby nawet muchy. To najłagodniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Komu mam wierzyć? – myślała Liz. Komu ufać?

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zaniepokoił się Mark.

– Nie, nic takiego... – Potrząsnęła głową i podeszła do drzwi. – Jestem po prostu bardzo zmęczona. Muszę to wszystko przemyśleć...

Chłopak zaniepokoił się jeszcze bardziej.

– Ci policjanci... oni zrobili to specjalnie. Żebyś poczuła się bezbronna, żebyś zakwestionowała to wszystko, w co wierzysz...

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Komu mam wierzyć, Mark? Tobie czy policji?

– Mnie. – Spojrzał na nią błagalnie. – Zaufaj mi. Przecież wiesz, że nie kłamię.

Czyżby to była ta wstępna, psychopatyczna gra? – pomyślała. Najpierw nawiązać bliższy kontakt, wzbudzić współczucie, a potem... Czy to tylko gra? Czy Mark tylko udaje ofiarę?

– Proszę, Liz. Stephen to mój przyjaciel. Jest niewinny jak dziecko. Zrozumiesz to, jeśli uważnie mu się przyjrzysz. Nie byłby w stanie nawet zaplanować tego, o co go oskarżają.

– Skąd wiesz?! – Aż pokręciła z wściekłości głową. – Jestem specjalistką w sprawach społecznych. Zajmuję się ludźmi skrzywdzonymi i wiem, że oni też potrafią krzywdzić. To, co przeszedł Stephen, zniszczyło jego osobowość. Być może chciał odplącić ludziom za to, co go spotkało.

- Nie Stephen.

Liz przycisnęła dłoń do oczu. Czuła narastający ból głowy.

- Miał Biblię mojej siostry.

- Tak, miał, ale czego to dowodzi? Może sama mu ją dała.

– Nie widziałeś tego, co pokazała mi policja. Cała okładka była we krwi. Pewnie kartki też... Mówili, że Stephen miał nóż. Takim nożem zabito Tarę, Mark.

– A co z pastorem? To przecież on mógł wcisnąć mu nóż do ręki.

Chciała przejść, ale złapał ją za rękę. Liz poczuła mrowienie na plecach. Mark mówił dalej:

– Tara nie lubiła pastora Collinsa. Uważała, że jest w nim coś nieprzyjemnego. Mówiła, że przyłapała go na kłamstwie. Podobno czasami patrzył na nią tak, że zaczynała się go bać.

– Puść mnie!

– To on mógł dać Stephenowi nóż i Biblię, żeby go w to wszystko wmieszać i odwrócić od siebie podejrzenia – ciągnął z ogniem w oczach. – Przecież pastor tam mieszka. Mógł bez problemu dokonać tych wszystkich zbrodni.

– Mówiłam ci, żebyś mnie puścił! – W końcu udało jej się wyrwać. – Stephen zaatakował tę policjantkę, Mark. Może mi wyjaśniesz, dlaczego?

Nagle opuścił ręce. Stał tak, patrząc na nią, zagubiony i bezbronny.

Liz położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dobrze, Mark. Zastanowimy się jeszcze nad tym. Ale teraz muszę wziąć coś od bólu głowy i trochę się przespać.

Skinął głową, ale nie spojrzał jej w oczy. Liz ścisnęła jeszcze jego ramię i pośpieszyła do swojej sypialni. Wciąż czuła na sobie wzrok chłopaka. Wydawało jej się, że czai się tuż za nią.

Przez chwilę stała przy łóżku, a potem podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Poniedziałek, 19 listopada 17.00

Śledcza Chapman zatrzymała się przed barem „Island Hideaway”. Miała nadzieję zastać Ricka. Liczyła na to, że powie jej, iż postąpiła słusznie i doda: „Wszystko będzie w porządku, Carla”.

Jednak sama dobrze wiedziała, że nie jest i nie będzie w porządku.

Obejrzała się szybko za siebie, czując na barkach ciężar winy, a potem weszła do przyjemnie chłodnego wnętrza. W środku było niewielu gości. Jedna zakochana para, ktoś miejscowy oraz oczywiście paru turystów.

Rick wyprostował się na jej widok. Już pewnie słyszał. Wcale jej to nie zdziwiło, bo na maleńkiej wyspie wieści rozchodziły się lotem błyskawicy, a jeśli ktoś pracował w barze, miał pełny serwis najświeższych wiadomości.

Oczywiście prasie przekazano jedynie niezbędne minimum. Śledztwo wciąż było w toku, więc poinformowano o „napadzie szalu” ogrodnika Rajskiej Wspólnoty, którego po „unieszkodliwieniu” przez śledczą Chapman przewieziono w stanie krytycznym do miejscowego szpitala.

Szef i Val bardzo dbali, żeby nie wiązano tego wydarzenia z serią zabójstw. Przy najmniej na razie.

– Wszystko dobrze? – spytał Rick, kiedy opadła ciężko na barowy stołek.

– Ciągłe żyję, jeśli o to ci chodzi – mruknęła. – Ale czuję się fatalnie.

Rick pochylił się w jej stronę.

– Jasne. Strzelanie do ludzi nigdy nie jest przyjemne, nawet jeśli tobie grozi niebezpieczeństwo.

– Podsunął jej kufel spienionego piwa. – Na koszt firmy, Carla.

Uśmiechnęła się do niego blado i wypila parę łyków, chociaż tak naprawdę wciąż była na służbie.

– Wszyscy na posterunku mi gratulują – westchnęła. – A ja bym chciała, żeby to się nigdy nie zdarzyło.

Rick uniósł lekko brwi, a ona zarumieniła się i spojrzała w bok. Wciąż miała przed oczami pełną przerażenia twarz Stephena. To nie dawało jej spokoju. Czy to możliwe, żeby ktoś taki chciał ją zamordować? Nie, kościelny zachowywał się jak dzikie zwierzę, które próbuje uwolnić się z klatki. Jak skrzywdzone dzikie zwierzę...

– Chcesz o tym pogadać?

Powinna powiedzieć, że nie. Po prostu dopić piwo, ciesząc się samą obecnością Ricka. Gdyby Val dowiedział się, że tu przyszła, wpadłby w furję.

Przymknęła oczy i natychmiast znowu zobaczyła Stephena. Żądza krwi, wmawiała sobie. To właśnie było w jego oczach. Rzucił się na nią jak wściekły pies. Nie ze strachu. Nie z desperacji.

Dostrzegła pełen niepokoju wzrok Ricka.

– Tak – szepnęła. – Chętnie.

Zaczęła mu cicho o wszystkim opowiadać. Najpierw o telefonie od pastora, a skończyła na tym, jak pociągała za spust. Pominęła tylko to, co łączyło Stephena z dokonanymi wcześniej morderstwami.

- Wygląda na to, że postąpiłaś słusznie. Wszystko było zgodne z przepisami.

– Sama nie wiem... – Potrząsnęła głową i zagryzła wargi. Wciąż wydawało jej się, że poradziłyby sobie bez pistoletu. I że kościelny wcale nie był taki groźny. – Wychowałeś się tutaj. Powiedz, co o nim wiesz – poprosiła.

– Niewiele. Znasz tę historię z jego dzieciństwa. Po tym wypadku zajął się nim pastor. Jako chłopcy opowiadaliśmy o nim różne historie... Pewnie dlatego, że był inny i budził w nas strach.

– Jakie historie?

– O tym, że zabił całą swoją rodzinę i pozbył się ciała. Jeden chłopak twierdził, że pokroił wszystkich na kawałki i wrzucił do oceanu. Rozumiesz, takie głupoty...

– Tak sądzisz? – Pochyliła się jeszcze bardziej w jego stronę. – A nie słyszałaś, żeby komuś zagrażał?

Rick pokręcił głową.

– Nie, nigdy. Dlaczego pytasz?

Nie odpowiedziała od razu. Ujawnianie szczegółów śledztwa groziło dyscyplinarnymi karami łącznie z zawieszeniem. Chociaż wzięwszy pod uwagę jej obecny stan, nie byłoby to wcale najgorsze wyjście. Miałyby czas, by dojść do psychicznej równowagi.

– Możliwe, że to on, Rick – szepnęła, zerkając za siebie. – Pociął się w taki sam sposób, jak stało się to z Tarą i Naomi. Strasznie dziwne, takie napisy na brzuchu i udach...

Rick przysunął się bliżej.

– Tak? I co dalej?

– Wyglądają na cytaty z Biblii.

Jakiś facet siedzący przy końcu kontuaru dopił drinka, pożegnał się z Rickiem i wyszedł. Carla odczekała chwilę, a potem dodała:

– Poza tym Stephen powrywał strony z Biblii. Kiedy go znaleźliśmy, miał nóż. Wszystko było we krwi, a dookoła leżały te kartki. Wyglądało to tak, jakby z nich korzystał przy wycinaniu liter. No, pewnie tak było.

Rick spojrział w stronę klientów, a potem znowu na nią.

– Być może, Carla, być może... A ten nóż mógł być narzędziem zbrodni, prawda?

– Tak. Skąd wiesz?

– Bo bez tego mielibyście tylko oszalałego świra, a nie mordercę. – Zmrużył oczy. – Powiedz mi, co Val o tym sądzi?

– Że nareszcie coś mamy.

– Ty też tak uważasz?

Carla nigdy nie kwestionowała opinii szefa. Traktowała je jak słowo objawione. Jednak teraz zaczęła mieć wątpliwości. Być może dlatego przyszła do Ricka. Czowała, że sama sobie z tym nie poradzi.

– Trudno mi powiedzieć.

– Rozumiem, ale musisz się na to zdobyć – mruknął z krzywym uśmiechem. – Co ty o tym myślisz, Carla?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Pamiętaj, że nie prowadzę tego śledztwa.

– Bardzo tego żałuję. Jest coś... – Zaklęła pod nosem i wstała. – Muszę już iść.

Rick złapał ją za rękę.

– Musisz uwierzyć w siebie, Carla, musisz zacząć samodzielnie myśleć – szepnął. – Coś cię tu dzisiaj przygnało. Coś, co nie daje ci spokoju. Zmierz się z tym sama, tylko ty i problem. Nie pozwól, by inni programowali twój umysł. By zagłuszali to, co w tobie kiełkuje.

Spojrzała na jego dłoń. Chciała, żeby ją przytulił. Żeby przytrzymał ją mocno i nie puszczał.

– Masz rację, coś w tej sprawie nie daje mi spokoju. Wszyscy mówią, że Stephen ma umysł dziecka z powodu traumatycznych przeżyć sprzed lat, i trudno się z tym nie zgodzić. Czy ktoś taki potrafiłby zaplanować dwa morderstwa?

– Ale pamiętaj, że tak się tylko mówi – zauważył Rick, starając się myśleć o wszystkich aspektach sprawy. – Stephen jest jednak dorosłym mężczyzną. Może się maskuje?

– Tak, ale... – Potarła skronie.

– Ale co?

Znowu zmeła w ustach przekleństwo, przypominając sobie wzrok Stephena.

– W dalszym ciągu nie sądzę, żeby mógł to zrobić. Widziałam, jak na mnie patrzył. Jakby chciał tylko uciekać, nic więcej...

Ktoś przy stoliku uniósł dłoń.

– Zaczekaj chwilę – westchnął Rick. – Obowiązki mnie wzywają.

Carla patrzyła, jak podlicza turystów, a potem jeszcze pyta zakochanych, czy czegoś im nie trzeba. Dopiero po chwili wrócił do baru.

– Przeszkadzam ci w pracy – bąknęła. – Przepraszam.

Pokazał jej w uśmiechu prawie wszystkie zęby.

– Jakiej pracy? Poniedziałek to najspokojniejszy dzień w tygodniu. Jedni turyści wyjechali, inni nie zdążyli jeszcze przyjechać, a miejscowi usiłują teraz dojść do siebie po weekendowych szaleństwach. – Znowu się do niej uśmiechnął. – Możemy spokojnie rozmawiać.

Serce zabiło jej mocniej w piersi. Nie przypuszczała, że aż tak ją to ucieszy.

– Chodzi o to, że mam mnóstwo wątpliwości. Na przykład dlaczego ktoś, kto nigdy w życiu nie zrobił nic złego, angażuje się nagle w serię morderstw? Zwykle poprzedzają to jakieś ponure historie, maltretowanie zwierząt czy coś takiego... A tutaj nic. Wszyscy twierdzą, że Stephen jest zupełnie nieszkodliwy.

– Mogą się mylić. To dziwny facet. Samotny, okaleczony fizycznie i psychicznie.

– Wiem. – Wzięła swój kufel, ale odstawiła go, nawet nie umoczywszy warg w piwie. – Znienawidziłam dziś moją pracę, Rick. Może ty byś zajął moje miejsce?

Ścisnął jej dłoń.

– Przecież on na ciebie napadł. Miał nóż. Zamknęła oczy, przypominając sobie wszystko, co robił Stephen. Jego przerażenie i to, jak kompletnie spanikowany biegał po ogrodzie.

– On nie wiedział, co się dzieje, niczego nie rozumiał! Niczego!

Ale zaraz przyszły inne myśli. Przecież musiała się bronić przed atakiem agresywnego szaleńca. To było racjonalne i oczywiste. Wszyscy tak mówili.

To on jest zabójcą, którego szukamy, pomyślała i zacisnęła pięści.

– Mógł popełnić te morderstwa – stwierdziła. – Miał ku temu okazje, a z uwagi na rzekomą tępotę umysłową był poza wszelkimi podejrzeniami. Zabijał w pobliżu kościo-

ła, bo tacy jak on rzadko opuszczają własny teren. Tarę zamordowano w samym ogrodzie, a pastor Howard widziano ostatnio...

- Pastor Howard? Co ona ma z tym wspólnego?
- Stephen miał jej Biblię. Val zmienił zdanie co do jej zniknięcia. Teraz uważa, że mogła być pierwszą ofiarą.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Poniedziałek, 19 listopada 20.00

– Rachel!

Liz usiadła nagle na łóżku i rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że śniła jej się siostra. Wołała ją. Była zamknięta w rozgrzanym dusznym pudełku i powoli umierała.

Z drzeniem wyrzebała się z łóżka. Zegar wskazywał ósmą. Podeszła do drzwi, przekręciła klucz i przeszła do przedpokoju. Całe mieszkanie było pogrążone w mroku. Panowała ogłuszająca cisza.

– Mark! – zawołała cicho. – Już wstałam!

Odpowiedziała jej cisza. Zapaliła światło i mrużąc oczy, skierowała się do drugiego pokoju. Zastukała do drzwi.

– Mark, jesteś tam?

Nie odpowiedział, ale kiedy nacisnęła na klamkę, drzwi się otworzyły, ukazując puste, mroczne wnętrze. Zadrżała.

Przyszli po niego, kiedy spała.

Potrząsnęła głową. Skąd mogli wiedzieć, gdzie go szukać? I jak by się tu dostali? Jeśli Mark wyszedł, to pewnie zostawił jej jakąś informację.

Weszła do jego pokoju. Łóżko było posłane, narzuta wygładzona, a poduszki spulchnione. Zajrzała do jego szafki. Tak jak się spodziewała, była pusta.

Ruszyła w stronę drzwi. Nagle przystanęła. W jednym miejscu narzuta, która normalnie dotykała podłogi, była podwinięta.

Jakby ktoś chciał się tam schować.

Przez moment nie mogła oddychać, lecz potem, łajac siebie w duchu za nadmiar wyobraźni, uklękła, żeby zajrzeć pod łóżko.

Pusto. Mogła się tego domyślić.

Czego się spodziewała? Szamana odprawiającego modły? A może Marka, który teraz by się śmiał, że dała się nabrać na głupi żart? Trupa?

Chłopak na pewno gdzieś wyszedł. Musi tylko znaleźć wiadomość, którą z pewnością zostawił. Nagle zachichotała. Powinna na siebie uważać, bo inaczej rzeczywiście zamkną ją u czubków.

Uśmiechnęła się do siebie i ruszyła do kuchni. Kiedy zapaliła górne światło, znowu zamarła. Na stole była ciemna mokra plama, a na niej stała metalowa puszka po kawie wymazana tym samym płynem.

Liz patrzyła przez dłuższą chwilę na puszkę. Rozpoznała kawę, bo taką parzono w jej rodzinnym domu. Nie przypuszczała, że wciąż jest w sprzedaży, bo wielkie puszki przestały być popularne. W dzieciństwie razem z Rachel budowały z nich domy dla motyli i innych żyjątek, które później wypuszczały.

Liz uniosła drżącą dłoń do ust i podeszła do stołu.

Z bliska zobaczyła, że boki puszek oznaczone są czerwieńią, a kałuża jest rubinowa. Jak krew. Bo to była krew.

Z puszek dobiegły do niej jakieś piski. Dopiero teraz zauważyła, że w plastikowym wieku znajdują się otwory, takie jak te, które robiła z siostrą. Miała wrażenie, jakby to już kiedyś przeżyła. Wyciągnęła rękę i otworzyła wieko.

Zobaczyła stworzonko z paciorkowatymi oczkami i obnażonymi zębami.

Odskoczyła do tyłu, odpychając puszkę, która upadła na brzeg stołu, a potem na podłogę. Krew rozprysnęła się po linoleum. Szczur wypadł na zewnątrz.

Leżał, z trudem oddychając. Prawie już zdechł.

Liz zaczęła drżeć. Szczur w puszcze. Jej siostra w puszcze. Karuzela skojarzeń.

Powolna śmierć.

To właśnie oznaczało powolną śmierć.

Liz cofała się, powtarzając szeptem te słowa. Gdy oparła się o szafkę, zadzwonił dzwonek. Wybiegła z kuchni i bosy zbiegła na dół. Nawet nie sprawdziła, kto jest na zewnątrz, tylko otworzyła drzwi.

Przed nią stał Rick.

Ze szlochaniem rzuciła się mu w ramiona.

Objął ją mocno.

– Co się stało? Cała drżysz.

Nic nie mówiąc, z całych sił przytuliła się do jego szerokiej piersi.

Mark zniknął. Rachel nie żyła. Ona miała być następną.

– Słyszałem o Stephenie – rzekł łagodnie. – Wiem, że miał Biblię twojej siostry.

Liz parę razy pociągnęła nosem. Rick ujął jej twarz w dłonie.

– Wiem, co to może znaczyć – powiedział. – Bardzo mi przykro.

Nagle dostrzegła jakiś ruch za jego plecami. Ktoś zajrzał do środka.

Byli obserwowani!

Serce zabiło jej gwałtownie. Wciągnęła Ricka do wnętrza i natychmiast zamknęła drzwi na zasuwę. Położyła palec na ustach i ruszyła na górę. Kiedy Rick chciał zapalić światło, powstrzymała go.

– Jeszcze nie. Ktoś może patrzeć. – Zerknęła z niepokojem w stronę okien.

Przekreśliła żaluzje i dopiero wtedy zapaliła lampkę do czytania. W jej świetle dostrzegła zaniepokojoną twarz Ricka.

– Co się dzieje? – spytał.

Kiedy uniosła dłoń, spostrzegła, jak bardzo się trzęsie. Dopiero teraz dotarło do niej, że drży, jakby miała febrę. Niewiele brakowało, a dostała – by ataku hysterii. Musi teraz uważać, bardzo uważać...

– Za... zaraz ci coś pokażę.

Przemogła wstręt i zaprowadziła go do kuchni. Szczur już się nie ruszał.

– Jezus Maria! – jęknął Rick i podszedł do zwierzęcia. – Kto to zrobił, Liz?!

– Po wyjściu policji rozboleła mnie głowa – zaczęła chaotycznie opowiadać. – Musiałam się położyć. Wzięłam proszek i nic... nic nie słyszałam. A kiedy się obudziłam, jego już nie było. Myślałam, że zostawił mi jakąś wiadomość...

- Kto, Liz? Kto miał ci zostawić wiadomość?

Wciągnęła głęboko powietrze. Wiedziała, że musi się uspokoić.

– Powinniśmy porozmawiać, Rick.

– Ale kto to zrobił? – Omiótł kuchnię spojrzeniem.

– Rogaty Kwiat. – Podeszła do zlewu i wyjęła z szafki gumowe rękawice oraz płyn dezynfekujący. Włożyła je i sięgnęła po papierowe ręczniki. Znowu spojrzała na Ricka. Jego mina wskazywała, że uznał ją za wariatkę. – Ukrywałam tu Marka, a teraz ten biedak wpadł w ich łapy.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Poniedziałek, 19 listopada 20.20

Liz odmówiła wyjaśnień, dopóki wszystko nie zostało posprzątane, a szczur wyrzucony. Co prawda Rick namawiał ją, żeby go zostawiła i wezwała policję, ale się na to nie zgodziła. Bo co by powiedziała? Że ukrywała kogoś, kto został uznany za mordercę? Oczywiście z miejsca by ją aresztowano, bo nikt by nie uwierzył, że okultyści dostali się do mieszkania i porwali Marka, zostawiając tę uroczą pamiątkę.

Chociaż porucznik Lopez na pewno z radością wysłuchałby tej historii. Mógłby nareszcie wysłać Liz tam, gdzie jego zdaniem już dawno powinna się znaleźć. Ciekawe, co by wybrał: więzienie czy szpital wariatów?

Na takie dictum Rick nie znalazł rozsądnego kontrargumentu.

W końcu usiedli. Rick spojrzał na Liz. Musiał teraz zdecydować, wobec kogo będzie lojalny. Miał dwie możliwości: policję oraz Liz. Starego kumpla, człowieka rozsądnego i solidnego, oraz leczącą się psychiatrycznie kobietę, którą ledwie znał i która plotła niestworzone historie.

Liz spojrzała na niego, jakby domyślała się, co za myśli kłębią się w jego głowie.

- Musisz mi uwierzyć, Rick. Potrzebuję twojej pomocy.
- Zrozum, Mark jest podejrzany o morderstwo i nie można wykluczyć, że zagraża również tobie. Co cię opętało, że go tu wpuściłaś?
- Dobrze, opowiem ci wszystko, ale obiecaj, że nie wyciągniesz od razu pochopnych wniosków.

Rick skinął głową.

– Obiecuję. Ale nie mogę zagwarantować, że tak to zostawię. Cała ta sprawa to czyste wariactwo...

– Doskonale cię rozumiem. Też mi się zdaje, że znalazłam się we śnie jakiegoś paranoika. Jednak przynasz, że ten szczur i krew były całkiem realne.

– Mhm – przytaknął Rick. – A teraz opowiedz mi wszystko.

Liz wciągnęła głęboko powietrze i zaczęła mu mówić o tym, jak obudziła się i ujrzała Stephen'a w swoim mieszkaniu. Jak się go najpierw przestraszyła, a potem pozwoliła zaprowadzić się do ogrodu. I o tym, jak znalazła Marka.

Spojrzała Rickowi prosto w oczy.

– To Stephen znalazł go w ogrodzie, gdy leżał tam nieprzytomny i zmaltrretowany.

– W tym ogrodzie?

– Właśnie. W miejscu, gdzie zabito Tarę.

– Boże, Liz, to fatalnie! Gdyby znalazła go tam policja...

– Byłby to kolejny dowód przeciwko niemu, wiem. Zbrodniarz odwiedza miejsce zbrodni... O to pewnie chodziło członkom sekty.

Dalsza część opowieści była jeszcze dziwniejsza. Liz opisała próbę przyłączenia się do grupy, jaką podjął Mark, i działanie narkotyków, które musiał przyjąć. Najgorsze było to, że nie wiedział, gdzie go zawieziono.

- Może rozpoznał tych ludzi?

– Najpierw miał zawiązane oczy, a potem, kiedy wypił z kielicha drugi narkotyk, zobaczył ludzi przebranych za zwierzęta.

Opowiedziała mu o tym, jak ułożono Marka na ołtarzu oraz o nieustającym orgazmie.

– Mark mówił dziwne rzeczy. O dobru i złu, i o walce, która się między nimi toczy. Wspomnił też Bestię.

– Bestię?

– Diabła. Był tym przerażony. Uważał, że chcieli go zabić i że Bestia znajdowała się w jego głowie. Że nie mógł się jej pozbyć. – Liz na chwilę oparła głowę na kolanach, jakby nie miała już siły. – Bałam się o niego. Te narkotyki musiały wywołać stany psy-

chotyczne.

– Sprowadziłaś do niego lekarza?

– Nie zgodził się na to. Powiedział, że członkowie Rogatego Kwiatu go obserwują i na pewno dowiedzą się, gdzie jest...

– A co z...?

– Policją? Mark bał się jej. Uważał, że zostanie aresztowany. Zapewne słusznie. Rick milczał przez moment, ważąc w głowie argumenty. W końcu spojrzał na Liz.

– Wierzysz we wszystko, co ci powiedział?

– Na pewno w to, że dostał silną dawkę narkotyków. Znam się na tym i nie mogę się mylić. A dalej, no cóż... narkotyki wywołały określone doznania i przez ich pryzmat oglądał świat. Ecstasy i kokaina działają na przykład na sfery erogenne, a LSD wywołuje silne halucynacje i zmienia fizyczne wrażenia. Osoba tak mocno naszprycowana może potem cierpieć na depresję i obsesyjne stany lękowe.

– Może dlatego Mark wszystkiego się bał?

– Właśnie. W dodatku LSD wywołuje silne psychozy, a peyotl i mescalina też mogą powodować różnego rodzaju choroby psychiczne. – Spojrzała mu w oczy. – Ci ludzie bawią się niezwykle silnymi narkotykami. Mogą nawet zniszczyć psychikę swojej

ofiary. – Liz przez chwilę głęboko oddychała. – Ten kult na pewno istnieje, Rick. Jest bardzo niebezpieczny. Uważam, że członkowie Rogatego Kwiatu maczali palce w tych wszystkich zabójstwach.

– Śmiałe stwierdzenie.

– Tak. – Liz wysunęła brodę do przodu. – A ty co o tym sądzisz? Coś cię tu dzisiaj przywiodło i nie sądzę, żeby chodziło tylko o Biblię mojej siostry.

– Masz rację. Coś mi się tu nie zgadza, Liz. Coś nie pasuje. Zamordowano dwie kobiety w sposób, jakiego używał facet, który czeka teraz na karę śmierci, a głównym podejrzanym jest dwudziestoletni chłopak z Teksasu, który za czasów Tafta był jeszcze w szkole. Wątpię, żeby zetknął się z jego metodą, by miał z tym jakikolwiek kontakt. Zresztą nawet w Internecie nie ma wszystkich informacji o Taftcie. Brak choćby wzmianki o narzędziach zbrodni, długości ran, literach. A tutaj wszystko zgadza się co do joty.

– Sądziysz, że to ważne?

– Tu leży klucz do całej sprawy. Zapomnijmy o wszystkim i przyjrzyjmy się samym zabójstwom. Tak działał Taft. Wydaje mi się, że Val nie przywiązuje do tego należytej wagi. Bardzo zależy im na jakimkolwiek podejrzanym, choćby upośledzonym, i przez to oddalają się od sedna sprawy. – Rick wstał i zaczął chodzić po pokoju. – Taki morderca jak Taft działa z wewnętrznego przymusu. Coś w nim narasta, przenika jego umysł, całą osobowość... nazwijmy to duszą... aż wreszcie musi zabijać. Należałoby właściwie powiedzieć, że nie może nie zabijać. Do tego dochodzi rytuał. Morderca dokładnie go opracowuje, nim przystąpi do działania. Rytuał ma zasadnicze znaczenie, bo jest spełnieniem najgłębszych potrzeb i marzeń zabójcy. Bez niego śmierć ofiary się nie liczy.

– Te rany i nacięcia...

– Na przykład, ale nie tylko. Rytualny jest również dobór ofiar, miejsce zbrodni i tak dalej. Musisz zresztą wiedzieć, że magii rytuału ulegają też zwykli, niepsychopатыczni mordercy. Planują zabójstwo z pospolitych powodów... pieniądze, zemsta, żądza... i nagle okazuje się, że do rangi symbolu urasta wybór narzędzia zbrodni, czas, miejsce, inne okoliczności.

– Tak, jasne. – Liz skinęła głową.

– Wracając jednak do Tafta. Otóż starał się zaprzyjaźnić ze swoimi ofiarami. To go bardzo podniecało. Wybierał młode i atrakcyjne kobiety. Najmłodsza miała kilkanaście lat, a najstarsza była przed trzydziestką. Najpierw podrzynał im gardło, a potem

niszczył genitalia i wycinał na skórze pseudoreligijne napisy. Wszystkie ofiary były nagie i ułożone w specyficzny sposób. Zresztą sama widziałas – dodał, krzywiąc się. – Miały wyglądać tak, jakby je ukrzyżowano.

– Czyżby czerpał większą satysfakcję ze sposobu, w jaki mordował, niż z samego zabójstwa?

– Właśnie. Seryjni zabójcy nie są przestępcami w zwykłym tego słowa znaczeniu. Nie mordują z zazdrości, żądy, gniewu czy chęci zysku, a ich zbrodnie są jakby odciśkami palców właściwymi tylko dla określonego sprawcy. Zdarzają się oczywiście naśladowcy. Podszycują się pod znanego seryjnego mordercę, by kogoś się pozbyć i bezpiecznie umknąć sprawiedliwości. Mógłbym się na to zgodzić, gdyby chodziło o jedno morderstwo. Niestety jest inaczej. Te zbrodnie wiążą się z samym Taftem.

– To dlaczego policja ściga Marka? Przecież trzeba solidnych podstaw, żeby wydać nakaz aresztowania, prawda?

– Widocznie w jego pokoju znaleziono coś, co go obciąża.

– Narzędzie zbrodni?

– Nie, miał je Stephen.

– No tak... Jak sądzisz, czy ten biedak rzeczywiście może być zabójcą?

– Uwierzyłbym, gdyby mi powiedziano, że po prostu kogoś zabił. Każdy może to zrobić, a umysł ludzi po tak bardzo traumatycznych przeżyciach zawsze stanowi zagadkę. Może w łagodnym Stephenie przez lata narastał gniew? Ale... – Rick zawiesił głos – ktoś z takim ilorazem inteligencji nie mógł dowiedzieć się o metodzie Tafta, ani tym bardziej dokładnie jej zrekonstruować. Stephen buszujący po Internecie? Absurd. Hipoteza, że tylko udaje tępotę umysłową, nie trzyma się kupy... Na pewno też prawdziwy zabójca nie korzystał z jego pomocy, bo i po co?

– Porucznik Lopez pytał mnie, czy Stephen zna Marka.

– To dlatego, że obaj są podejrzani i stara się ich jakoś powiązać. Bada różne możliwości.

– Nie powiedziałam mu, ale odniosłam wrażenie, że dobrze wie, jaka jest prawda. Jakby wszystko wiedział.

Rick pomyślał o przyjacielu i jego sposobie prowadzenia śledztwa.

– Val jest sprytny. No cóż, moim zdaniem źle prowadzi tę sprawę, ale nie wolno go nie doceniać.

– A co z pastorem Collinsem?

– To znaczy?

– Mark mówił mi, że Tara go nie lubiła. Nawet się go bała. Sugerował, że to on podrzucił Stephenowi nóż. Mógł równie dobrze zabić Tarę.

– Tim? – mruknął z powątpiewaniem Rick.

– Znasz go?

– Jasne. Grał ze mną i z Valem w drużynie futbolowej. Tyle że był lepszy, no i dwa lata starszy.

Skonsternowana Liz pokręciła głową.

– Pochodzi z Key West? Myślałam, że przyjechał tu po zniknięciu mojej siostry.

– Nie, Tim się tutaj wychował. Był naszym idolem. To dzięki niemu drużyna Fighting Conchs wygrała mistrzostwa stanowe. Później był w drużynie uniwersyteckiej Florida State, następnie dostał kontrakt z NFL. I nagle poszedł do seminarium. Mówił, że poczuł powołanie. Wszyscy się dziwili.

– Kto rezygnuje z takiej kariery, żeby zostać pastorem?

– W jakiej grał drużynie?

– Miami Dolphi...

Rick nie dokończył. Kolejna część układanki trafiła na swoje miejsce. Tylko czy na pewno właściwe? Nagle dotarło do niego, że Tim również był w Miami, kiedy Gavin Taft tam zabijał.

Mina Liz świadczyła o tym, że ona też się tego domyśliła.

– Mówił, że nigdy nie poznał mojej siostry.

To możliwe, chociaż trudno w to uwierzyć. Jego rodzice należą do Rajskiej Wspólnoty, a przynajmniej należeli, i Tim dość często ich odwiedzał. Chociaż twoja siostra była tu krótko...

Spojrzała na swoje ręce, a potem znowu na Ricka.

– Jest coś, czego ci jeszcze nie powiedziałam. Ani nikomu innemu. Widzisz te pierścionki? – Uniosła prawą dłoń. – Oba należały do mojej mamy. Przed śmiercią dała po jednym mnie i Rachel. Prosiła, żebyśmy nigdy ich nie zdejmowały. To miało nas łączyć.

Rick ściągnął brwi.

– Więc skąd masz ten drugi?

– Znalazłam go u pastora Collinsa. Na podłodze w jego garderobie.

– Jak się dosta...? – Spojrzał na nią uważnie. – Włamałaś się na plebanię?!

– Tak. – Uniosła dumnie brodę, uznając, że nie ma się czego wstydzić. – Ta plebania była też domem Rachel i zapewne tam spędziła swoje ostatnie godziny. Chciałam sprawdzić, czy...

– Ją tam znajdziesz?

– Nie wygłupiaj się – powiedziała z gniewem. – Chodziło mi o to, czy nie znaję na przykład jakichś śladów.

Rick przeciągnął dłonią po twarzy. Przypomnił sobie to, co Val mówił o Liz i jej problemach. Ona nie była chyba jednak do końca normalna.

A dlaczego po prostu nie powiedziałas mu, kim jesteś i o co ci chodzi? To by było najbardziej racjonalne.

W czasie pierwszej rozmowy odniosłam wrażenie, że nie mówi całej prawdy i wie znacznie więcej, niż chce zdradzić. W jego zachowaniu było coś dziwnego. Dlatego musiałam tak postąpić. Inaczej niczego bym się nie dowiedziała.

Rick westchnął ciężko. Pierścionek stanowił mimo wszystko jakiś dowód. Chciał wierzyć Liz. Wciąż miał nadzieję, że jednak jest normalna.

Co mówił Val? Że desperaci potrafią sfabrykować dowody? Że zrobią wszystko, żeby udowodnić swoją rację? Tak, coś takiego.

Twoja siostra mogła sama zostawić tam ten pierścionek.

Nigdy go nie zdejmowała.

Skąd wiesz?

Znam Rachel.

Mógł się jej ześliznąć z palca w czasie przebierania, a potem nie mogła go znaleźć.

Liz spojrzała mu twardo w oczy.

– Lub też to pastor Collins jest mordercą i potraktował ten pierścionek jak zdobywcę. Czytałam, że seryjni zabójcy często zabierają coś na pamiątkę. Na przykład biżuterię.

– Spokojnie, Liz. Tylko spokojnie.

– Mieszkał w Miami, kiedy tam działał Taft. Jest w odpowiednim wieku i miał pierścionek mojej siostry, a to, co mówi, jest mocno wątpliwe. No i to on wezwał policję do Stephena.

Rick podszedł do okna. Odciągnął jeden płatek żaluzji i wyjrzał na dwór. Wszystko na Duval Street wyglądało jak zawsze. Nawet w poniedziałki wieczorem urządzano tu zabawy.

Zmarszczył brwi. To, co mówiła Liz, miało sporo sensu, chociaż zarazem mogło stanowić materiał na niezły kryminał. Ale czasami rzeczywistość okazywała się jeszcze bardziej nieprawdopodobna niż fikcja.

Rick odwrócił się od okna i spojrzał z rezygnacją na Liz.

– A jak ma się do tego Rogaty Kwiat?

– Pastor Collins jest jego członkiem, być może nawet przywódcą. Bez trudu wciąga do grupy młodych, atrakcyjnych ludzi, przecież ma olbrzymią charyzmę. Był gwiazdą sportu. Już sama jego obecność ściąga pewnie tłumy wiernych...

Motywy. Możliwości. Okazja. Ta teoria zawierała wszystko, co trzeba.

A dlaczego zostawili ci szczura?

– To ostrzeżenie – odparła bez wahania. – Jeśli nie dam im spokoju, skończę jak on.

– Ponura perspektywa.

– Muszę przyznać, że się specjalnie nie ucieszyłam.

Nagle powrócił do niego obraz nagiej Tary z poderżniętym gardłem i okaleczonym ciałem. I jeszcze ta olbrzymia, ziejąca rana...

Poczuł, że musi to powiedzieć.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której nie wspominałem – rzekł z ociąganiem. –

To nic przyjemnego.

Liz skuliła się, oczekując najgorszego.

– O co chodzi?

– Morderca otworzył łono Tary i wyjął płód.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Popatrzyła na niego niewidzącym wzrokiem.

– Zabrał... zabrał jej dziecko?

– Tak. Policja go nie znalazła.

Liz uniosła rękę do ust.

– Ale po co? Nic z tego nie rozumiem... Po co to zrobił?

Siedziała, kręcąc bezradnie głową. Rick podszedł do niej i kucnął przy kanapie.

– Jutro zawiozę cię do Miami. Będiesz mogła stamtąd polecieć do siebie, do St. Louis, a ja zajmę się tą sprawą. Zrobię wszystko, by dotrzeć do prawdy.

– Chyba żartujesz!

– Nie, nie żartuję. Postaram się jak najlepiej to rozegrać... a zarazem pragnę zapewnić ci bezpieczeństwo.

– To znaczy, że zacząłeś mi wierzyć – mruknęła z satysfakcją.

No cóż, do cholery, miała rację. Coraz bardziej wierzył w te jej wszystkie niestworzone historie. Coraz bardziej wierzył Liz... Ona stąd wyjedzie, a on ostro weźmie się do roboty. Przecież tak ustalili i to jest najlepsze wyjście.

– A więc jutro z rana ruszamy do Miami...

– Nigdzie nie jadę, Rick – powiedziała stanowczo. – Nie mogę zawieść Rachel. Ani Marka. Ani Tary. Ani ich nienarodzonego dziecka. Pomyśl, co zrobić, żebym była bezpieczna na Key West.

Rick przypomniał sobie umierającą Jill i piekło własnej bezsilności. To się nie może powtórzyć.

Objął Liz i przytulił mocno do siebie. Pocałował ją lekko, a potem spojrział w oczy.

– Jak wcześnie możesz się zebrać rano? – spytał.

– Bardzo wcześnie, jeśli będę miała powód. Rick oparł się czołem o jej czoło.

– Pracowałem z pewnym facetem w policji w Miami–Dade. Był jednym z oficerów prowadzących sprawę Tafta. Miał obsesję na tym punkcie, przez jakiś czas nie był w stanie myśleć o niczym innym. Chciałbym się z nim skontaktować i zobaczyć, czy może mi jakoś pomóc.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

– Świetnie. A ja wybiorę się do czytelnicy i sprawdzę, co mają na temat tej sprawy. Może uda mi się znaleźć coś nowego.

– Mhm, zawsze warto spróbować. – Znowu ją pocałował, ale tym razem mocniej i namiętniej. – A kiedy wrócimy, spróbuję się dowiedzieć, co Val ma na Marka.

– Och, jakaż to romantyczna rozmowa – zaśmiała się.

Rick spojrział na nią poważnie.

– Boję się zostawiać cię samą, Liz.

– Więc zostań...

Spojrzał jej głęboko w oczy, czując, że jest coraz bardziej podniecony. Wiedział, że jest to zaproszenie. No cóż, już zostali kochankami. Łóżko pozwalało im zapomnieć, choćby na krótko, o tym, co działo się dookoła. Przede wszystkim o mordercy, który pewnie już czyhał na Liz.

Jednak Rick nie czuł się w porządku. Zapłaciłby każdą cenę, żeby te wszystkie wydarzenia nie miały wpływu na to, co działo się między nim a Liz. By zbliżało ich do siebie coś innego niż wszechogarniający strach.

Gdy jej o tym powiedział, wstała i pocałowała go delikatnie.

– Dziękuję – szepnęła. – Zaraz dla nas pościelę.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Wtorek, 20 listopada 15.00

Rick, od kiedy przeniósł się na Key West, nie widział Billa Huntera, czy raczej Dziekiego Billa, bo tak go nazywali. Kumpel niewiele się zmienił. Nadal odpalał jednego papierosa od drugiego, mówił kelnerkom „kotku” i patrzył tak, jakby prześwietlał człowieka na wskroś.

– Dzięki, że znalazłeś dla mnie czas – rzekł Rick, starając się przekrzyczeć kawiarniany gwar.

– Nie ma sprawy. Co u ciebie?

– Zamieniłem odznakę na bar. Nazywa się „Island Hideaway”.

– Fajna nazwa.

– Pewnie. – Uśmiechnął się szeroko. – Zapraszam cię do siebie na Key West. Na koszt firmy.

– Chyba zapomniałeś, ile policjanci potrafią wypić – zaśmiał się Bill, ale zaraz spoważniał. – Słyszałem o twoim chłopcu... Bardzo mi przykro.

Rick spojrzął na blat stolika.

– Dzięki, stary.

Podeszła do nich kelnerka i dołała kawy. Bill tęsknie patrzył za nią przez chwilę, a potem zwrócił się do kolegi:

– Mówiłeś, że interesuje cię sprawa Tafta?

– Właśnie.

– Ktoś na Key West zaczął go naśladować?

– W najdrobniejszych szczegółach. Pozostaje tylko problem, dlaczego. No i kto to jest.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego się tym zajmujesz? Przecież nie pracujesz już w policji.

– Rick wahał się przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Uznał jednak, że najlepsza będzie szczerłość.

– Mam pewne przeczucia związane z tą sprawą – mruknął, patrząc mu prosto w oczy. – A miejscowa policja nie wie, jak się do tego zabrać. Poza tym nie chcę, żeby ktoś jeszcze umarł.

– Jak zwykle szlachetny rycerz.

– Daj spokój. – Rick machnął ręką. – Zajmowałeś się sprawą Tafta i jestem pewien, że znasz ją lepiej niż inni.

– Tak myślę. Zajął mi to kupę czasu i energii, ale koleś wreszcie stoi w kolejce do kata. Dobra, Rick, przygotowałem ci komplet informacji. Policyjne materiały, oczywiście nie wszystkie, i moje notatki. Jest też trochę zdjęć. – Przesunął w jego stronę pękata teczkę, a następnie wytrząsnął kolejnego papierosa z napoczętej paczki. – To nie są tajne rzeczy.

– Dzięki. – Rick rozwiązał troczki i zaczął przeglądać zawartość teczki. – Jesteś pewny, że Taft popełnił te wszystkie morderstwa? Że działał sam? Nie miał współników ani naśladowców?

– Na sto procent zabijał sam, chociaż jest tu pewien szkopuł... – Bill zaciągnął się dymem, a potem wypuścił wielki kłęb. – To był najgorszy skurwysyn, z jakim miałem do czynienia.

– W jakim sensie?

– Wiesz, on był dumny z tego, co robił. Dumny, że zabił i okaleczył te wszystkie kobiety. – Bill spojrzął gdzieś w przestrzeń z nieobecny wyrazem twarzy. – Lubił nam opowiadać o swoich zbrodniach. Sprawiało mu to wyraźną przyjemność. Powiedział nam nawet, gdzie są te wszystkie ciała.

Stary policjant aż skrzywił się z niesmakiem. – Po spotkaniach z nim brałem prysznic. Zło... zło wprost od niego emanowało. Czuję, że fizycznie mnie brudzi. – Zduślił w popielniczkę dopalonego do połowy papierosa. – Poza tym miał dziwne oczy. – Pochylił się w stronę Ricka. – Zupełnie pozbawione życia, beznamienne... Takie jak u rekina. – Rekin–zabójca. Stworzenie istniejące po to, by zabijać. Wystarczyło, że poczuło krew... – Nigdy nikomu tego nie mówiłem, ale tobie powiem – ciągnął Bill. – To był jedyny przestępca, którego tak naprawdę się bałem. Pamiętasz tych, z którymi mieliśmy do czynienia? Niektórzy byli nieźle pierdolnięci, ale bałem się tylko Tafta.

Rick poczuł, że ma gęsią skórę na całym ciele.

– Co to za szkopol z tymi współnikami? Zabijał sam, ale nie całkiem? Nie rozumiem. Znaleźliście kogoś, kto mógł mu pomagać?

Bill zmrużył oczy i zapalił nowego camela. Przez chwilę patrzył tylko na sączący się z papierosa dym.

– Taft mógł mieć współnika, chociaż żadne materialne dowody na to nie wskazywały. Utrzymywał jednak, że słuca nakazów jakiegoś boga i że miał duchowego doradcę.

– A czy był związany z futbolem... a konkretniej z drużyną Miami Dolphins?

– Nie, nie przypominam sobie. Mógł być jej fanem.

– Studiował?

– Przez semestr na Florida State University w Tallahassee. Nie szło mu.

Rick poczuł, jak jego serce zabiło szybciej.

– W którym roku?

– Musiałbym sprawdzić.

– Byłbym bardzo wdzięczny. – Chrząknął lekko. – Czy ofiary Tafta miały jakieś znaki szczególne?

– To znaczy?

– Na przykład tatuaże albo rysunki z dziwnym kwiatem. Takim z rogami.

Bill pokręcił głową, a Rick spojrział na papiery z nadzieją, że może w nich coś znajdzie. Musiał z tym jednak trochę poczekać.

- Nie orientujesz się, czy któreś z ofiar Tafta były w ciąży?
- Dlaczego pytasz?
- Jedna z naszych ofiar była. Drań wyciął jej płód.
- Cholera! – Bill zaciągnął się papierosem. – Dwie z nich były – dodał zmienionym głosem. – Jedna w szóstym miesiącu.

– I?

– Tak, zrobił to, pierdolony psychol!

Przez chwilę milczeli. Rick wyjął z teczek zdjęcie Tafta. Zabójca przypominał gwiazdora filmowego.

– Zapomniałem, że jest taki przystojny.

Bill uśmiechnął się ponuro.

– Zło przybiera najrozmaitsze formy. Często bardzo atrakcyjne. Jeśli ta sprawa rzeczywiście wiąże się z Taftem, to powinieneś o tym pamiętać.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Wtorek, 20 listopada 15.30

Główny oddział biblioteki Miami–Dade mieścił się w Cultural Arts Center w samym centrum miasta. Koronowy budynek z malowaną sztukaterią wyglądał naprawdę przyjaźnie i wesoło. Liz smętnie pomyślała, że po różach, błękitach i palmach Florydy St. Louis na pewno wyda jej się szare i brzydkie.

Na drugim piętrze przechowywano mikrofilmy ze wszystkimi lokalnymi gazetami, w tym „Miami Herald”. Jak wykazał indeks, prasa pisała o Taftcie głównie w 1998 roku.

Liz wzięła ze sobą notatnik, długopis, drobne na kopie i ruszyła do czytnika. Zaczęła od najstarszych artykułów, z których nie dowiedziała się niczego szczególnego. Parę rzeczy jednak zapisała. Pierwszą ofiarę znaleziono w lipcu 1987 roku, a do października 1998 roku Taft zamordował kolejnych jedenaście kobiet. Wszystkie zabito w ten sam „nowotestamentowy” sposób.

Nie ustalono żadnych powiązań między zabitymi kobietami. Tafta złapano przypadkowo. Policja drogowa zatrzymała go z powodu przepalonego tylnego światła, a jeden z policjantów zauważył ślady krwi na jego rękach. Dalsze poszukiwania ujawniły następne ślady krwi, a także zakrwawiony nóż. Okazało się, że Taft był tuż po kolejnym morderstwie. Jennifer Reed okazała się ostatnią ofiarą maniaka.

Przynajmniej do niedawna. A dokładnie do momentu, kiedy znaleziono Tarę w przykościelnym ogrodzie.

Rozczarowana Liz patrzyła w ekran czytnika. Szukała związków między ofiarami w Miami i na Key West, miała nadzieję, że natrafi na wzmiankę o dziwnych kwiatach z rogami.

Przetarła zmęczone oczy i już chciała wyłączyć czytnik, gdy nagle jej uwagę zwrócił artykuł na dole strony:

Sataniści odpowiedzialni za rzeź niewiniątek

Za tym nagłówkiem kryła się historia z pobliskiego Homestead, gdzie znaleziono zwierzęta z podciętymi gardłami. Na farmie odkryto rysunki wskazujące na to, że zrobili to sataniści. Były tam pentagramy, odwrócone krzyże i rogate kozły...

Rogate kozły!

Rogaty kwiat...

Z bijącym sercem zaczęła szukać dalszych artykułów na temat satanizmu.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Wtorek, 20 listopada 17.00

– Cześć, ślicznoko.

Liz aż podskoczyła na krześle i omal nie krzyknęła. Rozejrzała się jeszcze po czytelnicy, a potem przeniosła spojrzenie na Ricka.

- Wystraszyłeś mnie – szepnęła.

– Właśnie widzę. – Pocałował ją na powitanie, a następnie usiadł obok. – Przepraszam.

Liz potarła ramiona. Nie, to nie była jego wina. Rzeczy, których się dowiedziała, sprawiły, że przestraszyłaby się nawet swego odbicia w lustrze. Być może już zawsze będzie się bała.

– Znalazłaś coś ciekawego? – Spojrzał na okładkę jednej z zamówionych przez nią książek. – „Godzina diabła” – przeczytał. – Po co ci coś takiego?

Obawiała się, że Rick nie przyjmie dobrze tego, co chciała mu przekazać. Był człowiekiem racjonalnym i stał mocno na ziemi. Chociaż z drugiej strony miał chłonny umysł i był otwarty na argumenty. Sama nie wiedziała, jakim cudem tak dobrze go poznała przez tych kilka dni.

Tak, Rick z pewnością wolałby mieć do czynienia z jasną sytuacją, a tu wszystko tak się pogmatwało. Najpewniej nie chodzi bowiem o jednego psychopatycznego mordercę, ale o sektę czcicieli szatana, która morduje nieposłusznych członków oraz niewygodnych ludzi z zewnątrz. Zarówno jeśli chodzi o śledztwo, jak i kwalifikację prawną, sprawa staje się więc dużo bardziej skomplikowana. Trzeba będzie zidentyfikować ową grupę, ustalić jej hierarchie, a więc zakres odpowiedzialności i winy, złamać

zmowę milczenia, oddzielić faktycznych prowodyrów od osób manipulowanych, podanych praniu mózgu... Tak przynajmniej wyobrażała to sobie Liz.

Postanowiła więc z tym poczekać.

– Jak ci poszło spotkanie z tym policjantem? Dowiedziałeś się czegoś?

– Tak, Taft studiował semestr na Florida State.

– Tam gdzie pastor Collins?

– Właśnie. Bill ma sprawdzić, kiedy to było. – Rick ścisnął jej dłoń. – Powiedział mi coś, czego nie wiedziałem. Podobno Taft utrzymywał, że ma duchowego doradcę i że słucha nakazów jakiegoś boga.

Liz zmarszczyła brwi.

– Tak?

– Zastanów się, Liz. Kto w społeczeństwie jest uznawany za duchowego doradcę?

Kto mówi w imieniu Boga?

– Pastor. No tak...

– Być może to tylko przypadek, ale jeśli się okaże, że Gavin Taft i Tim razem studiowali, to będę z tym mógł pójść do Vala. Nie wiem tylko, co tak naprawdę mogło ich wiązać...

– Może satanizm? Członkowie Rogatego Kwiatu to sataniści.

– Żartujesz...

– Nie, nie żartuję – powiedziała z naciskiem. – Kiedy szukałam materiałów o Tafcie, przypadkiem znalazłam artykuł o satanistach. Popatrz. – Pokazała mu kopię.

Rick przeczytał artykuł, a potem pokręcił głową.

– Zetknąłem się z tymi rzeczami w czasie pracy w Miami–Dade. To nic nie znaczy.

– Rogaty kozioł i rogaty kwiat! Nie widzisz związku?

– Myślę, że to nadinterpretacja. Rogaty kwiat jest pewnie symbolem seksualnym.

Kwiat oznacza żeńskie organy płciowe, a rogi męskie. Te małolaty stworzyły klub erotyczny, nic więcej.

Rick mógł oczywiście mieć rację, chciała go jednak przekonać, że jedno nie wyklucza drugiego.

– Możliwe, Rick, ale musisz też pamiętać, że sataniści to wcale nie jest jakiś egzotyczny margines. Wyniki badań wskazują, że w całym kraju jest około stu tysięcy praktykujących czcicieli szatana. Ta liczba nie obejmuje wolnych strzelców, dla których jest to bardziej kwestia stylu niż przynależności do jakiejś grupy, a także tych, którzy zajmują się czarną magią. Badania wskazują również, że ze względu na wiarę w siły ciemności sataniści znacząco częściej wchodzi w konflikt z prawem niż inne sekty czy grupy wyznaniowe. Okazuje się też, że sądy starają się unikać wzmianek o satanizmie przestępców, bowiem obrona może je łatwo wykić i zdyskredytować inne dowody. Dlatego w akcie oskarżenia nie wspomina się o czarnych świecach, ołtarzach, zwierzętach ofiarnych czy pentagramach. Pewnie robiliście to samo, kiedy pracowałeś w policji, prawda? – Uznała jego milczenie za potwierdzenie swoich przypuszczeń i wróciła do tego, co ją nurtowało. – Jednak kiedy przyjrzyj się uważnie strzelaninom w szkołach, okaże się, że większość młodocianych zabójców miała w domu satanistyczne symbole.

– Ale jeszcze częściej symbole faszystowskie zauważył Rick. – To są dzieci z problemami, które instynktownie szukają tego, co wiąże się z mroczną stroną życia.

Liz kątem oka zauważyła, że mężczyzna przy sąsiednim stoliku sprawia takie wrażenie, jakby się im przyglądał. Rozejrzała się baczniej i stwierdziła, że patrzy na nich jeszcze kilka osób. Zimny dreszcz przeszył jej ciało.

Mogą być wszędzie. Słuchają. Patrzają.

Sięgnęła po torebkę.

– Chodźmy na zewnątrz.

Po chwili stanęli w chłodnym cieniu kolumnady Cultural Arts Center, z daleka od ciekawskich spojrzeń. Liz doskonale pamiętała, gdzie skończyła swój wywód.

– To jasne, że do satanistycznych sekt wstępują głównie nastolatki z problemami, bo dają im poczucie wspólnoty i siły. Wszyscy są ze sobą mocno związani. Mark wspominał, że Tara nazywała swoich przyjaciół rodziną.

– To typowe dla wszystkich kultów, nie tylko tych groźnych. Ludzie, zwłaszcza odrzuceni, potrzebują poczucia wspólnoty.

Liz zignorowała tę uwagę.

– Członkowie muszą ślepo wykonywać polecenia osób stojących wyżej w hierarchii. Ci, którym udało się uciec, opowiadali, że byli seksualnymi niewolnikami swoich przełożonych, innych zmuszano do prostytucji. Kiedy ktoś chciał wyjść z grupy, zaczynały się pogróżki oraz fizyczny przymus.

– To też normalne w przypadku różnych kultów, Liz. Przywódcy sekt wymagają od wiernych całkowitej lojalności, choć ich groźby mogą mieć duchowy charakter.

– Właśnie, a u satanistów stają się bardziej konkretne, z przemocą fizyczną włącznie. Jeśli ktoś chce skończyć z kultem, sataniści na przykład zabijają jego ulubione zwierzę, a potem grożą, że to samo spotka bliskich albo członków rodziny...

Rick tym razem nie zgłaszał wątpliwości. Liz uznała to za dobry znak i podjęła kolejny wątek:

– To samo zdarzyło się Tarze. Poprosiła moją siostrę o radę, a członkowie grupy zabili Rachel, zanim zdążyła zwrócić się z tym do policji. Potem, kiedy chciała odejść z powodu Marka, zaczęli grozić jej samej. Tara bała się Rogatego Kwiatu, Rick.

Mówiła o tym Markowi. Utrzymywała swój związek w sekrecie, żeby nie skrzywdzili również jego. A potem... – zwiesiła głowę – stało się to, co się stało.

– Zaczekaj, Liz. Nic nie wskazuje na to, że zabójstwo Tary miało charakter satanistyczny.

– Tak sądzisz? A co ze znakami na jej ciele? Co z pociętą pochwą? Być może ofiary układano w kształcie odwróconego krzyża, co byłoby jeszcze jednym satanistycznym symbolem. – Wciągnęła głęboko powietrze. – Może ten doradca Tafta to po prostu diabeł?

- Daj spokój, to już czyste wariactwo. Wiesz, do czego to prowadzi?
- Myślisz, że policja nas wyśmiej? Ze nie będą chcieli z nami rozmawiać?
- Tak, masz rację. – Rick zasepił się. – Kiedy pracowałem w Miami–Dade, rzeczywiście ukrywaliśmy takie rzeczy, żeby się nie ośmieszyć, a poza tym nie miało to większego znaczenia dla wyników śledztwa.

Liz chciała gwałtownie zaprotestować, ale Rick ją powstrzymał.

- Jeśli przestępstwo popełnia chrześcijanin, buddysta czy ateista, nie uważa się tego za ważne.

Ależ Rick...

- Daj mi skończyć. Tarę i najprawdopodobniej Rachel zabił jakiś psychopata, który musiał mieć związek z Taftem, a nie grupa ludzi. Być może jest to jakiś jego naśladowca.

- Więc jak wyjaśnisz to, co zdarzyło się Markowi?

- Jego doznania miały wyłącznie seksualny charakter. Nie było w tym żadnych elementów czarnej mszy.

- A ołtarz i kielich? Poza tym seks jest często wykorzystywany w ceremoniach satanistycznych, ponieważ można go powiązać z grzechem i rozwiązłością, a nie z miłością, która pochodzi od Boga. Chyba najslawniejszy ze wszystkich satanistów, Aleister Crowley, powiedział kiedyś: „Pożądaj. Ciesz się wszystkim, co zmysłowe”.

Wierzył, że

seks ma znaczenie magiczne, i uprawiał wszystkie jego rodzaje, łącznie z molestowaniem dzieci.

Rick pokręcił głową. Widać było, że jest wstrząśnięty tymi słowami.

- Masz chyba obsesję na tym punkcie – mruknął. – Zaczynasz mówić jak twoja siostra.

Liz zrobiła wielkie oczy.

- Skąd wiesz? Przecież jej nie znałeś.

– Zdyskredytowało ją to, co mówiła i robiła, więc lepiej uważajmy, by nie spotkało nas to samo. Nikt nam nie uwierzy...

Przypomniała sobie najstraszniejszą rzecz, jaką znalazła w książkach. Być może to pozwoli Rickowi zrozumieć, z czym mają do czynienia.

– Pytałeś swojego kolegę, czy któreś z tych kobiet były w ciąży? – spytała.

– Tak. Dwie.

– A... czy Taft zabrał ich dzieci?

– Mhm.

Pomodliła się krótko w duchu. Żeby zyskać siły, by przeciwstawić się złu.

– Najcenniejszą rzeczą, jaką może zdobyć satanistyczny kapłan, jest świeca zrobiona z tłuszczu nieochrzczonego dziecka – powiedziała drżącym głosem. – Rick, być może ten, kto zabił Tarę, nie jest współnikiem Tafta, a jedynie jego współwyznawcą.

Rick milczał przez chwilę.

– Musimy bardzo uważać. Informacja w książce nie stanowi dostatecznego dowodu. Skąd autorzy biorą takie wiadomości? Z zasłyszanych historii i z prasy, która ciągle szuka sensacji.

Nagle usłyszeli sygnał telefonu. Rick sięgnął po swoją komórkę.

– Ale oczywiście na świecie są różne zbrodnie. Z moich doświadczeń wynika, że częściej ulegają im pojedynczy ludzie niż całe grupy. I to tylko chciałem powiedzieć. Rick Wells, słucham?

Patrzyła, jak w trakcie rozmowy mina zmienia mu się z ponurej na coraz weselszą.

– Tego właśnie było mi trzeba – mruknął. – Dzięki, Bill.

Wyłączył telefon i spojrzał triumfalnie na Liz.

– I co? – rzuciła niecierpliwie.

– Kumpel przekazał mi, że Gavin Taft studiował na Florida State University w 1987. Będziemy to musieli jeszcze potwierdzić, ale wydaje mi się, że właśnie wtedy Tim kończył studia.

Liz poczuła mrowienie na całym ciele.

- Mamy go – szepnęła, zaciskając pięści.
- Jest coś jeszcze. – Rick wciągnął powietrze w płuca. – Jedna z ofiar Tafta była cheerleaderką Miami Dolphins!

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Środa, 21 listopada 0.45

Droga powrotna z Miami na Key West ciągnęła się w nieskończoność. Rick co chwila przeskakiwał z jednej stacji radiowej do drugiej, szukając najświeższych informacji o pogodzie. Niż, który rozwinął się nad zachodnimi Karaibami, zaczął się przesuwać nad Jukatan, powodując tropikalne burze. Mimo późnej pory roku w najbliższych dniach obawiano się huraganu.

Wiadomości na temat pogody pozwoliły przetrwać ciszę, która zapadła między Liz i Rickiem. Każde z nich trwało przy swoim zdaniu o satanizmie, co położyło się cieniem nie tylko na ich współpracę, ale i całą znajomość.

Ricka niepokoiła gorliwość, z jaką Liz broniła swojego stanowiska. Miał wrażenie, że znalazła się o krok od fanatyzmu. Czuł, że gdyby jej posłuchał, nie rozwiązałby tej sprawy, tylko zbłądził gdzieś na manowce.

Sataniści? Czarne msze? Mordowanie niemowląt?

W czasie pracy w Miami–Dade zetknął się z różnymi kultami. Widział pentagramy i odwrócone krzyże na ścianach opuszczonych budynków, jak również wypalone czarne świece, które służyły do odprawiania czarnych mszy albo innych pseudoreligijnych uroczystości. Rzadko jednak zdarzało się, by w takich miejscach popełniano przestępstwa, a już z całą pewnością nie te najcięższe. Najczęściej takie, które policja przekazywała towarzystwu opieki nad zwierzętami.

Ale przecież wystarczyłby jeden charyzmatyczny psychopata, żeby to zmienić. Ktoś, kto uznałby, że ma na ziemi ustanowić władztwo szatana.

– No, nareszcie – mruknął, wjeżdżając na Duval Street. – Wygląda na to, że wszyscy się tu świetnie bawią.

– Chcesz teraz jechać do baru? – spytała Liz.

Wyczuł napięcie i strach w jej głosie. Zwolnił i spojrzął w jej stronę.

– Nie zostawię cię samej. Stanął na czerwonym świetle. Wysunęła do przodu brodę, udając odwagę.

– Nie musisz wciąż przy mnie tkwić. Poradzę sobie.

Światła się zmieniły. Rick ruszył wolno, mijając grupę pijanych nastolatków.

– Muszę powiedzieć, że mi zaimponowałaś – zaśmiał się. – Ale i tak cię nie zostawię. Jesteśmy na siebie skazani.

Liz ścisnęła z wdzięcznością jego ramię.

– Więc co dalej?

– Chyba pójdziemy spać.

– I to na długo – dodała, ziewając. – Ale co potem?

– Przede wszystkim będę musiał ustalić, czy Tim rzeczywiście studiował z Taftem w tym samym czasie.

– W jaki sposób?

– Po prostu zadzwonię na uniwersytet – odparł. Znalazł wolne miejsce tuż koło jej domu i postawił na nim dzipa. – Jeśli będzie trzeba, to powiem, że jestem przedstawicielem jakiejś firmy i sprawdzam dane pracownika. Te informacje nie są przecież tajne, więc nie powinno być z tym kłopotów.

– I co dalej?

Rick wyłączył silnik.

– Pogadam z Carłą. Spróbuję ją złapać jeszcze przed pracą. Mam nadzieję, że powie mi, co mają na Marka i Stephena. Kiedy już będę wiedział wszystko, pójdę do Vala.

Wysiedli z wozu i w milczeniu podeszli do drzwi jej mieszkania. Liz podała mu klucze. Po chwili byli w środku.

Rick nie zapalił światła i położył palec na ustach.

– Pójdę pierwszy – szepnął.

W odpowiedzi skinęła głową. Weszli razem na górę, gdzie Rick zatrzymał się raz jeszcze.

– Zaczekaj, sprawdzę, czy nie czekają na ciebie kolejne niespodzianki.

Z ulgą skinęła głową. Rick przeszedł przez wszystkie pomieszczenia, zapalając, a potem gasząc światła.

– Nie ma zdechłych szczurów, trupów ani czarnych świec – zameldował.

– Bardzo zabawne.

Spojrzał na nią i stwierdził, że niepotrzebnie żartował. Liz była blada i patrzyła na niego wielkimi oczami.

– Co się stało? – spytał. Potrząsnęła głową.

– Osobista ochrona to dla mnie coś nowego – mruknęła. – Mogłabym się bez tego obyć.

– Czuję się osobiście dotknięty tą uwagą – powiedział, podchodząc do niej.

Położyła dłoń na jego piersi.

– Jak mocno bije ci serce – zdziwiła się.

– Wyłącznie z twojego powodu. Liz zaśmiała się lekko.

– Stare zagrania.

Rick objął ją i przytulił.

– A mam spróbować czegoś nowego?

– Nie musisz. Wystarczy to, co było...

Aluzja była na tyle przejrzysta, że Rick poczuł, jak serce забиło mu jeszcze mocniej. Ich usta spotkały się w namiętnym pocałunku. Wziął ją na ręce i zaniósł wprost do sypialni.

Tym razem pożądanie nie narastało w nich wolno, ale wybuchło z niespotykaną siłą.

Rick myślał teraz tylko o Liz i ojej ciele. O tym, jak stawała się coraz bardziej naga, oczekująca i zarazem zaborcza...

Oboje krzyknęli i poczuli orgazm, który przeszył ich ciała. A potem jeszcze jeden i jeszcze. W końcu opadli na pościel zupełnie wyczerpani. Liz przytuliła się do niego, a on wziął ją za rękę.

– Och, to było dopiero coś! – westchnął Rick.

Liz zaczerwieniła się.

– Nie wydaje ci się, że jest za późno na tego rodzaju ekscesy?

– Nigdy nie jest na nie za późno.

Uśmiechnęli się oboje, a potem zamilkli. Rick przesunął dłonią po jej boku, ciesząc się gładkością skóry.

Opowiedz mi o swoim małżeństwie – poprosił po jakimś czasie. Nagle dotarło do niego, jak mało o niej wie. – Przecież nie znam nawet imienia twojego byłego męża.

– Jared.

– Znałem jednego Jareda. Straszny typek.

– Może to ten sam.

– Jak długo byliście małżeństwem? Liz odsunęła się trochę od niego.

– Trzy lata – odparła. Nagle zrobiło jej się chłodno. – No cóż, dochowałam mu wierności przez te trzy lata, a on jakieś trzy miesiące. Wtedy zdradził mnie po raz pierwszy. Oczywiście niczego nie podejrzewałam, bo niby czemu? W końcu nakryłam go z moją najlepszą przyjaciółką.

– Chyba jednak nie najlepszą.

– Nie jest ważne, z kim, ważne, że to zrobił. Miał właśnie urodziny, więc postanowiłam zrobić mu niespodziankę. Odwołałam spotkania, żeby być wcześniej w domu. Planowałam wystawny obiad...

– I się nie udało – domyślił się.

Liz potrząsnęła głową.

– Coś w mieszkaniu mi się nie zgadzało. Kiedy tylko weszłam, poczułam się obco. Z naszej sypialni dochodziły jakieś odgłosy. Było tak, jakbym obserwowała samą siebie we śnie. Przeszłam do sypialni i otworzyłam drzwi. Przez moment nie mogłam

uwierzyć własnym oczom. Myślałam, że mam przywidzenia albo że trafiłam do innego domu. A potem poczułam, jak ziemia usuwa mi się spod nóg... Rick pożałował, że w ogóle pytał o jej męża.

– Bardzo mi przykro, Liz. Nie zasługiwałaś na to.

– Potem opowiedział mi o wszystkich swoich zradach. Było tego sporo...

Zastanawiał się, skąd biorą się tacy faceci. Mąż Liz z całą pewnością nie rozumiał, że ma w domu skarb, o który powinien dbać.

– Przykro mi... – powtórzył.

– Mnie też było. – Spojrzała mu prosto w oczy.

– Jared sprawiał, że czułam się gorsza. Że nie jestem w pełni kobieca... no, budził we mnie kompleksy. Nie sądziłam jednak, że dojdzie do czegoś takiego.

– Jesteś stuprocentową kobietą – powiedział, uśmiechając się do niej.

– Dzięki. A ty miałeś dobrą żonę?

– Tak – odparł, czując ból w piersi. Kiedy zaczerpnął powietrza, ból ustąpił. –

Chodziliśmy ze sobą od ogólniaka.

– Jaka była?

– Jill? Lubiała się śmiać. Była miła i cierpliwa.

– Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Nie przepadała za nauką, miała nawet problemy z końcowymi egzaminami. Za to z radością zajęła się domem i dzieckiem.

Liz ściągnęła wargi i spojrzała w bok. Rick natychmiast to zauważył.

– Coś cię gryzie? – spytał.

– Wygląda na to, że miałaś świetne małżeństwo – westchnęła. – Trudno z tym konkurować.

Dotknął jej policzka. Nie po raz pierwszy miał okazję stwierdzić, że lubi jej szcerość i bezpośredniość. Cieszyło go też to, że jej na nim zależało. Nie sądził, że tak się stanie.

– Nie musisz z nikim konkurować. Wystarczy, że będziesz sobą.

W jej oczach pojawiły się łzy. Pocałowała go delikatnie, a potem mocniej. Wkrótce zaczęli się kochać, wolno, ale jeszcze bardziej intensywnie niż poprzednio. Każdy ruch splecionych ciał wyrażał niezwykłą bliskość, która rodziła się między nimi. Na koniec wzięli się za ręce i leżeli przytuleni do siebie.

W końcu Liz ziewnęła.

- Śpij już – powiedział. – Jest naprawdę późno.

- Mhm.

Po chwili usłyszał jej równy oddech. Spojrzał na nią z góry. Wyglądała na całkowicie bezbronną, co jeszcze bardziej pobudziło jego instynkt opiekuńczy – czy. Chciał, żeby była już zawsze bezpieczna.

Zасыpiając, pomyślał o Jill. O dziwo, uśmiechała się do niego.

Rick obudził się i poczuł upojny zapach kawy. Kiedy otworzył oczy, zobaczył Liz stojącą przy łóżku z dwoma kubkami w ręce.

- Mam nadzieję, że pijesz czarną. Nie kupiłam wczoraj mleka.

Rick usiadł w pościeli.

- Może być czarna.

Podala mu kubek, ale starała się trzymać z daleka od Ricka, który pomacał się po głowie.

- Czyżby wyrosły mi rogi?

Uśmiechnęła się lekko.

- Wolę uważać.

- Uważać? Na co? – zdziwił się.

- Jaki jesteś rano? Lubisz wstawać czy przeklinasz słońce za to, że wzeszło?

Dopiero teraz dotarło do niego, o co jej chodzi.

- Jesteś bezpieczna – powiedział, robiąc jej miejsce obok siebie. – Która godzina?

- Późno. Już po dziewiątej.

Rick westchnął ponuro.

- Wobec tego nie złapię Carli przed pracą.
- Jesteś głodny?
- Och, potwornie. Może pójdziemy gdzieś na śniadanie?
- Mam płatki z owocami.
- A mleko?

Liz uderzyła dłonią w koldrę.

- Och, zapomniałam. – Wypiła trochę kawy.
- To może zrobisz mi tosta?
- Masz dżem truskawkowy?
- Jasne.
- Więc możemy zjeść tutaj.

Wykapali się i ubrali szybko, a potem zasiedli do śniadania. W jego trakcie Rick zaczął omawiać plan dnia.

- Chciałbym jednak spotkać się z Carłą – zaczął.
- Ale wolałbym iść sam.
- To dobrze, boja myślałam o wizycie u księdza Paula.
- Księdza Paula? – powtórzył, marszcząc brwi.
- Tego, o którym mi opowiadałaś?
- Tak – rzekła, robiąc nieprzejednaną minę.
- Chciałabym zobaczyć, jak zareaguje na rysunki z rogatym kwiatem.
- Nie powiesz mi chyba, że chcesz dalej zajmować się satanizmem?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba rozumiem, dlaczego tak trudno ci się z tym pogodzić.
- Liz...
- Cii... – Położyła palec na ustach. – Nikomu nie powiem.

Zawahał się, a potem wstał. Przed wyjściem pocałował ją mocno w policzek.

- Uważaj na siebie – mruknął.
- Ty też.

Pokręcił z dezaprobatą głową.

- Ja wcale nie żartuję, Liz.
- Ani ja.
- Potem pójde do „Hideaway”. Możemy się tam spotkać?

Tym razem to ona go pocałowała. I to prosto w usta.

- Jesteśmy umówieni.

RS

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Środa, 21 listopada 10.30

Rick najpierw zajrzał do baru i stwierdził, że Margo, jak się tego spodziewał, zostawiła wszystko w doskonałym porządku, a następnie zadzwonił do sekretariatu Florida State University. Zajął mu to niecałe trzy minuty. Jakaś miła pani potwierdziła, że Tim Collins ukończył studia na wiosnę 1987 roku.

Niewzłocznie wybrał numer komórki Carli.

- Carla? Tutaj Rick. Gdzie jesteś?
 - W pracy. Od szóstej rano. Mamy straszne urwanie głowy. Z czym dzwonisz?
 - Jak rozumiem, coś się dzieje?
 - Stephen uciekł. Odłączył się od aparatury i wyszedł ze szpitala.
 - Sam? – Rick aż gwizdnął. – Val musi być nieźle wkurzony.
 - Jeszcze jak, zresztą znasz go. Już lecą kolejne głowy. Cieszę się, że nie było mnie w pobliżu szpitala, kiedy to się stało.
 - Jasne. – Rick spojrzął na zegarek. – Czy jest gdzieś w pobliżu?
 - Niestety nie. Szef go wezwał na dywanik. Dlaczego pytasz?
 - Bo chciałbym z tobą pogadać. Moglibyśmy się spotkać?
 - Na pewno nie w najbliższym czasie. Mam być w pogotowiu. – Carla zamówiła u kogoś kawę, a potem wróciła do rozmowy: – Wiesz, teraz ten Stephen, a jeszcze wszyscy boją się huraganu.
 - Mógłbym do ciebie przyjechać za jakieś dziesięć minut, jeśli pozwolisz...
- Zastanawiała się chwilę.
- Czemu nie, Rick...

Wyczuł, że chce go o coś zapytać, więc szybko zakończył rozmowę:

– To na razie, Carla. Dzięki.

Czekała na niego w swoim biurze w Departamencie Policji. Zaproponowała, żeby wyszli na taras dla pałacy znajdujący się na pierwszym piętrze budynku.

Carla spojrzała na Ricka z zaciekawieniem.

– Zwykle o tej porze otwierasz swój bar– zauważyła. – To znaczy, że sprawa musi być naprawdę ważna.

– I jest – mruknął. – Muszę wiedzieć, co macie na Marka Morgana.

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

– Daj spokój, Carla. Przecież widzisz, jak kiepsko idzie to dochodzenie. Nic się nie trzyma kupy.

– Po prostu czegoś nam brakuje – powiedziała, zaciskając pięści. – Jakiegoś ważnego elementu.

– Słyszałaś kiedyś o sekcie... czy też raczej grupie Rogaty Kwiat?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nigdy.

– Tara była jej członkiem, a nam się wydaje, że ten Rogaty Kwiat może być zamieszany w jej śmierć.

– Wam?

– Mnie i Liz Ames.

Carla drgnęła.

– Muszę wracać do pracy.

– Chciała przejść obok, ale Rick złapał ją za ramię.

– Ta grupa zajmuje się różnymi dziwnymi rzeczami. Jej członkowie ostro się narkotyzują i odprawiają jakieś rytuały. Straszyli Tarę Mancuso. Mówili, że zrobią jej coś złego, jeśli spróbuje od nich odejść.

– Chyba nie sądzisz, że ja...

– Mam poważne powody, by przypuszczać, że Tim, to znaczy pastor Collins, zamordował Tarę Mancuso i Naomi Pearson. – Zauważył błysk zainteresowania w oczach Carli, więc zaraz dodał: – Powiem ci o tym, jeśli ty mi powiesz o Marku, zgoda?

– Nic z tego. – Skrzyżowała ramiona na piersi. – Powiedz, co wiesz, a ja się nad tym zastanowię.

Rick spojrział na nią z podziwem. Bardzo się ostatnio zmieniła. Zawsze uważał, że ma zadatki na rasową policjantkę, ale nikt mu nie chciał wierzyć. Teraz mogło się okazać, że miał rację.

– Niech będzie – rzekł z uśmiechem.

Opowiedział więc o podejrzeniach Liz i wyprawie do Miami. Skoncentrował się na informacjach od Billa Huntera, pomijając wątek satanistyczny.

– Okazało się, że Collins i Taft studiowali w tym samym roku na Florida State University. To było na wiosnę 1987 roku.

– To duża uczelnia, Rick. Wątpię, żeby wszyscy studenci...

– To tylko pierwsza zbieżność. Być może nie wiesz, ale Tim grał w zawodowej drużynie futbolowej. To trwało dwa lata, zanim poszedł do seminarium.

– I?

– Jedna z ofiar Tafta była cheerleaderką Miami Dolphins.

Carla usiadła. Przez dłuższy czas nic nie mówiła, a potem spojrzała na Ricka.

– Cholera. To przecież Collins zadzwonił do mnie w sprawie Stephena.

– Wiem.

– Być może nóż wcale nie należał do Stephena, tylko Collins to tak zaaranżował.

– Pochyliła się i potarła skronie. – Strzeliłam do niego, Rick. Omal nie zabiłam człowieka, który starał się tylko uciec, żeby nikt nie zrobił mu nic złego. – Teraz była już tego niemal pewna.

Rick spojrział na zegarek, pamiętając o spotkaniu z Liz.

– Dobrze, a co z Markiem?

– Ale obiecaj, że nikomu tego nie powiesz. – Gdy skinął głową, mówiła dalej: – W jego pokoju znaleźliśmy zakrwawione ubrania. To była grupa krwi Mancuso. Czekamy jeszcze na wyniki badania DNA, ale...

– I co z tego? Przecież sam Mark mówił, że był pierwszy na miejscu zbrodni – zauważył Rick. – Na pewno próbował ją ratować, sprawdził, czy żyje. Dotykał jej.

– Ale przecież on uciekł, Rick. Gdyby był niewinny, poszedłby na policję.

– Jest niedoświadczony, a poza tym wiedział, że zrobicie z niego głównego podejrzanego. Kto by się oparł takiej okazji?

– Nie wygłupiaj się – mruknęła Carla, chociaż wiedziała, że Rick ma rację.

– Dlaczego próbujecie powiązać Marka ze Stephenem?

– Jeden ze świadków widział ich razem.

– Kto? – spytał, a ona spuściła głowę. – Kto taki, Carla?

– A jak myślisz? – Westchnęła ciężko.

– Pastor Collins?

– Trafiony, zatopiony. To właśnie on...

Drzwi na taras otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich poblady z wściekłości Val. Carla aż się skuliła.

– Val, spotkałam właśnie...

– Milcz! Zajmę się tobą w swoim czasie.

– Val, chciałam...

– Chcę teraz porozmawiać ze starym kumplem – powiedział takim tonem, że biedna śledcza skuliła się jeszcze bardziej i bez słowa podeszła do drzwi.

Rick wiedział, że jego wizyta oznaczała dla niej kłopoty. I to duże kłopoty.

– Daj jej spokój, Val. To moja wina.

Jak to szlachetnie z twojej strony – wycedził na pozór spokojnie, ale Rick wyczuwał w tym tajoną wściekłość. – Ale Carla zna swoje obowiązki i wie, komu winna jest posłuszeństwo. A w każdym razie powinna to wiedzieć...

Tylko skinęła głową.

– Będę w swoim pokoju – powiedziała.

– Dobrze. – Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Val stanął twarzą w twarz z Rickiem. – Chyba postradałeś zmysły?! Zupełnie nie szanujesz Carli, skoro zdecydowałeś się na coś takiego! I to z powodu jakichś swoich wymysłów!

– Tylko usiłuję pomóc.

– Ty arogancki sukinsynu! Nie potrzebuję twojej pomocy!

– Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

– Bzdura! Chcesz koniecznie udowodnić, że jesteś ode mnie lepszy!

Rick zmarszczył brwi, czując gorycz i jad w głosie dawnego przyjaciela. Nie spodziewał się po nim czegoś takiego.

– Naprawdę tak mało mnie znasz, żeby tak uważać?

– Więc po co tutaj węszysz i wyciągasz informacje od dziewczyny, która ma do ciebie słabość? – Jego śniada twarz wciąż miała szarawy odcień, a źrenice zwężyły mu się w dwie szparki. – Mogłeś tu przecież zostać!

– Ale wołałem odejść. Znasz moje powody...

– Po prostu zaszyłeś się w swojej norze. Postąpiłeś jak tchórz, nie zgrywaj teraz bohatera.

W Ricku zakipiało ze złości. Policzył w myśli do dziesięciu, zanim ponownie otworzył usta.

– Nigdy nie byłeś żonaty, Val, i nie miałeś dziecka. Nie powinieneś mówić o rzeczach, o których nie masz pojęcia.

– Dobrze, a teraz się wynoś. Nie chcę cię tutaj więcej widzieć.

– Obawiam się, że to Tim jest winny, Val. Dowiedziałem się pewnych rzeczy...

– To moje śledztwo! – przerwał mu. – Masz się od niego trzymać z daleka! I od moich ludzi!

Rick patrzył na niego i powoli zaczęło do niego docierać, co dzieje się z dawnym kumplem.

– A więc o to chodzi – mruknął. – Nie mogę uwierzyć, że wcześniej tego nie uważałem.

Porucznik spojrział na niego z niepokojem.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– Chodzi ci o to, żeby być najlepszym – wypalił Rick. – Żeby pokazać, że się nie mylisz! I że jesteś ode mnie lepszy!

– Na miłość boską...

– Zawsze ze mną rywalizowałeś – dodał Rick, zdziwiony, że nie zauważył tego wcześniej.

Zaczął się już w szkole, a potem przyszła Jill, na którą Val zwrócił uwagę, gdy tylko Rick zaczął z nią chodzić. I ta nagła decyzja o podjęciu pracy w policji. Dobrze, że nie pojechał za nim do Miami.

– Pamiętaj, że Tim jest naszym starym kumplem. Wszyscy go tu znają i lubią.

Poza tym jest przecież duchownym.

– Czy to znaczy, że nie można go o nic podejrzewać?

– Jasne, że nie. Ale nie mamy przecież żadnych dowodów...

– Studiował na Florida State w tym czasie, co Taft, a jedną z ofiar mordercy była cheerleaderka Miami Dolphins.

Porucznik zamarł.

– Skąd się tego dowiedziałeś?

– Wciąż mam trochę kumpli w policji. Takich, którzy nie uważają, że im zagrażam...

Val potrząsnął głową.

– Cholera, stary, wcale nie traktuję cię jak rywala. Po prostu mam na głowie to piekielne śledztwo. Muszę uważać na każdy swój ruch...

Rick popatrzył na niego krytycznie.

– Więc może mi wyjaśnisz, jak to się stało, że Stephen, facet o umysłowości sześciolatka, dowiedział się o stylu Tafta? Przecież obaj wiemy, że te zbieżności to nie przypadek.

Porucznik spojrział w stronę zamkniętych drzwi, chcąc się upewnić, że są sami.

– Usiądź – powiedział.

– Ty pierwszy.

Val przysunął sobie krzesło tak, żeby móc zobaczyć, co się dzieje za drzwiami, i spoczął. Rick poszedł w jego ślady.

– Dzieci łatwo ulegają wpływowi dorosłych, zwłaszcza tych, których podziwiają, prawda?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Rick.

– Nie sędzę, żeby Stephen był mordercą, natomiast zapewne jest świadkiem lub nawet współnikiem. Wydaje nam się, że Stephen naśladował to, co zobaczył podczas morderstwa Tary, być może również Rachel Howard. Pomyśl o tym, jak wiele dzieci naśladowuje rodziców i jak to się często kończy.

Rick przeciągnął dłonią po twarzy. Val mógł mieć rację.

– A co z Biblią pani pastor?

– Mógł ją zabrać z miejsca morderstwa albo z plebanii. Mógł też ją dostać przed śmiercią Rachel Howard, co jest jednak mało prawdopodobne. Zresztą niewykluczone, że pastor Howard wciąż żyje...

– Wziąwszy pod uwagę to, co się ostatnio dzieje, raczej należałoby to wykluczyć...

– Ale tylko „raczej”. Jeszcze nie znaleźliśmy ciała.

– A ty uważasz, że Mark Morgan jest mordercą?

– Uciekł z miejsca przestępstwa, no i znaleźliśmy jego ubrania całe we krwi ofiary. Myślę, że wyniki badań to potwierdzą.

– Coś jeszcze?

– A żebyś wiedział, że tak – mruknął Val. – Tara trzymała zaciśnięty w dłoni kawałek papieru. Wiesz, co na nim było? Numer telefonu twojego baru. Jak sądzisz, co to może znaczyć?

Rick od razu domyślił się, do jakich wniosków doszła policja.

– Mówiłem ci już, że Tara miała uciec z Markiem. Jeśli przyjmiesz, że to prawda, to chyba naturalne, że miała telefon do jego pracy.

– Czy wiesz, gdzie jest teraz Mark Morgan?

– Nie.

Val skrzywił się.

– I pewnie z nim wcale nie rozmawiałeś, co?

– Nie, od czasu kiedy po raz ostatni pojawił się w barze.

Val pochylił się w jego stronę.

– A Liz Ames? – spytał jadowitym tonem.

– Ona tak.

– Cholera jasna! – Val uderzył pięścią w stół i zerwał się na równe nogi. – I ty to nazywasz pomocą?! Ukrywaliście człowieka oskarżonego o morderstwo! Co się z tobą dzieje, stary?!

– Do niedawna nic o tym nie wiedziałem – odparł Rick. – Zniknął wczoraj po twojej wizycie.

– Po mojej wizycie! Bardzo wygodne.

– Liz uważa, że porwali go członkowie Rogatego Kwiatu.

Val popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Zdaje się, że może ci wmówić, cokolwiek jej się spodoba – mruknął.

– Nie wygłupiaj się. Tu nie chodzi o nią.

– A o co? – spytał drwiąco porucznik. – Wszystko, co ostatnio robisz, ma związek z tą słabą, potrzebującą pomocy kobietką.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Doskonale wiesz. Przecież nawet jest podobna do Jill.

Rick cieszył się, że nie wstał ze swego miejsca, bo teraz pewnie by upadł. Cały świat zawirował wokół niego. Z trudem łapał oddech. Nie był w stanie zebrać myśli. Liz rzeczywiście trochę przypominała Jill. Miała podobne włosy, lekko wystające kości policzkowe i owalną twarz.

– Zastanów się nad tym, stary. Pomyśl, jak łatwo dałeś się przekonać do jej teorii. Chcesz ją ocalić, bo nie mogłeś ocalić własnej żony...

– Zamknij się! – Rick zacisnął pięści i powoli wstał. – Nie chcę słyszeć słowa o Jill!

– Jeśli pastor Howard odkryła na wyspie kult zagrażający nastolatkom, dlaczego nie przysłała z tym na policję? Przecież zrobiłaby to jak najszybciej, żeby ocalić zbłąkane dusze... I skąd Liz dowiedziała się o tym kulcie? Od Marka Morgana, który jest podejrzany o dokonanie co najmniej jednego morderstwa. Twoje teorie nie trzymają się kupy. To tylko zbiór pobożnych życzeń. I to nie twoich, ale pani Ames!

– Daj spokój Liz!

Val zniżył głos:

– Byłeś kiedyś świetnym gliną, Rick. Powiedz, czy to wszystko ma sens? – Val spojrział na niego ze współczuciem i pokręcił głową. – Od śmierci Sama nie jesteś sobą. Powinieneś poszukać sobie jakiegoś terapeuty. Znaleźć pomoc...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Środa, 21 listopada 10.30

Liz weszła do domu opieki św. Katarzyny i skierowała się do recepcji. Zauważyła, że w holu jest tym razem znacznie mniej osób. Telewizor był wyłączony i nikt nie oblegał stolików do gry. Nawet Nicpoń nie pojawił się, żeby ją przywitać.

– Dzień dobry – pozdrowiła recepcjonistkę. – Bardzo tu dzisiaj cicho.

Kobieta odwzajemniła uśmiech, ale wypadło to dosyć blade.

– Jesteśmy w trakcie ćwiczeń na wypadek huraganu – wyjaśniła. – Pensjonariusze są w pokojach, dzięki czemu łatwiej nam tu wszystko zabezpieczyć. Przygotowujemy też plany ewakuacji. W takim miejscu wszystko trzeba zrobić ze znacznym wyprzedzeniem.

Liz ze zrozumieniem pokiwała głową. Obsługa techniczna zabezpieczała okna i przeszkłone drzwi, czuło się atmosferę pogotowia, co dziwnie kontrastowało z pogodnym niebem i jasnym słońcem.

Przypomniała sobie przerażającą opowieść księdza Paula o kataklizmie z 1846 roku i o szkodach, jakie wyrządził. To samo mogło się przecież zdarzyć i teraz. Nic dziwnego, że huragany pochłaniają tyle ofiar. Kto by się nimi przejmował przy tak pięknej pogodzie?

– Chyba trudno ewakuować dom opieki?

– To prawdziwy koszmar, ale nie ma innego wyjścia – mruknęła pielęgniarka. – Jeśli huragan przyjdzie o tej porze roku, to uderzy z olbrzymią siłą. Nie chcę być tutaj zamknięta z całym oddziałem geriatrycznym.

– A co mówią prognozy pogody?

– Na razie grozi nam burza tropikalna, która szybko się przesuwa. To dobrze, bo nie zdąży nabrać impetu nad ciepłymi wodami. Gorsze jest to, że wkrótce dotrze tutaj. Pogoda zmieni się z godziny na godzinę, i to najpewniej już dzisiaj po południu. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Niech mi pani wybaczy, te wiadomości zupełnie mnie rozstroiły. Jak rozumiem, chciałaby pani się z kimś widzieć?

– Czy ksiądz Paul nie śpi?

– Nie, jest bardzo podniecony z powodu zmian ciśnienia. Starzy ludzie bardziej je odczuwają. Pamięta pani numer jego pokoju?

Liz skinęła głową i skierowała się do budynku C. Większość pomieszczeń stała otworem. Pensjonariusze albo krzatali się nerwowo, albo siedzieli na łóżkach, z niepokojem patrząc za okno. Słabi, bezbronni ludzie musieli dotkliwie odczuwać swoją niemoc wobec tak straszego zagrożenia.

Liz stanęła przed uchylonymi drzwiami pokoju księdza i zapukała lekko. Tak jak poprzednio, stary kapłan siedział z różańcem w ręku. Również wyglądał przez okno, ale nie dostrzegła w nim śladów niepokoju. Na kolanach trzymał Biblię.

– Proszę księdza.

Dopiero teraz zauważył obecność gościa. Jego mina wskazywała, że jej nie pamiętał.

– Nazywam się Liz Ames. Byłam już raz u księdza. Opowiadał mi ksiądz o tym, jak Matka Boża ukazała się dzieciom z Rajskiej Wspólnoty.

Dopiero teraz ją poznał i zaprosił gestem do swego pokoju.

– Zbliża się burza – zauważył, przesuwając w palcach kolejny paciorek różańca.

– Cała obsługa się do niej przygotowuje – rzekła uspokajająco. – Nie ma się czego obawiać.

– Nie boję się, bowiem wszystko jest w ręku Boga. On chroni swoje owieczki.

– To prawda. – Chrząknęła lekko. – Przyszłam dzisiaj, bo chciałam księdza o coś spytać.

– Czy pani jest z kościoła?

– Nie, jestem siostrą byłej pastor z Rajskiej Wspólnoty – odparła, otwierając torebkę. Wyjęła z niej rysunek zrobiony ręką Rachel. – Czy widział ksiądz kiedyś coś takiego?

Wziął kartkę z jej dłoni. Kiedy zobaczył kwiaty, w jego oczach pojawiło się przerażenie. Rysunki wypadły mu z kościstej dłoni.

– Zaczęła się walka. – Przeżegnał się i zauważyła, że zaczęły mu się trząść ręce.
– Nadchodzą zastępy szatana. On im przewodzi.

– Kto, proszę księdza? Kto?

Jego oczy zaszkliły się.

– Doskonale wiesz, moje dziecko. Świetlisty anioł. Sam Lucyfer.

Poczula mrowienie na karku. Szatan i jego wyznawcy. A więc miała rację!

– Świetlisty? – powtórzyła, składając trzęsącymi się rękami kartkę.

– Był kiedyś piękny, ale wybrał pychę – powiedział ksiądz. – Wszystko widzi na wspak. Czyta na wspak. Działa na wspak. To jego symbol, tak jak rogaty kozioł i odwrócony krzyż.

– Zna ksiądz tych ludzi? Pokręcił głową.

– Nie mają twarzy, tylko głowy zwierząt i potworów.

– Co mam robić?

– Uciekaj, dziecko. Jeśli dostałaś tę kartkę, to znaczy, że jesteś w niebezpieczeństwie. Szatan chce twojej duszy...

Liz z trudem przełknęła ślinę.

– Nie mogę, proszę księdza. Oni porwali mojego przyjaciela... Muszę z nimi walczyć.

Kapłan tylko pokręcił głową, a w jego oczach pojawiły się łzy. Liz wzięła go za rękę. O dziwo, okazało się, że jest ciepła.

– Niech mi ksiądz pomoże. Nie wiem, co robić. Starzec zaczerwienił się lekko, a na jego czole pojawiły się krople potu.

– Lucyfer był aniołem światła, uznał jednak, że jest lepszy i potężniejszy od Boga. – Ksiądz Paul zacisnął palce. – Właśnie dlatego Bóg wypędził go z raju do doliny Gehenny wraz z innymi aniołami, które poparły odszczepieńca. Sam stworzył dla nich to miejsce w centrum świata.

Dolina Gehenny, gdzie słycać tylko płacz i zgrzytanie zębów. Piekło. Obie z Rachel bardzo się go bały w dzieciństwie.

Diabeł wydawał im się wówczas zupełnie rzeczywisty. Wyobrażały go sobie z rogami i rozszczępionym na końcu ogonem. To właśnie z jego powodu modliła się wtedy i tak mocno wierzyła...

Kiedy o tym zapomniała? Kiedy te opowieści stały się dla niej jedynie mitem? Czy jej wiara wówczas osłabła, czy też stała się czymś innym?

Teraz jednak znowu zaczęła wierzyć w niebo i piekło, w siły dobra i zła.

– Boję się, proszę księdza...

– To dobrze – westchnął. – Musisz mocno wierzyć, moje dziecko, i pamiętać, że szatan potrafi być piękny i podstępny. Uważaj, żeby cię nie omotał. Nie pozwól mu, by żywił się twoją duszą, bo przez to staje się jeszcze potężniejszy... Szatan zrobi wszystko, by zniszczyć to, co święte.

- Jak mam z nim walczyć? – dopytywała się drżącym głosem. – Co robić?

– Uzbrój się w Ducha Świętego, albowiem zwalczyć Lucyfera może tylko prawdziwy posłaniec Boga, człowiek o najczystszej sercu, który pokłada nieskończoną wiarę w Jezusa Chrystusa, naszego Pana i Zbawiciela.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Środa, 21 listopada 10.45

Po tych słowach ksiądz Paul stracił kontakt z rzeczywistością i zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, a potem zmęczony przysnął.

Liz sięgnęła po torebkę.

– Cieszę się, że mogłam z księdzem porozmawiać – powiedziała, ściskając jego dłoń. – Niech Bóg będzie z księdzem.

O dziwo, uśmiechnął się i otworzył na chwilę oczy.

– Z tobą też, moje dziecko. Niech cię osłania w trudnych chwilach.

Ze ściśniętym sercem wyszła z pokoju i skierowała się w stronę recepcji. W jej głowie kłębiły się wywołane rozmową myśli. Starła się nabrać dystansu do tego, co usłyszała, ale było to bardzo trudne.

„Zaczęła się walka. Nadchodzą zastępy szatana. On im przewodzi”.

Liz zadrżała i potarła ramiona. Te słowa nie były oczywiście całkowicie jednoznaczne, można je było różnie tłumaczyć. Ważne było to, że ksiądz Paul od razu rozpoznał rogaty kwiat. Miała rację, sądząc, że jest to symbol satanistów, i to na tyle potężny, że przeraził starego kapłana, który nie bał się nawet nadciągającej burzy. Co więcej, ksiądz zachowywał się tak, jakby oczekiwał tego już od jakiegoś czasu.

Jednocześnie wydawał się bezbronny w obliczu zła.

Radził jej, by się modliła.

– Wszystko w porządku?

Liz zatrzymała się nagle i zauważyła zdziwione spojrzenie recepcjonistki.

– Przepraszam, czy coś mówiłam?

– Nie, po prostu wygląda pani na zmartwioną. Czy z księdzem wszystko w porządku?

– Tak, jak najbardziej – odparła szybko. – Właśnie zasnął.

– Mam nadzieję, że nie przestraszył pani swoimi opowieściami?

Liz zauważyła, że jeden z młodych robotników pracujących przy oknach patrzył na nią. Kiedy obróciła się w jego stronę, mężczyzna odszedł.

Liz zmarszczyła brwi i spojrzała znów na recepcjonistkę, uśmiechając się do niej zdawkowo.

– Nie, wcale. A jak pogoda?

– Nic nowego. Niech pani trzyma za nas kciuki. Liz podziękowała i opuściła dom św. Katarzyny.

Przyszła tu pieszo, ponieważ nie było daleko. Teraz skręciła w lewo, w stronę starych rólki.

„Uzbrój się w Ducha Świętego, albowiem zwalczyć Lucyfera może tylko prawdziwy posłaniec Boga...”.

Ksiądz Paul traktował to pewnie zupełnie dosłownie. Był nie tylko wyznawcą katolicyzmu, ze wszystkim, co ze sobą niósł, ale też człowiekiem starym, którego wiara sięgała prawie sto lat wstecz. Wtedy się kształtowała, na początku poprzedniego wieku...

Ale rozpoznał kwiat, co oznaczało, że to właśnie sataniści jej zagrażają. Nie miała pojęcia, ilu ich może być. Kilku czy kilkudziesięciu? Liz obejrzała się szybko, starając się sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi. Tłum był jednak zbyt gęsty. A jeśli nawet wypatrzyłaby kogoś, i tak nie mogłaby niczego udowodnić.

Mimo to poczuła mrowienie na karku. Szybko skręciła w jedną uliczkę, a potem jeszcze jedną. Nie, nikt za nią nie szedł. Była bezpieczna!

Szkoda tylko, że się tak nie czuła. Uśmiechnęła się do siebie i ruszyła w stronę Duval Street. Ucieszyła się na widok znajomych budynków. Tłum był tu jeszcze gęstszy. Minęła grupę turystów z dziećmi w wieku od kilku do kilkunastu lat. Dzieciaki jęczały,

że są zmęczone, i chciały się gdzieś zatrzymać na lody. Przystanęła, żeby przepuścić kolejną grupę, która szła tyralierą, i obejrzała się za siebie. Wtedy dostrzegła młodego człowieka, który przyglądał jej się ostentacyjnie.

Chłopak uśmiechnął się do niej, a ona poczuła, jak serce szybciej jej zabiło. Pamiętała go. To on należał do Narodu Tęczy. Patrzył na nią wtedy tak złośliwie...

Nagle zrozumiała, że widziała go już wcześniej za sobą, zaraz po wyjściu z domu opieki.

Z trudem chwyciła powietrze. Chłopak chciał do niej podejść, ale Liz rzuciła się do przodu. Rozepchnęła kolejną grupę turystów i pognąła przed siebie.

W końcu zadyszana zatrzymała się przy kościele. Spojrzała na drugą stronę ulicy. „Bikini i Mini”. Heather na pewno jej pomoże.

Liz przebiegła przez ulicę i omal nie wpadła pod rower. Nacisnęła na klamkę, ale niestety butik był zamknięty.

Zajrzała ciekawie przez wystawowe okno, ale wewnątrz panował bezruch. Jak to możliwe, że Heather zamknęła sklep o takiej porze? – myślała, spoglądając na zegarek.

– Heather! – Zaczęła stukać do drzwi. – To ja, Liz! Jesteś tam?!

– Wyjechała.

Aż podskoczyła i spojrzała w bok. Stał tam niski mężczyzna w zielonym fartuchu.

– Przepraszam, że panią przestraszyłem – powiedział, kierując się do sąsiedniego sklepu. – Wyszedłem na papierosa.

Liz z trudem wydobyła z siebie głos:

– Dokąd pojechała?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Nie mam pojęcia. Jakby gdzieś zaginęła. Sklep stoi od poniedziałku zamknięty. – Wskazał małżeństwo, które zajrzało do wnętrza butiku, a potem ruszyło dalej. – Nawet dzwoniłem do jej mieszkania, ale nikt mi nie odpowiedział.

– Nie próbował pan wejść do środka?

– Próbowałem, ale było zamknięte. To bardzo dziwne, bo przecież nie zapowiadała żadnego wyjazdu.

Liz uniosła dłoń do ust. Jej siostra, Naomi Pearson, Tara Mancuso, a teraz...

– Heather mówiła mi, że ktoś ją śledzi.

– Naprawdę? Dziwnie się ostatnio zachowywała. Bardzo nerwowo... – Mężczyzna spojrział w stronę swojego sklepu. – Muszę już wracać.

– Chwileczkę. Czy zawiadomił pan policję?

– Jakby pani zgadła. Rozmawiałem nawet z ich szefem, porucznikiem Lopezem. I wie pani, co? Nawet się tutaj nie pofatygował. Powiedział, że pewnie wyjechała gdzieś w interesach. – Mężczyzna pokręcił głową. – Niemożliwe, żeby nie zdołała znaleźć sobie kogoś na zastępstwo. Sam zawsze tak robię.

Liz patrzyła, jak znika za drzwiami. Pociemniało jej w oczach. Zaczęła drżeć. Sama nie wiedziała, co robić i gdzie iść. Na policję? A może do Ricka?

Obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z młodzieńcem, który wcześniej ją śledził. Jego błękitne oczy niemal ją przewiercały. Chłopak złapał ją za ramię.

– Wynoś się z Key West – syknął. – I to jak najszybciej. Inaczej skończysz jak twoja siostra. – Zaciśnął dłoń jeszcze mocniej. – Słyszałaś? Jak twoja siostra!

Puścił ją i po chwili zniknął w tłumie. Liz patrzyła za nim zmartwiała, a potem z bijącym sercem pobiegła w stronę swojego mieszkania.

Jednak po drodze zmieniła zdanie. Bar „Island Hideaway” znajdował się zaledwie parę kroków stąd. Tym razem nie zważała na rozgniewanych turystów. Miała tylko nadzieję, że zastanie Ricka.

Tak się na szczęście stało. Właśnie przy stoliku przyjmował zamówienie. Zgromadzeni ludzie mówili głównie o nadciągającej tropikalnej burzy. Niektórzy zakładali się nawet, czy będzie miała siłę huraganu.

– Liz, co się stało? – spytał, odstępując od klientów.

– Muszę z tobą porozmawiać – szepnęła, z trudem wydobywając głos. – To pilne. Rick przeprosił gości i wyprowadził ją na zaplecze.

– Co się stało? – powtórzył. – Dlaczego jesteś taka roztrzęsiona? – Wziął ją w ramiona. – Spróbuj się uspokoić i wszystko mi opowiedzieć. Czy to ten ksiądz?

Pokręciła głową.

– Nie. Oni... oni mają Heather.

– Heather?

– Moją przyjaciółkę. Znała Rachel. Nazywa się Heather Black. Opowiadała mi, że ktoś ją śledzi i że się boi...

Rick obejrzał się w stronę baru, nie bardzo wiedząc, co robić.

– Jestem tu dzisiaj sam – rzekł z wahaniem. – Opowiedz mi najpierw wszystko od początku.

Udało jej się jakoś pozbierać rozbiegane myśli i opowiedziała mu najpierw o Heather, potem o rozmowie z właścicielem sklepu sąsiadującego z jej butikiem, a na koniec o tym, jak jej grożono.

– Może ta Heather po prostu gdzieś wyjechała? Liz potrząsnęła głową.

– Ten mężczyzna mówił, że to niemożliwe, bo w takim przypadku znalazłaby sobie jakieś zastępstwo. No i komuś by o tym powiedziała.

– A nie powiedziała nikomu?

– Nie. – Łzy same napłynęły jej do oczu. – Ten... ten chłopak na ulicy... Ten, który mi groził, powiedział, że skończę jak siostra...

– Znasz go?

– Widziałam go już wcześniej. Należy do Narodu Tęczy. Pojawił się zaraz pierwszego dnia, kiedy przyjechałam na Key West.

To brzmi mało prawdopodobnie. Skąd mógł wtedy wiedzieć, kim jesteś? I dlaczego cię śledził?

– Nie mam pojęcia. Rick, tylko mnie posłuchaj. – Z trudem przełknęła ślinę. – Odnoszę wrażenie, że policja mogła maczać w tym palce.

– Co?!

– Ten mężczyzna, który prowadzi sklep obok, poszedł w sprawie Heather do porucznika Lopeza, a on nic nie zrobił. W ogóle się nie zainteresował. Twierdził to samo, co w przypadku Naomi...

Rick odsunął się od niej ze zdegustowaną miną. Liz chwyciła go za rękę.

– Musisz mi wierzyć!

– Val jest moim starym kumplem.

– Wiem – szepnęła, dzieląc jego ból. – Bardzo mi przykro.

– Nie, to mnie jest przykro – powiedział, spoglądając w stronę baru. Dopiero kiedy popatrzył na nią, dostrzegła gniew w jego oczach. – Oskarżasz mojego najlepszego przyjaciela. Podejrzewasz jakiś spisek. Może to sam Val zabił tę kobietę, co?

– Wysłuchaj mnie, Rick. Proszę.

Potrząsnął głową.

– Nic z tego. Za długo cię słuchałem. Dałem się wciągnąć w świat twoich fantazji. Złamałem zasady i narobiłem kłopotu przyjaciółom. Dostyc już tego, Liz!

Nagle zrozumiała, co się stało.

– Znowu rozmawiałeś z porucznikiem Lopezem, a on nastawił cię przeciwko mnie.

Kiedy nie odpowiadał, łzy popłynęły jej po policzkach. Wiedziała, że jeśli straci Ricka, zostanie sama i bezbronna.

– Musisz mi uwierzyć. Proszę. Poglądził ją delikatnie po policzku.

– Chciałbym. Wszystko mi mówi, że powinienem cię chronić przed prawdziwymi czy urojonymi niebezpieczeństwami.

– One nie są urojone – szepnęła. – Rogaty Kwiat naprawdę istnieje.

Rick poczuł, że nie ma siły gniewać się na nią dłużej. Mógł jedynie przemówić jej do rozsądku.

– Nie masz na to żadnych dowodów. Nikt nie poprze twoich oskarżeń.

– Ale właściciel sklepu...

– A czy ta Heather mówiła mu, że ktoś ją śledził? Czy wie o tym ktoś poza tobą?

– Sama nie wiem. – Rick miał rację. Jej przekonania opierały się na bardzo kruchych podstawach.

– Może...

– Czy zgłosiła się na policję?

– Mówiłam, żeby to zrobiła, ale...

– Ale chyba zrezygnowała – wpadł jej w słowo.

– Podobnie jak twoja siostra, która coś odkryła, a jednak wołała to zatrzymać dla siebie. Dlaczego nie poinformowała Vala o Rogatym Kwiecie?

Rzeczywiście trudno to było wytłumaczyć.

– Przecież mamy dowody.

– Jakie dowody? Parę rysunków, które nie wiadomo co znaczą, i tatuaż na udzie Tary. To jeszcze o niczym nie świadczy, podobnie jak to, że Tim studiował na Florida State University w tym samym czasie co Taft. No i jaka jest według ciebie wiarygodność głównego podejrzanego w sprawie o zabójstwo, którego zresztą tylko ty widziałaś?

– Rick spojrział w bok, a potem znowu na Liz. – Sama mogłaś to wszystko sfabrykować. Kopertę, groźby, zdechłego szczura.

– A zabite kobiety? Chcesz powiedzieć, że też je podrzuciłam, żeby ciebie oszukać? – spytała z gorzką ironią.

– Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z serią zbrodni – rzekł oględnie.

– Która zaczęła się od Rachel.

Położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu.

– Widzę, jak cierpisz, Liz. Wiem, że starasz się zgadnąć, co stało się z twoją siostrą...

Pokręciła stanowczo głową.

– Nie, nie zgadnąć. Staram się dowiedzieć. Czy widzisz w tym coś złego?

– Tak, jeśli naginasz fakty do swoich teorii.

Liz poczuła nagle ukłucie w sercu. Nie spodziewała się, że tak ją to zaboli.

– A to właśnie twoim zdaniem robię? – Gdy nie odpowiedział, Liz cofnęła się i oparła o ścianę.

– Dlaczego ty nic nie rozumiesz? Przecież mamy do czynienia z grupą, w której zapewne jest mnóstwo ludzi. Być może działa w niej też ktoś z policji, być może też...

– Przestań! Tego już za wiele! Wszędzie widzisz zbrodnię. Jesteś tym opętana. Oskarżasz mojego najlepszego kumpla i duchownego. I kogo jeszcze? Może wychowawczynię z przedszkola?

– A czemu nie? – odparła, czując, że za chwilę się załamie. – Każdy może być zamieszany w tę sprawę.

Rick pokręcił głową.

– To ty jesteś tutaj obca. I to ty oszalałaś, nikt inny.

Zamknęła oczy i zakryła je dłońmi.

– Jak możesz tak mówić po tym wszystkim, co nas łączyło?

– A co nas łączyło, Liz? Kiedy zacząłem wierzyć, że tak się dzieje, wciągnęłaś mnie do swojej paskudnej gry.

Jęknęła cicho. Nigdy nie czuła się bardziej opuszczona.

– To nie jest gra, Rick. Musisz to zrozumieć.

– Nic nie muszę – mruknął. – To już koniec, Liz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Środa, 21 listopada 12.25

Carla siedziała przy biurku, starając się nie pokazywać po sobie, o czym myśli. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że Becky, sekretarka Vala, będzie za chwilę wychodziła na lunch. Zajrzy do niej jeszcze, żeby spytać, czy czegoś nie przynieść. Tak jak zwykle.

Jednak dzisiaj Carla chciała zrobić coś pod jej nieobecność.

To właśnie z tego powodu czuła się tak nieswojo. Nie mogła uwierzyć w to, do czego doszła. Jeszcze dziwniejsze było dla niej to, że w ogóle stać ją na takie myśli. Wciąż miała nadzieję, że jest w błędzie.

To Val jest winny, powtarzała w duchu. Ma coś wspólnego z zabójstwami i zapewne z Rogatym Kwiatem, o którym mówił Rick.

Śledcza spojrzała na leżące przed nią papiery. Były to dokumenty dotyczące Tary Mancuso. Pod spodem znajdowały się informacje o Rachel Howard, a obok o Naomi Pearson. Teraz widziała wszystkie związane z tymi sprawami nielogiczności. Choćby kwestie dat i godzin. Rzeczy, które nie musiały zbyt dużo znaczyć.

Albo też znaczyły bardzo wiele.

Dziś rano podsłuchiwała rozmowę Vala i Ricka. Nagle uderzył ją słowa wypowiedziane przez szefa: „Jeśli pastor Howard odkryła na wyspie kult zagrażający nastolatkom, dlaczego nie przyszła z tym na policję? Przecież zrobiłaby to jak najszybciej, żeby ocalić zbłąkane dusze...”.

Zapamiętała te słowa dokładnie, przypomniało jej się bowiem, że pastor Howard, na krótko przed tym jak zniknęła, rzeczywiście dzwoniła na policję. Carla przymknęła

oczy, żeby przypomnieć sobie tę sytuację. Przechodziła właśnie koło pokoju szefa i usłyszała fragment rozmowy. Zatrzymała się wtedy, żeby coś mu przekazać, a on powiedział do słuchawki: „Dobrze, pani pastor, zajmę się tą sprawą. Dziękuję za telefon”.

Nie miała pojęcia, dlaczego później o tym zapomniała. Następnego dnia po zabójstwie Tary pojawiła się tu pani Ames. Carla była przy tej rozmowie. Val powiedział wtedy, że nigdy nie rozmawiał z pastor Howard. Dlaczego wówczas nie zareagowała?

W ciągu ostatnich paru godzin znalazła dla siebie sporo usprawiedliwień. Po pierwsze pamięć była czymś zawodnym, zwłaszcza w natłoku tego, co się ostatnio działo, a po drugie nigdy nie miała powodów, żeby podejrzewać zwierzchnika o cokolwiek. Zresztą nawet teraz nie była tego pewna. Dlatego musiała wszystko sprawdzić.

Jednak prawda była taka, że Rickowi nigdy by nie umknęły tego rodzaju szczegóły. Poprowadziłby śledztwo tak, że nie zostałyby pominięty żaden drobiazg związany ze sprawą. Wszystko znalazłoby swoje wyjaśnienie.

Carla spojrzała na akta sprawy Tary Mancuso. Val powiedział dziś rano Rickowi, że znaleziono w jej zaciśniętej dłoni kawałek papieru z numerem telefonu „Island Hideaway”. Tutaj miała czarno na białym, że nie był to papier, ale kawałek materiału, który najprawdopodobniej pochodził z koszuli zabójcy dziewczyny. Dlaczego Val skłamał? I dlaczego nie powiedział mu o telefonie od Rachel Howard?

Sprawa była jasna. Chodziło o to, żeby zdyskredytować to, co mówiła Liz Ames i skłonić Ricka do wycofania się z tej sprawy.

Dlaczego?

Ponieważ porucznik Lopez maczał w tym palce i bał się, że Rick, jako doświadczony i wyjątkowo inteligentny policjant, w końcu to odkryje.

Val jest winny, powtórzyła w duchu z nieodmiennym zdziwieniem.

Potrząsnęła głową. Nie, nie uwierz w to, dopóki nie znajdzie jeszcze jakiegoś dowodu.

– Wychodzę już, Carla – usłyszała dobiegający od drzwi głos Becky. – Przynieść ci coś?

Śledcza uniosła głowę z nadzieją, że sekretarka niczego się nie domyśli.

Nie, dzięki. Wyjdę sama trochę później.

– Tylko uważaj na Vala – mruknęła. – Był dziś w fatalnym nastroju.

– Dzięki za informację. – Carla z trudem się uśmiechnęła. – A swoją drogą, kiedy wróci?

– Przypuszczał, że spotkanie z szefem trochę się przeciągnie. Mam się go spodziewać po pierwszej.

Carla chciała podziękować, ale słowa uwięzły jej w krtani. Becky spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Chyba się przeziębiam – wyjaśniła.

– W prawej górnej szufladzie mojego biurka znajdziesz echinacę. Spróbuj, to naprawdę pomaga.

– Masz rację, spróbuję. – Znowu chrząknęła. – Dziękuję.

Kiedy została sama, spojrzała na zegarek. Miała niewiele czasu. Musiała działać szybko i zdecydowanie, chociaż brakowało jej... odwagi.

Wstała i podeszła do drzwi. Nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, chcąc się upewnić, że sekretarka zeszła już na dół.

W końcu uznała, że jest bezpieczna, i ruszyła w stronę małego pokoju Becky, który przylegał do biura Vala. Tak naprawdę Becky była sekretarką wszystkich śledczych: odbierała telefony, informowała o wszystkim i nawet organizowała spotkania. Ale to Lopez był jej szefem. On ją zatrudnił i on też mógł zwolnić.

Val polecił Becky, aby trzymała informacje na temat telefonów przez sześć miesięcy. Co prawda mogło się zdarzyć, że on sam odebrał telefon, ale bardziej prawdopodobne było to, że jednak sekretarka.

W każdym razie warto sprawdzić, pomyślała.

Becky trzymała te informacje w oddzielnym segregatorze. Ponieważ nie należały do poufnych, szafka zwykle była otwarta. Carla kucnęła, otworzyła ją i zaczęła przeglądać wykazy z ostatnich miesięcy. Nic. Następne kartki, i wreszcie znalazła to, czego szukała. Notatka, żeby zadzwonić do pani pastor Rachel Howard z Rajskiej Wspólnoty. Środa, jedenastego lipca. Dwa dni przed tym, jak odkryto jej zniknięcie.

Znaczenie tego faktu zważyło się na jej wątle barki, tak że przez chwilę nie mogła się podnieść.

– Co robisz, Carla?

Obróciła się i zobaczyła stojącą w progu Becky. Sekretarka przyglądała jej się podejrzliwie. Carla na moment zaniemówiła, dopiero po chwili odzyskała głos.

– Coś mi wpadło do głowy po twoim wyjściu – zaczęła nienaturalnym głosem. Wzięła kartkę z segregatora i podeszła z nią do Becky. – Czy do Vala dotarła informacja o telefonie pastor Howard?

Sekretarka spurpurowiała z oburzenia.

– Do szefa docierają wszystkie informacje – odparła ze złością.

Carla spróbowała ją udobruchać.

– Tak właśnie myślałam.

– Poza tym, jak widzisz, to jest tylko kopia. Z tego wynika, że szef dostał oryginał.

– I oddzwonił?

Becky wzniosła ramionami.

– Pewnie tak. Porucznik Lopez jest bardzo dokładny.

Tak, to prawda. – Pomyślała o Ricku i o tym, jak przyjmie te wiadomości, i zrobiło jej się bardzo smutno. Wszyscy ucierpią z powodu tego, co się stało, zarówno policja, jak i przyjaciele Vala. – Dziękuję, Becky.

Carla podeszła do drzwi. Sekretarka popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Zdaje się, że odzyskałaś głos – zauważyła. Śledcza uśmiechnęła się do niej niewyraźnie.

– O tak, teraz jest dużo lepiej – rzuciła, myśląc, że nareszcie będzie mówić własnym głosem.

RS

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Środa, 21 listopada 13.40

Rick zatrzymał swego dżipa przed domem Carli przy South Street. Pół godziny temu zadzwoniła do niego na komórkę z informacją, że chce się z nim jak najszybciej spotkać. Chodziło jej o zniknięcie pastor Howard.

Wyłączył silnik, ale jeszcze nie wysiadł. Oparł głowę o siedzenie i wpatrywał się w płócienny dach wozu. Myślał o Liz. Chciał ją zatrzymać, kiedy odchodziła. Wciąż miał wrażenie, że postąpił źle. Co więcej, zamiast maleć, uczucie to narastało. Poza tym naprawdę martwił się o jej bezpieczeństwo.

Jednak wiedział, że nie może ufać swoim prze- czuciom, jeśli idzie o Liz. Val słusznie zauważył, że jest podobna do Jill, a to powinno dać mu wiele do myślenia. Po prostu próbował z Liz tego, co nie udało mu się ze zmarłą żoną. Chciał ją ocalić.

Teraz uderzyła go prawda tego stwierdzenia. Zawstydził się swojej głupoty. Że też sam tego nie zauważył.

Zerknął w stronę domu i zauważył Carlę w oknie. Podniósł dłoń w geście powitania i wysiadł z dżipa.

Po chwili był już na ganku i podłoga lekko się pod nim ugięła. Z bliska było widać, że z desek obłazi też farba. Pełno tu było jednak paprotek i innych pięknych roślin, które wskazywały, że ich właścicielka ma romantyczne i czułe serce.

Bo Carla wprost uwielbiała kwiaty. Próbowwała je nawet hodować w swoim ciasnym i zakurczonym pokoju w komendzie, ale jej się to nie udało. Zresztą Val wściekał się za każdym razem, kiedy je widział. Jego zdaniem prawdziwi policjanci nie powinni trzymać na biurkach petunii czy innych tam bratków.

Carla pojawiła się w drzwiach.

– Cześć. – Uśmiechnęła się nerwowo i szybkim gestem zaprosiła go do środka.

Kiedy wszedł, wyrzała jeszcze na dwór, jakby chciała sprawdzić, czy nikt go nie śledził, a potem zamknęła drzwi na klucz.

Rick zrobił wielkie oczy.

– Co się dzieje?

– Zaraz wszystko zrozumiesz. Chodź, chcę ci coś pokazać.

Poprowadziła go do malutkiej kuchenki i nawet nie pytając, czy się czegoś napije, sięgnęła po znajdujący się w jej torebce papierek. Wyciągnęła go w stronę Ricka.

– Popatrz.

Rick wziął kartkę z jej ręki. Znajdowało się na niej zaledwie parę słów. Natychmiast rozpoznał pismo Becky.

Przeczytał informację, a potem spojrział z niedowierzaniem na Carle.

– Z tego wynika, że Rachel Howard dzwoniła do Vala. Zrobiła to dwa dni przed swoim zniknięciem.

Rick przysunął sobie krzesło i bewładnie na nie opadł.

– Podśledzałam dziś rano twoją rozmowę z Valem i nagle sobie wszystko przypomniałam. To było 11 lipca. Zajrzałam do niego, kiedy rozmawiał przez telefon. Obiecywał pani pastor, że zajmie się jej sprawą.

– Jesteś pewna, że chodziło o pastor Howard? Może...

– Masz to na informacji od Becky. Poza tym jaki jeszcze pastor mógł dzwonić?

Najwyżej ksiądz z katolickiej parafii...

– Cholera! – zaklął, nie mogąc pogodzić się z tym, co usłyszał, a przede wszystkim z tym, co to mogło oznaczać. – To jeszcze żaden dowód. Mogła dzwonić do niego w sprawie jakiejś akcji charytatywnej...

– To nie wszystko, Rick – przerwała mu. – Tara nie miała w dłoni kartki z numerem twojego baru. Trzymała kawałek materiału, zapewne z koszuli zabójcy. Białej koszuli.

Rick starał się przypomnieć sobie to, co widział tamtej nocy. To mógł być materiał. Tylko z powodu ciemności uznał, że jest to kawałek papieru.

– Mark miał wtedy na sobie jasnoniebieski T-shirt – dodała jeszcze.

- Skąd wiesz?

– Widziałam tę koszulkę w jego mieszkaniu. Krew wyglądała na niej bardziej purpurowo. Wstyd mi przyznać, ale nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam. Mimo że, jak mówiłam, ten materiał pochodził pewnie z ubrania zabójcy...

Rick poczuł, że robi mu się niedobrze. Tylko nie Val! Znał go od dziecka i zawsze uważał za najlepszego przyjaciela. Dlaczego miałby zrobić coś takiego? Zwłaszcza po tym, jak mu pomógł po śmierci Jill...

Nagle stwierdził, że jest wewnątrznie rozdarty.

Przypomniawszy sobie Liz i jej oskarżenia pod adresem porucznika Lopeza.

– Ale dlaczego, Carla? – Spojrzał na nią bezradnie. – Dlaczego miałby coś takiego zrobić?

– Nie mam pojęcia – powiedziała i podeszła do okna, żeby spojrzeć na kolorowy ogród. Westchnęła ciężko. – Popeliłam wiele błędów. Zawsze go słuchałam, jak mały szczeniak, który jest posłuszny swemu panu. I słuchałam każdego jego słowa...

– Powoli obróciła się w jego stronę. – Nigdy nie kwestionowałam tego, co powiedział – dodała drżącym głosem. – A przecież główne zadanie policjanta to bez przerwy podawać wszystko w wątpliwość.

Nie przejmuj się. Przecież Val jest cenionym pracownikiem policji i twoim szefem. Kto by pomyślał...

Ty na pewno byś to wszystko zauważył – przerwała mu. – Dopilnuję jeszcze tej sprawy, a potem się zmywam, Rick. To nie jest robota dla mnie. Jakoś nie pasuję ani do policji, ani do Key West.

Rozumiał, o co jej chodzi, ale postanowił zaprotestować. Nie chciał, żeby Carla wyjechała.

– Stałaś się świetną policjantką, Carlo – rzekł poważnie. – Trzeba było na to czasu, ale w końcu nauczyłaś się tego fachu.

Uśmiechnęła się lekko.

– Dzięki za komplement, ale sama wiem lepiej.

Chciał zaprzeczyć, ale uniosła gwałtownie dłoń.

– Wiem, że nigdy nie będę tobą. Najwyższy czas, żebym przestała się oszukiwać i zeszała na ziemię. W policji mogę być najwyżej średnia.

– Ale nie musisz przecież wyjeżdżać z Key West. Są inne możliwości. Mogłabyś...

– Zostać kelnerką? – wpadła mu w słowo. – Pracować jako pokojówka w hotelu albo prowadzić sklep? Nie wydaje mi się. Jestem dziewczyną z dużego, nowoczesnego miasta i jakoś nie pasuję do tego rajku.

– Nie zmienisz już zdania? Jak mógłbym cię przekonać?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Sam wiesz jak. Ale czy tego chcesz?

Scena stała się przykra dla Ricka, ale czy dla chwilowego rozładowania atmosfery miałby oszukiwać Carlę i wmawiać jej, że ją pokocha, że kiedyś będą razem?

– Nie, niestety. Przykro mi.

Natychmiast pożałował tych słów, jednak ona przyjęła je lepiej, niż się spodziewał.

– Kochasz panią Ames, prawda?

Pomyślał o Liz i serce mu się ścisnęło. A więc to ona miała rację. Tylko co dalej?

– Sam nie wiem. Miałem wrażenie, że coś się między nami zaczęło, ale...

– Musisz się z nią skontaktować – powiedziała Carla, jakby czytała w jego myślach. – Może jej grozić niebezpieczeństwo.

A on zostawił ją samą i zupełnie bezbronną!

– Jeśli Val ją tknie, będzie miał ze mną do czynienia – powiedział twardo. – Zabiję go jak psa!

– Więc co dalej? – spytała Carla, starając się skupić na zadaniu, które musieli wykonać.

Rick zagryzł wargi.

– Musimy zebrać więcej informacji i znaleźć coś na tyle poważnego, żeby można było z tym pójść do szefa.

– Ja się tym zajmę. Ciągle jeszcze pracuję w policji i mam dostęp do dokumentów i komputerów.

– W ten sposób narażasz się na duże niebezpieczeństwo – zaprotestował. – Nie mogę na to pozwolić.

– To nie zależy od ciebie – rzekła z lekkim uśmiechem.

No cóż, miała rację.

- Ależ Carla...

– Mówiłam już, że chcę doprowadzić tę sprawę do końca – stwierdziła, zaciskając pięści. – Może kiedyś będę miała o czym opowiadać swoim dzieciom...

Przez chwilę wahał się, a potem skinął głową. Zgodził się tylko dlatego, że nie widział innego wyjścia.

– Zobaczmy, co tu mamy. Dwie kobiety nie żyją, jedna zaginęła, oraz dziwny kult, który pojawił się na wyspie...

– Nie zapominaj też o niejasnych okolicznościach śmierci Bernhardta. Oficjalnie mówi się o samobójstwie, ale to przecież on odpowiadał za trefne pożyczki...

– Tak jak jedna z ofiar! Spojrzeli sobie w oczy.

– Środki i możliwości nie są problemem – powiedziała Carla. – Sprawdziłam różne daty i godziny. Wszystko się zgadza. Potrzebujemy jednak motywu. Dlaczego jeden z najbardziej szanowanych policjantów decyduje się na coś takiego?

Rickowi też nie mogło się to pomieścić w głowie.

– Właśnie, dlaczego?

– Może się w kimsz zakochał. – Na razie tylko to przyszło jej do głowy.

Rick się skrzywił.

– Myślisz, że to dobry powód, aby podrzynać kobietom gardła? – spytał gorzko.

– Równie dobry jak każdy inny. To może być też chciwość, obsesyjna nienawiść do ludzi, która wreszcie znalazła swe ujście, dzieciństwo spędzone z toksyczną matką... Boże, przecież wiesz, jak to działa. Albo chodzi o jakąś konkretną korzyść, albo o zaspokojenie chorej potrzeby. Znajdziemy motyw, poznamy resztę.

– Cholera jasna! – Rick wstał, opierając się o stół. – Do tej pory nie mogę uwierzyć, że Val to zrobił! To zupełnie do niego nie pasuje...

– Jednak fakty mówią co innego. Rick zacisnął pięści.

– Do diabła z faktami! – warknęła, cały czerwony ze złości. – I z tobą też!

Carla rozumiała, że musi coś zrobić z jego frustracją i rozczarowaniem. Położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu.

– Bardzo mi przykro. Wiem, że zawsze traktowałeś go jak brata.

Te pełne spokoju słowa rozładowały napięcie Ricka.

– Przepraszam, Carla. Nie powinienem był się tak zachowywać. – Wciągnął głęboko powietrze.

– Musimy teraz działać szybko, zanim zacznie się burza. Jestem pewny, że Becky przekaze Valowi informacje o tym, że wzięłaś tę kartkę. A wtedy...

Nagle odezwał się dzwonek jej komórki. Carla spojrzała na ekranik.

– Z komendy – powiedziała. Rick skinął ze zrozumieniem głową. – Tu śledcza Chapman – zameldowała się, a potem przez chwilę słuchała informacji.

Jej źrenice robiły się coraz większe.

– Jeszcze jedna ofiara – szepnęła na koniec.

– Tak, dziękuję. Będę czekać.

– Kobieta – raczej stwierdził, niż spytał Rick.

– Gdzie?

– Big Pine Key.

Rick pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Jak się nazywa? Carla westchnęła ciężko.

– Nie było przy niej dokumentów. Mają się odezwać, jak coś znajdą.

- Jak... jak wygląda? – spytał ze ściśniętym gardłem.
- Jasna blondynka. Ładna. Rick odetchnął z ulgą.
- Musisz tam teraz jechać? Carla pokręciła głową.
- Nie, są tam ludzie szeryfa.

Rick nagle zmarszczył brwi, bo przypomniła mu się rozmowa z Liz.

- Czy znasz kobietę, która nazywa się Heather Black?

Carla milczała przez moment, a potem skinęła głową.

- Trudno jej nie zauważyć. Naprawdę śliczna. Była ostatnio u Vala.

Rick zacisnął pięści. Jeszcze jeden dowód. A to sukinsyn!

– Prowadzi sklep przy Duval Street – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Widziałem ją na jakimś spotkaniu dla kupców. Przyjaźniła się z pastor Howard. Liz dowiedziała się od jej sąsiada, że od paru dni nie otwierała sklepu. Zdaje się, że miała jakieś problemy i poszła z tym do Vala...

– Który nic nie zrobił – wpadła mu w słowo Carla. – Tak jak w przypadku Rachel Howard i Naomi Pearson. – Pokręciła głową, nie mogąc w to wszystko uwierzyć. – Albo to Val, albo kogoś kryje. Policyjna ochrona, do diabła! Tak czy inaczej, zaczyna się prawdziwe szaleństwo, bo sprawca nie jest normalny, możemy to uznać za pewnik. Nie sądzę, byśmy znaleźli tu jakiś racjonalny motyw, na którym można by oprzeć śledztwo.

W tym problem, pomyślał Rick. Taft i inni seryjni psychopatyczni mordercy nie działali dla zysku, by wyrównać konkretne rachunki lub z innego zrozumiałego powodu, tylko kierowali się wewnętrznym przymusem zrodzonym w chorej psychice. Motywy ich postępowania poddawały się jedynie psychiatrycznej analizie, nie zaś racjonalnemu osądowi. Genialna w swej prostocie starorzymska zasada: „Ten uczynił, komu przyniosło to korzyść”, w tym przypadku nie miała swego zastosowania, bo trudno było mówić o korzyściach w normalnym tego słowa znaczeniu.

– Seryjni zabójcy zaczynali od jakichś fantazji, które powoli przeradzały się w mroczną rzeczywistość, jednak pierwsze zabójstwo zaspokajało ich na kilka miesięcy, a

nawet rok... Wreszcie następowało drugie i niedługo potem trzecie. Puszczona w ruch machine nabierała tempa.

Rick spojrział ponuro na Carlę.

– Ten zabójca jest jak narkoman, który potrzebuje coraz większych dawek, żeby przetrwać. Albo zabija, albo planuje kolejną zbrodnię.

– Brzmi to strasznie. – Carla wzdrygnęła się.

– Ale taka jest prawda. – Wybrał na komórce numer Liz, niestety rozmawiała ze swego aparatu, więc nie mógł jej ostrzec. – Do cholery z tą burzą. Musimy robić swoje. Mamy bardzo mało czasu.

RS

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Środa, 21 listopada 14.00

Liz siedziała przy kuchennym stole. Przed nią stała filiżanka zimnej kawy. Z salonu dobiegały najnowsze informacje o pogodzie. Wyglądało na to, że burza nie zamieni się jednak w huragan, ale spiker ostrzegał przed gwałtownym wiatrem i piorunami, a także tornadami, co nie było niczym nowym w tym klimacie.

Pierwsze uderzenie tropikalnej burzy, nazwanej Rebeka, już dotarło do Key West. Jednak na razie tylko padało. Wraz z narastaniem nawałnicy warunki miały się pogorszyć, dlatego doradzano albo szybką ewakuację, albo spokój.

Liz siedziała przy stole, nic sobie z tego nie robiąc. I tak czuła się fatalnie. Czy miała napuchnięte od płaczu. Czy to możliwe, że wylała tyle łez z powodu mężczyzny, który nie chciał jej wierzyć? Kogoś, kto uznał ją za wariatkę?

Przetarła oczy chusteczką. W obecnym stanie rzeczy nie powinna się tym zbyt długo przejmować.

To prawda, że do tej pory Rick trwał przy niej niczym skała. Mogła zawsze na nim polegać, był przy niej, kiedy go potrzebowała.

Powinna być mu za to wdzięczna... ale to wszystko. Nie może za bardzo angażować się emocjonalnie w ten związek, bo naprawdę oszaleje i będzie już po niej.

Ale coś w Ricku wciąż ją pociągało. Jego lojalność. To, że jeśli w kogoś uwierzył, bronił go do upadłego.

Tylko dlaczego nie chciał uwierzyć właśnie w nią?

Cóż, to skończona historia, pomyślała. Najwyższy czas o tym zapomnieć i żyć dalej.

Wstała i podeszła do okna. Spojrzała na ciemne niebo i uginające się pod naporem wiatru drzewa. Jeśli ten był mały, to jaki będzie większy? Liz z trudem przełknęła ślinę. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że wszystko było z góry określone, jak to sugerował ksiądz Paul. Ta burza zapowiadała coś znacznie ważniejszego – ostateczną bitwę między siłami dobra i zła.

Być może, jak w 1846 roku, grzesznicy zostaną zmieceni do morza, a uratują się jedynie ci, którzy w swej szczerzej wierze połączyli się z Bogiem.

– Nie, Liz, daj spokój! – powiedziała do siebie i cofnęła się w głąb pokoju.

Nic dziwnego, że Rick uznał ją za wariatkę. Była na najlepszej drodze, żeby wylądować u czubków.

Jednak w głębi duszy towarzyszyła jej bolesna świadomość, że wcale nie zwariowała. Bolesna, ponieważ wiedziała, że Rogaty Kwiat stanowi prawdziwe zagrożenie dla wszystkich, którzy weszli tej organizacji w drogę. Tak stało się z jej siostrą, a teraz ona nadepnęła im na odcisk, więc jej również groziło niebezpieczeństwo.

Wszystko, co powiedziała Rickowi, było prawdą, niestety nikt nie chciał jej uwierzyć. Zaśmiała się gorzko. Ładne wymysły! Wszyscy, którzy w nie uwierzyli, musieli zginąć.

Wydawało się logiczne, że ona będzie następna.

Co więc ma zrobić? Jak stawić czoło satanistom? Nie miała przecież nawet pistoletu... zresztą i tak nie wiedziałyby, jak z niego strzelać.

Odejście Ricka zupełnie wytrąciło ją z równowagi. Potrzebowała jego pomocy, ciepłej obecności, jak również chłodnego umysłu. Czowała się teraz znacznie mniej bezpiecznie.

Musiała jednak coś postanowić, zdecydować, co dalej. Była sama, a Rachel i Mark padli ofiarą Rogatego Kwiatu.

– No i jakie mam wyjście? – zastanawiała się głośno.

Nie mogła pójść na policję. Nie miała kogo prosić o pomoc. Mogła, co prawda, zwrócić się do jakiejś agencji detektywistycznej w Miami, ale pewnie i tam potraktowano by ją jak wariatkę, zwłaszcza gdyby powiedziała, że podejrzewa o satanizm miejscowego pastora i oficera policji. Poza tym brakowało jej czasu...

A jednak jest coś, co mogę zrobić, pomyślała, przeciągając dłonią przez włosy. Coś, co nie oznacza biernego czekania na następną ofiarę...

Liz odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę salonu. Zatrzymała się nagle, uświadomiwszy sobie, że patrzy na leżące na stoliku wydanie „Island News”, niemal przykryte przez niedzielne „Miami Herald”.

Co w nim przykuło jej uwagę?

Liz ściągnęła brwi i sięgnęła po pismo. Było to stare wydanie gazety, jedno z pierwszych, jakie kupiła na wyspie. To, że go nie wyrzuciła, było prawdziwym cudem. Jej wzrok padł na jeden z nagłówków:

Heather Black uznana za...

Natychmiast wyciągnęła pismo i przeczytała cały nagłówek:

Heather Black uznana za jedną z kobiet sukcesu na Key West.

Zaczęła kartkować lokalny tygodnik w poszukiwaniu artykułu o przyjaciółce. W końcu go znalazła i zaczęła czytać. Niestety nie było w nim nic ciekawego. Już chciała odłożyć pismo, kiedy jej wzrok padł na zdjęcie Heather.

Śliczna, pomyślała. Naprawdę piękna i uśmiechnięta. Tak rzeczywiście powinna wyglądać kobieta sukcesu.

Poczula ukłucie w sercu. Miała nadzieję, że przyjaciółka żyje i że wszystkie jej obawy okażą się bezpodstawne.

Jednak im dłużej patrzyła na kolorową fotografię, tym bardziej wydawało jej się, że coś tutaj nie pasuje. W końcu wytropiła ten szczegół. Naszyjnik, która nosiła Heather, miał monogram, ale zupełnie nie zgadzały się litery.

R. K. Dlaczego właśnie te litery?

Tak jak Rogaty Kwiat!

A potem nagle ją olśniło. Przypomniała sobie słowa księdza Paula: „Robią wszystko wspak. Czytają wspak”. To były ostatnie litery imienia i nazwiska Heather Black. Znak satanistów!

Liz przypomniała sobie, że widziała już ten naszyjnik tego popołudnia, kiedy z Heather wybrały się na drinka. Znaczyło to, że przyjaciółka bardzo go lubi, być może przywiązuje do niego dużą wagę... A ona zupełnie nie zwróciła na niego uwagi.

Liz patrzyła na naszyjnik, jakby widziała go po raz pierwszy.

HeatheR Black

R. K. Rogaty Kwiat.

Ręce zaczęły jej drżeć. Może to zwykły przypadek, myślała. Może Heather odziedziczyła ten naszyjnik po kimś, kto miał właśnie takie inicjały. Była pewna, że na Florydzie jest co najmniej kilkanaście osób noszących taki naszyjnik.

To nie może być ona! Przecież tak się do siebie zbliżyły. Poza tym Heather przyjaźniła się również z jej siostrą. No i ktoś ją ostatnio śledził...

A przynajmniej tak twierdziła, natomiast Liz nie miała na to żadnych dowodów. Nie wiedziała nawet, czy Heather naprawdę zniknęła.

Być może tylko gdzieś się ukryła.

Nagle zrobiło jej się niedobrze, więc pobiegła do kuchni, do zlewu. Położyła tygodnik na szafce, odczekała chwilę, a potem spryskała twarz zimną wodą. Zakręciła kurek i uniosła głowę, nie dbając o to, że woda spływa jej po policzkach i dostaje się pod bluzkę.

Rick miał rację co do mnie, pomyślała, patrząc na swoje odbicie w okienku nad zlewem. Oskarżała o spisek najbardziej szacownych obywateli Key West: pastora, porucznika policji, a teraz jeszcze jedyną osobę, która ją tutaj zyczliwie przyjęła, kobietę sukcesu z Key West. Kto wie, czy Heather jeszcze żyje...?

Liz wytarła twarz papierowym ręcznikiem.

Nie była już tak zła na siebie. Przecież niczego sobie nie wymyśliła. Jej siostra naprawdę zniknęła i ktoś rzeczywiście zabił dwie kobiety. Poza tym dochodziły do tego jeszcze doświadczenia Marka i rysunki Rachel, na których był symbol Rogatego Kwiatu. No i zdychający szczur, którego znalazła u siebie w kuchni. Aż wzdrygnęła się na to wspomnienie.

Cóż, prawdopodobnie ten trop nigdzie jej nie doprowadzi, ale musi sprawdzić Heather. Była naprawdę piękna i miała w sobie coś charyzmatycznego, a dzięki butikowi kontaktowała się z tutejszą młodzieżą. No i знаła co najmniej jedną z ofiar.

Liz zaczęła chodzić po kuchni, starając się przypomnieć sobie wszystko, co o niej słyszała. Heather niewiele mówiła o swojej przeszłości. Wychowała się w Miami, a po szkole średniej poszła na studia, z których zrezygnowała dla kariery modelki. Nie powiodło jej się w tej branży, ale dzięki zarobionym pieniądząom otworzyła butik. Właśnie tu, na Key West, gdzie przeprowadziła się jakieś trzy, cztery lata temu.

Liz zmarszczyła brwi. Czy Heather wspominała kiedykolwiek o rodzinie? Czy mówiła o rodzicach albo rodzeństwie? Chyba tylko raz napomknęła o matce w związku ze swoim wyglądem... Chodziło jej o kości policzkowe, czy coś takiego, które źle wychodziły na zdjęciach. Wspomniała też, że mieszka niedaleko stąd... na Islamoradzie!

Liz szybko przeszła do salonu, gdzie trzymała książkę telefoniczną z numerami ze wszystkich wysp archipelagu Florida Keys. Zaczęła pospiesznie przewracać kartki, aż w końcu dotarła do części z Islamorada. Nazwisko Black należało do popularnych, ale na szczęście nie w tym rejonie. Znalazła dwie tak nazywające się osoby: jedną z inicjałami J.A. oraz Marthę.

Liz zadzwoniła pod pierwszy numer. Odebrała jakaś młoda, wyraźnie spiesząca się kobieta. W tle słychać było płacz dziecka. Mimo że była prawie pewna, iż nie jest to matka Heather, spytała ją o to i uzyskała spodziewaną odpowiedź. Chwilę później wybrała numer Marthy Black.

– Dzień dobry, czy pani Black?

– Tak, przy telefonie – odparła cierpko kobieta. – Ale i tak nic nie kupię, jeśli o to pani chodzi.

– To dobrze, bo nic nie chcę sprzedać. – Liz starała się utrzymać lekki ton. – Szukam pani córki, Heather. Chciałam...

Pani Black odłożyła słuchawkę.

Liz przez dłuższą chwilę zastanawiała się, dlaczego to zrobiła, a potem nacisnęła „redial”.

Starsza pani po paru słowach znowu odłożyła słuchawkę, nie powiedziała jednak, że to pomyłka. Podniecona Liz była przekonana, że dobrze trafiła. Dlaczego jednak matka Heather nie chciała z nią rozmawiać?

Spróbowała porozumieć się z nią raz jeszcze, ale tym razem Martha Black nawet nie pofatygowała się, żeby odebrać telefon.

Liz pokręciła głową i spojrzała na zegarek. Jeśli pamięć jej nie myliła, Islamorada leżała w połowie drogi do pierwszej wyspy archipelagu, Key Largo, więc dojazd powinien zająć około trzech godzin przy dobrej pogodzie, a w tych warunkach trochę więcej.

Pobiegła do sypialni, gdzie włożyła wygodne spodenki i płócienne buty. Sama nie wiedziała, czego chce od tej kobiety, ale czuła, że musi z nią porozmawiać.

Wyrwała kartkę z książki telefonicznej, chwyciła torebkę oraz parasol i wybiegła na wznagający się deszcz.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Środa, 21 listopada 15.30

- Czy śledcza Carla Chapman? – spytał mężczyzna, którego głosu nie poznała.
- Tak, słucham? W czym mogę pomóc? – powiedziała Carla, przyzwyczajona do tego rodzaju telefonów.
- Nazywam się Jonathan Bell. Jestem kapitanem promu. Przewoziłem panią...
- Ach, pamiętam! Na wyspę Larry'ego Bernhardta! – Tamte wydarzenia wydawały jej się teraz tak bardzo odległe.
- Prosiła pani, żebym zadzwonił, jeśli coś sobie przypomnę. Coś, czego nie powiedziałem policji.
- Mhm, tak?
- Tamtej nocy płynęły ze mną jeszcze matka z dwiema córkami. Wszystkie bardzo atrakcyjne. Mówiły, że płyną do restauracji, wie pani, „Latitudes”, ale dziś rano przypomniałem sobie nagle, że poszły w przeciwną stronę. Właśnie w stronę domu Bernhardta.

Carla zamyśliła się na chwilę.

- Myśli pan, że to były prostytutki?
- Nie, wykluczone. Obie wyglądały na porządne dziewczyny, a ich matka... No, też miała klasę i była bardzo piękna.

Carla zmrużyła oczy. Gospodyni Bernhardta twierdziła, że jej pracodawca lubił młode dziewczęta, znalazła również zdjęcia, które na to wskazywały. Przypomniała sobie też lustro znajdujące się w jego sypialni.

- Jak pan myśli, ile mogły mieć lat?

Jonathan Bell milczał przez chwilę.

- Wyglądały na piętnaście, no, mogły mieć najwyżej szesnaście, siedemnaście.
- Czy prom wciąż kursuje?
- Tak, chociaż pogoda już się popsowała. Jeśli Rebeka się nasili, zawiesimy kursy.

Carla podziękowała mu i odłożyła słuchawkę. Pomyślała, że musi jak najszybciej wybrać się na Sunset Key.

Dzieci Larry'ego Bernhardta zaczęły już przygotowywać dom do sprzedaży. Te meble, których jeszcze nie zabrały, miały pójść na przetarg albo stanowić dodatkową zachętę dla potencjalnego kupca. Tak przynajmniej powiedziała jej kobieta, która obecnie zarządzała majątkiem i od której Carla dostała klucze.

- Myślałam, że śledztwo już się skończyło – mruknęła, wyglądając za okno.

- Wie pani, jak to jest – odparła Carla, udając zdumienie. – Pojawi się coś nowego i znowu trzeba wszystko sprawdzać. Jak to w policji.

- Mam nadzieję, że to nie zajmie zbyt dużo czasu – powiedziała zaniepokojona administratorka. – Jak tylko szef się odezwie, zwiewam stąd gdzie pieprz rośnie.

- Parę minut, najwyżej dwadzieścia – odparła śledcza, podchodząc do drzwi. – Odłożę klucze na pani biurko.

Po chwili była w domu Bernhardta. Skierowała się do sypialni i zapaliła światło. Niestety, była zupełnie pusta.

Westchnęła rozczarowana i weszła do środka. Nie było ani wielkiego łóża, ani komody, ani szafek. Zostały tylko lustra.

Sama nie wiedziała, czego tutaj szukała, ale teraz jej zadanie było znacznie utrudnione. Carla potarła czoło dłonią. Pomyśl, tylko pomyśl, mówiła sobie. Może jednak coś znajdziesz...

Ofiarą zabójcy padła nastolatka, która była członkiem dziwnego seksklubu, jeśli tak można było to określić.

Nie żył też bankier, który bardzo lubił tego rodzaju dziewczyny. Musiał uwielbiać to, co widział w lustrach, a dodatkowo jeszcze uwieczniał wszystko na zdjęciach, które znalazła gospodyni.

Tej nocy, kiedy popełnił domniemane samobójstwo, odwiedziła go piękna kobieta z dwiema dziewczynami.

Od razu pomyślała o czymś jeszcze. Jeśli Bernhardt tak lubił lustra i fotografie, na pewno nagrywał owe „sesje”. Wtedy mógł korzystać z taśm, kiedy tylko chciał i... jak chciał. A wzięwszy pod uwagę to, co robił, nie miałby żadnych oporów przed filmowaniem ukrytą kamerą.

Słowo „ukryta” stanowiło klucz do zagadki.

Gdzie więc powinna szukać tej kamery? A może jest ich więcej...?

Carla stanęła w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się łóżko. Milczała, rozglądając się i zastanawiając, co też lubił Bernhardt. Gdyby właśnie tutaj się z kimś kochała, gdzie umieściłaby kamerę? Jedno lustro po prawej stronie, drugie po lewej, a trzecie w nogach łóżka. A co z sufitem? Znajdował się tam tylko kryształowy żyrandol. A właśnie stamtąd byłby najlepszy widok!

Zadarła głowę i zaczęła się uważnie przypatrywać żyrandolowi z migotliwych sopeków, które błyszczały przy sztucznym świetle niczym diamenty. Ale nie wszystkie... Jeden z kryształków na dole nie odbijał światła tak jak inne.

Wspięła się na palce. Teraz, kiedy wiedziała, czego szuka, znalazła to bez większych problemów. Dolny kryształek był w rzeczywistości soczewką, zapewne szerokokątną. Kabelek od niej prowadził do dziury w suficie.

Podniecona zwróciła się w stronę luster. Ktoś z pieniędzmi i zamięłwaniami Bernhardta na pewno nie zadowoliliby się jedną kamerą. Zaczęła badać cal po calu rzeźbioną, złotą ramę pierwszego z luster. Cierpliwość opłacała się, bo wkrótce znalazła u jej szczytu kolejną soczewkę. Podobne znajdowały się w dwóch kolejnych lustrach, w dokładnie tych samych miejscach.

Ale gdzie znajdowała się aparatura nagrywająca? Kable mogły przecież prowadzić dokądkolwiek, a ona nie miała czasu, żeby to zbadać. Zaraz, jedna ściana była pusta. Nic na niej nie wisiało. Ciekawe, dlaczego?

Przekonana, że coś tam jest, podeszła i zaczęła się jej uważnie przyglądać. Niestety po dziesięciu minutach musiała się poddać. Ściana wyglądała zupełnie normalnie.

Westchnęła ciężko i pokręciła głową. Nie, to na nic. Nagle jej wzrok padł na łazienkę i przypomniała sobie znajdujący się tam telewizor.

Nareszcie!

Kiedy znalazła się w środku, zauważyła, że telewizor miał wbudowane wideo. Weszła do wanny i położyła się tak, jak prawdopodobnie robił to Bernhardt. Rzeczywiście, telewizor znajdował się w miejscu, z którego był najlepszy widok. A to skurwysyn! – pomyślała. Pewnie onanizował się do upadłego, oglądając to wszystko, co przedtem robił z... prawie dziećmi.

Wstała szybko i wspięła się na brzeg wanny, niestety okazało się, że kieszeń wideo jest pusta. Nie dała jednak za wygraną i zaczęła dalej szukać. Wkrótce znalazła dwa piloty.

Jej serce zabiło mocniej. O ile dobrze wiedziała, tego rodzaju urządzenia zazwyczaj miały jeden pilot. Po co więc drugi? Znajdował się na nim tylko jeden przycisk, jakby służył do otwierania drzwi garażu.

Podniecona zeskoczyła z wanny, pognąła do sypialni i nacisnęła guzik. Jeden z rogów ściany odchylił się lekko. Podeszła tam i odciągnęła coś, co okazało się niewielkimi drzwiczkami. W środku znajdował się dosyć głęboki schowek.

Sprzęt nagrywający. Wzmacniacz. Kilkanaście kaset. Trzęsącymi się rękami wyjęła ostatnią taśmę. To właśnie z niej zapewne korzystał tej nocy, kiedy zginął.

Znowu pospieszyła do łazienki i włożyła kasetę do wideo. Telewizor włączył się automatycznie. Przewinęła taśmę do samego początku i nacisnęła „play”. Nareszcie znalazła to, czego szukała. Na filmie znajdowała się data i godzina: czwartek, 1 listopada, 23.18.

Na małym ekranie pojawiły się nagie ciała. Z głośnika dobiegały dźwięki seksualnej orgii. Natychmiast rozpoznała Bernhardta, który uprawiał seks analny z jedną z dziewcząt, a druga pieściła go od tyłu.

A gdzie jest ich matka, o której wspominał Jonathan Bell?

Kamery włączały się po kolei, dlatego co trzy minuty ukazywał się inny widok. Kiedy stało się to po raz pierwszy, natychmiast poznała odpowiedź na swoje pytanie. Aż syknęła, widząc piękną blondynkę stojącą przy łóżku. Heather Black, pomyślała w osłupieniu. To ona wszystkim dyrygowała, pokazywała dziewczętom, co mają robić, i dawała całej trójce jakiś płyn, zapewne narkotyk.

Widok zmienił się kolejny raz i Carla aż wytrzeszczyła oczy. Dopiero teraz zauważyła, że dziewczyna, z którą kopułowal Bernhard, to Tara Mancuso!

Tego już jej było dosyć. Wyłączyła wideo, wyjęła kasetę, sięgnęła po komórkę i wybrała numer Ricka.

Odebrał prawie natychmiast. Niestety na linii pojawiały się wciąż nowe zakłócenia.

– Rick! – podniosła głos, by mógł ją usłyszeć. – Tu Carla. Jestem u Bernhardta. Suckinsyn nagrywał to, co robił tutaj z nastolatkami. Tej nocy, kiedy zginął, była u niego Tara i jeszcze jakaś dziewczyna. – Nie znam jej. – Urwała, żeby odetchnąć. – A z nimi Heather Black. Rick aż gwizdnął.

– Z taśmy wynika, że pełni rolę sutenerki. Kierowała tymi dziewczętami i jednocześnie dawała wszystkim jakiś narkotyk.

– Czy wiedziała, że Bernhardt to nagrywa?

– Jestem pewna, że nie. Kamera była ukryta. Gdyby wiedziała, na pewno nie... – urwała nagle i zaczęła się wsłuchiwać w odgłosy na dole. – Zaczekaj, coś tu się dzieje.

Wyszła z sypialni i podeszła do szczytu schodów. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Czy jest tu kto? – krzyknęła.

– Tylko ja...

Na dole pojawiła się ociekająca wodą administratorka. Miała bardzo nieszczęśliwą minę. Carla odetchnęła z ulgą.

– Skończyła już pani? – spytała żałośnie kobieta. – SzeF mówił, żebym wszystko pozamykała i uciekała stąd jak najszybciej. Wiatr się nasilił. Niedługo przestaną pływać promy.

Carla posłała jej krzepiący uśmiech.

– Zaraz schodzę. Proszę moment zaczekać. Zamknęła się w sypialni i wróciła do rozmowy z Rickiem:

– Jestem pewna, że ta Black zabrałaby stąd kaseta, gdyby o niej wiedziała.

Rick zamilkł na chwilę. W słuchawce pojawiły się nowe, jeszcze głośniejsze trzaski.

Ale jak to się wiąże ze sprawą pastor Howard?

Mogę tylko zgadywać – odparła. – Podejrzewam, że Tara jej o wszystkim opowiedziała. – Nagle dreszcz przebiegł przez całe jej ciało. – Posłuchaj, musimy znaleźć tę drugą dziewczynę z wideo, zanim będzie za późno. Gdzie jesteś?

– W barze. Zabezpieczam właśnie okna. Chciałem się potem skontaktować z Liz. Byłem już u niej, ale jej nie zastałem. Nie mogłem też się do niej dodzwonić.

Niepokój w jego głosie był tak oczywisty, że zaczęła go pocieszać:

– Nie przejmuj się. Może uciekła przed burzą.

– Możliwe, chociaż nie sądzę. Carla spojrzała na zegarek.

– Wiesz co, zaraz wracam do siebie. Poszukaj Liz i przyjedźcie do mnie jak najszybciej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Środa, 21 listopada 17.10

Liz udało się dojechać na Islamoradę w niecałe trzy godziny. Był to doskonały wynik, zważywszy ruch, jaki panował na autostradzie i wyjątkowo niekorzystne warunki atmosferyczne. W książce telefonicznej nie było numeru domu Marthy Black, lecz tylko ulica, która nazywała się Citrus Drive. Liz nie bardzo wiedziała, gdzie jej szukać, więc zatrzymała się przed pierwszym napotkanym sklepem.

Na szczęście był otwarty. W środku znajdowała się jedynie stara właścicielka otoczona kłębamii tytoniowego dymu.

– Jasne, że wiem – powiedziała, kiedy Liz zadała swoje pytanie. Jej pomarszczona, brązowa skóra świadczyła o tym, że mieszkała tu bardzo długo.

– A kogo pani szuka?

– Marthy Black. Może pani o niej słyszała?

– Oczywiście. Znam wszystkich na tej wyspie.

Sprzedawczyni zgasila papierosa w popielniczce.

– Jest pani pewna, że chce się z nią spotkać? Martha jest bardzo drażliwa.

– Tak, jak najbardziej. Chcę z nią porozmawiać o jej córce.

Kobieta zrobiła wielkie oczy.

– To chyba bardzo ważne, skoro jechała pani w taką pogodę.

Liz nie podjęła tego wątku. Interesowało ją coś zupełnie innego.

– Widziała pani kiedyś jej córkę? Ma na imię Heather.

Sprzedawczyni wzruszyła ramionami.

– Nawet nie wiedziałam, że Martha ma córkę. Nigdy o niej nie mówiła, a ta Heather nigdy tutaj nie przyjeżdżała. Inaczej na pewno bym o tym coś wiedziała...

Ciekawe, pomyślała Liz, wsiadając do samochodu. Szybko znalazła drogę do miejsca, gdzie znajdowały się wielkie przyczepy kempingowe, które służyły jako domy. Bez trudu też odnalazła tę, którą zajmowała pani Black.

Wszystko wskazywało na to, że jest w środku, bo w przeciwieństwie do innych, w jej przyczepie paliło się światło. Matka Heather nie mogła albo nie chciała uciekać, co oczywiście nie było najrozsądniejsze. Każdy większy wiatr mógł zmieść taką przyczepę wprost do morza. Jednak w czasie krótkiego pobytu na Key West Liz już zdążyła zauważyć, że mieszkańcy archipelagu są twardzi i nie dają się zastraszyć byle czym.

Otworzyła drzwiczki samochodu i wystawiła przez nie parasol. Wystarczyło jednak, że go otworzyła, a powiew wiatru wyrwał go z jej ręki. Z trudem wysiadła i zamknęła auto. Była zupełnie przemoczona. Pognała więc szybko do drzwi przyczepy.

Zapukała i po chwili ktoś uchylił drzwi. Zobaczyła fragment kobiecej twarzy.

- Czego? – spytała ją wrogo Martha Black.

– Nazywam się Liz Ames. Pracuję dla magazynu „The Keys” – improwizowała. – Piszę właśnie artykuł o pani córce...

- Nie mam córki.

Chciała już zamknąć drzwi, ale Liz powstrzymała ją rozpaczliwym gestem.

– A Heather Black? Ostatnio uznano ją za kobietę sukcesu...

– Mówiłam już, że nie mam córki!

Zamknęła drzwi z trzaskiem. Liz zdumiało tak gwałtowne zachowanie, jakby pani Black reagowała alergicznie na samo imię Heather. Deszcz spływał jej po włosach i całym ciele. Nagle poczuła, że jest potwornie zimno.

Nie chciało jej się wierzyć, że to już koniec. Przejechała taki kawał drogi, a teraz nie mogła zamienić choćby paru słów z panią Black.

Zaczęła walić pięściami do drzwi.

– Wiem, że ona jest pani córką!

Żadnej reakcji. Znowu zaczęła się dobijać.

– Młode kobiety umierają! – krzyknęła rozpaczliwie. – Są w straszny sposób mordowane. Dlaczego nie chce pani ze mną rozmawiać?! Dlaczego się pani chowa?!

Ręce jej opadły i już chciała odejść, ale w tym momencie drzwi znowu się uchyliły.

- Co pani powiedziała?

– Zabito dwie młode kobiety. Staram się pomóc w śledztwie.

– A co Heather ma z tym wspólnego?

– Właśnie nie wiem, dlatego chciałam z panią porozmawiać. Może to nic takiego...

– Nie chcę o niej rozmawiać – rzekła ponuro pani Black, otwierając szerzej drzwi.

– Dawno wyrzuciłam ją ze swojego życia i niemal udało mi się wyrzucić ją z myśli...

- Czy mogę wejść? Bardzo proszę...

Nieszczęsna matka wahała się przez chwilę, a po- tem spojrzała na zziębniętą Liz i skinęła głową. Kiedy znalazły się w środku, bez słowa podała jej kąpielowy ręcznik i powiedziała, że zrobi jej ziołowej herbaty.

Potem wreszcie mogły usiąść przy niewielkim stoliku w kuchni.

– Pomoczę tu pani wszystko – westchnęła Liz.

– Nic nie szkodzi. – Pani Black zmarszczyła brwi. – Poza tym, jeśli wierzyć prognozom, to i tak znajdę się w morzu razem z moją przyczepą.

- Nie boi się pani?

– Wytrzymałam tornada Andrew i George, więc nie przestraszy mnie jakaś tam Rebeka – odparła z lekkim uśmiechem.

Na chwilę zamilkły. Liz piła herbatę, a gospodyni przyglądała jej się ciekawie.

– Wcale nie jest pani dziennikarką – mruknęła w końcu.

– Skąd pani wie?

– Nie ma pani specjalnej torby, aparatu fotograficznego i magnetofonu. Ci cholernicy zawsze noszą coś takiego ze sobą.

- Jak rozumiem, miała pani sporo doświadczeń z prasą – domyśliła się Liz.

Pani Black skrzywiła się z bólu, nic jednak nie powiedziała.

– Kiedy ostatni raz widziała pani córkę?

– Wiele lat temu. Po tym, jak jej siostra... – urwała i zagryzła wargi. Po chwili znowu podjęła: – Kiedyś nie była taka... Zawsze mnie słuchała. Lubiła psoty, ale które dziecko nie lubi... – Przez jakiś czas patrzyła w pustkę, a jej twarz wyrażała różne emocje, jakby obok miłych obrazów nawiedzały ją również tragiczne wspomnienia. – A potem zaczęła zadawać się z różnymi takimi... Wszystkie jej koleżanki miały chłopaków. Po kilku. Ciągłe ich zmieniały. To jej imponowało i dlatego się do nich przyłączyła. Zajęła się okultyzmem. W pewnym momencie stwierdziłam, że nie poznaję już własnej córki. – Martha Black spojrzała na swoje mocno zaciśnięte ręce. Widać było, jak trudno jest jej o tym opowiadać. – Zaczęłam się jej bać.

Liz próbowała pogodzić to, co słyszała, z własnymi doświadczeniami, co było bardzo trudne. Heather zawsze traktowała ją przyjaźnie.

– Ile miała lat, kiedy to się stało?

– Zauważyłam zmiany na krótko przed jej piętnastymi urodzinami. – Urwała na moment i znów zapatrzyła się w pustkę. – Najpierw myślałam, że jej to przejdzie, że po jakimś czasie znormalnieje. Ot, trudny okres dojrzewania, mówiłam sobie. Niestety, robiła się coraz bardziej dziwna, a nawet okrutna... – Głos jej się załamał. – Bóg zabrał mi obie córki...

– Obie córki? – powtórzyła Liz, a serce ścisnęło jej się z żalu.

– Tak, również moją ukochaną Christinę. Była młodsza od Heather. To... to ten szaleniec Taft ją zamordował!

Dobry Boże, nareszcie znalazłam związek między tymi sprawami! – pomyślała Liz.

Rick miał rację, wciąż odwołując się do Tafta. Tyle że tym razem mieli do czynienia nie z mordercą, a morderczynią.

RS

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Środa, 21 listopada 17.40

Carla stała przy oknie, wyglądając nerwowo na dwór. Czekwała na Ricka. Burza nasiłała się. Deszcz walił strugami z nieba. Ledwie udało jej się wrócić do domu z Sunset Key, a w dodatku strasznie przemokła.

Ponieważ nie dostrzegła nikogo, zaczęła przechadzać się po pokoju. Gdzie ten Rick? – myślała, walcząc z narastającym niepokojem. Poczowała, że ma gęsią skórkę, i zaczęła rozcierać ramiona.

Wiatr wył jak sto diabłów, błyskawica rozcięła niebo. Carla skurczyła się i przymknęła oczy. Ale zaraz je otworzyła, ponieważ przypomniał jej się obrzydliwy Bernhardt pieprzący dwie młode dziewczyny. Zrobiło jej się niedobrze, a jednocześnie zaciśnęła ze złości dłonie.

Bernhardt był starym lubieżnikiem i należało się cieszyć, że nie żyje, natomiast Heather Black prezentowała się na wideo jak prawdziwe wcielenie zła. Na jej twarzy pojawił się uśmiezek, który sprawiał, że Carli do tej pory robiło się zimno na to wspomnienie. Jednak najgorsza była pełna bólu twarz Tary. Robiła to, co robiła, a jednocześnie wyglądała na udręczoną i całkowicie zagubioną. Była jak baranek, którego zaprowadzono na rzeź.

Nagle przypomniła sobie modlitwę, którą często powtarzała w dzieciństwie. Potem oddaliła się od wiary i przez długie lata nie przywoływała świętych słów, lecz teraz Modlitwa Pańska sama popłynęła jej z ust:

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Na tyłach domu usłyszała jakiś dźwięk, jakby ktoś otwierał drzwi na taras. Carla zamarła.

– Rick? – krzyknęła w tamtą stronę. – Rick, czy to ty?

Odpowiedziała jej złowroga cisza. Z bijącym sercem wyjęła służbowy pistolet i ruszyła przed siebie. Ręce jej drżały, a usta powtarzały bezwiednie Chrystusowe słowa:

– ...przyjdź Królestwo Twoje...

Otworzyła drzwi do sypialni, która okazała się pusta.

– ...bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

Wyszła na korytarz i ostrożnie zajrzała do łazienki. Nikogo...

– ...ale nas zbaw ode złego...

W końcu dotarła do kuchni. Drzwi na taras były lekko uchylone. Do środka wdarł się deszcz, a na podłodze leżało trochę liści. Znów nie zamknęła drzwi na zasuwkę. Zupełnie zapomniała, że mają słaby zamek.

Zaśmiała się nerwowo i położyła pistolet przy zlewie, potem podeszła do drzwi i zamknęła je, walcząc z napierającym wiatrem.

Nie znosiła swojej pracy.

I tego miejsca.

Miała już tego dość.

– Cześć, Carla.

Obróciła się na pięcie i dopiero teraz zrozumiała, że popełniła błąd. Przed oczami zobaczyła błysk metalu, a potem całe życie przewinęło jej się przed oczami niczym rolka z filmem. Wyrzuciła w górę ręce i krzyknęła z przerażeniem, ale krzyk umierająco rozpląnął się w wyciu wiatru.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Środa, 21 listopada 18.00

Rick zastukał do drzwi Carli, a te same się otworzyły. Zmarszczył brwi i po chwili zastanowienia wszedł do środka.

– Carla, to ja – powiedział.

Odpowiedziała mu cisza, a Rick sprężył się niczym kot. Coś mu się tutaj nie zgadzało. Cała sytuacja wydawała się mocno podejrzana. Przyjrzał się uważnie pomieszczeniu i od razu zauważył smugę wody na podłodze. Ktoś tu wszedł, nawet nie wytarł butów i od razu skierował się dalej albo... przyszedł tu od strony ogrodu.

Tyle że to nie mogła być Carla, która zawsze dbała o czystość i porządek w swoim domu.

Natychmiast przyszło mu do głowy, że powinien się wycofać i wezwać policję. Mógłby poczekać na ganku na ich przyjazd.

Co jednak będzie, jeśli to Val odbierze jego wiadomość?

Doskonale wiedział, że z nim nie ma żartów.

Cholera! Zacisnął palce w bezsilnej złości. Po śmierci syna obiecał sobie, że już nigdy nie weźmie broni do ręki, teraz jednak pożałował, że nie ma przy sobie swojego walthera PPK 380. Chciałby być, tak jak kiedyś, pewny siebie i gotowy na wszystko.

Rozumiał bowiem, jak kruche jest życie i jak trudno naprawić to, co się stało.

Znowu zaczął rozglądać się po pokoju, szukając czegoś, czym mógłby się bronić. Od razu wybrał wielki mosiężny świecznik stojący na kominku. Wziął go i zważył w rękę. No cóż, na razie musiał wystarczyć.

Szedł ostrożnie po śladach i uważnie nasłuchiwał.

Na tyłach domu usłyszał jakiś dźwięk, jakby wiatr starał się otworzyć źle dopasowane drzwi.

A więc nie był tu sam.

Ale co z Carłą?

Starał się iść wolno, nie spieszyć się. Nawet się nie zdziwił, kiedy znalazł Carłę w kuchni. Leżała pod kredensem z ręką wyciągniętą w stronę boazerii. Przez środek kuchni ciągnęła się smuga krwi, która tuż przy niej zamieniła się w prawdziwą kałużę.

– Carla! – krzyknął i podbiegł do niej.

Porwał papierowy ręcznik i przycisnął go do rany w klatce piersiowej. Ale zaraz zobaczył inne. Morderca, pewnie w napadzie szału, zadał mnóstwo ciosów.

Na pewno tego nie przeżyje, pomyślał. Nawet jeśli w tej chwili zadzwonię po karetkę.

Carla nagle otworzyła oczy, które zaczęły już zachodzić bielmem.

– Nie, tylko nie umieraj – jęknął. – Na pewno nie umrzesz, słyszysz! Na pewno – powtarzał w rozpacz.

Zamknęła na moment oczy, ale na szczęście zaraz je otworzyła. Jednocześnie poruszyła ustami. Rick pochylił się w jej stronę.

– Co takiego, kochanie? – spytał ze łzami w oczach.

Poczuł jej oddech na policzku, ale Carla nie mogła już mówić. Spojrzał na nią raz jeszcze i za– uważał lekki uśmiech na jej ustach.

– Nie, Carla, tylko nie to. – Potrząsnął nią lekko.

– Nie rób tego.

– Wstań, Rick.

Spojrzał przez ramię. Val był w drzwiach i patrzył na nich. Miał na sobie czarny, przeciwdeszczowy płaszcz, z którego ściekała woda.

To on zostawił mokrą smugę na podłodze.

Nienawiść prawie go zaślepiła. Wstał i zacisnął pięści.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Val spojrzał na niego oczami bez wyrazu.
- Nie żyje?
- A jak myślisz?!
- Myślę, że nie.

Drżąc z wściekłości, Rick zrobił krok w stronę porucznika.

- Co tutaj robisz, Val?
- Carla do mnie dzwoniła – odparł drewnianym głosem. – Powiedziała, żebym

przyjechał, bo ma coś pilnego.

- Kłamca! Pieprzony kłamca!
- Może z tego samego powodu wezwała też ciebie.
- Wcale nie powiedziałem, że mnie wezwała – mruknął Rick.

Val aż poczerwieniał. Szybko wyciągnął kolta i wycelował w dawnego kumpla.

- Odsuń się od ciała.

Rick posłuchał go. Przesunął się ostrożnie, żeby nie wejść w kałużę krwi. Zastanawiał się, czy Val wie o kasecie wideo, a jeśli tak, czy już ją znalazł. Miał nadzieję, że jeszcze nie.

- Powinieneś zadzwonić po chłopaków, Val, i to jak najszybciej. – Założył ręce na piersi i spojrzał mu prosto w oczy. – Ja zaczekam.

Porucznik patrzył na niego przez chwilę niewi-
ażącymi oczami, a potem potrząsnął głową.

- Mylisz się. Pojedziemy do mnie, do Departamentu Policji. Musimy porozmawiać.

- Wolałbym zostać tutaj i poczekać na ekipę dochodzeniową. Przecież wiesz, że musisz pilnować miejsca przestępstwa. Takie są przepisy.

- Na twoim miejscu bałbym się raczej o własną skórę.
- To znaczy?

Val zmrużył oczy.

- To bardzo kiepsko wygląda, Rick. Ty i ofiara.

– A gdzie narzędzie zbrodni? Gdzie krew? Rick wyciągnął przed siebie ręce. – Usiłowałem tylko zatamować krwotok. Gdybym ją zabił, byłbym cały we krwi. – Rozejrzał się raz jeszcze po kuchni.

– Pistolet Carli leży na zlewie. Wygląda na to, że próbowała się do niego doczołgać i zatrzymała się przy kredensie. To dlatego wyciągnęła rękę. Chciała się podciągnąć. – Głos mu zadrżał. – Niestety, nie udało się...

Val nawet nie mrugnął.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tylko tyle, że jej nie zabiłem – mruknął. Przyszedłem tutaj po mordercy. Ten, kto ją zabił, mógł spokojnie wyjść na zewnątrz. – Rick wskazał tylne drzwi. – Wystarczyło, że miałby na sobie... spojrzał niewinnie na dawnego kumpla – płaszcz przeciwdeszczowy, a ulewa zmyłaby wszystkie ślady morderstwa. I co ty na to, Val?

Porucznik podszedł do Carli i wziął ze zlewu jej pistolet.

– Biedny Rick. Nigdy nie doszedł do siebie po śmierci syna. Aż mi się serce kraje.

Rick z trudem panował nad sobą. Nie mógł sobie pozwolić na to, by dać Valowi choćby najmniejszy pretekst do strzału.

– Pamiętasz, jak zabraliśmy wiatrówkę twojego ojca i strzelaliśmy do ulicznych lamp? Mieliliśmy zaledwie dwanaście lat, a już nam się wydawało, że nie powinniśmy mieć nad sobą nikogo i za nic nie odpowiadać. Sprytni z nas byli smarkacze. – Roześmiał się. – Dzisiaj, kiedy widzę takiego wyrostka, najchętniej spuściłbym mu tęgie lanie.

– Zdaje się, że to właśnie zrobił twój stary.

– A twój? Zdaje się, że przez tydzień zabronił ci jeździć na rowerze.

– Wydawało nam się, że świat należy do nas. Nie wiem, jak inni mogli z nami wytrzymać. A potem, kiedy pojawiły się dziewczyny...

– Taa...

– Co się z nami stało, Val? Byliśmy przecież najlepszymi przyjaciółmi. Dla drugiego poszlibyśmy w ogień. – Rick zniżył głos: – Kiedy to wszystko się zmieniło? Kiedy okazało się, że nic nie jest już takie jak kiedyś?

Uśmiech zniknął z twarzy porucznika.

– Jestem już zmęczony tym wszystkim, stary – mruknął. – Mam tego dosyć.

– Więc może przestańmy grać, Val? Może wróćmy do tego, co nas łączyło.

Ręka z pistoletem zadrżała.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe. Obaj to wiemy.

– Nieprawda. Postaram ci się pomóc – ciągnął Rick, usiłując skorzystać z tej być może jedynej szansy. – Stań się tylko tym, kim byłeś dawniej.

Val wyprostował się. Wyraz rozmarzenia zniknął z jego twarzy.

– Nie weźmiesz mnie na sentymenty, Rick. Ruszaj się, jedziemy...

Dopiero teraz Rick zrozumiał, że dawny przyjaciel chce go zabić i że już nic go nie powstrzyma.

– Uważaj, Val – podjął spokojnym tonem. – Nie wiem, w co się wpakowałeś, ale jeszcze mogę ci pomóc. Musimy pogadać i zobaczymy, co się da zrobić.

– Zamknij pysk! Mam już dosyć tych sztuczek. Myślisz, że się na tym nie znam?

– Wskazał drzwi pistoletem. – No, ręce za głowę i maszerujemy do mojego wozu.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Środa, 21 listopada 18.20

Rick przeszedł do samochodu Vala, który był zaparkowany tuż za rogiem, nieopodal domu Carli. Porucznik szedł za nim, przyciskając wylot lufy do jego pleców.

Rick uważnie rozglądał się na prawo i lewo, chcąc sprawdzić, czy ktoś postronny widzi, co się tu dzieje. Ewentualni świadkowie mogliby później potwierdzić jego wersję wypadków. W ten sposób być może dałoby się odtworzyć wszystkie wydarzenia dzisiejszego popołudnia... o ile oczywiście uda mu się ująć z życiem, co było bardzo wątpliwe.

Nikogo jednak nie zauważył. Co prawda na ulicy znajdowało się kilka samochodów, ale ich właściciele pochowali się w swoich domach. Tylko za ogrodzeniem sąsiada Carli pojawił się pies, który ich obszczekał.

- Chcesz mnie zabić, Val?
- Przestań dramatyzować. – Docisnął mocniej lufę pistoletu do pleców Ricka. –
Chociaż podejrzewam, że wolałbyś jednak śmierć.

- No i kto tutaj dramatyzuje?
– Po prostu jestem szczery – mruknął porucznik. Rick tylko się zaśmiał. Zdarzyło się to po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Zatrzymali się przy wozie Vala.

Ciekawe, dlaczego zaparkowałeś aż za rogiem? Mogłeś przecież podjechać pod sam dom, zwłaszcza że strasznie leje... Pewnie nie chciałeś, żeby ktokolwiek cię tu zauważył.

Zamknij się. – Val jedną ręką otworzył drzwiczki i sięgnął po kajdanki, które trzymał w schowku. – A teraz się odwróć.

Rick posłuchał, bo nie miał innego wyjścia.

– Myślisz, że to konieczne? Gdybym uciekł, nie będzie nikogo, kto mógłby się tobą zająć...

Val zamknął kajdanki i pchnął go brutalnie na miejsce dla pasażera.

Po chwili ruszyli w stronę starego miasta. Val powiadomił komendę, że ma zamiar przesłuchać Ricka Wellsa, który jest podejrzany o morderstwo. Kiedy skończył, uśmiechnął się radośnie do byłego kumpla.

– Podejrzany o morderstwo? – zdziwił się Rick. – Ciekawe, jak masz zamiar to rozegrać?

Val tylko mlasnął językiem.

– Cierpliwości, przyjacielu, a sam wszystko zobaczysz. Właśnie wtedy pożałujesz, że od razu cię nie zabiłem.

Cholera, jak bardzo potrzebował tej kasety.

– Śmiały ruch, stary. Nie boisz się, że ta historia nie będzie trzymać się kupy?

Porucznik uśmiechnął się jeszcze szerzej, a następnie, zupełnie jak za dawnych lat, mrugnął porozumiewawczo.

– Jakoś nie. A jeśli będziesz ze mną współpracował, być może nawet potraktuję cię nieco łagodniej.

Rick siedział naprzeciwko Vala w pokoju przesłuchań. Chociaż przez całą drogę próbował coś wyciągnąć z dawnego kumpla, ten milczał jak zaklęty. Odezwał się dopiero na komendzie. Oficjalnym tonem poinformował go o jego prawach i prosił, żeby Rick nie stawiał oporu.

Val wstał jeszcze, chcąc uruchomić kamerę wideo. Ruchy miał spowolnione i automatyczne. Rick znał te symptomy. Widział je zarówno u ofiar, jak i świadków szczególnie okrutnych przestępstw. Ich psychika wyłączała się, pozostawiając jedynie czysty automatyzm, jakby wyparowały z nich wszelkie ludzkie uczucia.

Rickowi wydawało się, że jeśli zagra właściwie, to może uda mu się złamać Vala.

– Od czego więc zaczynamy, przyjacielu? – spytał, chcąc przejąć rolę przewodnika.

Porucznik zajął swoje poprzednie miejsce.

- A jak sądzisz, dlaczego się tu znalazłeś?

– Chcesz mnie nabrać na stare policyjne sztuczki? Wolę to usłyszeć od ciebie.

- Odpowiedz, dlaczego tu jesteś? – Głos Vala stał się nagle agresywny.

– Ponieważ zwariowałeś i zabiłeś Carlę Chapman, a teraz chcesz mnie w to zrobić.

Val uniósł wysoko brwi, jakby bardzo go to zdziwiło. Spojrzał na drugiego mężczyznę, który siedział w rogu pokoju.

– To jest sierżant Walters, Rick. Będzie słuchał naszej rozmowy.

Rick skinął głową w stronę policjanta. Zauważył, że jest bardzo młody, mógł mieć najwyżej dwadzieścia parę lat. Pewnie świeżo po szkole, pomyślał.

– Niech pan posłucha, sierżancie. To porucznik Lopez jest winny. Niech pan się nie da nabrać...

- Dlaczego zabiłeś Carlę Chapman? – przerwał mu Val.

Rick rozluźnił się. Przesłuchanie było rodzajem słownych szachów. Wygrywał ten, kto potrafił przewidzieć ruchy przeciwnika i odpowiednio to wykorzystać. Warto też było zepchnąć go do defensywy.

- Doskonale wiesz, że tego nie zrobiłem.

- Niby skąd mam to wiedzieć?

- Bo to ty jesteś mordercą.

Porucznik Lopez zrobił zmęczoną minę, westchnął i zadał następne pytanie:

– Jak dobrze znałeś Naomi Pearson?

Rick zdziwił się tą zmianą tematu. Zmrużył oczy, starając się dociec, o co chodzi Valowi.

– Słabo. Parę razy była u mnie w barze.

– A Larry'ego Bemhardta?

– Bemhardta? Tego bankiera?

- Czy prawdą jest, że to on udzielił ci pożyczki na „Island Hideaway”.
- Tak, ale...
- I wtedy po raz pierwszy spotkałeś Naomi Pearson?
- Tak. Bernhardt mi ją przedstawił.
- No i pewnie dowiedziałeś się, jak działa system weryfikacji pożyczek...
- Nie rozumiem, o co ci chodzi.
- O komputerowe sprawdzanie i zabezpieczanie udzielanych pożyczek – wycedził

Val.

- Tak, możliwe, chociaż nie zwróciłem na to uwagi. Nie wydało mi się to skomplikowane.

- To znaczy, że zauważyłeś, jak łatwo można obejść cały system? Wystarczyli tylko odpowiedni współnicy, prawda?

A to skurwysyn! Chciał na niego zwalić nie tylko zabójstwo Carli, ale wszystkie pozostałe. Bardzo sprytnie.

Rick zagryzł wargi. Nie może dać się zapędzić w kozi róg.

- Nie, nie o to mi chodziło. – I zanim porucznik zdołał zadać kolejne pytanie, sam rzucił: – Powiedz mi, Val, jak to jest być przestępcą?

- Pozwolisz, że to ja będę zadawał pytania.

- Nie pozwolę. – Pochylił się w jego stronę i rzekł, starając się zachować lekki ton: – Wiesz, naprawdę chciałbym wiedzieć. Jak to jest zamordować dziewczynę, z którą pracowało się tyle lat? Walić ją tym nożem, aż została podziurawiona jak...

- Dosyć, kurwa! – Val zerwał się na równe nogi. Chwycił segregator i rzucił nim o stół. – Lepiej dobrze popatrz.

Rick zaczął przeglądać papiery, świadomy tego, że dawny kumpel go obserwuje. Była to jego korespondencja z Larrym Bernhardtem i Naomi Pearson. Po raz pierwszy w czasie tego przesłuchania poczuł, że zaczyna się pocić. Znajdowały się tam plany defraudacji pieniędzy Island National Bank.

Ze zdziwieniem spojrział na Vala i od razu rzucił mu się w oczy wyraz triumfu, jaki zagościł na jego twarzy.

– Dziwne, bo nigdy wcześniej tego nie widziałem – mruknął.

– Czy to twój adres e-mailowy?

Spojrział na kartkę, chociaż z góry znał odpowiedź. Val zatroszczył się o to, żeby wszystko zgadzało się w tej historyjce. Musiał to przygotować dużo wcześniej.

Tak.

– Mówisz jednak, że nigdy wcześniej nie widziałeś tych e-maili?

– Nie, nigdy.

– To żalosne. I dalej będziesz tak twierdził, nawet jeśli dostaniemy nakaz aresztowania i sprawdzimy twój komputer?

Oczywiście Val grzebał w nim dużo wcześniej. Kto mu pomógł? Libby? Margo? A może obie?

Rogaty Kwiat! Odpowiedź sama się narzucała.

Musiał szybko poskładać fragmenty tej układanki. Nagle teoria Liz dotycząca konspiracyjnej organizacji na wyspie wydała mu się całkiem rozsądna. Szkoda, że dopiero teraz...

Musiało być w tym coś jeszcze. Postanowił dalej dręczyć dawnego kumpla.

– Więc o to chodzi, Val? O pieniądze? Sprzedałeś za nie duszę diabłu?

Twarz porucznika Lopeza zastygła niczym kamienna maska.

– Naprawdę zwariowałeś, Rick. Żal mi ciebie.

– I jesteś przygotowany na to, że pójdziesz do piekła?

– Jeśli tylko będę mógł cię tam ze sobą zabrać.

Rick aż się zagotował z wściekłości. Val nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Życie Carli nic dla niego nie znaczyło. Wyglądało na to, że ktoś zrobił mu pranie mózgu.

– To była twoja koleżanka, ty gnoju! – Zacisnął pięści. – Była zapatrzona w ciebie jak w słońce.

– Carla zrobiła jeden poważny błąd, Rick, po– mijając już to, że zakochała się w tak zimnym typie jak ty.

- Tak, jaki? Że zaufała tobie?

Val zaśmiał się szyderczo i podszedł do niego z tyłu. Pochylił się i szepnął mu do ucha:

– Nie. Postanowiła być sprytna.

Rick zerwał się z krzykiem. Wyrzucone do tyłu krzesło spowodowało, że Lopez cofnął się w stronę ściany, a on dopchnął go do niej i zacisnął dłonie na jego gardle.

Sierżant Walters sięgnął po broń.

- Stój! Stój, bo strzelam!

– Niech robi, co chce – warknął Val. – To napaść czynna na oficera policji. Sam kopiesz sobie grób.

Ty skurwysynu – szepnął Rick, wiedząc, że Val ma rację. Puścił go. – Nie ujdzie ci to na sucho. Zobaczysz, jeszcze cię dopadnę.

Val uśmiechnął się do Waltersa.

– Dzięki za wsparcie. Możesz schować broń. Sierżant posłuchał go natychmiast i wrócił na

swoje miejsce. Val przygładził włosy i znowu usiadł naprzeciwko Ricka.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Val spojrzął na wyświetlacz i otworzył telefon.

– Tak, słucham, porucznik Lopez.

Ktoś po drugiej stronie coś mówił, a mina Vala coraz bardziej rzedła.

– Proszę się niczym nie przejmować. Zaraz tam przyjadę. Wszystko na pewno będzie dobrze.

Wyłączył telefon i spojrzął na Waltersa.

– Muszę pojechać do Rajskiej Wspólnoty. Mają tam jakieś kłopoty... – Podszedł do drzwi. – Nie spuszczaaj z niego oka. Postaram się szybko wrócić.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Środa, 21 listopada 21.00

Liz ścisnęła mocno kierownicę, walcząc z wiatrem i starając się utrzymać samochód na drodze. Bolały ją mięśnie ramion i szyi, a oczy łzały od ciągłego wpatrywania się w niewyraźny kontur szosy.

Dzięki Bogu, prawie udało jej się dojechać. Tablica, którą minęła, wskazywała, że do Key West zostało już tylko osiem kilometrów.

Tak szybko pokonała trasę tylko dlatego, że łamała wszystkie drogowe i zdroworozsądkowe przepisy. Na szczęście nie było innych samochodów. Nikt nie był na tyle głupi, żeby narażać się na jazdę w takich warunkach.

Próbowała dzwonić do Ricka jeszcze z Islamorady, ale nie zastała go ani w barze, ani w domu. Nagrała się więc na jego komórkę i zadzwoniła do Departamentu Policji, prosząc o kontakt z porucznikiem Lopezem albo śledczą Chapman. Również bez powodzenia. Poprosiła więc, by przy najbliższej okazji któreś z nich do niej oddzwoniło, i ruszyła w drogę powrotną.

Czuła, że dzieje się coś niedobrego. Popatrzyła na swój milczący telefon i znowu zaczęła wpatrywać się w drogę, przez którą przechodziła prawdziwa nawałnica. Wiedziała, że musiało się stać coś strasznego.

Morderczyni wciąż była na wolności. Poza tym ta burza... To wszystko nie wyglądało dobrze.

Liz zaśmiała się, chcąc dodać sobie odwagi, wypadło to jednak dosyć kiepsko. Przede wszystkim powinna uspokoić skołatane nerwy.

Kiedy dotarła do wyspy, autostrada przeszła w Roosevelt Boulevard, a potem Truman Avenue. Liz skręciła w Duval i jechała wolno tą ulicą. Zwykle zatłoczone chodniki były zupełnie puste. Sklepy albo miały specjalne osłony, albo były pozabezpieczone deskami. Ludzie pochowali się w swoich domach. Samochód podskakiwał co chwila na gałęziach i innych przedmiotach rzuconych przez wiatr. Tuż przed maską przeleciał jej duży, płazowy parasol. Zobaczyła powywracane pojemniki na śmieci.

„Później morze tygodniami wyrzucało na brzeg martwe ciała... Całe rodziny wraz z dziećmi...”.

Chyba zwariowała, wracając w tak niebezpieczne miejsce. Ale skoro już tu jest, powinna zaniknąć się w domu i zabarykadować drzwi i okna.

Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła „Island Hideaway”. Okna były dokładnie zabezpieczone, tak że nie było widać żadnego światelka. Pewnie Rick zaszył się w domu albo w ogóle uciekł z wyspy.

Miała nadzieję, że go tutaj zastanie. Może teraz w końcu by jej uwierzył. Niestety nie pomyślała o tym, że wszelkie bary i restauracje są zamknięte w czasie burzy.

Mimo to zatrzymała się przed „Island Hideaway”. Odetchnęła głęboko i wyskoczywszy z wozu, pobiegła wprost do wejścia. Siła wiatru była tak duża, że Liz z trudem trzymała się na nogach, ale kiedy w końcu dopadła drzwi, zaczęła w nie walić, modląc się, żeby Rick jej otworzył. Przecież nawet nie wiedziała, gdzie mieszkał. Będzie jej bardzo trudno go znaleźć.

– Rick! – krzyknęła. – Rick, otwórz! – Zrobiła przerwę i znowu zaczęła się dobijać.
– Rick, to ja, Liz!

Była bliska hysterii, ale olbrzymim wysiłkiem woli udało jej się zdusić strach. Nie zamierzała się poddać. Tyle wycierpiała, więc musiała doprowadzić tę sprawę do końca, niezależnie od tego, czy Rick zdecyduje się jej pomóc. Teraz policja na pewno jej uwierzy.

Wróciła do samochodu i chwilę odpoczywała, starając się złapać oddech. Przekreśliła klucz w stacyjce, ale nie udało jej się zapalić silnika.

Krótki odgłos rozruchu i koniec. Z bijącym sercem spróbowała jeszcze parę razy, jednak z podobnym rezultatem.

Kiedy już niemal zrezygnowała, cudem udało jej się uruchomić wóz. Silnik zakaszła, a potem zaskoczył. Mogła jechać dalej.

Tylko dokąd?

Oczywiście na policję.

Ale po przejechaniu kilkudziesięciu metrów silnik zaczął kaszleć i krztusić się, a potem zupełnie umilkł. Zapewne gdzieś dostała się woda.

Stała przed kościołem Rajskiej Wspólnoty.

„Wiele ukryło się w kościele, ale ich też woda zmyła do morza”.

Nagle zrozumiała, że to tu właśnie miała trafić, i spojrzała w stronę bielejącego na tle zawieruchy budynku. Wyglądał jak skała, na którą napierały morskie fale. W oknach zauważyła blask światła. Odniosła wrażenie, nie po raz pierwszy zresztą, że ktoś przyzywa ją po imieniu.

Opierała się temu wezwaniu, bo wiedziała, że w środku zastanie pastora Collinsa, a przecież podejrzewała, że należy do Rogatego Kwiatu i maczał palce w tych wszystkich morderstwach.

Z tego miejsca mogła bez trudu dotrzeć do swego mieszkania. Przeczekałaby tam burzę, modląc się, by nie stało się nic złego. Być może nawet udałoby jej się skontaktować z Rickiem albo z policją.

Jednak ktoś ją tutaj przywiódł. Była tego pewna. Tak samo została poprowadzona do przykościelnego ogrodu tej nocy, kiedy zginęła Tara.

Nie chcąc się zbyt długo nad tym wszystkim zastanawiać, otworzyła drzwiczki samochodu i wyskoczyła na deszcz. Wiatr pchnął ją w stronę budynku. Mokre ubranie przykleiło jej się do ciała.

Nagle usłyszała głośny trzask, a potem zobaczyła iskry. Piorun uderzył w pobliski transformator.

W końcu pokonała kościelne schody. Drzwi były otwarte. Cichutko wśliznęła się do środka i zamknęła je za sobą.

Cisza, która ją otuliła, wydawała się miła i kojąca.

W sanktuarium paliło się wieczne światełko, poza tym było tu ciemno.

– Czy jest tu ktoś? – spytała, czując, że jej głos brzmi obco. – Pastorze Collins?

Odpowiedziała jej cisza. Zmarszczyła brwi i wolno, żeby się o coś nie potknąć, ruszyła w stronę kancelarii.

– Hej, czy jest tu kto? – zawołała raz jeszcze. Dotarła do prywatnego pokoju pastora. Drzwi były do połowy otwarte, a ze środka dobiegały jakieś odgłosy. Ciche, ale wyraźne. I... jakby zwierzęce.

Ktoś czaił się w ciemności. Czekał na nią.

Poczuła, jak pętla strachu zaciska się na jej gardle. Cofnęła się trochę. Tym razem ze środka dobiegł do niej jęk.

Liz bez namysłu podeszła do drzwi. Zajrzała do środka i... krzyknęła. Pastor Collins leżał na plecach na podłodze. Koszulę miał czerwoną od krwi. Zobaczyła ranę i zrozumiała, że ktoś musiał do niego strzelać. Podniosła drżącą rękę do ust i rozejrzała się po pokoju.

Natychmiast dostrzegła telefon. Musi zadzwonić pod 911. Jednak kiedy podniosła słuchawkę, okazało się, że aparat nie działa. Być może linia została przecięta, a komórka niestety została w samochodzie.

Pastor znowu jęknął, a Liz uklękła przy nim. Z trudem uniósł powieki.

Ścisnęła mocno jego dłoni.

– Pobiegnę po pomoc. Proszę zaczekać.

Zamrugał, starając się na coś skoncentrować.

Z trudem otworzył spieczone usta.

– ...oja... sio... sio... tra.

Położyła palec na wargach, chcąc go uciszyć.

- Pastorze, proszę nic nie mówić. Trzeba oszczędzać siły.

- N...ee. Sio... sio... tra.

Próbowała zrozumieć, o co mu chodziło. Duchowny słabo zakaszał.

- Cii, muszę sprowadzić pomoc. Pastor zacisnął mocniej palce.

- Sio.... tra.

- Siostra? – powtórzyła, czując, że serce bije jej coraz szybciej. – Moja siostra?

Przymknęła na chwilę oczy na znak, że właśnie o nią mu chodzi.

- Co z Rachel, pastorze? Co się z nią stało? – Pochyliła się jeszcze bardziej, żeby usłyszeć choćby najlżejszy szept.

- O... na szy... szyje.

Aż westchnęła, czując, że robi jej się słabo.

Rachel żyje?! Czy to możliwe?! Omal nie osunęła się na podłogę.

- Gdzie jest, pastorze? Co się z nią stało?

- Kie... kie... – zrobił ruch, jakby chciał wyrwać jej ręce. Puściła je, a pastor przesunął jedną w stronę kieszeni.

Nareszcie zrozumiała. Sięgnęła do jego kieszeni i wyjęła z niej złożoną kartkę papieru.

Nagle omiótł ich strumień światła. Liz obróciła się ze strachem, a potem odetchnęła z ulgą. W drzwiach stał ociekający wodą porucznik Lopez.

- Dobrze, że pan jest, panie poruczniku – powiedziała. – Ktoś strzelał do pastora.

Val przesunął się w głąb pokoju.

- Przyjechałem najszybciej, jak to było możliwe.

Nie rozumiem, skąd się pan tu...?

Skinął latarką w stronę drzwi.

- Proszę odsunąć się od ciała. Posłuchała go, kręcąc głową.

- Ależ on żyje.

- Porucznik nie odpowiedział. Podeszedł do duchownego i sprawdził jego ranę, a potem puls.

- Nie żyje – mruknął.

- Ale jeszcze przed chwilą...
- Przy takiej ranie to tylko kwestia paru chwil. Stracił dużo krwi.
- Nie, to niemożliwe. – Zaczęła drżeć. – On nie mógł umrzeć.
- Co tam pani ma? – Porucznik wskazał kartkę w jej dłoni.

Liz oderwała oczy od zastygłej twarzy pastora i spojrzała na papier. Przed oczami stanął jej na chwilę obraz siostry. Wyciągnęła kartkę w stronę oficera.

- Pastor Collins powiedział, że moja siostra żyje. Ma być w tym miejscu. Porucznik Lopez rozwinął kartkę.

- To adres w Key West – powiedział, ściągnąwszy brwi. Czy... czy sądzi pan, że to możliwe? Że znajdziemy tam Rachel?

- Możemy zaraz sprawdzić.

- Teraz? – Cofnęła się, czując na sobie jego spojrzenie.

- Jeśli pani siostra żyje, to pewnie panią pierwszą chciałaby zobaczyć.

- Ale... pastor Collins. Powinniśmy przecież po- czekać na karetkę.

- Nie możemy mu już pomóc, a pani siostra nas potrzebuje... – Spojrzał na zegarek, a potem znowu na nią. – Rachel Howard na pewno jest w niebezpieczeństwie. Ci ludzie nie żartują, skoro zastrzelili pastora Collinsa.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Środa, 21 listopada 21.15

Parę minut później Liz znalazła się w wozie porucznika. Działała klimatyzacja, która pompowała do środka chłodne powietrze, przez co w mokrym samochodzie robiło się jeszcze zimniej. Liz zadrżała i objęła się rękami.

– Gdzie jedziemy? – spytała.

– Do pani siostry – mruknął, starając się wymijać gałęzie i inne przedmioty, które znajdowały się na drodze.

– Chodzi mi o sam adres. Gdzie to jest?

– Niedaleko. Zaraz pani zobaczy.

Zaczęła szczękać zębami, ale porucznik tego nie dostrzegał. Wyglądało na to, że zimno mu nie przeszkadza.

– M... myśli p... pan, że jest p... pod tym adresem?

Spojrzał na nią pozbawionymi wyrazu oczami.

– Jestem pewny, że tak.

Popatrzyła na niego, czując, że robi jej się słabo.

– Nic panu nie jest, panie poruczniku?

– Pewnie ucieszyła się pani, kiedy pojawiłem się w kościele. Szkoda, że nie mogłem uratować Tima.

Mówił dziwnym głosem, blaszanym, pozbawionym wszelkich uczuć... Liz chrząknęła lekko.

– Jak to się stało... Dlaczego przyjechał pan do kościoła?

– Tim mnie wezwał. – Zaciśnął ręce na kierownicy. – Kiedy ludzie potrzebują pomocy, wzywają policję. Mówi się, że jesteśmy na służbie. Że mamy służyć społeczeństwu. Rozumie pani, służyć...

Liz przesunęła się w stronę drzwiczek.

– A pan nie chce służyć?

– Sprytne z was kobietki – mruknął, uśmiechając się krzywo. – Pani i Rachel.

Dzięki pani mogłem rozwiązać tę zagadkę.

– Słucham?

– Cały czas zastanawiałem się, co się stało z panią pastor. Miałem pewne podejrzenia, ale nie wiedziałem tego na pewno. Już ją niby miałem, ot tak – strzelił palcami – a potem znowu nic.

Liz patrzyła na niego z rosnącym przerażeniem. Na miłość boską, miała rację, to on jest jednym z bandytów!

– Dzwoniła do pana, prawda? W sprawie Rogatego Kwiatu?

– Ludzie zawsze ufają policji. – Uśmiechnął się raz jeszcze. – Zabawne, prawda?

Ufają, mimo że nosimy broń i wiemy o nich prawie wszystko. To dlatego, że mamy dla nich pracować. Mamy im służyć.

Ostatnie słowo wypowiedział z takim naciskiem, że aż drgnęła. Znowu zaczęła rozcierać ramiona.

– Pojechał pan, żeby ją zabić, ale ona zniknęła?

Lopez skrzywił się lekko.

– Tamta noc przypominała dzisiejszą. Pioruny, błyskawice, deszcz... Nie uciekła daleko od Rajskiej Wspólnoty. Rozbiła samochód o drzewo, niestety kiedy tam dotarłem, nie było jej w środku.

Liz zaciśnęła mocno wargi, żeby nie krzyknąć. Wyobraziła sobie przerażoną siostrę, która straciła panowanie nad wozem.

– Jak pozbył się pan jej samochodu?

– Przecież pracuję w policji. Cały czas zajmuję się dowodami z miejsca zbrodni.
– Westchnął jak ktoś ciężko udręczony. – Na tym między innymi polega ta... służba. Musiałem go zabić, wie pani... No, Tima. Ta suka jak zwykle nie pomyślała o tym, że będę musiał po niej sprzątać. Nigdy nie myśli o mnie i o tym, co dla niej robię.

Z całą pewnością chodziło mu o Heather. A więc działali razem!

Porucznik Lopez pokręcił głową.

– Szkoda starego Tima. Dobry był z niego zawodnik. Zawsze go podziwiałem. A więc pastor nie należał do spisku.

– Zadzwoił po pomoc tak jak moja siostra – westchnęła, zaciskając dłonie. – Pewnie wtedy, kiedy dowiedział się, że Rachel żyje.

– Ten głupek Stephen mu powiedział. Stephen? Nie wiedziała nawet, że kościelny potrafi mówić.

Porucznik natychmiast domyślił się, co jej chodzi po głowie.

– Tak, może się w miarę normalnie porozumieć. Wydaje dźwięki, które łatwo odszyfrować, jeśli się ktoś w nie wsłucha. W dzieciństwie byliśmy dla niego bezlitośni. Śmialiśmy się z niego, wyzywaliśmy od głupków i tym podobnych. W którymś momencie po prostu przestał mówić, ale musiał pamiętać, jak to się robi. – Spojrzał na nią pustym wzrokiem. – Miał smutne życie, prawda? Szkoda, że Carla go jednak nie zabiła. Co mu po tych paru następnych latach życia? Lepiej by było, gdyby umarł.

Liz jeszcze bardziej wcisnęła się w swój kącik, czując, że robi jej się słabo. Chciała otworzyć drzwiczki i wyskoczyć z samochodu. Powstrzymywało ją tylko to, że Lopez wiedział, gdzie znajduje się jej siostra. Liz musiała ją zobaczyć.

Razem poradzą sobie z całym złem.

– A skąd wziął Biblię Rachel? I nóż?

Porucznik wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem przestraszył się. Tim poinformował mnie, że chyba widział u niego Marka Morgana, i dlatego złożyłem mu wizytę. Pokazałem mu zdjęcia Tary i Naomi oraz dokładnie opisałem potwora, którego szukaliśmy. Mówiłem mu też

o Tafcie i jego naukach... Staralem się na niego tak wpłynąć, żeby zaczął współpracować z policją i wydał nam Morgana. Ale i tak wyszło nie najgorzej... –Na jego wargach znowu pojawił się ten obrzydliwy uśmiezek. – Niektórzy ludzie po prostu nie mogą wytrzymać tego, z czym my mamy do czynienia na co dzień.

Liz wolała sobie nie wyobrażać, jak zdjęcia z miejsca zbrodni wpłynęły na Stephena. A potem jeszcze go pocięli. Każdy przestraszyłby się na jego miejscu, a co dopiero on...

Tuż przed nimi runęła na ziemię błyskawica, a zaraz potem deszcz jeszcze bardziej się rozszalał. Val przełączył wycieraczki na najwyższe obroty i zwolnił.

– Stephen widział, jak wleczono pani siostrę przez ogród.

Liz wyprostowała się gwałtownie.

– Wleczono? Kto to robił?

– Dzieciaki z Narodu Tęczy. Są jak pluskwy, po prostu nie można się ich pozbyć.

Liz przypomniała sobie młodego człowieka i jego groźby.

– Czego od niej chcieli?

– Niczego. Po prostu zrobią wszystko dla kasy.

Porucznik zamilkł. Spojrzała na niego ze strachem. Chciała jednak skorzystać z okazji i dowiedzieć się jak najwięcej.

– Współpracuje pan z Heather, prawda?

Drgnął, usłyszawszy to pytanie. Spojrzał na Liz, a ona zrobiła ponurą minę i dodała:

– Heather pomagała Taftowi. Zabił jej młodszą siostrę... pewnie zrobili to wspólnie.

Coś ludzkiego przemknęło po jego twarzy. Chyba nawet on nie mógł się z tym pogodzić. Jednak jego rysy zaraz stwardniały, a w oczach znów pojawiła się bezbrzeżna pustka.

Zrobiła pani duży błąd. Powinna była panpotraktować poważnie moje ostrzeżenia. Nie chciałem, żeby stało się pani coś złego.

- To pan zostawił mi kartkę – domyśliła się. – I martwego szczura.
- A także zapłaciłem temu gówniarzowi, żeby panią przestraszył. – Porucznik zwolnił jeszcze bardziej. – Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymał się przed pięknym domem w stylu karaibskim. Wokół białego budynku przebiegała szeroka galeria. Zielone okiennice były pozamykane. Wielka, pełna zieleni działka ogrodzona została wysokim, metalowym płotem.

Lopez otworzył drzwiczki wozu i wysiadł. Przeszedł na drugą stronę, czekając na Liz. Nie protes– towała, tylko pozwoliła się poprowadzić do środka. Myślała o tym, że musi jak najszybciej zabrać stąd Rachel i uciekać, gdzie ją oczy poniosą.

Lopez nie zadzwonił ani nie zapukał do drzwi. Najpierw nacisnął klamkę, a kiedy okazały się zamknięte, przestrzelił zamek i otworzył je jednym kopniakiem.

Wściekły wpadł do środka, wlokąc za sobą Liz. W pomieszczeniu paliły się tylko świece, rzucając dookoła ciepłe światło.

- Gdzie jesteś? – wrzasnął. – Pokaż się, ty piekielna kurwo!

Puścił Liz. Przerażona cofnęła się pod ścianę.

- Gdzie jesteś, ty dziwko Lucyfera?! – krzyknął raz jeszcze i ruszył w stronę schodów. Mijając wielki wazon pełen kwiatów, kopnął go. Naczynie rozprysło się na kawałki, a egzotyczne rośliny roz– sypały po całej podłodze.

Liz zrozumiała, że Lopez zupełnie o niej zapomniał. Przebiegła więc przez hol i zają-rzała do pierwszego pokoju, modląc się, by znaleźć siostrę na parterze. Przechodziła przez kolejne pomieszczenia, równie piękne jak hol, który sprawia iście królewskie wrażenie.

Ale wszystkie pokoje były puste. Dotarła aż do samego końca i wyszła nawet na tylną część galerii.

Zobaczyła basen ze skalnym wodospadem i położoną za nim szklarnię oraz blaszaną szopę na narzędzia.

Liz wstrzymała oddech, przypomniawszy sobie jeden ze swoich snów. Rachel znajdowała się w blaszanej puszcze i umierała.

Szopa na narzędzia. Na pewno tam ją zamknęli!

Pobiegła w jej stronę. Drzwi były zamknięte na kłódkę, a okna zabite od środka deskami. Gorączkowo rozejrzała się dookoła. Jej wzrok padł na stary szpadel, który ktoś zostawił na dworze. Wzięła go do ręki i uniosła wysoko w górę. Mimo że uderzyła z całej siły, nie udało jej się wyłamać kłódki. Uderzyła raz jeszcze i jeszcze. Zauważyła, że zawiasy zaczynają puszczać. Uderzyła z drugiej strony i... nareszcie mogła wejść do środka.

Wewnątrz panowała jeszcze większa ciemność niż na dworze. Przesunęła się nieco dalej. Poczowała odór ludzkich odchodów.

Jasna błyskawica rozdarła niebo na pół. W jej świetle dostrzegła sylwetkę w kącie szopy. To była jej siostra! Ręce i nogi miała związane, a głowa bezwładnie zwieszała się na bok.

– Rachel! – krzyknęła i pospieszyła ku niej. Uklękła przy siostrze i wzięła jej głowę w dłonie. Poczowała, że Rachel ma rozpaloną skórę. W błysku kolejnej błyskawicy dostrzegła, że usta ma całe w pęcherzach, a ręce i nogi poranione nożem. Liz rozerwała jej koszulę i kolejny błysk ukazał jeszcze gorszy widok.

Ci łąjdacy ją torturowali. Bili i żywcem przypalali. Nacięcia na jej ciele przypominały litery. Poza tym Rachel była skrajnie wychudzona i słaba. Być może w ogóle nie dawano jej jedzenia.

Liz miała łzy w oczach. Dobry Boże, kto mógł posunąć się do takiego barbarzyństwa? Kim trzeba być, żeby dokonać tak strasznych rzeczy? Do ja–kiego gatunku należeć? Bo przecież nie do ludzkiego...

Jednak zrobili to ludzie i Liz dobrze o tym wiedziała.

Rogaty Kwiat.

Heather.

Liz odwiązała sznury, którymi skrupowano ręce siostry, potem uwolniła jej nogi i zarzuciła sobie jej rękę na plecy.

- Zaraz cię stąd wydostanę, Rachel.
- Zaraz, zaraz, nie tak szybko – usłyszała cichy kobiecy głos.

Rozpoznałyby go nawet na końcu świata. Heather zaśmiała się głośno.

- Mała niespodzianka, co?

Liz popatrzyła na nią z nienawiścią.

- Żadna niespodzianka. Rozmawiałam z twoją matką.
- No tak, będę musiała kiedyś się nią zająć...
- Wiem, że pomogłaś Taftowi zamordować własną siostrę.

Heather pokręciła głową.

– Nie, to on mi pomógł – wyjaśniła z niewinną miną. – Był moim najbardziej oddanym uczniem.

Liz z trudem przełknęła ślinę. To wszystko nie chciało jej się pomieścić w głowie. Nie rozumiała, jak ktoś tak piękny może być jednocześnie do can przeżarty złem. Z przerażeniem potrząsnęła głową.

- Czy to możliwe, żebyś była aż takim pozbawionym uczuć potworem?
- Tak, tym właśnie jestem. Zresztą sama już wiesz. – Obejrzała się za siebie. –

O, idzie mój drogi Valentine. Nie jest taki jak Gavin, ale też bardzo mi oddany.

Porucznik Lopez wyglądał teraz zupełnie inaczej, niż kiedy widziała go po raz ostatni. Spokorniał i skulił się. Liz nie miała pojęcia, co między nimi zaszło, ale był całkowicie podporządkowany swej pani.

Heather jakby czytała jej w myślach.

- Będzie mnie słuchał. Daję mu coś, co mogę łatwo zabrać. Prawda, sługo?
- Odpierdol się, kurwo.

Heather nie wpadła w złość, czuło się wręcz, że wulgarność ją podnieca. Stała przed nim i pocałowała go mocno. Jej język wsuwał się i wysuwał z ust Lopeza niczym

wąż. Przesunęła dłoń w stronę jego krocza i zacisnęła ją mocno. On natomiast chwycił jej niemal białe włosy i odciągnął do tyłu głowę.

Heather roześmiała się gardłowo.

– Jeszcze chwilę. Zajmijmy się najpierw tymi śmieciami. – Wskazała na siostry.

– Rick wie o tobie – powiedziała Liz. – Dzwoniłam do niego po rozmowie z twoją matką. Na pewno już skontaktował się z biurem szeryfa i FBI. Nie wyjdziecie z –

Kłamie – powiedział Val drewnianym głosem. – Wells siedzi teraz w więzieniu. Jest podejrzany o różne rzeczy, w tym o zamordowanie śledczej Chapman.

Rick w więzieniu? Carla nie żyje?

Jakoś nie mogło jej się to wszystko pomieścić w głowie.

– Bardzo dobrze – powiedziała Heather. – Przydadzą nam się teraz te wszystkie dowody, które Valentine zbierał przeciwko Wellsowi. No cóż, dziś w nocy zginie człowiek odpowiedzialny za wszystkie morderstwa. Z przykrością jednak muszę powiadomić, że wcześniej zabije jeszcze parę niewinnych kobiet.

– Jak... – Liz poczuła, że gardło samo jej się zacisnęło, zdołała jednak jakoś się pozbierać. – Jak chcesz to zrobić?

Heather zignorowała jej pytanie i spojrzała na Lopeza.

– A co z Collinssem?

– Już się pewnie wykrwawił.

Liz wstrzymała oddech. A więc pastor żył, kiedy go zostawili.

– Sprowadzisz Wellsa?

– Jak tylko skończymy przygotowania.

– Jesteś pewny, że to możliwe?

– Oczywiście. – Porucznik uśmiechnął się zimno do Liz. – Przecież mamy panią Ames. – Wyjął broń. – Pora na nas, drogie panie.

Rachel jęknęła i zadrzała. Liz poczuła narastającą panikę. Jej siostra potrzebowała natychmiast opieki lekarskiej.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

- Do Rajskiej Wspólnoty.
- Do kościoła? Dlaczego właśnie tam?

A potem przypomniała sobie jedną ze swoich lektur. Wszystko układało się w spójną całość. Kościół stał na poświęconej ziemi. To właśnie tam zdarzył się cud. Zamknęła oczy, żeby przywołać słowa księdza Paula:

„Szatan zrobi wszystko, by zniszczyć to, co święte”.

RS

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Środa, 21 listopada 21.50

Mark z trudem posuwał się Duval Street. Zwalone drzewo, które napotkał trzy przecznice wcześniej, zmusiło go do opuszczenia samochodu. Resztę drogi do mieszkania Liz musiał pokonać pieszo.

Deszcz go oślepił, wiatr prawie uniemożliwiał marsz. Mark modlił się o siły i pomoc. Prosił Boga, by czuwał nad jego drogą.

Jego przyjaciele znaleźli się w strasznym niebezpieczeństwie. Musiał ich ostrzec.

Pastor Howard żyła.

Po wizycie porucznika Lopeza uciekł od Liz i pojechał do szpitala. Od razu domyślił się, o co chodzi policji. Potrzebowali kozła ofiarnego, a Stephen doskonale nadawał się do tej roli. Wszyscy przecież bali się Quasimoda z Key West! Ludzie odetchną z ulgą, kiedy potwór znajdzie się za kratkami, i będą tylko szeptać: „Tak, to na pewno on. Wystarczy na niego spojrzeć”.

Ale Stephen był przecież miły, łagodny i całkowicie niezdolny do okrucieństwa. Mark nie mógł pozwolić, by wrobiono go w te straszne morderstwa.

W szpitalu udało mu się zdobyć biały fartuch, dzięki czemu mógł udawać jednego z pielęgniarzy. W izolatce zastał pastora Collinsa, który modlił się przy Stephenie. Duchowny był biały jak prześcieradło. Natychmiast rozpoznał Marka i chwycił go za rękę.

– Musimy go stąd wydostać – szepnął. – Grozi mu niebezpieczeństwo.

Mark natychmiast pozbył się wszelkich podejrzeń dotyczących pastora Collinsa. Duchowny opowiedział mu o wszystkim, czego dowiedział się w szpitalu od Stephen'a. Przede wszystkim poinformował go, że pastor Howard żyje. Tej nocy, kiedy zniknęła,

Stephen widział w przykościelnym ogrodzie kobietę z butiku po drugiej stronie ulicy. To ona zarządzała całą akcją i kazała zabrać pastora Howard do swojego samochodu.

Stephen bardzo się bał. Pastor Howard ostrzegała go przed złymi ludźmi. Mówiła mu, żeby trzymał się od nich z daleka. Przekazała mu też kopertę dla siostry, ale Stephen niestety zapomniał, jak ma ją dostarczyć.

Na szczęście rozpoznał siostrę pani Rachel, ale zła kobieta przepędziła go, kiedy się do niej zbliżył. Dlatego zostawił kopertę w pokoju pastora. Wydawało mu się, że tak będzie najlepiej.

Pomodlili się najpierw wspólnie w izolatce Stephena, a następnie opracowali plan ewakuacji. Pastor miał przyjaciół w Miami. Jeden z nich był lekarzem i zarazem duchownym, dlatego najlepiej nadawał się do opieki nad pacjentem. Mark miał go tam zawieźć, a pastor w tym czasie chciał przeprowadzić własne śledztwo.

Strażnicy nie przejmowali się specjalnie Stephenem, kiedy więc poszli na kawę, Mark i pastor bez problemu zdołali zwieźć chorego na dół. Pastor przeniósł go do swojego wozu, a Mark pilnował, by nikt go przy tym nie zauważył.

Kolejny podmuch wiatru sprawił, że Mark stracił równowagę. Parę metrów pokonał na czworakach, zanim zdecydował się wstać.

Wbrew temu, co radził mu pastor Collins, nie został w Miami. Zaczekał tylko, żeby sprawdzić, czy Stephen jest cały i zdrowy, a potem udał się w drogę powrotną na Key West. Czuł, że Bóg tego właśnie chce, że musi tam się udać, a on nie mógł zawieźć Najwyższego. Już od jakiegoś czasu wydawało mu się, że trafił tam nieprzypadkowo. Początkowo sądził, że to z powodu Tary, ale teraz zrozumiał, że sprawa jest dużo poważniejsza.

Chodziło o walkę dobra ze złem. Nie mógł dopuścić, by to, co stało się z Tarą, przydarzyło się też innym dziewczętom. Nie zastanawiał się nad tym, że będzie to wymagało od niego niezwykłej odwagi, po prostu był tylko posłusznym sługą Boga. Nie wiedział, w czym może pomóc, ale wcale się tym nie przejmował. Nie bał się. Wiedział, że

są rzeczy, dla których warto żyć, ale znacznie ważniejsze od nich są te, dla których warto umierać.

Wkrótce dotarł pod dom Liz i zadarł głowę. Okna były ciemne i niezabezpieczone, lecz poza tym wszystko wyglądało normalnie. Żeby się jeszcze upewnić, nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Wbiegł szybko na górę i zastukał do jej mieszkania. Nikt mu nie odpowiedział. Jednak i tym razem udało mu się wejść do środka.

Ciemności panujące w mieszkaniu rozpraszały jedynie światła błyskawic. Mark przechodził z pokoju do pokoju, zastanawiając się, co też mogło stać się z Liz. Wszedł do łazienki. Wszystkie jej przybory toaletowe znajdowały się na miejscu, co znaczyło, że nie wyjechała z wyspy.

Tylko gdzie jej szukać?

Boże, spraw, żeby nie było za późno, modlił się w duchu.

Po chwili znowu wyszedł na dwór. Wiatr trochę ucichł, również deszcz wydawał się mniej obfity i dojmujący. Korzystając z tego, pobiegł do „Hideaway”. Rick zabezpieczył okna, a wszystkie drzwi były zamknięte.

Zaczął walić do drzwi i wołać Ricka, ale dawnego szefa oczywiście nie było w środku. W świetle błyskawic zobaczył samochód Liz, białego forda taurusa z tablicami z Missouri. Stał prawie na środku Duval Street i był pusty. Mark poczuł, że nogi ugięły się pod nim ze strachu.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Wraz z powietrzem wyrzucił z siebie strach. Szybko podbiegł do wozu. Zauważył kluczyki w stacyjce i telefon Liz na desce rozdzielczej.

To nie wróżyło niczego dobrego. Wyprostował się i rozejrzał dookoła. Okoliczne sklepy były zupełnie ciemne. Nieopodal stało kilka pustych samochodów, zapewne porzuconych przez właścicieli, a dalej bieliła się dumna sylwetka kościoła Rajskiej Wspólnoty.

Mark sięgnął po komórkę i włączył ją. Odetchnął z ulgą, kiedy wyświetlacz zaślnił zielonym światłem, wkrótce jednak pojawiła się informacja o braku zasięgu.

Jęknął tylko i rzucił telefon na przednie siedzenie. Fala deszczu uderzyła w niego z dawną furią. Panie, pomóż mi, bo nie wiem, co dalej, ciągnął modlitwę.

Bóg nie zwlekał z odpowiedzią. Mark zwrócił nagle uwagę na fasadę kościoła.

To tam wszystko się zaczęło.

Tam powinien pójść.

Wziął kluczyki oraz komórkę Liz, i opierając się wiatrowi, ruszył w stronę Rajskiej Wspólnoty.

Również drzwi do kościoła były otwarte, lecz w środku, zapewne z powodu braku prądu, nie było

światła. Panowała tu dziwna cisza, jedynie z zewnątrz dobiegały odgłosy deszczu.

– Liz, to ja, Mark! – zawołał. – Jesteś tutaj?

Poszedł w stronę sanktuarium. Palilo się tu jedynie wieczne światełko, otaczając wszystko swoim ciepłym blaskiem. Znowu zawołał Liz, a potem Tima. Słowa wróciły do niego zwielokrotnionym echem. Okno z witrażami, znajdujące się za ołtarzem, rozjaśniło się na chwilę różnymi kolorami. Mark uniósł głowę. Po prawej stronie ołtarza znajdował się ciemny i pusty chór.

Liz tu nie było.

Nie wiedział, dlaczego jest tego pewny, ale nie kwestionował tego. Wziął świecę z ołtarza, zapalił ją od wiecznego światełka i ruszył dalej. Zajrzał do Sali lekcyjnej i kancelarii, a na koniec skierował się do pokoju pastora.

Drzwi były otwarte. Mark przełknął ślinę i zajrzał do środka. Natychmiast zauważył Tima, który leżał na podłodze tuż przy swoim biurku. Koszula na jego piersi zabarwiła się na czerwono.

Mark westchnął i szybko pospieszył w stronę pastora.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Środa, 21 listopada 22.00

Liz z duszą na ramieniu stuknęła do zamkniętych drzwi zakrystii, oglądając się co chwila za siebie.

– Wypuście nas! – krzyżała. – Moja siostra potrzebuje pomocy! Niech nas ktoś wypuści!

To Val zamknął je w pomieszczeniu, w którym pastor zwykle przygotowywał się do nabożeństwa. Liz po raz kolejny spojrzała na Rachel. Siostra oddychała płytko. Jej blada i cienka jak pergamin skóra wydawała się napięta do granic możliwości. Wyglądała w tej chwili jak żywy trup z jakiegoś horroru. Jej wargi i wnętrze ust pokrywały pęcherze i strupy. W czasie drogi do kościoła tylko raz otworzyła oczy. Patrzyła jednak tępo i chyba nie poznała siostry.

To już była agonia.

Liz poczuła, jak serce podeszło jej do gardła, i zaczęła jeszcze mocniej walić do drzwi.

– Na pomoc! Na pomoc!!!

Odpowiedziało jej tylko wycie wiatru. Podbiegła więc do siostry. Musi sama jej pomóc. Próbowwała przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała na temat stanów długotrwałego wycieńczenia.

Rachel na pewno była bardzo odwodniona, bo jak przypuszczała Liz, trzymano ją w tej szopie prawie bez picia, dając jej jedynie trochę jedzenia, a podczas normalnej pogody musiało tam być gorąco i duszno. Siostra miała też wysoką gorączkę, co oznaczało infekcję albo... udar cieplny. Przyjaciółka ze studiów miała kiedyś taki udar.

Kiedy ją znaleziono, była prawie nieprzytomna i gorąca jak piec. W szpitalu powoli ją wychłodzono i podawano dużo płynów.

Udar cieplny może prowadzić do uszkodzenia nerek, a w konsekwencji do śmierci.

Trzeba więc jak najszybciej obniżyć temperaturę Rachel i dać jej coś do picia.

Liz oderwała kawałek swojej mokrej koszulki i pochyliła się nad siostrą. Zaczęła wyciskać materiał, i parę kropeł deszczu spłynęło na wargi Rachel, która poruszyła ustami.

Liz zdjęła koszulkę i powtarzała to aż do wyczerpania wody. Złożyła jednak wilgotny materiał i przycisnęła go do rozpalonego czoła Rachel.

Patrzyła na nią z ogromnym bólem. Wyobrażała sobie piekło, przez jakie musiała przejść w ciągu ostatnich miesięcy, a wszystko z powodu Heather Black.

Liz zamknęła oczy, chcąc pokonać łzy. Dlaczego Heather to zrobiła? Dlaczego jeden człowiek potrafi być tak okrutny dla drugiego? Zadrzała ze strachu i bezsilnej wściekłości. Uniosła twarz ku niebu, jakby tam właśnie kryła się odpowiedź na wszystkie dręczące pytania. Jakby to mogło ulżyć jej w bólu...

– Nie płacz.

Liz wstrzymała oddech i spojrzała na siostrę. Rachel miała otwarte oczy. Patrzyła na nią zezdziwieniem, w charakterystyczny dla niej sposób, który Liz tak dobrze знаła.

– Cześć, kochanie. – Z uśmiechem sięgnęła po rękę siostry. – Tak długo cię szukałam.

Rachel przymknęła oczy, ale zaraz je otworzyła.

– Modliłam się... żebyś mnie znalazła.

Liz znowu zadrzała. Pomyślała, że niestety stało się to zbyt późno.

– No i jestem. – Ścisnęła palce Rachel. – Bardzo cię kocham.

– Ja ciebie... też.

– Oszczędzaj siły – powiedziała natychmiast Liz, widząc, że mówienie sprawia siostrze kłopoty.

– Nie, nie... To wszystko przeze... mnie.

– Nie, Rachel. Przepraszam cię za naszą ostatnią rozmowę. Tak mi z tego powodu przykro.

– Powinam ci była... powiedzieć. Bałam się... o ciebie. – Zaczęła trząść się jak w febrze.

Liz sprawdziła mokrą koszulkę i przełożyła ją na drugą stronę.

– Naprawdę musisz oszczędzać siły.

Rachel próbowała ścisnąć jej dłoń, ale z nikłym powodzeniem.

– Nie rozumiesz... ciało tylko powłoką. Życie... chwilą w wieczności...

Zamknęła oczy i Liz myślała, że znowu pogrążyła się w odmętach nieświadomości. Jednak siostra poruszyła się i rozchyliła wargi.

– To wiara trzymała mnie przy... życiu. Ona... nie rozumie... Im bardziej chciała ją zniszczyć, tym... tym była moc... niejsza.

Kolejny dreszcz przebiegł przez ciało Rachel i Liz delikatnie ją podtrzymała. Gładziła po włosach, lekko masując głowę, jak kiedyś, w dzieciństwie.

– Nie pozwolę ci umrzeć – powiedziała żarliwie, jakby chciała przekonać o tym samą siebie. – Już raz cię straciłam i nie dopuszczę, żeby to się stało po raz drugi.

Rachel poruszyła ustami, ale nie zdołała wydobyć z siebie słowa. Liz pochyliła się jeszcze bardziej. Poczuła oddech siostry na policzku, ale nic nie usłyszała. Zaczęła więc znowu gładzić jej włosy.

– Pamiętasz Boże Narodzenie, które spędziłyśmy w Vermoncie u dziadków? – spytała cicho. – Nigdy wcześniej nie widziałyśmy tyle śniegu. Tak długo bawiłyśmy się na dworze, że jeszcze następnego dnia miałyśmy różowe policzki. – Liz uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Dziadek zabrał nas na przejażdżkę saniami – ciągnęła. – Do dzisiaj pamiętam pobrzękiwanie dzwoneczków i smak babcinej czekolady z termosu. I obłoczki pary, które wydychałyśmy.

Spojrzała na siostrę. Rachel miała zamknięte oczy, ale Liz wiedziała, że jej słucha i że te słowa działają na nią kojąco. Ciągnęła więc, przywołując inne wspomnienia związane z ich dzieciństwem i wczesną młodością.

Od strony kościoła dobiegły do nich jakieś głosy.

– Zaraz wracam – szepnęła Liz i podeszła do drzwi.

Kiedy przyłożyła ucho do dziurki od klucza, usłyszała głos Heather.

– ...mówiłeś, że nie żyje.

– No jasne. Przecież strzeliłem mu prosto w pierś – odezwał się drugi głos.

Lopez, pomyślała. Mówili chyba o pastorze Collinsie.

– Więc gdzie jest, do diabła?!

– Kiedy wychodziłem, leżał w swoim pokoju. Ciagle krwawił.

Czyżby pastor jednak zdołał przeżyć? – pomyślała gorączkowo Liz. Gdyby udało mu się stąd uciec, wtedy...

– Wcale mi się to nie podoba.

– A myślisz, że ja jestem z tego powodu szczęśliwy? To przez ciebie mamy problemy z pastorem. Powinnaś była od razu ją zabić i tyle – ciągnął ze złością Val. – A ty kazałaś tym dzieciakom z Narodu Tęczy, żeby ją do ciebie przywieźli. I po co? Bez niej też mamy sporo problemów...

Rachel Howard nie jest twoim problemem.

– Tak, tylko że to ja muszę po tobie sprzątać! Wszystko ma być w porządku, co?

– Właśnie.

– Do cholery z tobą! – wrzasnął. – Zajmij się nimi, a ja umyвам ręce!

Po tych słowach nastąpiła cisza. Liz przycisnęła ucho mocniej do drzwi. Kiedy Heather znowu przemówiła, głos jej się zmienił. Stał się teraz bardziej szorstki i odstręczający.

– Posłuchaj, Valentine, nie wyjdiesz z tego cało. Ja mogę uciec, ale ty nigdy. Za dużo zostawiłeś po sobie śladów.

– Mógłbym cię teraz zabić – zniżył głos. – Nawet powinienem. Biedna Heather Black stałaby się kolejną ofiarą Ricka Wellsa.

Tylko się zaśmiała.

– Ale tego nie zrobisz. Tylko raz skorzystałeś z noża i już się przestraszyłeś, a przecież doskonale wiesz, co będzie, jeśli pani pastor i jej siostra nie zostaną zamordowane w ten sam sposób. Policja natychmiast połapie się, że coś jest nie tak, i wtedy już nikt nie uwierzy w twoją historyjkę. Być może się mylę, ale nie sądzę, żeby ci się spodobało w więzieniu, a już zwłaszcza w celi śmierci.

Tym razem to Val zamilkł. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Musisz wiedzieć, że nawet ja nie mogę wszystkiego.
- Nie chcę nic o tym słyszeć. To dzięki mnie jesteś bogaty, Valentine. Powinieneś okazać mi wdzięczność.
- Pieprzę cię!
- To będzie miłe zakończenie. Oczywiście zajmiemy się tym, ale trochę później.

A teraz sprowadź tu Wellsa.

RS

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Środa, 21 listopada 22.25

Rick chodził po pokoju w komendzie, starając się poukładać wszystko w głowie. Jak do tej pory mieli cztery ofiary: Tarę Mancuso, Naomi Pearson, blondynkę z Big Pine Key, no i jeszcze Carlę Chapman. Wiele również wskazywało na to, że zabito też pastor Howard.

Poza tym należałoby do tego doliczyć lubieżnego bankiera, który załatwiał komuś lewe pożyczki, chociaż wszystko wskazywało na to, że popełnił samobójstwo. Być może kasetą Carli wyjaśni tę sprawę. Na dodatek w grę wchodziła satanistyczna organizacja o nazwie Rogaty Kwiat. Rick nie sądził, żeby była bezpośrednio zaangażowana w te morderstwa, lecz na pewno w narkotyki i prostytutkę nieletnich.

No i do tego dochodził niegdys ucziwy gliniarz, który stał się mordercą.

Rick przystanął na chwilę i zamknął oczy, chcąc zapomnieć o osobistym aspekcie sprawy. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby żal i złość zablokowały mu możliwość logicznego myślenia.

Od tego zależało jego życie. Domyślił się już, że Val ma plan dotyczący jego osoby, ale nie wiedział, czy zechce go zabić osobiście, na przykład przy próbie ucieczki, czy też zostawi to sądom.

Val wraz ze współniczką, a może współnikami, zaczął wszystko czyścić po sobie. Dzisiaj chcieli zatrzeć ostatnie ślady. Nie mieli innego wyjścia. Znaleźli już kozła ofiarnego i musieli to jak najszybciej wykorzystać.

Pomyślał o Liz i strach zaczął w nim narastać niczym zimna fala. Ona też im zawadzała. Być może jako ostatnia...

A on był zupełnie bezradny.

– Cholerny skurwysyn! – mruknął, zaciskając dłonie skute kajdankami.

Spokojnie, Wells – odezwał się z rogu pokoju policjant. Chciał, żeby jego głos zabrzmiał grubo, ale wypadło to dosyć załośnie.

Rick nie zwrócił na niego uwagi, koncentrując się na faktach. Tara Mancuso związała się z Rogatym Kwiatem, przez co musiała oddawać się staremu Bernhardtowi i być może innym lubieżnikom. Chciała z tego wyjść i zapewne dlatego opowiedziała o wszystkim pani pastor. A ta z kolei poszła z tym do Vala.

I to oznaczało koniec siostry Liz.

Rick znowu zacisnął palce. Do licha! Co spowodowało, że dawny kumpel stał się mordercą? Chciwość? Wielu policjantów dało się już na to nabrać. Często stykali się z wielkimi pieniędzmi i nawet nie mogli ich dotknąć. To pewnie Val korzystał z tych lewych pożyczek. Najpierw zaspokajał przeróżne potrzeby Bernhardta, a potem zaczął go szantażować. Być może nawet sam obmyślił ten plan.

Alęż tak! Rick zatrzymał się gwałtownie. Bernhardt nie mógł już tego znieść i albo sam, albo z czyjąś pomocą wyskoczył z balkonu. To musiało uderzyć też w Naomi Pearson, bo zarządzała stroną komputerową przedsięwzięcia. Musiała poczuć się szczególnie zagrożona, wiedziała bowiem, że policja prędzej czy później do niej trafi.

To oznaczało koniec Naomi Pearson. Musiała umrzeć.

W tym momencie do akcji włączyła się Carla. Becky zapewne wspomniała szefowi o incydencie z wykazem rozmów telefonicznych i Val od razu wszystkiego się domyślił. Jest przecież inteligentnym facetem.

–To oznaczało koniec Carli.

Według niego kolejną ofiarą Vala padła albo Heather Black, która wiedziała o całej sprawie, albo ta druga nastolatka, która była u Bernhardta. Następna miała być Liz Ames.

Lopez czyścił po sobie teren.

Rick odwrócił się do Waltersa.

- Jak długo pracujesz w policji, chłopcze?
- Trzy tygodnie.
- Naprawdę? – Rick spojrział na niego ze współ– czuciem. – Sam kiedyś byłem gliną.
- Tak, słyszałem.
- Przez sześć lat pracowałem w Miami–Dade. Widziałem takie rzeczy, że włosy by ci stanęły dęba na głowie.
- Na przykład? – spytał nieco już przestraszony policjant.
- Wojny gangów, morderstwa, ofiary narkotyków, wszystko, co zechcesz. W Miami było dużo narkotyków. Wiązało się to z wielką forszą. Nie– którzy policjanci nie mogli się oprzeć pokusie.

Walters spojrział w stronę drzwi. Najwyraźniej go to interesowało, ale bał się, że ktoś go przyłapie na rozmowie z zatrzymanym.

- Wiesz, jak rozpoznać trefnego glinę, Walters?
- Chłopak pokręcił głową.

– Po tym, że zaczyna łamać przepisy – odparł Rick. – Na początku są to drobni– zgi, ale potem coraz więcej rzeczy przestaje się zgadzać. Niszczenie lub podmiana do– wodów na przykład. Trefny glina szuka łatwego zarobku i wydaje coraz więcej pieniē– dzy. Bardzo szybko okazuje się, że tkwi w bagnie po samą szyję i jest gotów posunąć się do najgorszego.

- Wiem, o co ci chodzi, Wells. Ale to się ze mną nie uda.

Rick nie zwrócił na niego uwagi.

- Czy w szkole nie uczyli cię o zabezpieczeniu miejsca morderstwa?
- Jasne, że uczyli. Zabezpiecza je oficer, który wzywa pomoc i ekipę techniczną.
- Po co?
- Żeby niczego nie zmieniać. Wszystko ma być tak, jak w momencie morder– stwa. Jeśli zniszczy się dowody, maleje możliwość wykrycia sprawców.

Rick pokiwał z uznaniem głową.

– A co się dzieje, jeśli ginie oficer policji?
– Wtedy trzeba bezzwłocznie zawiadomić wszystkich, łącznie z szefem. Sprawa musi być jak najszybciej wyjaśniona – wyrecytował Walters.

– Właśnie. A porucznik Lopez zostawił śledczą Chapman w kałuży krwi. Nikogo nie wezwał. Nie zabezpieczył miejsca morderstwa. Jak sądzisz, dlaczego?

– To ty tak twierdzisz, Wells. – Młody sierżant uśmiechnął się nerwowo.

– Bo tak było – rzekł z naciskiem Rick. – I nie miało to nic wspólnego z prawem czy przepisami.

– A dlaczego mam ci wierzyć? Porucznik Lopez jest moim szefem i odpowiada bezpośrednio przed samym komendantem.

Val dobrze wybrał. Walters był młody i niedoświadczony, ale za to lojalny. Nie czuł się jeszcze zbyt pewnie w policji i dlatego bał się samodzielnie – nie myśleć.

Mimo to Rick spróbował raz jeszcze.

– Obudź się, Walters, zanim będzie za późno. To Lopez zabił Carle, a być może chce również zabić ciebie...

– Zamknij się! – wrzasnął sierżant. – Zamknij się, bo...

W tym momencie zadzwonił telefon i chłopak drżącą ręką podniósł słuchawkę.

– Tak, sierżant Walters – powiedział. – Tak, panie poruczniku, jest tutaj. Nie miałem z nim żadnych problemów. – Słuchał przez chwilę, a potem zerknął na Ricka. – Przywieź świadka do Rajskiej Wspólnoty? Tak, oczywiście.

Do licha, dlaczego Val postanowił go stąd wyciągnąć? Czyżby chciał zlikwidować wszystkich świadków? Bardzo prawdopodobne.

Nic z tego – oświadczył Rick. – Nigdzie nie jadę bez adwokata.

– Panie poruczniku, zatrzymany odmawia wyjazdu. Chce adwokata. – Chłopak słuchał przez moment, a następnie skinął głową. – Tak, zaraz to zrobię.

– Zastanów się, co stanowi regulamin. Czy wolno podejrzanego o zabójstwo śledczej wywozić z budynku policji? Czy można komukolwiek odmówić adwokata? Jak sądzisz, co to oznacza?

Walters spojrział na niego wyraźnie wstrząśnięty.

Chrząknął, żeby dodać sobie odwagi.

– Tak, panie poruczniku. Już...

Policjant wyciągnął słuchawkę w stronę Ricka.

– Chce... chce z panem rozmawiać.

Rick wziął słuchawkę z rąk sierżanta.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, ty skur...

– Cześć, Rick – zaśmiał się Val. – Mam tutaj Liz. Jesteśmy w kościele. Może jednak pozwolisz Waltersowi się przywieźć?

– Ty skurwysynu. Jeśli tylko ją tkniesz...

– Walters wie, co ma robić – ciągnął Lopez, jakby w ogóle go nie słyszał. – Radzę ci słuchać, jeśli nie chcesz jej stracić, tak jak straciłeś Jill.

– Chcę z nią mówić – warknął Rick. – Nigdzie nie pojedę, jeśli nie będę miał pewności...

Val zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Pojedziesz, pojedziesz. Zrobisz wszystko, co ci każę. – Urwał na chwilę. – Radzę ci się pospieszyć, Rick.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Środa, 21 listopada 22.50

Walters ominął jeszcze jedną gałąź i zatrzymał wóz przed ciemną sylwetką kościoła. Rick zauważył niewielkie światelko przez witrażowe okno niedaleko ołtarza. Świece, pomyślał.

Sierzant otworzył drzwiczki po jego stronie.

– Wysiadaj.

Rick wysunął nogi z samochodu i stanął na chodniku. Na rękach wciąż miał kajdanki.

– Uważaj, to jest pułapka. Inaczej po co kazałby mnie tu przywozić?

– Zamknij się, Wells. – Chłopak pchnął go do przodu. – I tak mam już tego dosyć. Cały dzień siedzę w pracy.

– To przynajmniej uważaj. Trzymaj pistolet w pogotowiu, bo może się przydać.

Rick spojrział przez ramię. Walters był blady i skulony. Rozglądał się niepewnie dookoła.

Jak będzie się bał, może nie zginie, pomyślał Rick, wchodząc do ciemnego przed-sionka.

Val odezwał się od strony ołtarza.

– Tutaj, Walters.

Sierzant pchnął Ricka w tamtym kierunku. Chłopak był bardzo spięty i nie mógł wydobyć z siebie głosu. Tylko uważaj, dopingował go w duchu Rick.

Val uśmiechnął się do nich.

– Dziękuję, że go tu sprowadziłeś, Walters.

– Żaden problem – mruknął policjant i spojrzał w stronę ołtarza. – Co tu się dzieje, panie poruczniku?

– A to – powiedział Lopez.

Dopiero teraz dostrzegli pistolet w jego dłoni. Wystrzelił z niego tak szybko, że Walters nie zdążył nawet sięgnąć do swojej rozpiętej kabury. Spojrzał tylko z bezbrzeżnym zdziwieniem na przełożonego, ale zaraz dosięgła go druga kula. Chłopak zgiął się w pół i runął na posadzkę.

– Ty sukinsynu! – Rick podskoczył w stronę dawnego kumpla. – Dlaczego właśnie jego?

Val uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby ganił niezbyt rozgarniętego ucznia.

– Nie bądź głupi, Rick. Sam znasz odpowiedź na to pytanie.

Tak, znał. Żadnych świadków. Żadnych śladów.

– Nie ujdzie ci to na sucho. Przysięgam Bogu, że zrobię wszystko, żebyś skończył na krześle elektrycznym.

– Bogu? I to w kościele? To chyba grzech, co, Rick? – zachichotał złowieszczo.
– Pewnie skończysz w piekle.

– Gdzie jest Liz? Co z nią zrobiłeś?

Val znowu się zaśmiał.

– Bardzo się cieszę, że jesteś zdenerwowany. Zawsze odgrywałeś twardziela.

– Jeśli coś jej zrobiłeś, to...

Val wyciągnął rękę, by go uciszyć.

– Jak na razie jest cała i zdrowa. No, chodźcie. – Wykonał gest w stronę zakrystii.

Z cienia wyszła Liz, która podtrzymywała inną kobietę, zbyt słabą, żeby stać samodzielnie.

– Liz! – Rick chciał pospieszyć w jej stronę.

– Zaczekaj, kochasiu! – Te słowa wypowiedziała Heather, która pojawiła się tuż za nimi i przystawiła pistolet do głowy Liz.

- A więc to ścierwo żyje – mruknął Rick.
- Bardzo trafne spostrzeżenie – zaśmiał się Val.
- Więc kogo znaleziono na Big Pine Key? Jasne, tę drugą dziewczynę, która była wtedy u Bernhardta...

Biedna Stephanie. Szkoda jej, bo mała miała prawdziwy talent. Dwie dzikie kocice, ona i Tara. Larry bardzo je lubił. – Heather urwała, jakby przypomniawszy sobie coś przyjemnego. – Zginęła z powodu Tary. To ona poprosiła Stephanie, żeby pozwoliła jej odejść z powodu dziecka. Jakby mnie to cokolwiek obchodziło! Ale nie mogłam dopuścić, żeby Stephanie komukolwiek o tym opowiedziała.

– Spojrzała na Vala. – Przynieś krzesło. – Szybko spełnił jej rozkaz. – Carla bardzo nam pomogła, znajdując kasety wideo – ciągnęła Heather. – Nie miałam pojęcia, że Larry to wszystko nagrywał, chociaż mogłam się tego domyślić. Na szczęście jedna z moich wiernych z Sunset Key, która jest administratorką, wyczuła pismo nosem. Nie musicie się o nie martwić. Zniszczę je, tylko wcześniej chciałabym je obejrzeć i przypomnieć sobie dawne dobre czasy...

Val przyniósł krzesło z zakrystii i postawił je pod chórem, obok Liz. Następnie podszedł do sióstr i posadził na nim nieprzytomną pastor Howard. Omal nie upadła, ale ją podtrzymał.

- Rachel! – Liz natychmiast chwyciła ją z drugiej strony.

Czyżby to była jej siostra? Rick spojrzał z niedowierzaniem na Liz. Popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Zwiąż ją.

Rick z ironią zwrócił się do Heather:

– Tak bez „dziękuję” i „proszę”? Same rozkazy? Mimo że jest pani psychopatką, mogłaby pani zachować formy towarzyskie.

– Bardzo zabawne, panie Wells. – Heather wyjęła sznur z plastikowej torby i rzuciła go w stronę Vala. – Do roboty, Valentine.

– Skaczesz, jak ci zagra – zaśmiał się Rick. – Proszę, wielki porucznik Lopez słucha takiej suki.

– Zamknij gębę – warknęła Val i zabrał się do wiązania. Szarpnął ramię Liz, aż jęknęła. – No co, jeszcze chcesz żartować?

Rick nie miał na to ochoty. Val już bez przeszkód związał dłonie Liz.

– No, dawaj ją – warknęła Heather.

– A nogi? – spytał zdziwiony.

– Nie trzeba. – Machnęła niecierpliwie ręką. – Przyrowadź ją szybko.

Val pechnął Liz w kierunku ołtarza. Potknęła się i krzyknęła ze strachu.

Rick przesunął się w stronę dawnego kumpla, ale Val wycelował w plecy Liz.

– Uważaj, stary.

Rick wycofał się z bijącym sercem.

– Daj jej spokój – mruknął.

– Ale z ciebie rycerz. Lecisz, kiedy tylko głośniej jęknie. Czekasz niczym piesek na każde jej skinienie.

Rick wskazał głową Heather.

– To lepsze niż być jej popychadłem.

– Tak sądzisz? – Oczy porucznika nabrały dziwnego blasku. – Nie masz pojęcia, jak można wykorzystać stanowisko w policji. To Heather mnie tego nauczyła. Jak wygrywać najmniejsze ludzkie słabości, żeby zdobyć wszystko, wszystko! Pieniądze, władzę, szacunek... Widziałeś, jak mi się ludzie kłaniają? Jak się mnie boją? A czy ktoś przejmuje się takim dupkiem jak ty? – Zadarł głowę do góry i krzyknął wprost do nieba: – Jestem królem Key West!

– Nie, dupku, jesteś nikim – rzekł z pogardą Rick. – Zwykłym kryminalistą, który zgnije w więzieniu, jeśli wcześniej nie trafi na krzesło elektryczne.

Val pobladł ze złości. Ręce zaczęły mu się trząść.

– Łatwo ci tak mówić, skoro miałeś wszystko: bogatych rodziców, najlepsze zabawki, harleya za zdanie matury, fajne wakacje...

Rick potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Więc chodzi ci o pieniądze? – zdziwił się. – Jesteś o nie zazdrosny?
- Powinieneś zostać w Miami – mruknął Val. – Byłbyś tam bezpieczny.

Ty i Sam.

Rick poczuł, że robi mu się zimno, natomiast Val zapatrzył się w ciemność i ciągnął dalej:

- Ale musiałeś, gnoju, wrócić na moją wyspę. A wszystko szło mi tak dobrze...
- Nie chciałeś, żebym tu był? Więc dlaczego zaproponowałeś mi pracę, Val?
- To szef ciebie chciał, nie ja. Co miałem zrobić? Odradzać mu zatrudnienie takiego specjalisty? Gliniarza z wielkiego miasta... – Porucznik urwał na chwilę. – Wiedziałem, że nie będziesz tolerował moich drobnych przekrętów, bo już taki z ciebie nadęty prawiczek, a że jesteś sprytny, musiałem się ciebie pozbyć. To ja zorganizowałem włamanie do twojego domu.

Rick kręcił głową, nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

Nasłałeś na mnie dwóch opryszków, chociaż wiedziałeś, że w domu jest dziecko? – spytał z niedowierzaniem.

- Tak, tylko trochę mi nie wyszło. Chłopcy się przestraszyli i zabili tylko chłopaka...
- Ale przecież... raport... – powiedział słabnącym głosem Rick.
- Sam czuwałem nad jego przygotowaniem – rzekł triumfalnie Val. – To cię zupełnie wykończyło i wreszcie stałeś się niegroźny.

Z gardła Ricka wydobył się przerażający jęk rannego zwierzęcia.

- Tak naprawdę wcale go nie zabiłeś, tylko jeden z tych partaczy – dodał Lopez.

Rick opadł na kolana z zaciśniętymi rękami.

Przecież ufał Valowi jak bratu! I tak go zawsze traktował. Nie mógł pojąć, skąd wzięła się w nim ta głębia nienawiści do niego i jego rodziny. Przypo– mniał sobie Sama, którego Val trzymał w swoich ramionach. Wydało mu się to zupełnie nierealne i bezsensowne.

– Nawet nie wiesz, jaką frajdę sprawiło mi twoje cierpienie. To była zemsta za to wszystko, co mi zabrałeś, włączając w to Jill. Ona miała być moja! Słyszysz, moja! – Val wyprostował się i powiódł dookoła wzrokiem. – Ta wyspa powinna należeć do mnie. To moi przodkowie byli tu pierwsi. A potem przyjechali różni ludzie, tacy jak twoi rodzice, a my musieliśmy wam służyć. Po prostu służyć! – Lopez zaczął się śmiać, a jego głos odbijał się echem w całym kościele. – Ale to już się skończyło. Słyszysz, dosyć tego!

Rick spojrział na krzyż ustawiony za ołtarzem i poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Krucyfiks miał około pięciu metrów, był zrobiony z nieheblowanego drewna i musiał przypominać ten, na którym zginął Chrystus. Postać Umęczonego wyrzeźbiono bezpośrednio w drewnie krzyża, wiernie oddając głębię ludzkiego cierpienia.

Popatrzył wyżej na okrągły witraż, który przedstawiał zmartwychwstałego Jezusa.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że walka się jeszcze nie skończyła. Nie mógł pozwolić, by zatriumfował taki gad, takie zakompleksione zero. Nigdy!

Przeniósł wzrok na Liz. Natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi. Wiedziała, że poświęci życie, byle tylko ją ratować.

– Uwielbiałem cię, Val – powiedział, prostując się. – I zawsze traktowałem jak brata...

– Idź do diabła – mruknął porucznik.

Zabrzmiało to groteskowo, bo Lopez wysyłał go do swojego szefa...

Rick natarł na Vala z głośnym krzykiem. Za– skoczył go i udało mu się wybić pistolet z jego ręki.

Korzystając z przewagi wzrostu, przyparł go do ściany, a potem walnął kajdankami w tę jego przy– stojną buźkę.

Lopez zaskowyczał. Całą twarz miał we krwi.

Rick błyskawicznie padł na kolana, szukając pistoletu, i wkrótce go znalazł. Teraz miał przewagę. Czuł, że wygrał tę bitwę.

Ale w tym momencie usłyszał metaliczny szczęk. Obrócił się. Heather przystawiła swój pistolet do głowy Liz.

– Masz wybór – powiedziała. – Życie za życie.

Rick zacisnął dłoń na pistolecie. Tak dawno nie trzymał broni w ręku. Nagle przypomniał sobie Sama. A potem pomyślał o Liz... Przez chwilę zastanawiał się, jakie ma szanse i stwierdził, że żadnych. Heather na pewno zastrzeli Liz, a może nawet ich oboje...

Nie chciał, żeby zginęła.

Z żalem pomyślał o tym, że nie może zabić Vala.

– Jakie to szlachetne – wycedziła Heather, kiedy rzucił pistolet na posadzkę. – Szlachetne i głupie. A teraz wstawaj, Wells. Szybko.

RS

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Środa, 21 listopada 23.25

Liz patrzyła, jak Rick wolno się podnosi. Lopez zabrał swój pistolet i podszedł do niego. Z nosa i ust płynęła mu krew. Podniósł broń i przystawił lufę do głowy Ricka. Liz dostrzegła jego palec na języczku spustowym. Porucznik aż trząsał się z wściekłości.

- No, strzelaj – drażnił go Rick. – Na co czekasz, naciśnij spust, ty tchórze.
- Uważaj, bo naprawdę to zrobię.
- No, chuju! Skończ ze mną.
- Nie! – krzyknęła Liz.

Heather zaśmiała się z radości i zaklaskała w dłonie jak małe dziecko. Cieszyły ją przekleństwa, strach, nienawiść, cieszyło wszelkie zło, które było niczym innym, jak zaprzeczeniem ładu opartego na dekalogu i deformacją widzialnych kształtów. Dlatego uradowała ją również karykaturalnie zniekształcona twarz Lopeza.

- Brawo, Liz – mruknęła wciąż rozbawiona.
- Lojalność i oddanie. Naprawdę jestem pod wrażeniem. – Następnie zwróciła się do Lopeza: – Zrób coś, żeby to się nie powtórzyło.

- Daj mi linę – rzekł sucho porucznik. – Zobaczysz, nawet się nie ruszy.

Zrobiła, o co prosił, a następnie powiedziała z ironią do Liz:

- Ciekawe, czy twój ukochany też będzie błagał, żebyś darowała ci życie? I czy twoja siostra zrobi to samo? – Zerknęła na półprzytomną pastor Howard.

- Liz znalazła się tutaj z twojego powodu, Rachel. Dlatego, że tak bardzo cię kocha – syknęła tak, że aż ciarki przeszły Liz po plecach. – Jest tutaj, ponieważ ty wciąż w Niego wierzysz.

Liz uniosła głowę i zobaczyła cierpiącego Chrystusa. Przypomniała sobie to, co mówiła jej siostra, i nareszcie zrozumiała, o co tak naprawdę toczy się gra między dwiema kobietami. Gra? Nie, to była biblijna walka o najświętsze wartości.

– Nie sądzę, żeby Rachel się nad tobą zlitowała – powiedziała Heather do Liz. – Nie chciała uratować ani Tary, ani Naomi Pearson.

Rachel jęknęła ze strachu i wycieńczenia.

– A chcę od niej tylko trzech małych słów. To mi zupełnie wystarczy. – Heather schyliła się i z plastikowej torby wyjęła gumowe rękawice. – Trzech słów. Wiesz, o co mi chodzi? – Gdy Liz pokręciła głową, czcicielka Lucyfera spojrzała na pastor Howard. – Ale ty wiesz, prawda, Rachel? No, powtórz za mną... Wyrzekam się Go.

Nieszczęsna pastor jeszcze bardziej zwiesiła głowę, a jej łzy zaczęły kapać na podłogę. Liz tylko westchnęła i pomyślała o księdzu Paulu.

„Szatan zrobi wszystko, by zniszczyć to, co święte”.

– Tylko tego od niej chcę, o to proszę już od wielu tygodni, i to codziennie. Czasami nawet po kilka razy. Prawie już umarła, ale ją odratowałam. Chciałam dać jej szansę, ale ona nie ma zamiaru z niej skorzystać. Jest żałosna w tej swojej wierze w bezsilnego pseudozbawcę, tego mięczaka, który mógł zostać królem świata, ale jak dumny baran dał się przybić do dwóch patyków. – Heather westchnęła ciężko. – Widzę, Liz, że mną pogardzasz, ale to twoja siostra nie chciała ode mnie ani jedzenia, ani picia. Cały czas cierpi tylko z powodu tego swojego fałszywego idola. – Wskazała krucyfiks, krzywiąc się z nienawiści. – To ten impotent, który zatracił wszelką moc, ale nadal wabi głupich, co to nie chcą przejrzeć na oczy i ujrzeć prawdy, odpowiada za stan, w jakim się znalazła, a nie ja.

Zło, które emanowało od tej kobiety, sprawiało, że w tej chwili wydawała się brzydka i stara, jak w bajkach, kiedy czarownica przybiera nagle swoją prawdziwą postać.

– Nie uda ci się z tego wywinąć – rzuciła przez zęby Liz. – Skończysz jak Taft, który się upiecze na krześle elektrycznym...

- Ale ty pierwsza – powiedziała Heather, wyjmując z worka czarny pakunek.

Kiedy go rozwinęła, ostrze noża zabłysło jasno w słabym świetle świec. Tak złowrogo, że aż nogi ugięły się pod Liz.

- Niestety Val nie przybędzie na tyle wcześnie, żeby uratować dwie ostatnie ofiary tego maniaka Wellsa. Zaczną walczyć i Wells zastrzeli nieszczęsnego sierżanta, lecz potem mój Valentine da mu radę. I dzięki Bogu... jak to się powie nieoświeconym.

Liz zadrżała, słysząc to słowo w jej ustach. Heather Black nie tylko była zła, ale w dodatku namiętnie czciła Zło.

- Widzisz, Liz, Valentine zgromadził sporo dowodów świadczących przeciwko Wellsowi. Przynajmniej wiadomo już, że przyjaźnił się z naszymi bankierami, poza tym znał Tarę i zamordował Carlę. Wszystko jest czarno na białym. Wystarczy, żeby posłać go na krzesło elektryczne, jednak my oszczędzimy sądowi tej fatygi. No i wszystko szczęśliwie się skończy.

- A co z Markiem? – spytała z nadzieją Liz. Ponieważ Heather w ogóle o nim nie wspomniała, założyła, że zdołał jakoś uciec. Czciicielka szatana pobladała, a na jej twarzy pojawił się pełen niechęci grymas.

- Nie sądzę, żeby były z nim problemy. Pewnie schował się gdzieś i robi ze strachu w portki, a w razie czego udowodni się, że był współnikiem Wellsa.

- Ale wie o tobie i Rogatym Kwiecie. Czy nie wydaje ci się, że...?

- Nic mi się nie wydaje. Lepiej milcz.

Liz nie miała zamiaru jej słuchać.

- Jasne, jesteś najmądrzejsza i pewnie myślisz, że zdołasz uciec.

Heather wzruszyła ramionami.

- Przecież mnie nie ma, bo zaginęłam, aż wreszcie policja uzna, że byłam kolejną ofiarą Wellsa.

To znaczyło, że Heather chce się gdzieś przyciąć, a potem znowu rozpocząć swój haniebny proceder.

- A pan? Pan zostanie na wyspie? – zwróciła się do Lopeza.

Uśmiechnął się do niej, co wyglądało upiornie, jako że twarz miał groteskowo zniekształconą.

– To, że będę musiał zabić najlepszego przyjaciela, stanie się dramatem mojego życia. Zrezygnuję z pracy w policji i też wyjadę.

Liz miała łzy w oczach. Jak mogło jej się wydawać, że zwycięży w walce z tymi potworami? Byli dla niej zbyt potężni, zbyt oddani złu.

– Powiedz mi, czy przypuszczałaś, że twoja siostra jest aż tak uparta? – mruknęła Heather. – Że będzie wołała zginąć, niż wyrzec się swojego idola?

– Jezusa Chrystusa – odparła Liz, dumna z niewzruszonej wiary Rachel. – Tak, wiedziałam.

– Jednak teraz chodzi o to, czy nasza dobra pastor Howard wyrzeknie się swego upadłego bożka, czy też będzie wołała patrzeć na twoją śmierć – zaśmiała się Heather.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – spytała Liz, nawet nie zadrżawszy na wzmiankę o śmierci. – Przecież to jej wiara, a nie twoja.

Heather skrzywiła się i pokręciła głową.

– Och, mylisz się, bo ta sprawa bardzo mnie dotyczy.

Liz dostrzegła kątem oka, że Rick próbuje wyswobodzić się z więzów. Tuż za nim leżał zamordowany policjant. Z rozpiętej kabury wystawała broń.

Rick spojrział w tamtym kierunku i skinął jej lekko głową. Na szczęście nikt tego nie zauważył.

Być może uda mu się zdobyć pistolet.

– Sole trzeźwiące, Valentine – zakomenderowała Heather. – Musimy ocucić wielebną pastor Howard, by nie przegapiła najważniejszego punktu programu.

Lopez podszedł do Rachel i podsunął jej pod nos flaszeczkę z jakimś płynem. Pastor uniosła nieco głowę i otworzyła oczy.

– Kto to zrobił? – spytała Liz, chcąc zyskać na czasie. – Które z was, potwory, zabiło Tarę i Naomi? A może zrobiliście to wspólnie?

– Ja miałam tę przyjemność – mruknęła Heather, a jej wewnętrzna brzydota ujawniła się w tej chwili jeszcze bardziej. Wyglądała tak, jakby miała piękną maskę na zniekształconej twarzy. – W odróżnieniu od Gavina, mój Valentine nie przepada za robotą nożem. A ja to lubię.

Liz z trudem przełknęła ślinę.

– Kim jesteś?

Heather uśmiechnęła się lekko. W świetle świec wydawała się długa i chuda niczym żmija.

– Kusicielką. Zbieraczką dusz.

Liz zakryła usta, a Rachel poruszyła się.

– To takie łatwe w naszych czasach – ciągnęła. – Wszyscy chcą pieniędzy, władzy i urody. Wszyscy chcą przyjemności i odwracają się od Boga. Pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, gniew, lenistwo. Grzechy główne to najlepsi przyjaciele dziewczyny. – Zaśmiała się jak dziecko. – Kim jestem? Jestem diabłem nowego tysiąclecia!

– Jesteś szalona.

– Mylisz się, moja droga Liz. Po prostu ty jesteś ślepa, a ja widzę prawdę. To milenium będzie należało do Lucyfera.

Błyskawica rozświetliła wnętrze kościoła, a grzmot wstrząsnął jego posadami. Heather spojrzała na Vala.

– Już czas.

– Nie! – krzyknął przeraźliwie Rick, próbując się wyswobodzić.

Milenijna diablica chwyciła Liz od tyłu i powlokła w stronę ołtarza. Była bardzo silna. Podniosła nóż do jej gardła.

– Wyrzeknij się Go! – krzyknęła. – Wyrzeknij się Go, a oszczędzę twoją siostrę!

– Nie rób tego, Rachel! I tak nas zabije!

Burza stawała się coraz gwałtowniejsza. Niebiosa się otworzyły, wylewając hektolitry wody. Deszcz siekł o mury kościoła.

Liz wyczuła, jak Heather tężeje, szykując się do zadania ciosu. Miała wrażenie, że ostrze już wrzyna się w jej gardło. O niczym w tej chwili nie myślała.

– Jeśli naprawdę Bóg jest zbawcą, niech ci teraz pomoże! – zaśmiała się morderczynie.

Rick wyciągnął rękę w stronę martwego policjanta. Val coś krzyknął i wycelował w niego. Liz wrzasnęła z całej siły. I w tym momencie ktoś spadł z góry.

Mark! – pomyślała.

Chłopak skoczył na Vala. Gdy runęli na podłogę, pistolet wystrzelił.

Na chwilę wszystko zamarło, a potem rozpętało się istne pandemonium. Burza natarła z nową, niespotykaną siłą. Kolejny grzmot wstrząsnął całym kościołem, okno rozbłysło feerią barw, a następnie wszystkie kolory zaczęły opadać. Działo się to zarazem i wolno, i szybko.

Liz pojęła, że wiekowe drzewo zważyło się i stłukło witraż.

– Zasłoń twarz – krzyknął Rick.

Nie zdążyła, ale nic jej się nie stało. Za sobą usłyszała potworny jęk. Heather wypuściła nóż z dłoni i Liz nareszcie była wolna. Nie mogła jednak uciec, bo nogi miała jak z waty. Opadła tylko na kolana, żeby podnieść nóż.

W tym czasie Heather wyciągnęła odłamek szkła, który utkwiał jej w karku. Odrzuciła go i kopnęła nóż, a po chwili znowu trzymała go w dłoni. Ktoś kolejny raz strzelił. Kula przeleciała tuż nad głową Liz.

To strzelał Mark. Klęczał na martwym poruczniku Lopezie, któremu pocisk rozłupał czaszkę.

– Uciekaj! – krzyknął do niej, celując w Heather. Służka szatana cofnęła się jeszcze bardziej. Twarz miała wykrzywioną z nienawiści. Było na niej widać całe zło, któremu oddała się duszą i ciałem.

Wyciągnęła nóż w ich stronę.

Mark nacisnął spust, starając się opanować drżenie dłoni. Nic. Magazynek był pusty.

Rick krzyknął do Liz. Widziała, jak pełźnie w stronę policjanta, ale czuła, że już jest za późno. Przynajmniej dla niej...

Heather zaśmiała się straszliwie. Kolejny piorun uderzył wprost w kościół. Mury zadrżały, z okna posypały się resztki szkła, a potężny powiew wiatru wdarł się do środka. Przy ołtarzu rozległo się głośne skrzypienie.

Heather odwróciła się w tamtą stronę. Olbrzymi krzyż przechylił się w jej kierunku. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Jej twarz stała się blada, a potem zagościła na niej zupełna pustka.

Wyrzuciła w górę ramiona.

W następnej chwili krucyfiks przewrócił się, grzebiąc ją pod sobą.

RS

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Piątek, 23 listopada 11.00

Liz siedziała na szpitalnym łóżku swojej siostry. Przez okno sącżyło się słońce, tworząc świetliste plamy na jasnej pościeli. Burza wyrządziła co prawda mnóstwo szkód, ale już się skończyła. I znowu raj ocalał.

Obywatele miasta zaczęli wielkie sprzątanie. Wywożono połamane gałęzie i śmieci, naprawiano zniszczenia, szykowano się na przyjęcie turystów.

Liz spojrzała na Rachel. Siostra spała. Dziś rano przywieziono ją tutaj z OIOM-u. Liz chyba nigdy nie była bardziej szczęśliwa i chciała napawać się tym szczęściem najdłużej, jak to tylko było możliwe. Przecież myślała, że już nigdy jej nie zobaczy. Zakładała, że zginęła z ręki psychopaty.

A teraz mogła rozmawiać i śmiać się z siostrą. Nigdy wcześniej Bóg nie obdarował jej tak hojnie. Była szczęśliwa.

Policzki Rachel powoli nabierały kolorów. Jak się okazało, prawidłowo ją zdiagnozowała. Siostra cierpiała na udar cieplny, odwodnienie i ogólne niedożywienie, a nieleczone rany wywołały stan zapalny.

Doktor stwierdził, że Rachel miała dużo szczęścia. O dziwo, nerki wyglądały na nieuszkodzone, bo w innym wypadku zapadłaby w śpiączkę, a potem nastąpiłby zgon. Uratowano ją w ostatnim momencie, bo parę godzin później byłoby już za późno.

Wszyscy mamy szczęście, pomyślała Liz. Nigdy wcześniej tak bardzo nie cieszyło jej to, że żyje. Teraz jakby oddychała innym powietrzem, inaczej też patrzyła na wszystko wokół. Świat wydawał jej się darem od Boga i stwierdziła, że już zawsze tak będzie go postrzegać.

Zwłaszcza gdy spojrzy na siostrę albo Ricka...

– No i jak tam?

Popatrzyła w stronę drzwi i uśmiechnęła się do mężczyzny, o którym właśnie myślała.

– Dobrze. Doktor jest zdziwiony, że tak szybko dochodzi do siebie.

– To prawdziwy cud, że żyje.

– Właśnie o tym myślałam... – Spojrzała na papierową torbę, którą trzymał w dłoni. – Czy to coś do jedzenia? Mam już dość szpitalnej stołówki.

Rick mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Kanapka z indykiem z „Green Parrot”. Z żurawinowym sosem – dodał, podsuwając jej pakunek.

– To pozostałość po wczorajszym Świącie Dziękczynienia.

Pochylił się i pocałował ją lekko. Tak, powinni obchodzić to święto jak najhuczniej, bo mieli być za co wdzięczni Opatrzności.

– Widziałem się z komendantem – mruknął Rick, siadając na krześle.

– No i?

– Przekonywał mnie, że policja potrzebuje teraz nowych, doświadczonych pracowników...

– Takich jak ty...

– Właśnie.

Liz wiedziała, że po ostatnich wydarzeniach Rick stał się bohaterem Key West.

Wszyscy chcieli przyjść do jego baru i porozmawiać z nim, a starzy znajomi namawiali go, żeby znowu podjął pracę w policji. Naciskano na niego mocno, bo okazało się, że Val szantażował wielu miejscowych biznesmenów oraz że swoim imperium zarządzał zza policyjnego biurka.

– Przyjąłeś jego propozycję?

– Powiedziałem, że się nad tym zastanowię, ale prawdę mówiąc, ciągnie mnie do Departamentu Policji Key West. No cóż, nie da się ukryć, że urodziłem się gliniarzem. Taki genotyp.

Rick znowu policjantem... Zresztą, nigdy nie przestał nim być.

– A co z twoim barem?

Spojrzał w oczy Liz. Nagle poczuła, że serce bije jej mocniej.

– Już nie muszę się w nim chować.

Opuściła wzrok na swoje ręce. Wciąż miała nadzieję, że to, co się między nimi stało, nie było przypadkowe. Nie śmiała jednak o tym mówić.

– Gdzie jest Mark? – spytała.

– W drugim skrzydle. Poszedł do Tima. – Potrząsnął głową. – Jeszcze jeden szczęściarz. Dostał kulę w mostek i żebro, a mimo to przeżył. Bogu dzięki.

– Tak – odezwała się słabym głosem Rachel. – Dzięki Bogu.

Spojrzeli na nią. Obudziła się i obserwowała ich już od paru chwil z wyraźnym zadowoleniem.

– Cześć, lepiej się czujesz?

Skinęła głową.

– Ile spałam?

– Oj, sporo. Lekarz zapewniał, że nic ci nie będzie.

– Tak naprawdę nic nie było, bo Pan nade mną czuwał.

– Liz pochyliła się w stronę siostry.

Policja chciałaby z tobą porozmawiać, kiedy nabierzesz sił.

– Dobrze, kiedy im będzie wygodnie. – Rachel spojrzała na jej dłoń. – O, masz pierścionek mamy. Nigdzie nie mogłam go znaleźć.

Łzy same napłynęły jej do oczu.

– A ja odkryłam go przez przypadek – rzekła Liz, wkładając jeden z pierścionków na palec siostry.

Rachel patrzyła na niego przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na Ricka.

– Dzień dobry – szepnęła. – To pan nas uratował, prawda?

Rick uściskał jej dłoń.

– Cieszę się, że wszystko już jest w porządku, pani pastor.

– Proszę mi mówić po imieniu. – Zatrzymała na moment jego dłoń i ścisnęła ją mocno. – Co ze Stephenem? Czy oni...?

– Nic mu nie jest – przerwała jej Liz. – Mark zapewnia, że ma dobrą opiekę lekarską. Wkrótce tu wróci. Na pewno się ucieszy, widząc cię całą i zdrową.

Rachel przymknęła oczy.

– Przekazał ci kopertę ode mnie? Tę z fotografiami i rysunkami?

– Tak.

Milczała przez chwilę.

– Bałam się go w to wszystko mieszać. Bałam się też o ciebie i o moich wiernych. Chciałam ich ostrzec w kazaniach, ale wtedy odsunęli się ode mnie, zaczęli się mnie bać. A kiedy okazało się, że nie mogę ufać policji, nie wiedziałam, do kogo się zwrócić.

– Dobrze zrobiłaś. – Liz czule pogłaskała ją po głowie.

Do pokoju weszło dwóch mężczyzn z biura szeryfa.

– Jak się pani czuje, pani pastor? – spytał pierwszy. – Czy mogłaby pani odpowiedzieć na kilka pytań? Jesteśmy zastępcami szeryfa, ja nazywam się Newman, a kolega Paulson.

Rachel skinęła głową.

– Już czuję się dobrze. Proszę pytać. Mężczyźni spojrzeli na Ricka i Liz.

– Chodźmy już – mruknął Rick, doskonale wiedząc, o co im chodzi.

Liz potrząsnęła głową.

– Wołałabym zostać.

– Niestety, podczas przesłuchania to niemożliwe, proszę pani – powiedział Newman.

Wahała się przez chwilę, ale w końcu zgodziła się wyjść. Siostra czuła się na tyle dobrze, że nawet tak bolesna rozmowa nie powinna jej zaszkodzić.

– Czy twój szef mówił ci coś o dochodzeniu? – spytała, kiedy znaleźli się sami na korytarzu.

– Ciągłe sprawdzają szczegóły, ale wygląda na to, że miałaś rację. Heather była współniczką Tafta. Prawdopodobnie spotkali się na Florida State University i zostali kochankami. Handlowała już wtedy narkotykami i zajmowała się kultem szatana. Była zafascynowana naukami niejakich Aleistera Crowleya i Antona LaVeya. Wierzyła w boskość zła. Razem zabili siostrę Heather, która stała się ich pierwszą rytualną ofiarą. – Rick urwał na chwilę i spojrzał przed siebie. – Po aresztowaniu Tafta Heather uciekła na Key West i zaczęła tutaj swoje praktyki. Jako pierwszego zwerbowała porucznika Lopeza.

To dzięki niemu była bezkarna – domyśliła się Liz. – Zrobiła się tak śmiała, bo chroniła ją policja, prawda?

Tak, w dużej części masz rację.

Dzięki temu łatwiej też im było zdobywać nowych członków.

A już na pewno ich kontrolować. Jak przywódcy wszystkich sekt, obiecywali im nie wiadomo co. Pieniądze, władzę, rozkosz.... Lecz potem różnie było. Do tej pory udało się znaleźć dwunastu członków Rogatego Kwiatu, w tym Margo, ale policja podejrzewa, że jest ich trzy razy tyle.

Liz przypominała sobie, co Heather mówiła o siedmiu grzechach głównych. Przypominała sobie też słowa księdza Paula i powtórzyła je Rickowi. O tym, że diabeł jest sprytny i kusi nas tym, co najbardziej ludzkie. Właśnie pychą, chciwością, nieczystością, zazdrością, nieumiarkowaniem w jedzeniu i piciu, gniewem i lenistwem. Dlatego przed tym szczególnie trzeba się strzec.

Rick ściągnął brwi, nie bardzo wiedząc, o czym mówiła. Opowiedziała mu więc o swoich spotkaniach ze starym kapłanem.

– Kim ona była, Rick? – spytała na koniec.

- Czy ja wiem, może psychopatką? Może cierpiała na manię wielkości... –

Wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nigdy się tego nie dowiemy.

Liz bardzo chciała wierzyć, że Heather cierpiała na jakąś chorobę psychiczną i nie była wcielonym diabłem. Łatwiej by jej było z tym żyć. Łatwiej pogodzić się z tym, co spotkało jej siostrę. Heather po prostu dążyła do konfrontacji z Bogiem i dlatego chciała złamać wiarę Rachel.

- Liz! Rick!

Oboje spojrzeli w kierunku, z którego dochodził głos. Zobaczyli Marka, który popychał wózek z pastorem.

– Jak się miewa twoja siostra? – spytał chłopak, zapomniawszy o zwyczajowym powitaniu.

– Dzięki, już lepiej. – Liz zerknęła nieśmiało na pastora. – Dziękuję za to, co pan zrobił, pastorze Collins.

Siedzący na wózku duchowny uśmiechnął się do niej.

– Tim – poprawił ją. – Mów mi po imieniu. Zresztą właśnie tobie zawdzięczam życie. Gdyby nie ty, Lopez na pewno by mnie wykończył.

– Nie powinnam cię była tak zostawiać – westchnęła – ale byłam pewna, że nie żyjesz...

– Mam silny organizm – zaśmiał się pastor.

– Woląłem udawać martwego, niż nim naprawdę zostać, aż wreszcie Bóg mi pomógł, bo zesłał Marka.

Liz chrząknęła lekko i spuściła wzrok.

– Pasto... Tim, bardzo przepraszam, że podejrzewałam cię o te morderstwa – szepnęła. – I za to, że kłamałam...

Wziął ją za rękę.

– Teraz wcale się temu nie dziwię – powiedział, patrząc jej w oczy. – Mnie też jest przykro, ale kiedy porucznik Lopez powiedział mi, że jesteś siostrą Rachel Howard, to się wściekłem. Po prostu nie znoszę kłamstwa.

– Powiedział ci? – zdziwiła się. – Kiedy?

– Tego ranka po zamordowaniu Tary. Teraz wiem, że chodziło mu o to, żebyś przestał ci ufać. To był perfidny plan. Chciał zantagonizować wszystkich zamieszanych w tę sprawę.

– Zostało mało czasu – przypomniał Mark.

– Mam spotkanie z moimi wiernymi – wyjaśnił. – Chciałem się z nimi pomodlić i podziękować za wszystko Bogu.

Liz patrzyła za nimi, a potem westchnęła cicho.

– Będzie mi brakować Marka. Myślę, że kiedyś zostanie dobrym duchownym. Chłopak poinformował ich dzień wcześniej, że wyjeżdża z Key West. Miał zamiar wrócić do Teksasu i wstąpić do seminarium.

– A ty jakie masz plany? – spytał Rick. Spojrzała mu w oczy.

– Na razie chcę być przy Rachel, a potem sama nie wiem...

Przyciągnął ją do siebie.

– Tak sobie pomyślałem, że może zechcesz zostać w raj? Mogłabyś się tutaj przydać, zwłaszcza po tym, co z naszymi dziećmi zrobił Rogaty Kwiat. One naprawdę cię potrzebują.

– A... ty? – spytała. – Czy też chcesz, żebyś została?

Przez chwilę czekała na odpowiedź. Mocno zagryzła wargi.

– Tak – odparł w końcu, biorąc jej twarz w dłonie. – Przy tobie zaczynam wierzyć, że mam jeszcze szansę na normalne życie. No i cieszę się z tego, że jednak żyję.

W jej oczach pojawiły się łzy radości. Liz wspięła się na palce i pocałowała go delikatnie w usta. Wreszcie zrozumiała, czym naprawdę jest raj.